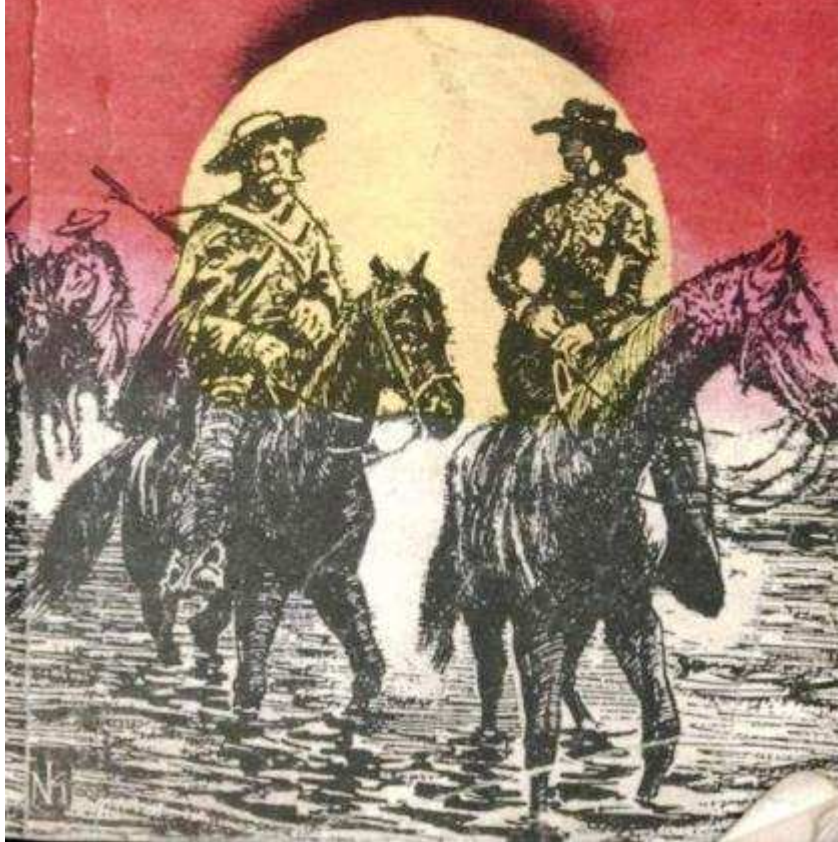


Maria Julia Zaleska

MIŁOŚĆ
WYGNANIĘC



I

SPOTKANIE

Podczas wypadków, które w tej książce opowiedzieć zamierzamy, to jest przy schyłku XVIII stulecia, w zachodniej stronie Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, o kilkaset mil za rzeką Missisipi, rozciągała się puszcza niezmierna, a w części stepy zielone, bujną wysoką trawą porośłe. Trzy większe rzeki: Kanadyjska, Arkansas i Rzeką Czerwoną, przerzynają rozległy ten obszar ziemi, tocząc swe wody w kierunku wschodnim i zabierając po drodze większe i mniejsze dopływy.

Niezliczone stada dzikich koni, żubrów, jeleni, antylop, a także i gromady drapieżnych zwierząt wszelkiego rodzaju ożywiały puszcę uposażoną najrozkoszniejszą w świecie roślinnością, a najpotężniejsze i najokrutniejsze plemiona Indian czerwonoskórych miały w niej myśliwskie koczowiska.

Kriksowie, Osagowie, Pawnisy, Komanszowie i inni krążyli ustawicznie po lasach i stepach wiodąc pomiędzy sobą krwawe walki i napadając na białych, którzy ważyli się wkroczyć w odwieczne ich siedziby i przywłaszczyc je sobie.

A jednak wielu ludzi odważnych osiedlało się w tych okolicach niegościnnych, tylu skarbami przyrody obdarzonych: myśliwi, tak zwani trapezry czyli sidlnicy, łowiący w sidła bobry i drobniejszą zwierzynę, wędrowną rozmaici, zwabieni obfitością myśliwskiej zdobyczy stawili śmiało czoło niebezpieczeństwu, grożącym im wśród puszczy. Tu i ówdzie znalazł się nawet nieustraszony skwater¹, zakładający osadę w jej obrębie, chociaż

¹ Skwaterami nazywają ludzi, którzy osiedlają się w dzikich okolicach nie mając żadnych praw własności, karczują las, uprawiają ziemię wprzód nietkniętą i zbierają z niej plony. (Przypisy podajemy za wydaniem, na którym oparto niniejszą książkę)

wiedział dobrze, iż zuchwalstwo to w każdej chwili życiem przyplącić może.

Przenieśmy się teraz myślą w głąb tej puszczy niezmierzonej, na wybrzeże jednego z licznych strumieni wpadających do rzeki Arkansas.

Było to przy końcu czerwca r. 1792, w godzinach popołudniowych. Straszliwy upał, panujący dnia tego nawet w cienistych gąszczach leśnych, ustawał już po trochu, gdyż lekki wietrzyk odświeżył powietrze i rozpedził roje dokuczliwych moskitów, drobnych komarów, które są plagą tych okolic, zwłaszcza w pobliżu bagien i moczarów rozsianych po lasach.

Rzeka, wijąca się pomiędzy drzewami w rozlicznych zakrętach, była w tym miejscu dosyć szeroka, a prawdopodobnie i głęboka. Klony i wiąz, rosnące na niskich brzegach, pochylały swe konary ponad wód zwierciadłem i w wielu miejscach osłaniały rzekę wspaniałym, zielonym sklepieniem.

W małej zatoce, wrzynającej się w gęstwinę nadbrzeżną, pluskała się gromadka dzikich gęsi, które w mieliznie szukały pożywienia. Nie okazywały najmniejszego niepokoju; widocznie czuły się zupełnie bezpieczne w tym zaciszu, gdzie może jeszcze nigdy nie postąpiła stopa ludzka, nie ozwał się wystrzał palnej broni. A jednak po jakimś czasie ptaki przerwały swoje poszukiwania i powyciągały szyje nasłuchując z ciekawością raczej, niżeli z trwogą. W tej samej chwili ozwał się nagle huk, dwie gęsi padły ugodzone strzałem, reszta zerwała się z przeraźliwym wrzaskiem i znikła wśród gęstwy leśnej.

Tymczasem dały się słyszeć silne uderzenia wiosel i mała łódka, mknąca jak strzała, ukazała się na rzece. Było to czółenko z kory drzewnej, używane zwykle przez krajowców czerwonoskórych; człowiek, kierujący nim zręcznie, wpłynął do zatoki, pochwycił jedną gęś zabita i puścił się w pogoń za drugą, żyjącą jeszcze, która usiłowała odpłynąć na środek rzeki. My tymczasem przypatrzmy się bliżej żeglarzowi.

Był to młodzieniec, wyglądający na lat dwadzieścia cztery najwyżej, wysokiego wzrostu, silnie zbudowany, prawdziwie atletycznej postawy. Czarna, gęsta broda nadawała pięknej jego twarzy wyraz męskiej dojrzałości. Czoło, miał wyniosłe, pogodne; duże ciemne oczy, ocienione łukami czarnych

brwi, jaśniały żywym blaskiem, usta kształtne szczelnie były zamknięte.

Ubiór jego był bardzo prosty: miał na sobie obcisłe spodnie, bluzę myśliwską z bawełnianej tkaniny, wyszywaną kolorową wełną i przepasaną na biodrach szerokim pasem skórzanym, obuwie z miękkiej jeleniej skóry, sięgające wyżej kolan, czapkę bobrową, spod której wymykały się bujne kędziory kruczych włosów. Przy nim leżała w czółenku długa ciężka strzelba, zza pasa wyglądała błyszcząca siekierka i nóż myśliwski o szerokim ostrzu. U pasa zwieszały się także dwa rogi bawole, napełnione prochem i kulami. Oprócz tego myśliwy - gdyż z opisu jego powierzchowności czytelnik odgadł już zapewne myśliwego - miał u boku dość dużą torbę, zawierającą różne przedmioty codziennego użytku. Młodzieniec silnie pracował wiosłami, goniąc za zranioną gęsią, która wciąż jeszcze trzepotała się w wodzie i odpływała coraz dalej.

- Daremne twoje usiłowania, kochanko, nie ujdiesz mojej ręki - mruknął myśliwy przez zaciśnięte zęby. Wymówiwszy te słowa przestał nagle wiosłować, podniósł głowę, jakby zapomniał o zdobyczy, którą prąd rzeki unosił, i z natężoną uwagą zdawał się łowić uchem jakiś odgłos oddalony.

- To szczekanie psów - szepnął znów sam do siebie. - Gdzieś bardzo daleko, w każdym razie trzeba się ukryć i czekać, co z tego będzie.

Mówiąc to myśliwy skierował spiesznie czółenko swoje do brzegu, wyskoczył, wyciągnął je z wody i ukrył wśród zwieszających się gałęzi drzewa tak doskonale, że najbystrzejszy wzrok nie zdołałby go tam dojrzeć. Potem stanął za pnem potężnego klonu nie zdradzając najlżejszym szelestem swej obecności.

Tymczasem szczekanie psów stawało się coraz wyraźniejsze i zbliżało się szybko; szmer przygłuszony dał się słyszeć pośród zarośli na przeciwnym brzegu rzeki. Myśliwy podniósł strzelbę gotując się do obrony w razie niebezpieczeństwa, a wtem czarna postać ludzka wynurzyła się z zarośli, wskoczyła do wody i popłynęła do brzegu, na którym strzelec był zaczajony.

- Zbiegły niewolnik - szepnął młodzieniec, opuścił strzelbę i patrzył spokojnie na płynącego Murzyna.

Jeszcze biedny zbieg nie przebył połowy szerokości rzeki, gdy na wybrzeżu, z którego przed chwilą wskoczył do wody, ukazały się dwa ogromne psy. Chrapliwe ich sapanie i wywieszzone z paszcz języki świadczyły o długim i nużącym biegu. Gdy ujrzały Murzyna, zaczęły ujadać wściekle, a jednocześnie w niewielkiej odległości ozwały się głosy ludzkie, nawołujące psy i pobudzające je do pogoni. Zwierzęta biegały jak oszalałe po wybrzeżu, nareszcie jeden pies gwałtownie rzucił się do wody i począł płynąć tak śmiało i szybko, że zbliżył się wkrótce do zbiega, a ten na widok tak groźnego niebezpieczeństwa wydał przeraźliwy okrzyk trwogi i rozpaczy.

- To przecież człowiek, tamto zwierz tylko - mruknął myśliwy i z nieopisanym spokojem podniósł strzelbę. Załedwie przyłożył ją do skroni, gdy już i strzał rozległ się w powietrzu. Pies zawył żałośnie, opuścił łeb i zatonął w wodzie; po chwili wypłynął znów na powierzchnię, lecz nie dawał już żadnych znaków życia, a prąd wody porwał martwe szczątki i uniósł na falach.

- Śmiało, przyjacielu, śmiało - wołał myśliwy do Murzyna, który ze strachu odchodził prawie od przytomności i załedwie mógł utrzymać się na wodzie. Mówiąc to młodzieniec nabijał strzelbę na nowo i wysuwając się zza drzewa ukazał się oczom zbiega; ten wydał okrzyk radosnego zdziwienia i zwałiej począł płynąć do brzegu. W chwili gdy wreszcie z pomocą myśliwego stanął na ziemi, po drugiej stronie rzeki ukazało się dwóch ludzi uzbrojonych, jeden starszy, drugi znacznie młodszy; z podobieństwa rysów łatwo było poznać w nich ojca i syna. Mieli na sobie, zwykłą odzież osadników leśnych, obaj byli zadyszani, jakby po długim i spiesznym biegu.

Starszy zaklął straszliwie, spostrzegłszy szczątki zabitego psa na rzece, a na wybrzeżu Murzyna, pod opieką nieznanego człowieka.

- Hej! myśliwcze, traperze, czy co tam jesteś za jeden! - wykrzyknął grzmiącym głosem.

- Czego pan sobie życzy? - zapytał spokojnie myśliwy, podczas gdy Murzyn, nową trwogą przejęty, osunął się jakby martwy u stóp jego.

- Jakim prawem zabiłeś mego psa? - wołał osadnik z wściekłością.

- Zabilem go, bo szło o uratowanie życia ludzkiego - odrzekł tamten, zawsze z tym samym niewzruszonym spokojem.

- Ten pies miał dla mnie większą wartość od przekłętego Murzyna, którego w każdym razie śmierć czeka. A ciebie, bratku, potrafię także ukarać za to, że się mieszasz w moje sprawy.

- Popróbuj pan, i owszem, zobaczymy, czy ja pozwolę sobie krzywdę wyrządzić.

- Zastrzelę cię tak samo jak ty mego psa.

- Obaczmy - powtórzył myśliwy z najzimniejszą krwią, nie spuszczać ani na chwilę z oczu obu swych przeciwników i trzymając broń w pogotowiu.

- Powiedzże mi z łaski swojej - spytał stary osadnik po chwili milczenia - co cię obchodzi ten czarny lotr, który już po raz trzeci ode mnie ucieka?

- Po raz trzeci, powiada pan?

- Tak, tak, po raz trzeci! Czyż nie zasłużył na śmierć?

- To jeszcze pytanie.

- Jak to, cóż to znów za żarty?...

- Ja tylko stąd wnoszę, że biedak musiał być gorzej traktowany od tego psa, którego pan tak żałuje.

- To do ciebie nie należy. A teraz pytam raz jeszcze, czy oddasz mi dobrowolnie Murzyna?

- Musi pan na odpowiedź trochę poczekać.

- A to dlaczego?

- Niech wprzód ten nieszczęśliwy, który o mało ducha nie wyzionął, przyjdzie do siebie i da mi pewne wyjaśnienia.

- A potem?

- Potem zobaczymy! Cierpliwości!

- A bodajże cię jasne pioruny!...

- Czy tak? - zawołał myśliwiec i szybko wymierzył. Strzał padł i wytrącił broń z ręki młodszego skwatera, który ukrywał się za drzewem i widocznie w złych zamiarach wysunął zza pnia lufę swojej strzelby. Młody myśliwy strzelwszy uskoczył także szybko za drzewo, nabił broń na nowo, potem znów wyszedł z ukrycia i spokojnie oparł się na kolanie mówiąc:

- Jestem na rozkazy.

II

CEZAR

Murzyn aż do tej chwili leżał na ziemi nieprzytomny; teraz zaczął się z wolna podnosić. Był to chłopak bardzo jeszcze młody, zaledwie szesnastoletni, nieduży, lecz silnie zbudowany.

Oczy jego zdradzały trwogę śmiertelną, niespokojnie spoglądały dokoła, chociaż biedak widocznie nie przyszedł zupełnie do przytomności i nie zdawał sobie sprawy ze swego położenia. Dopiero gdy zobaczył na brzegu przeciwnym swoich prześladowców, przypomniał sobie wszystko i dreszcz przerażenia przeszedł go od stóp do głowy. Zerwał się nagle z ziemi, potem padł na kolana przed myśliwym i wołał obejmując jego kolana:

- O panie, ratuj mnie, ratuj! - a łzy rześiste spływały po czarnych jego policzkach.

- Bądź spokojny - odrzekł myśliwy spoglądając ze współczuciem na młodego Murzyna. - Nie dam ci wyrządzić krzywdy, rozumie się, jeśli na to zasługujesz. A najpierw powiedz mi, jak się nazywasz?

- Cezar, drogi, dobry panie, Cezar.

- A ten twój pan, co tam stoi?

- Nazywa się Jakub Wattson.

- Jesteś jego niewolnikiem?

- Tak, proszę pana.

- On powiada, że już trzeci raz uciekasz od niego, czy to prawda?

- Prawda, panie.

- Powiedźże mi, dlaczego uciekasz?

- Bo wytrzymać nie mogę! Traktuje mnie jak psa, o nie! daleko gorzej niż psa...

- Czy to tylko prawda?
- Cezar nigdy nie kłamie, nigdy, bo nie chce martwić swego ukochanego starego pana, który już nie żyje i poszedł do nieba, lecz i stamtąd na biednego Murzyna patrzy. Jeśli pan chce się przekonać, niech pan obejrzy moje plecy, a znajdzie tam ślady tego straszego okrucieństwa i uwierzy mi pewnie.

Mówiąc to Murzyn rozpiął lekką bawełnianą koszulę i ukazał na plecach, piersiach i ramionach, okropne, głębokie blizny, niektóre dotąd zakrwawione.

- Czy to możliwe! - zawołał myśliwy z oburzeniem. - Więc to wszystko ślady kańczuga twego pana?

- Cezar nigdy nie kłamie...

- I to sam stary Wattson własną ręką cię tak kaleczył?

- On sam najmniej.

- A któż?

- Pan Jan, ten co tam stoi obok niego, a także panicze: Ben i Dik ^{1.1} Beniamin i Ryszard.

- Czy to synowie twego pana?

- Tak, trzech synowie.

- A czy wszyscy już dorośli?

- O nie, panie! Ben ma rok piętnasty, Dik czternasty dopiero, obaj znacznie młodszy ode mnie.

- Jak to! I ci chłopcy, malcy jeszcze prawie, tak się okrutnie z tobą obchodzili?

- Ach, panie, ci najgorzej! Nieraz Cezar musiał im służyć za wierzchowca, a oni dla zabawy kłuli go w boki ostrogami, umyślnie na to przyczepionymi do obuwia, i biczem tak okropnie smagali, że krew z ran tryskała.

- I nikt w całym domu twego pana nie miał litości nad tobą?

- O, i owszem, panna Ella bardzo dobra była dla Cezara.

- A któż to jest panna Ella?

- Córka mego pana, szesnastoletnia panienka, śliczna i dobra jak anioł.

- Więc ona jedna lepiej się z tobą obchodziła?

- Panna Ella nigdy Cezara nie uderzyła, nigdy go nawet nie polajęła, a często usiłowała go bronić przed okrucieństwem braci. O! żeby oni choć trochę byli do siostry podobni, żeby jej słuchać chcieli, nigdy by Cezar nie uciekał.

- Ależ, biedny chłopcze, dwa razy już przecież cię schwytano, czy nie pomyślałeś o tym, że i teraz na tym skończyć by się musiało?

- Myślałem o tym, panie, lecz nie mogłem wytrzymać takich okropnych męczarni. Prawda, że już dwa razy mnie psy schwytały, a potem byłem bity najokropniej; kilka dni leżałem jak nieżywy, a jednak uciekłem znowu, chociaż tym razem miałem być śmiercią ukarany. Uciekłem, bo wolałem śmierć, niż takie straszne życie.

- I znowu psy cię wytropiły?

- Ach tak, te psy niegodziwe, z których jednego pan zabił.

Myśliwy słuchał z największą uwagą, chłopca, a jednocześnie bacznie śledził wszystkie poruszenia obu osadników na przeciwnym brzegu.

- Dobrze, mój kochany - rzekł po chwili namysłu - uczynię dla ciebie, co będę mógł. Wprzód jednak chciałbym, żebyś mi jeszcze jedną rzecz wyjaśnił. Wspomniałeś o jakimś sędziwym panu, który już jest w niebie. Miałeś więc przedtem innego pana, nim się dostałeś do tego Wattsona?

To zapytanie wywołało nagłe wzruszenie na twarzy młodego Murzyna, oczy jego zaszyły łzami, w głosie brzmiał żal głęboki.

- Ach tak, miałem dobrego ukochanego pana - mówił - on mnie nie traktował jak niewolnika, lecz jak rodzzonego syna. Toteż i ja go także uważałem za ojca, kochałem bardzo, bardzo serdecznie.

- I umarł?

- Tak, pan Smith dostał żółtej febry i umarł.

- Gdzie on mieszkał, ten twój dawny pan? - pytał myśliwy. - Opowiedz mi o nim coś więcej.

- O, najchętniej, proszę pana - odrzekł Cezar ocierając łzy z oczu. - Był to pan bogaty, miał piękny dom w mieście Baton-Rouge w Kanadzie. Ojciec mój i matka, którzy już także nie żyją od dawna, byli niewolnikami w jego

domu i ja tam na świat przyszedłem. Byłem szczęśliwy i nie przeczuwałem nawet, jak smutna przyszłość mię czeka. Lata mijały, wyrosłem na sporego chłopca, aż tu półtora roku temu w mieście, gdzieśmy mieszkali, wybuchła żółta febra. Pan Smith zakończył życie, a ja oplakiwałem go rzewnymi łzami.

Murzyn umilkł na chwilę, opuścił głowę na piersi, łzy wzruszenia zabłyły w jego oczach. Uspokoiwszy się nieco mówił dalej:

- Ciężkie czasy nastały wówczas dla mnie i innych niewolników tego dobrego pana. Nie miał on dzieci, majątek przeszedł na dalekich krewnych, a ci Murzynów nie potrzebowali. Wyprowadzono nas na rynek miejski i sprzedano z publicznego targu. Obcy ludzie rozkupili wszystkich moich towarzyszy, ja dostałem się panu Wattsonowi.

- Ileż on zapłacił za ciebie? - zapytał myśliwy.

- Nie wiem, panie, nie powiedziano mi tego.

- Muszę więc zapytać samego Wattsona - rzekł myśliwy i zwracając się do osadników, których ta długa rozmowa z Murzynem niecierpliwiła do najwyższego stopnia, zawołał głosem donośnym:

- Hej! panowie osadnicy, teraz pomówimy z sobą.

- Cóż tam, panie myśliwy, czy już porozumiałeś się z tym czarnym hul-tajem? - ozwał się stary Wattson z gniewem.

- Skończyłem właśnie.

- Musiał nakłamać przed tobą, a ty mu wierzysz.

- Jestem przekonany, że mówił prawdę i dlatego mu wierzę - odrzekł myśliwy.

- O dzięki ci, dobry panie! - wołał Murzyn chcąc ucałować rękę młodzieńca, na co ten nie pozwolił.

- Co to za głupie żarty! - wykrzyknął skwatter drząc ze złości. - Nie dbam o to wcale, czy wierzysz, czy nie wierzysz temu nieponiowi, byłeś mi go od-dał, bo jest własnością moją, rozumiesz?

- O panie, miej litość nade mną! - błagał Murzyn obejmując kolana myśliwego.

- Uspokój się, mój chłopcze - mówił ten podnosząc biedaka i znowu

zwrócił się do osadników: - Nie oddam tego nieszczęśliwego w wasze ręce, bo schronił się pod opiekę moją i ze wszech miar godny jest współczucia.

- Jak to! Nie oddasz mi własnego mego niewolnika? - wykrzyknął Wattson z wściekłością i groźnie podniósł strzelbę.

- Nie radzę wam, moi panowie, brać się do broni - rzekł spokojnie myśliwy trzymając także strzelbę w pogotowiu - bo i ja strzelać umiem. Pomówmy lepiej rozsądnie, a może potrafimy się porozumieć. Tym sposobem prędzej dojdziemy do końca.

- Ja nie chcę żadnego porozumienia! - wołał Wattson ze złością. - Oddaj mi niewolnika i basta!

- Gniewy i krzyki na nic się ze mną nie przydadzą - mówił z zimną krwią myśliwy. - Raz jeszcze zapytuję, czy wysłucha pan spokojnie tego, co ci mam do powiedzenia? Bo jeżeli nie, to zaraz stąd odchodzę w swoją stronę i tego chłopca zabieram z sobą. Zobaczmy, czy mi kto przeszkodzi.

- Mówże prędzej - mruknął skwater.

- Ile pan zapłacił za tego Murzyna?

- Cóż to może kogo obchodzić?

- Proszę mi odpowiedzieć.

- Sto pięćdziesiąt dolarów.

- Tak dużo?

- Do czego to wszystko prowadzi?

- Do tego, że chciałbym tego Murzyna kupić.

- Kupić? Naprawdę? - ozwał się stary Wattson, niezmiernie zdziwiony, nagle uprzejmy ton przybierając i spuszcżając strzelbę, co też natychmiast i myśliwy uczynił. - Nie żartuje pan, chce mi pan zapłacić za Murzyna?

- Wcale nie myślę żartować.

- Ależ to całkiem inna sprawa, mój panie myśliwy - mówił osadnik coraz grzeczniej - o tym możemy pomówić, i owszem.

- Wszak chciał pan śmiercią ukarać tego biednego chłopca, nieprawdaż? - spytał myśliwy.

- Byłbym go już dotąd zastrzelił - odrzekł Wattson - żebym go miał w swoich rękach, hultaja.

- I cóż by pan zyskał na tym?

- Nic, alebym złość przynajmniej zadowolił.
- Wyrzucając pieniądze za okno, czy to nie szkoda? Niechże pan posłucha, co mogę za niego ofiarować. Mam dwie przepyszne skóry jaguarów i pół tuzina najpiękniejszych skórek bobrowych. Sądzę, że to dostateczna zapłata za niewolnika, z którego i tak nie miałby pan żadnego pożytku, bo wołał zginąć, niż pozostać w pańskich rękach.
- Nic nie mam przeciwko temu - odrzekł osadnik, zupełnie udobruchały.
- Ale musi pan jeszcze parę skórek dołożyć, ażebyśmy targu dobili.
- Nie mam ich więcej w tej chwili, a nie targowałbym się, dając słowo.
- Ależ to rzecz najmniejsza, może mi pan oddać resztę należności za kilka dni, poczekam chętnie.
- Jeżeli tak, to dobrze. Ileż byś pan żądał jeszcze?
- Niewiele, ze sześć skórek bobrowych.
- I wtenczas ustąpi mi pan raz na zawsze praw swoich do tego chłopaka?
- Najzupełniej,
- Musimy tedy spisać umowę - rzekł myśliwy i postąpił do zarośli, gdzie łódka jego była schowana, aby się przeprowadzić na drugą stronę i oddać obiecane skóry osadnikowi. Lecz musiał się zatrzymać na pół drogi, bo Cezar go dogonił, objął za nogi i wołał z uniesieniem radości:
- O dzięki ci, dzięki, dobry panie, niech ci Bóg nagrodzi - potem zerwał się i jak szalony zaczął skakać, koziołki przewracać, w najzabawniejszy sposób okazując swoje uszczęśliwienie.
- Nie ciesz się przed czasem, mój chłopczy - rzekł myśliwy z uśmiechem - wszak nie przestałeś być niewolnikiem i nie wiesz jeszcze, jaki cię los czeka.
- O panie! ja się tak cieszę, tak cieszę, chciałbym ziemię całą objąć i uściskać. Pan będzie dobry dla Cezara i z pewnością nie obije go nigdy do krwi, jak dzieci pana Wattsona. Ale i Cezar pana kochać będzie i chętnie w ogień skoczy dla pana.
- No, no, zobaczymy; poczekajże tu na mnie - mówił myśliwy łagodnie do biednego Murzyna, sam zaś spuścił czółenko na wodę, wskoczył w nie i

po chwili wylądował na drugim brzegu, zbliżył się wolnym krokiem do obu Wattsonów i rzekł wyciągając do nich rękę:

- A więc zgoda już między nami?

- Zgoda, zgoda - mówił stary Wattson wesoło ściskając podaną rękę z największą serdecznością. - Gdybyś pan był od razu powiedział, że chcesz tego czarnego nicponia kupić ode mnie, nie przyszłoby wcale do tej niepotrzebnej sprzeczki.

- Zapewne, ale musiałem się przecież wprzód przekonać, czy chłopak wart tego, co dla niego robię.

- Co prawda, wielkiej pociechy pan z niego mieć nie będzie, leń jest i do niczego, takim też pewnie zostanie do śmierci. Ale to już nie moja rzecz, rób pan z nim, co ci się podoba. A teraz, czy nie zechce pan wymienić swego nazwiska? Ja się nazywam Wattson.

- Co do mnie - odrzekł myśliwy - Osagowie, z którymi żyję w stosunkach przyjaźni, nazywają mnie Sercem Prawym, a myśliwi, towarzysze moi, nadali mi miano Pogromcy Tygrysów.

- Do pioruna! Że też ja tego nie odgadłem od razu! - zawołał Wattson w uniesieniu i po raz drugi począł ścisnąć dłoń myśliwego. - Cieszę się niezmiernie, że mam sposobność poznać tak słynnego myśliwego; nasłuchałem się o panu niemało, na sto mil dokoła opowiadają o tobie. Niechże pan wybaczy niewłaściwe moje postępowanie, nie wiedziałem, z kim mam do czynienia.

- Dajmy już temu spokój, zakończmy lepiej nasz interes, żebym mógł wystarać się jak najprędzej o resztę skórek, które mam panu jeszcze oddać wedle umowy.

Mówiąc to myśliwy, Serce Prawe, wyjął z torby swej pugilares skórzany, znalazł w nim ćwiartkę papieru i ołówek, napisał słów kilka i podał osadnikowi ten prosty dokument, aby swój podpis na nim położył.

- Teraz więc Murzyn prawie już do mnie należy - rzekł, chowając znowu kartkę do pugilaresu. - Za trzy, cztery dni najdalej przyniosę panu sześć skór bobrowych.

- Wielki to będzie zaszczyt dla mnie - mówił osadnik - rad bym tak miłego gościa zatrzymać w moim domu przez kilka dni przynajmniej i spodziewam się, że mi pan tej przyjemności nie odmówi. Drogę do mojej osady wskaże panu ten czarny ladaco, który jest teraz pańskim sługą. To bardzo

niedaleko, pięć mil stąd, nie więcej.

- A czy pan już tu dawno mieszka w tej okolicy? - zapytał Serce Prawe, ukłonem podziękowawszy za uprzejme zaproszenie.

- Niedawno, od pół roku dopiero - odpowiedział Wattson.

- Muszę więc panu powiedzieć, że nie bardzo stosowne miejsce wybrał pan na założenie osady.

- A to dlaczego?

- Bo plemiona indyjskie od niejakiego czasu w tych okolicach najczęściej płądrują. Nigdzie biali nie są przez nich prześladowani z takim okrucieństwem, jak tu właśnie.

- Czy rzeczywiście?

- Więc pan nie wiedział o tym?

- Ani się domyślałem.

- I jesteś pan spokojny? A jednak wiem z pewnością, że gromady Pawnisów włóczą się od kilku dni w tych stronach.

- Czy być może! - wykrzyknął osadnik, bardzo nieprzyjemnie zdziwiony. - Widział pan ich na własne oczy?

- Napotkałem kilkakrotnie ich ślady, lecz spotkania starałem się unikać.

- Ta wiadomość mię przeraża.

- Powinna być raczej przestrogą i skłonić pana do przedsięwzięcia środków ostrożności.

- Nie sądz pan, abym już dotąd tego nie uczynił. Osada moja jest doskonale zabezpieczona od napadu, zobaczy pan, jeśli nas pan odwiedzi, jak obiecał.

- W każdym razie radzę panu pośpieszyć do domu, bo Indianie są nadzwyczaj czujni i podstępni, nieobecność pańska z pewnością nie ukryje się przed nimi.

- Ej, nie ma tam przecież tak wielkiego niebezpieczeństwa, nawet w razie napadu - mówił osadnik - czujności i wierności sług moich jestem pewny, z bronią zaś nie tylko dwaj młodszy synowie, ale i córka moja obchodzić się umie. Pięć strzelb to nie fraszka, potrafią sobie dać radę.

- Ja jednak powtarzam raz jeszcze: niech pan nie traci czasu, śpieszy do domu i w drodze nie zapomni o ostrożności.

- Może pan być spokojny, nie od dziś przecież znam puszcę. Ruszymy stąd zaraz i jutro rano będziemy w domu.

- Niech was Bóg prowadzi.

- Bywaj pan zdrow.

Ojciec i syn najserdeczniej uściskali dłoń myśliwego, zabrali skóry, stanowiące zapłatę za Murzyna, i puścili się w drogę. Olbrzymie ich postacie zniknęły wkrótce wśród gęstwiny leśnej.

Myśliwy wsiadł do łódki i na drugi brzeg powrócił. Murzyn poskoczył na spotkanie nowego pana, szalone objawy jego radości ustąpiły miejsca spokojniejszym uczuciom, lecz twarz cała rozpromieniona i oczy błyszczące wyrażały uszczęśliwienie.

- No, rad jestem, że cię tu zastaję - rzekł Serce Prawe.

- A gdzieżbym ja mógł być? - zapytał chłopiec zdziwiony.

- Mógłbyś skorzystać. z mej nieobecności i znowu do lasu drapnąć.

- Czy pan doprawdy to myśli, co mówi?

- Czemuż nie? Miałaś rzeczywiście wyborną sposobność do ucieczki.

- Więc pan podejrzewał Cezara o tak czarną niewdzięczność?

- Wiem tylko, że pragniesz swobody, skoro wolałeś śmierć ponieść, niż pozostawać dłużej w niewoli.

- To zupełnie co innego, uciekłem od okrucieństwa, od prześladowców moich, a pan jesteś moim dobroczyńcą, zbawcą, uratowałeś mi życie.

- Po to tylko, ażeby cię uczynić swoim niewolnikiem.

- Ależ ja z radością, z rozkoszą największą będę niewolnikiem pańskim.

- Czy zupełnie szczerze to mówisz?

- Ja pana tak kocham, a pan mi nie wierzy - i cień smutku zasępił twarz Murzyna.

- To dobrze, uspokój się, chłopcze, ja ci wierzę. Widzę, że masz poczciwe serce i w nagrodę obdarzę cię tym, czego najgoręcej pragnąłeś.

- Nie rozumiem, co pan chce powiedzieć.

Myśliwy wyjął tymczasem drugą ćwiartkę papieru ze swego pugilaresu, napisał coś na niej i podał Murzynowi, mówiąc:

- Przeczytaj to, wszak umiesz czytać.
 - Umieć - odpowiedział Cezar, przebiegając oczyma wyrazy nakreślone na papierze. Z twarzy jego znikł zupełnie wyraz radości, który ją przed chwilą ożywił, a oczy napełniły się łzami.
 - I cóż? - spytał myśliwy, ze zdziwieniem spoglądając na chłopca.
 - Pan mi daje wolność, mam być odtąd wyzwolonym z niewoli - mówił Murzyn nie okazując bynajmniej, aby treść odczytanego dokumentu przyjemność mu sprawiła.
 - I cóż się tak skrzywiłeś, nie dziękujesz mi nawet? Obdarzam cię wolnością, czyż tak mało dar ten cenisz? Wyglądasz w tej chwili, jak gdyby cię nieszczęście spotkało.
 - Bo też rzeczywiście jestem nieszczęśliwy.
 - Co to ma znaczyć?
 - Pan nie lubi biednego Cezara, pan go odpędza.
 - Któż ci to powiedział?
 - Ten papier. Pan tu napisał własną swoją ręką, że mi daje wolność i od obowiązków uwalnia.
 - Od obowiązków niewolnika, ale nie myślałem wcale cię odpędzać.
 - A! więc będę mógł zostać przy panu? - zawołał chłopak i oczy jego znowu zabłyśły radością.
 - Jeśli masz ochotę zostać, to i owszem, ale cię nie zmuszam, chyba że to uczynisz z dobrej woli.
- Murzyn wydał okrzyk szalonej radości, podskoczył raz i drugi, potem koźła przewrócił, śmiał się, klaskał w ręce jak małe dziecko, gdy dostanie nową zabawkę.
- Pocieszny z siebie chłopiec - mówił myśliwy z uśmiechem.
 - Ale i sługa dobry, zobaczy pan - rzekł Cezar uspokoiwszy się trochę. - Będę panu wiernie i gorliwie służył.
 - Byle dobrowolnie, nic nie mam przeciwko temu.
 - I czy ja na zawsze, na całe życie przy panu zostanę?
 - Od ciebie będzie to zależało, mój kochany. Wyglądasz na bardzo pochwaleńczego chłopaka, jeżeli takim okażesz się rzeczywiście, chętnie cię zatrzymam przy sobie. Ale pamiętaj, że będziesz miał prawo opuścić mnie w każdej chwili. Życie myśliwego, takiego jak ja, pełne jest niebezpieczeństw,

trudów, niewygód wszelkiego rodzaju; jeśli ci się czasem uprzykrzy wędrować ze mną po lasach i stepach, powiedz tylko słówko, a rozstaniemy się zgodnie i każdy pójdzie w swoją stronę.

- Cezar nigdy nie rozstanie się ze swoim dobroczyńcą - rzekł Murzyn stanowczo. - Zresztą ten sposób życia, jaki pan prowadzi, nie jest obcy dla mnie. Pan Smith lubił także dalekie wycieczki i nieraz wybrawszy się na łowy tygodnie całe spędzał wśród puszczy. Ja zawsze towarzyszyłem mu wtedy i nie było dla mnie większej rozkoszy, niż wędrować tak po świecie Bożym, podziwiać wspaniałe cuda przyrody, dzieła wszechmocnego Stwórcy. Zwiedziłem tym sposobem z dawnym panem moim znaczną część Stanów Zjednoczonych, północnych i południowych. Cieszę się niezmiernie, że teraz znów z panem podróżować zacznę.

- To bardzo dobrze. Dowiedźże się przede wszystkim, że ja się nazywam Serce Prawe. A teraz chodź, upatrzmy sobie miejsce na nocleg, jutro rano poszukamy bobrów. Trzeba i łódkę wyciągnąć z wody...

III

OSADA

Przenieśmy się teraz o pięć mil dalej, do pięknej, malowniczej doliny, tą samą rzeką przetrzyniętej, którą poznaliśmy w rozdziałach poprzednich. Na wybrzeżach jej ciągnął się las gęsty, obfitujący w zwierzyńę wszelkiego rodzaju, w rzece było ryb pełno, a łąki pobliskie, bujną trawą pokryte, dostarczały wybornej paszy dla koni i bydła.

Na samym środku tej rozkosznej doliny, o tysiąc kroków od rzeki, na małym strumyku wpadającym do niej, osiedlił się Jakub Wattson ze swoją rodziną. Główny budynek osady, dom mieszkalny, wyglądał jak blokhauz: płaski dach, pokryty trzcina i sitowiem, dla zabezpieczenia od ognia i gwałtownych wichrów przysypany był ziemią i drobnymi kamykami. Dom ten składał się po prostu z grubych bierwion, ułożonych jedne na drugich, zamiast okien miał tylko otwory siekierą wyrąbane, które na noc przykrywano okiennicami z grubych desek.

O siedem lub osiem metrów od mieszkalnego domu wznosił się drugi budynek podobny, znacznie większy. Tam mieściły się zwierzęta domowe osadnika: kilka krów, kilka wołów i koni, znacznie większa liczba świń, a i drób chronił się tam razem z bydłem na noc i w czasie słaty. Przestrzeń pomiędzy dwoma budynkami przykryta była dachem, łączącym je między sobą, i tworzyła rodzaj galerii, gdzie składano narzędzia rolnicze i rozmaite graty.

Dwa te budynki stały w obszernym dziedzińcu, otoczonym palisadą na trzy metry wysoką, złożoną z grubych pali, splecionych u góry prętami łożyny. W dziedzińcu była studnia, nigdy w niej jednak podczas dłuższej suszy nie starczyło wody na użytek domowy. Z tego powodu osadnik rozszerzył

ogrodzenie o tyle, aby zajęło część strumyka. Pale wbijane były w tym miejscu trochę rzadziej, aby woda swobodniej przepływać mogła pomiędzy nimi.

Tu i ówdzie w palisadzie powycinano otwory okrągłe, mogące służyć za strzelnice w razie napadu. Zwykle też strzegły osady cztery ogromne, bardzo czujne psy, z których obecnie dwóch brakowało, bo je osadnik zabrał z sobą udając się w pogoń za Murzynem. W tej małej twierdzy mieszkał Wattson z rodziną, składającą się, jak wiemy z opowiadania Cezara, z trzech synów: Jana, Beniamina i Ryszarda, czyli Dika, i jednej córki, Elli. Matka ich dawno już nie żyła. Dwaj słudzy, Tobiasz i Jerzy, obaj niemłodzi, także prawie za członków rodziny byli uważani, gdyż od lat wielu wiernie dzielili losy Wattsona i przywiązani byli niezmiernie do niego i do dzieci.

Poza ogrodzeniem, stykając się z nim bezpośrednio, rozciągały się pola uprawne, zasiane zbożem, kukurydzą, patatami, warzywem rozmaitym, a wszystko to wybornie się udawało na tej ziemi dziewiczej, po raz pierwszy pługiem Wattsona zoranej. Dla zabezpieczenia od zwierząt leśnych i pola otoczone były ogrodzeniem dość wysokim, lecz nie tak gęstym i starannym jak palisada dokoła domu. Za polami ciągnęły się znów łąki na przemian z kępami drzew, tak że całość sprawiała wrażenie ogromnego parku.

Było to tegoż samego wieczora, gdyśmy się rozstali z Sercem Prawym i Murzynem o pięć mil dalej nad rzeką. Już coraz więcej się ściemniało, coraz dłuższe cienie padały z lasu pobliskiego na łąki i pola osady. Służba pracowała jeszcze na lanie. Ella została w domu z dwoma młodszymi braćmi tylko. Była to prześliczna dziewczyna, niezbyt dużego wzrostu, ale silna i kształtna. Duże, szafirowe oczy, pełne wyrazu, ożywiały miłą jej twarzyczkę, włosy miała jasne, w dwa grube warkocze splecione. Dość było spojrzeć na nią, aby odgadnąć, że musi być dobra, łagodna, a jednocześnie roztropna i odważna.

- Benie! Diku! - wołała młoda dziewczyna, stojąc we drzwiach mieszkania i spoglądając ku miejscu, gdzie strumyk przepływał pod palisadą - co wy tam robicie?

Ben skinął ręką, lecz nic nie odpowiedział. Ani on, ani brat nie przerywał swojego zajęcia. A dziwne to było zajęcie. Ben, starszy, stał w mętnej wodzie strumyka, która mu prawie do pasa dochodziła i trzymał na plecach Dika,

ten zaś z natężoną uwagą spoglądał poza ogrodzenie przez jedną ze szpar pomiędzy palami, rzadziej w tym miejscu stojącymi.

Ella sądziła, że bracia wymyślili sobie jakąś zabawę przy palisadzie, weszła do mieszkania nie troszcząc się o nich więcej i zajęła się przygotowaniem kolacji dla wszystkich domowników. Po chwili weszli chłopcy, obaj na swój wiek rośli i silnej budowy.

- Musicie dziś sami bydło przypędzić z łąki - odezwała się do nich Ella - wiecie, że Cezara nie ma. Ale co wy robiliście tam przy palisadzie? - tu spojrziała uważniej na braci i mówiła dalej z nagłym niepokojem: - Mój Boże! co tobie się stało, Diku? taki jesteś blady i zmieniony.

- Przestraszyłem się - odparł chłopak krótko.

- A to czego?

- Widziałem coś okropnego!

- Mówcież prędzej, coście widzieli?

- Nosiliśmy drzewo rąbane do szopy - rzekł Ben - jak ojciec kazał, a wtem...

- Ja raptem krzyknąłem przeraźliwie - dokończył Dik. - Ach! Ello, nigdy w życiu nie widziałem takiej okropności, tak się przeląknęłam...

- Prędzej, braciszku, prędzej mów, co to było - nagliła siostra.

- Nosząc te drwa spojrzałem przypadkiem w górę na palisadę ponad strumykiem i zobaczyłem głowę ludzką. Krzyknąłem, a głowa w mgnieniu oka znikła.

- Gdy Dik tak okropnie krzyknął - mówił z kolei Ben - i powiedział mi, co zobaczył, popatrzyłem w tej samej chwili na palisady, ale już tam tej okropnej głowy nie było.

- Jakże ona wyglądała? - pytała Ella zwracając się do Dika.

- Ja sam nie wiem - odrzekł chłopak.

- Ależ przypomnij sobie.

- Oczy czarne, błyszczące jak płomień, a tak strasznie na mnie wytrzeszczone...

- Cóż jeszcze, mów dalej!

- Twarz pomalowana w kolorowe desenie, włosy długie, czarne, na samym czubie sterczał pęk piór czaplich, czy nie wiem już jakich.

Co tu długo mówić, to była głowa Indianina.

Ella pochyliła się nad garnkiem, w którym gotowała kolację, zamieszała łyżką polewkę, po czym odezwała się spokojnie do starszego brata:

- Cóż na to mówisz, Benie?
- Ja mówię, że Dik sobie coś uroił, jużesmy się o to sprzeczali.
- I dobrze mówisz - potwierdziła Ella.
- Widziałem doskonale - mówił Dik stanowczo.
- Wyobraziłeś sobie, braciszku.
- Nie, nie, Ello, nie wyobraziłem sobie.
- W tych dniach mówiliśmy ciągle w domu o Indianach, ty to słyszałeś, nabiłeś sobie głowę Indianami i stąd ci się ta postać przywidziała.
- Niezawodnie - dodał Ben.
- Co wy wmawiacie we mnie jakieś przywidzenia - odrzekł chłopak zadasany. - Byłem przecież zupełnie przytomny i nie spałem, nie mogło mi się to przyśnić, a o Indianach dziś nawet ani myślałem.
- Pleciesz, Diku, pleciesz - odezwał się znów Ben - już ci to mówiłem na dziedzińcu, że Indianin jest taki sam człowiek, jak każdy inny, i nie może zniknąć w jednej chwili na kształt widziadła.
- Więc jesteście pewni, że więcej się nie pokazał? - pytała Ella.
- Patrzyliśmy na wszystkie strony - odpowiedział Ben - Dik sam przecież zaglądał przez szparę w palisadzie, ja go trzymałem na plecach. Stamtąd widać wszystko jak na dłoni, a nigdzie nie ma ani drzewa, ani nic takiego, gdzieby się człowiek mógł schować.
- Jak to dobrze - mówiła Ella - że ojciec wyrąbał wszystkie drzewa i krzaki naokoło domu. Gdyby Indianin naprawdę wlaźł na palisadę, jak utrzymuje Dik, nie mógłby w żaden sposób tak prędko odbiec do lasu, bo przecież, jak powiadacie, w tej samej chwili zajrzeliście przez palisadę i nigdzie go już nie było. Gdzieżby się podział? To niepodobieństwo.
- Niepodobieństwo, zupełne niepodobieństwo - potwierdził Ben.
- Mówcie wy sobie, co chcecie, a ja wiem, co widziałem - rzekł Dik z miną obrażoną.

- Co za uparty z siebie chłopak - odparła siostra wzruszając ramionami.
- Ale dajmy pokój sprzeczkom, nie ma czasu na to, trzeba jak najprędzej było spędzić do obory. Weź z sobą strzelbę, Benie, może jaką zwierzynek zobaczysz pod lasem. Zdałaby się bardzo, bo mi już mięsa zabraknie niedługo. Idźcie przez pola i przyślijcie Tobiasza, trzeba dużą kłodę rozrąbać i nałupać trzasek. Jerzy niech pójdzie z wami i pomoże wam krowy spędzić. A śpieszcie się, chłopcy, żeby was noc pod lasem nie zaskoczyła. Może i ty, Diku, chcesz strzelbę zabrać? Weź, weź, po zachodzie słońca najłatwiej spotkać kunę lub tchórza, a tu nie brak tych szkodników, coraz to mi jakiej kury lub kurczęcia zabraknie.

Wszystko to młoda dziewczyna mówiła spokojnie nie zdradzając ukrytej myśli. Nie chciała trwożyć braci, a jednak postanowiła na wszelki wypadek dać im broń do ręki. Jakkolwiek opowiadanie Dika rzeczywiście uważała za przywidzenie, czuła jednak, iż środków ostrożności nie należało zaniedbywać. Obaj chłopcy niezwłocznie wyruszyli ze strzelbami na plecach do miejsca dość odległego, gdzie Jerzy i Tobiasz kończyli jakąś gospodarską robotę.

- Co za szkoda, że nie ma tego głupiego Murzyna - mówił Dik - można by sobie teraz siedzieć spokojnie w domu, a on by bydło spędzał. Zresztą, gdyby już koniecznie trzeba było tej roboty dopilnować, toby się nie szło pieszo, bo z tego czarnego hultaja wyborny był wierzchowiec.

- Tylko nie mów tego przy Elli - rzekł Ben - wiesz, jak ona się gniewa zawsze za tego Murzyna; nie pozwoliłaby go nawet dotknąć.

- Ach tak, Ella jest taka dobra i ma złote serce. Nie zrobiłaby krzywdy żadnemu stworzeniu. Ona kocha wszystkich ludzi i zwierzęta.

- A Murzynów?

- Także. Czy ty wiesz, co ona kiedyś o Murzynach mówiła?

- Cóż takiego?

- Mówiła, że Murzyn to taki sam człowiek jak i my, że tak samo czuje i myśli, i że to wielka niegodziwość krzywdzić niewolnika Murzyna.

- Ciekaw jestem bardzo, co ojciec z nim robi, jeżeli go i tym razem złapie.

- Ja chciałbym, żeby go zastrzelił jak psa.
- Szkoda by było, tak dobrze jeździło mi się na nim. Pędził, jak koń prawdziwy.

- Dałaby ci Ella, gdyby zobaczyła.

- Po cóż miałaby widzieć? Ja zawsze byłem ostrożny, wyprowadzałem go daleko od domu, gdy chciałem konno się przejechać.

Tak przechwalając się nieludzkim swym postępowaniem chłopcy biegli spieszenie przez pola. Na pół drogi spotkali Jerzego i Tobiasza, którzy wracali z roboty i nieśli motyki na plecach.

- Cóż tam słyhać? - pytał Dik, ciekawy, czy też który z nich nie spostrzegł Indianina, którego głowa tak go przeraziła.

- Co ma być słyhać? - odrzekł spokojnie Tobiasz przekładając zwitek tytoniu, który żuł w ustach, z jednej strony na drugą.

- Wracaj do domu, Tobiaszu - odezwał się Ben - Elli tam trzeba nałupać trzasek, a ty, Jerzy, chodź z nami, pomóż bydło zapędzić.

- Bo też już i pora po temu - mruknął Jerzy.

Chłopcy pomknęli spieszenie. Jerzy poszedł za nimi, a Tobiasz wolnym krokiem ku domowi podążył.

Ażeby nie było potrzeby pilnować krów przez dzień cały, Wattson ogrodził także i pastwisko pod lasem niskim płotem. Gdy bydło wyjadło trawę w jednym miejscu, lekkie to ogrodzenie przenoszono dalej. Dotychczas nigdy się nie zdarzyło, aby krowa lub inne jakie bydło wymknęło się z tej zagrody - wieczorem zaś zabierano wszystkie na noc do obory. Dwaj chłopcy wraz z Jerzym ujrzeli wkrótce przed sobą ogrodzenie. Noc była widna, bo księżyc wypłynął przed chwilą na niebo.

- Co to znaczy, do pioruna! Gdzie się bydło podziało? - zawołał nagle Jerzy przestraszony.

- Alboż nie ma bydła w zagrodzie? - spytał Dik, który patrzył na wszystkie strony, a najmniej, wprost przed siebie.

- Ja przynajmniej go nie widzę - rzekł Jerzy.

- Ani ja także - dodał Ben.

- Prawda! - wykrzyknął także i Dik. - Czyżby jaguar wpadł do zagrody i bydło rozpędził?

- To niemożliwe - odparł Jerzy.

- Dlaczego niemożliwe?
- Bo jaguary rzadko bardzo zbliżają się do mieszkań ludzkich i tylko późno w noc z lasu wychodzą. O tej porze jaguar tu nie mógł być.

Obeszli dokoła zagrodę i spostrzegli, że w jednym miejscu płot był wyłamany, łatwo więc odgadli, że mała trzoda wymknęła się tędy.

- A to jednak przykra sprawa! - wołał Jerzy.

- Narzekanie na nic się nie zda - zauważył roztropnie Ben - musimy bydło odszukać.

- To się rozumie - mówił Jerzy - ale gdzie i kiedy je teraz znajdziemy, Bóg to raczy wiedzieć.

- Nie ma innej rady, tylko trzeba iść za śladami - rzekł Dik - widać je bardzo dobrze, bydło poszło stąd prosto do lasu.

Wszyscy trzej poszli za śladami kopyt, wyciśniętymi bardzo wyraźnie na miękkim gruncie wilgotnej łąki.

- A to skaranie Boże! - zawołał nagle Jerzy zatrzymując się - przekłete bydło tu się rozdzieliło, kilka sztuk poszło na prawo, a reszta na lewo. I co tu teraz począć?

- To rzecz prosta - ozwał się Ben - ty pójdziesz na prawo, a my z bratem na lewo.

- Nie ma innej rady - mruknął stary sługa i nie tracąc czasu puścił się w stronę wskazaną, chłopcy zaś poszli w przeciwną. Jerzemu bliżej było do lasu, im trochę dalej. Idąc oglądali się raz po raz i widzieli doskonale starego sługę przy świetle księżyca. Zobaczyli go już pod samym lasem, gdy nagle obaj chłopcy stanęli jak wryci. Z lasu wysunęła się gromadka ciemnych, strasznych postaci i w jednej chwili otoczyła Jerzego, który krzyknął przeraźliwie, rozpaczliwym, rozdzierającym głosem. Po tym okrzyku cisza znowu zaległa dokoła.

- Indianie - szepnęli dwaj bracia drżącymi ustami i zawróciwszy pędem strzały biegli ku domowi. Tymczasem inne ciemne postacie ze wszystkich stron występowały z lasu. Od strony osady ozwał się huk wystrzału, a po chwili dał się słyszeć donośny dźwięk rogu, jakim zazwyczaj osadnicy zwołują służbę, rozproszoną po polach.

IV

STRASZNA NOC

Ella starała się wmówić w siebie, że opowiadanie Dika było urojeniem, wytworem zaniepokojonej wyobraźni, a jednak, gdy bracia, których tkliwie kochała, odeszli i ona sama pozostała w domu, niewytłumaczone uczucie trwogi, jakby przeczucie nieszczęścia, ścisnęło jej serce. Nie mogąc usiedzieć w zamkniętej izbie wyszła na dziedziniec, przywołała psy i zajrzała wraz z nimi do wszystkich kątów, nigdzie jednak nie znalazła nic podejrzanego. Weszła na koniec po drabinie na dach domu. Na samym szczycie jego wznosiło się małe podwyższenie, na kształt wieżyczki, urządzone tam umyślnie w tym celu, aby można było widzieć wszystko, co się działo dokoła osady.

- O, żeby ojciec już wrócił z Janem - mówiła w duszy, z ciężkim westchnieniem wychylając się ze strażnicy i spoglądając na miejsce, gdzie strumyk spod palisady wypływał na dziedziniec. Woda sączyła się powoli, jakby tamą jaką powstrzymywana. Rzeczywiście, po drugiej stronie palisady nagromadziła się znaczna ilość sitowia, trzciny, wodorostów przez prąd naniesionych i tamujących swobodny bieg strumienia. Nie było w tym nic dziwnego, powtarzało się to dość często i wówczas oczyszczano dno strumyka przy palisadzie. Dziewczyna przyzwyczajona była do tego, a jednak w tej chwili wszystko ją niepokoiło i dość długo wzrok zatrzymała na tym nagromadzeniu sitowia.

- Muszę dziś jeszcze kazać służbie oczyścić strumyk przy palisadzie, bo woda całkiem zatamowana - szepnęła i zaczęła schodzić ze strażnicy.

Weszła do mieszkania. W pierwszej izbie wisiało kilka strzelb na ścianie,

obok rogi z kulami i prochem. Ella zdejmowała broń jedną po drugiej, oglądała ją wprawnym okiem i wprawną ręką dotykała, a przekonawszy się, że wszystkie strzelby nabite i w dobrym stanie, odetchnęła swobodniej.

- Mamy czym się bronić - szepnęła zawieszając ostatnią na swoim miejscu.

Wtem psy zaczęły szczekać i ujadać na dziedzińcu. Dziewczyna chwyciła strzelbę i wyszła zobaczyć, co je tak zaniepokoić mogło. Lecz w dziedzińcu pusto było i cicho i pomimo bacznych poszukiwań Ella nic podejrzanego nie wykryła. Psy nieraz w podobny sposób szczerkały zajadle zwęszywszy w pobliżu osady lisa, wilka, lub inne zwierzę leśne. Taż sama przyczyna mogła je i teraz zaniepokoić. Ella powróciła więc do mieszkania, strzelbę postawiła przy drzwiach wchodowych, aby ją mieć pod ręką w razie potrzeby, następnie udała się do kuchni, by zajrzeć do garnków. Nie mogła jednak długo na miejscu usiedzieć, znowu na próg wybiegła, ale już nie z taką gwałtownością.

- To dziwna rzecz, że Tobiasza dotąd nie ma - szepnęła dziewczyna; wzięła więc strzelbę na ramię i weszła po drabinie na dach, aby raz jeszcze obejrzeć okolicę. Na strażnicy zawieszony był ogromny róg bawoli, do zwoływania służby używany, którego dźwięk donośny rozchodził się niezmiernie daleko. Przy bladym świetle księżyca, rozświecającym łąki i pola, Ella spostrzegła wkrótce Tobiasza, zbliżającego się krokiem miarowym, lecz braci i trzody nie było nigdzie widać. Instynktem jakimś wiedziona rzuciła okiem na sitowia, tamujące bieg strumyka przy palisadzie. I nagle zadrżała, bo jej się zdało, że wśród tego nagromadzenia różnych roślinnych szczątków coś się poruszało, a prąd wody był w tej chwili za słaby, aby mógł taki ruch wywołać. Jednocześnie psy zaszczekały głośniej na dziedzińcu. Ella wzrok wyteżyła i, pomimo nocnego mroku, niedługo pozostawała w niepewności: pochwyliła strzelbę drżącymi rękami i lufę jej skierowała prosto w miejsce, gdzie spod sitowia i wodorostów podniosła się ciemna postać ludzka i usiłowała wspiąć się na palisadę.

Strzał padł, nie trafił jednak, gdyż postać w tył odskoczyła, a po chwili pomknęła chyżo przez łąki i pola w stronę lasu, wydając zwykły okrzyk

krajowców czerwonoskórych: „hug!”. Ella porwała róg bawoli i z całej siły zatrąbiła. Przerażliwe dźwięki rogu ponuro zabrzmiały wśród ciszy nocnej. Wnet ujrzała Tobiasza, pędem już teraz biegnącego do wrót palisady. Odważna dziewczyna zeszła szybko z drabiny, wpadła do mieszkania, zdjęła jeszcze jedną strzelbę ze ściany i pospieszyła otworzyć furtkę, do której Tobiasz dobijał się gwałtownie.

- Indianie włóczą się w pobliżu osady - rzekła podając strzelbę staremu słudze - pilnuj tu na podwórzu, a ja znowu na dach wbiegnę zobaczyć, czy bracia nie wracają.

Wymówiwszy te słowa urywanym głosem Ella z szybkością strzały pomknęła na strażnicę. Z trwogą niewypowiedzianą usiłowała wzrokiem przebić ciemności i dojrzeć w oddaleniu jakiś ślad braci. Serce jej uderzało gwałtownie, gdy istotnie ujrzała wkrótce zbliżające się postacie.

- O Boże, to oni! - szepnęła i cisnęła ręką bijące serce - ale tuż za nimi gonią Indianie. Jest ich dwóch, trzech, ach! cała gromada dzikich pędzi za biednymi chłopcami. O Boże, wielki Boże!

Trudno było przypuścić, ażeby malcy zdołali umknąć przed pogonią Indian. Ella musiała patrzeć beczynn timer na to straszliwe widowisko; chociaż broń nabitą trzymała w ręku, nie śmiała strzelać, gdyż z takiej odległości łatwo mogła chybić i którego z braci trafić. Trzymała jednak broń w pogotowiu i rozpaczliwym głosem wołała dla dodania chłopcom odwagi:

- Benie, Diku, pośpieszajcie!

Znowu upłynęło parę chwil okropnego oczekiwania.

- Dziej się wola Boża, nie wytrzymam! O Panie, kieruj moją ręką! - i wzięła na cel jednego z goniących Indian. Mierzyła z nadzwyczajną uwagą, od tego strzału zależało tak wiele! Nacisnęła cyngiel, Indianin runął na ziemię, inni się zatrzymali, popłoch wśród nich powstał, lecz jednocześnie w oddaleniu ozwały się dzikie okrzyki: nowe tłumy biegly goniącym na pomoc.

- Tobiaszu, Tobiaszu! - wołała Ella w trwodze śmiertelnej, lecz stary sługa usłyszawszy wystrzał sam już wbiegł po drabinie i stał na dachu. Dziewczę wyrwało mu strzelbę z ręki wołając:

- Biegnij do furtki, otwieraj!

Ben i Dik tymczasem znacznie wyprzedzili swych prześladowców, byli już o kilkanaście kroków od palisady. Ella strzeliła po raz drugi i znowu padł Indianin, a reszta zatrzymała się w biegu. Nareszcie furka skrzypnęła, dziewczyna z niewysłowionym uczuciem radości złożyła ręce i oczy wzniosła do nieba.

- Uratowani! - szepnęła - o, dzięki ci, Boże!

Zapomniała zupełnie w tej chwili, że i teraz jeszcze najokropniejsze niebezpieczeństwo groziło osadzie i jej mieszkańcom. Zbiegłszy na podwórze ujrzała przed sobą obu chłopaków. Byli zdyszani, bez tchu prawie. Dik zaledwie na nogach mógł się utrzymać i padł na pół omdlały w objęcia siostry, która i jego, i Bena tkliwie przyciskała do serca.

Chłopcy w krótkich słowach opowiedzieli swoje przygody. Tobiasz zapłakał zrazu, potem zębami zgrzytał ze złości dowiedziawszy się o nieszczęściu Jerzego.

Gwałtowne szczekanie psów ostrzegło rozmawiających, że trzeba myśleć o obronie. Tobiasz wziął teraz dowództwo na siebie. Wyniesiono na dziedziniec wszystką broń znajdującą się w domu i ponabijano na nowo te strzelby, z których Ella strzelała. Tobiasz rozdzielił siły wojenne w taki sposób, że w każdym rogu podwórza położył parę strzelb - sam stanął w jednym, w innych ustawił młodą dziewczynę i dwóch chłopców.

- Te lotry czerwone będą tu ze wszystkich stron pewno podchodzili - rzekł stary sługa - i wszędzie ich kule powitają. Pamiętajcie tylko, chłopaki, strzelajcie śmiało i mierzcie zawsze w najgęstsza kupę. Panienska da sobie radę.

- Bądź spokojny, Tobiaszu, i o nas - mówili chłopcy, którzy prędko ochłonęli z przerażenia i pośpieszyli na miejsca, wyznaczone im przez Tobiasza.

Ale godzina mijała po godzinie, a o napastnikach nie było ani słychu. Już świtać poczynąło, zorza poranna różowym blaskiem oblewała obłoki na wschodzie, gwiazdy bladły coraz więcej na szafirowym sklepieniu, tarcza księżycy pobielała, a na samym końcu widnokręgu rysowała się smuga purpurowa, zapowiadająca ukazanie się słońca. Mieszkańcy małej twierdzy zebrali się na wspólną naradę.

- Sądzę, że niebezpieczeństwo już minęło - odezwał się Ben. - Ella dzielnie powitała tych łotrów, to ich musiało odstręczyć od dalszej napaści.

- Dałby Bóg, żeby tak było - westchnął Tobiasz

- Czy wątpisz o tym?

- Najzupełniej.

- Dlaczego?

- Bo znam dobrze zwyczaje czerwonoskórych. Nigdy oni nie zniechęcają się tak łatwo pierwszym niepowodzeniem i nie wyrzekają się upatrzonej zdobyczy.

- Ale dlaczegożby w takim razie odkładali napad?

- Musieli wprzód zwołać radę wojenną i obmyślają najlepsze środki pokonania nas bez narażenia siebie na niebezpieczeństwo.

- Mnie się zdaje, że Tobiasz ma słuszność - odezwała się milcząca dotąd Ella.

- Żebyśmy przynajmniej mogli odgadnąć, jaki szatański sposób wynajdą ci niegodziwcy, aby nas zgnębić - rzekł Tobiasz.

- Przede wszystkim musimy czuwać i nie zaniedbywać żadnych środków ostrożności - mówiła Ella.

- Dobrze mówisz - rzekł Ben - ostrożność nie zawadzi, a jak zobaczą, że ich wyglądamy, to z pewnością nie przyjdą.

- Niech przyjdą, i owszem! - zawołał Dik. - Pożalują tego, jak, ich ze wszystkich czterech rogów dziedzińca przywitamy kulami. Oj, dałbym ja im dobrze!

- A ja! - dodał Ben. - Żał by mi było naprawdę, żebym stracił sposobność rozprawienia się jak należy z tą hołotą o czerwonej skórze.

- „Mnie zostaw zemstę”, mówi Pan - rzekła poważnie siostra. - Przykro mi bardzo słyszeć was mówiących w taki sposób. Czyż nie dość, że musimy krew bliźnich wylewać dla obrony własnego życia, mamy jeszcze z okrucieństwem nieludzkim pragnąć do tego sposobności?

- Krew bliźnich - powtórzył Ben pogardliwie - wszak tu idzie tylko o Indian.

- Indianie są także ludźmi.

- Tak, zapewne, ale to są ludzie zupełnie odrębnego rodzaju.

- Masz słuszność, są ciemni, nieoświeceni, jak wszystkie ludy dzikie.

A jednak i w ich duszach tkwią dobre zarodki, obok wad mają także niejedną cnotę. Zresztą, czy to ich wina, że są takimi?

- Ciebie trudno przekonać, masz swoje wyobrażenia - rzekł Ben niechętnie. - Ja jednak zawsze twierdzić będę, że Indianie, Murzyni i inna podobna hołota, to nie są ludzie tacy sami jak my. Mów ty sobie, co chcesz, ja stoję przy swoim.

- O, co za straszne zaślepienie! - westchnęła Ella.

- Powiedźże mi na przykład - zagadnął ją Dik z kolei - co my zawiniliśmy tym hultajom czerwonoskórym, że nas prześladują, knują przeciw nam spiski i grożą zniszczeniem i zgubą?

- Nie sądz, ażebyśmy byli zupełnie bez winy.

- Żartujesz chyba, siostró! - zawołał Ben.

- Wcale nie, nie mam ochoty do żartów.

- Wytlumacz więc nam to jaśniej, siostrzyczko.

- Posłuchajcie. Indianie od czasów niepamiętnych zamieszkiwali ziemię amerykańską. Jeszcze na niej nie powstała stopa białego człowieka, gdy oni ją mieli w posiadaniu i wówczas nikt im praw tych nie zaprzeczał, polowali swobodnie po lasach i stepach, rozkładali wszędzie koczowiska swoje. Tak i tu było w tej puszczy, pókiśmy nie przybyli i o nic nie pytając najlepszych gruntów nie zagarnęli dla siebie. Strzelaliśmy do zwierzyny, rąbaliśmy las, gospodarowaliśmy tutaj, słowem, jakby na swoim. A to samo co my, czynią inni. Setki, tysiące ludzi najeżdża ziemię Indian, przywłaszcza ją sobie rugując z niej dawniejszych prawych właścicieli. Ten grunt coraz więcej spod nóg im się usuwa, muszą się cofać coraz dalej przed najazdem, a przestrzenie, na których jeszcze swobodnie polować mogą, zmniejszają się ustawicznie. Możnaż im brać za złe, że stają w obronie praw swoich i opierają się usiłują napastnikom? Lecz nie dość na tym: osadnicy biali, wyrugowawszy krajowców z własnej ziemi, jeszcze w najokrutniejszy sposób ich tępią. Cóż dziwnego, że ludzie dzicy, słuchając tylko popędów swej zemsty, ścigają białych wszędzie, gdzie ich napotkają, i za krzywdy swe długoletnie prześladują? Czyż nie pojmujecie teraz, że i my tę osadę przywłaszczyliśmy sobie bezprawnie?

- Rzeczywiście, zaprzeczyć temu trudno - mruknął Ben.

- A jednak, pomyśl tylko, gdyby inni biali ludzie tu przybyli i usiłowali

nas stąd wypędzić, ażeby osadę zabrać dla siebie, co byście na to powiedzieli?

- Na to przecież nie mogliśmy nigdy zezwolić - wykrzyknęli chłopcy jednogłośnie. - Ależ to całkiem co innego!

- Różnica niewielka - mówiła Ella - mogliśmy tylko powiedzieć, że prawa nasze do tego kawałka ziemi są dawniejsze, nic więcej.

- Z tobą nikt nie dojdzie do ładu - rzekł wreszcie Ben, bo nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Nie ma co, trzeba zamilknąć - dodał Dik.

- Będzie to zapewne najrozsądniej w okolicznościach obecnych - odezwał się Tobiasz, który przysłuchiwał się w milczeniu, kiwając tylko głową kiedy niekiedy, gdy Ella mówiła.

Rozmowa ta nie przeskadzała mieszkańcom osady zwracać bacznej uwagi na całe otoczenie.

- Już szarzeje, to ich pora ulubiona do napadu - szepnął półgłosem Tobiasz i natężonym wzrokiem spoglądał w stronę lasu usiłując dopatrzeć wśród ciemności, czy drzewa nie ukrywały jakiej zasadzki.

- Wejść znowu na dach - rzekła Ella, która dosłyszała słowa starego sługi.

- To w żadnym razie nie zawadzi - odparł Tobiasz - ja tymczasem obejść dziedziniec dokoła. Psy znowu zaczynają strasznie ujadać tam nad strumykiem. Wy obaj, chłopcy, stańcie tu przy palisadzie, tylko baczność, pamiętajcie.

- Bądź spokojny - odpowiedział Ben.

- Mamy przecież oczy - potwierdził Dik.

Ella weszła na strażnicę. Chociaż nic nie zapowiadało nowego niebezpieczeństwa, trwoga niewysłowiona ścisła znowu jej serce.

- O, żebyż ojciec tu był z Janem! - westchnęła, wysyłając w dal wzrok tęskny i niespokojny. - O Boże, co to jest? - szepnęła po chwili z przerażeniem najwyższym. - Słyszę tętent koni, licznych koni, w pełnym galopie. Słyszę, jak ziemia głucho huczy i drży pod ich stopami, a jednak nic nie widzę wśród ciemności. O Boże! Ześlij nam przynajmniej dzień biały! O miłosierny Panie, widzę już, widzę, to oni!

I z tym wykrzykiem Ella podskoczyła do drabiny, a z dołu doleciało ją wołanie Tobiasza:

- Panienko, prędeż, prędeż!
- Jada! jada! - powtarzała dziewczyna zbiegając na podwórze.
- Wiemy już, widzieliśmy ich - wołali obaj chłopcy trzymając strzelby w

pogotowiu.

- Na konie powiadali, głupcy, tym gorzej dla nich - rzekł Ben.
- Czy tak sądzisz? - ozwał się Tobiasz potrząsając głową.
- Zapewne, bo łatwiej nam będzie brać ich na cel.
- Niekoniecznie.
- Cóż ty o tym myślisz? Powiedz.
- Ja myślę, że w tym tkwi jakiś podstęp szatański - odrzekł Tobiasz.
- Ale jaki?

- Dowieśmy się wkrótce. Teraz nie pora rozprawiać, czas nagli, tętent się zbliża. Indianie zaraz tu będą. Baczność, młodzi! Stańcie tu wszyscy. Cała banda bieży razem, to także rzecz nadzwyczajna. Zobaczymy, co z tego będzie. Panienko i wy, chłopcy, bierzcież dobrze na cel, nie strzelajcie na chybił trafił, bo kul szkoda, i nie wszyscy razem, tylko po kolei, jak się należy. Najpierw Dik, potem Ben, potem panienska, a ja na samym końcu. Każdy, co strzeli, niech zaraz prędko strzelbę na nowo nabija, aby był gotów, gdy kolej na niego przyjdzie. Pozostałe strzelby będą tu leżały nabite na wszelki wypadek, nie ruszajcie ich, chyba w ostatecznej potrzebie.

Tobiasz wydawał wszystkie te rozporządzenia z nadzwyczajnym pośpiechem. Rzeczywiście nie było czasu do stracenia, gdyż konie zbliżały się pędem w liczbie stu co najmniej.

- To rzecz dziwna, że jeźdźców dojrzeć nie mogę - rzekł Dik stłumionym głosem.

- Ani ja także - ozwał się Ben.

- Boże mój, co to znaczy! - zawołała z przestraczem Ella zwracając się do starego sługi.

- Ba! hultaje umieją tak zręcznie ukryć się za szyją konia, że ich nie widzicie, oto cała rzecz.

- A to dopiero! - wykrzyknął Dik przerażony. - Jakże ich teraz brać na cel?

- Widzisz, nie mówiłem, że w tym tkwi podstęp szatański! Ale to nie koniec.

- Czy spostrzegłeś coś jeszcze? - spytała Ella.

- Rozumie się.

- O wiem już, wiem co! - wołał Ben. - Pod brzuchem każdego konia uczepiony jest drugi Indianin. I co oni sobie myślą?

- Z pewnością nic dobrego dla nas. No, teraz baczność! Niezbyt wysoko mierzyć, lepiej konia trafić, niż spudłować. Żwawo, pał, Diku!

Rozległ się strzał, koń zachwiał się i padł na ziemię.

- Dobrze. Teraz Ben i panienska, jedno po drugim.

Dwa strzały padły w krótkich odstępach i znowu dwa konie się potoczyły. Ale Indianie nie zważali na to, lecz przyskakiwali aż do palisady wydając dzikie okrzyki. A wtem nagle, niespodzianie, jakby nową jakąś myślą tknięci, zawrócili konie i wszyscy pędem puścili się do lasu; wówczas dopiero Tobiasz strzelił.

- Czyżby to na tym miał być koniec? - rzekł Ben.

- Bynajmniej, to dopiero początek! - wykrzyknął Tobiasz grzmiącym głosem, a chwytając dwie strzelby nabite do ręki biegł na środek podwórza - za mną, za mną, wszyscy! Stójcie tu i patrzcie bacznie na palisady. Jak tylko się głowa gdzie pokaże, brać na cel i strzelać! Na teraz nic więcej.

- Wszakże Indianie odjechali - zawołał Dik.

- Oprócz tych, którzy siedzieli pod brzuchami koni - odpowiedział pośpiesznie Tobiasz, trzymając ciągle strzelbę gotową do strzału, w czym go i młodzież naśladowała.

- Gdzież oni są? - pytał Ben.

- Pod samymi palisadami.

- To byłoby okropne - wykrzyknął Dik.

- To niemożliwe - utrzymywał Ben.

- Zaraz wam powiem, jak to się stało - mówił Tobiasz z wielkim pośpiechem - gdy jeźdźcy zawrócili konie, ci spuścili się na ziemię, z szybkością błyskawicy podpełzli pod palisady jak węże, i teraz tam siedzą. Do nich to ja strzeliłem, lecz zaledwie jednego trafić mogłem, za mało było czasu.

- Ja muszę spojrzeć poza palisady - rzekł Ben.

- Jeżeli chcesz dostać strzelbą w oko lub tomahawk¹ po głowie - przestrzegł Tobiasz. ¹Tomahawk, siekierka wojenna krajowców amerykańskich.

- Czy nie lepiej byłoby schronić się do domu? - spytała Ella.

- Nie jeszcze, w każdym razie dom będzie ostatnią naszą ucieczką. Ha, otóż i oni. Na cel, dzieci! A bacznie mierzyć!

Straszliwe, ogłuszające wrzaski ozwały się nagle po drugiej stronie palisad. W tej samej chwili na wierzchołku ich, i to jednocześnie ze wszystkich stron, ukazały się liczne twarze miedziane, jaskrawo pomalowane. Cztery strzały padły jeden po drugim w krótkich odstępach i cztery głowy znikły.

- Do domu! - huknął Tobiasz piorunującym głosem, gdyż spostrzegł, że reszta napastników nie dała się odstraszyć i jedni po drugich przelazili ze zręcznością kotów przez palisady, zeskakiwali z nich susem i tak szybko puścili się w pogoń za uciekającą gromadką, że dogonili ją, nim zdołała drzwi domu zamknąć za sobą. Z przeraźliwym okrzykiem triumfu dzieci wpadli do środka mieszkania.

ORZEŁ CZUBATY

- Zrobiliśmy w każdym razie wyborny interes - mówił Jan Wattson do ojca, wracając z nim nocą do domu po pożegnaniu z Sercem Prawym, i wskazał z uśmiechem na sporą paczkę pięknych skór, otrzymanych za Murzyna.
- I ja tak myślę - odrzekł stary Wattson sucho i z dziwnie posępną miną.
- Co ci się stało, ojcze, że w takim złym jesteś humorze?
- Czy mało powodów mam do tego?
- Pewnie cię tak zaniepokoiło to, co ten myśliwy powiedział o Indianach.
- Alboż nie ma czym się niepokoić?
- Ręczę, że Serce Prawe strasznie przesadził.
- Nie wierz temu; ci ludzie, którzy z upodobaniem narażają się na największe niebezpieczeństwa, nie mają zwyczaju mówić o nich z przesadą.
- Ależ i my także mamy oczy - rzekł Jan upierając się przy swoim. - Bylibyśmy przecież wykryli jakieś ślady czerwonoskórych, zwłaszcza gdyby rzeczywiście w większej liczbie wałęsali się w naszych stronach.
- To prawda. Pamiętaj jednak, że my nie mamy tyle przenikliwości i przebiegłości, co taki myśliwy, nie mówiąc już o Indianach.
- Ja ich się jednak nie obawiam - rzekł olbrzymi Jan bijąc się w piersi potężną pięścią.
- Ani ja także; ale tym razem lepiej nam było chyba pilnować domu, aniżeli gonić za tym przeklętym Murzynem. Niechby go było lichy porwało.

- Patrz no, patrz, ojczy - szepnął półgłosem Jan, rad, że może odwrócić uwagę ojca od niemiłego przedmiotu rozmowy.

- Co takiego? - spytał tamten równie cicho, biorąc broń do ręki mimowolnym ruchem.

- Nic złego - ciągnął dalej syn - tylko jelen, ale pyszny! Dawno już podobnego nie widziałem.

- Gdzie ty go widzisz?

- Ot tam, na polance.

- Prawda, prawdziwy wirginijski! - zawołał Wattson, który bystrym wzrokiem dopatrzył także jelenia, pomimo wzrastających ciemności. Prześliczne to było zwierzę, kasztanowatej maści, z ciemniejszymi smugami na grzbiecie. Wielkością nie przerosił jelenia europejskiego, lecz okazał się miał kształty, szyję dłuższą, wysmukłą i głowę niezmiernie zgrabną. Jelen wirginijski przebywa we wszystkich lasach Ameryki Północnej oprócz okolic najbardziej na północ wysuniętych. Mięso jego smaczniejsze jest od wszelkiej innej zwierzyny. Nie dziw, że ojciec i syn z upragnieniem gorącym poczuli się skradać do wspaniałej zdobyczy.

- Musimy go zająć jednocześnie z dwóch stron - mówił Jakub Wattson do Jana. - Ty idź za wiatrem, a ja podsunę się ze strony przeciwnej. Ciebie, rozumie się, zwietrzy wcześniej i jeśli się nam zasadzka powiedzie, uciekając puści się prosto na mnie.

- Dobrze - odparł Jan i pomknął ostrożnie we wskazanym kierunku. Jelen tymczasem nie poruszał się z miejsca i gryzł gęstą, niską trawę, rosnącą na polance. Kiedy niekiedy jednak podnosił głowę i wietrzył, lecz zwracał się w inną zupełnie stronę, wcale nie tam, skąd nadchodzili obaj Wattsonowie. Ci zaś skradali się z wielką ostrożnością, lecz niedaleko jeszcze odeszli jeden od drugiego, gdy nagle się zatrzymali, jakby w niepewności, po czym syn podbiegł na palcach do ojca i szepnął mu do ucha:

- Sam nie wiem, co to jest.

- Ja także nie mogę dobrze rozpoznać.

- Zdaje się, że drugi jelen mniejszy. Tak ciemno, ani sposobu dojrzeć.

- Coś mi się nie zdaje, żeby to był jelen.

- Ależ widzę wyraźnie rogi.

- To nic nie znaczy, jelenie po ziemi nie pełzają.
- Może byśmy podeszli bliżej.
- Podejdziemy, lecz bądź bardzo ostrożny.
- Zapewne, bo obie sztuki mogą nam umknąć.
- Nie to ja mam na myśli.
- A cóż innego?
- Obawiam się, aby skóra i rogi zwierzęcia nie ukrywały czasem człowieka.

- Do pioruna! Może to naprawdę Indianin - i odważny Jan przeląkł się jednak cokolwiek.

- Tak mi się zdaje - rzekł ojciec, a w głosie jego, zaledwie dosłyszalnym, brzmiała także trwoga. - Indianie często polują w ten sposób, okrywając się skórą zabitego jelenia i uwiązując sobie rogi jego na głowie. Tak przebrani podsuwają się do zwierzyny; nieraz im się uda zakraść pomiędzy stado jeleni i nim zwierzęta podstęp dostrzegą, jednego, a nawet i kilka, zastrzelić z luku.

Prowadząc tę rozmowę półgłosem, ojciec i syn zbliżali się powoli i z ostrożnością największą do miejsca, gdzie pasł się duży jeleni wirginijski i wietrzył ciągle, z pewnym niepokojem spoglądając na drugiego jelenia, który już dość blisko do niego się podsunął.

- Nie, to nie jest jeleni, teraz nie mam najmniejszej wątpliwości - szepnęła stary Wattson zatrzymując się o jakich trzydzieści kroków od dziwnej postaci, naśladowującej jelenia.

- I ja to widzę - dodał syn.

- Toteż nie mamy tu co długo popasać, gdzie jest jeden Indianin, tam z pewnością znajdzie się ich więcej! Ruszajmy więc co prędzej do domu i niech nas Bóg uchwata od bliższego spotkania z czerwonymi skórami.

Wtem jeleni podskoczył na miejscu, jak szalony.

- Indianin musiał strzelić - szepnęła Jan.

- I trafił - odrzekł ojciec.

- Oho! Patrz, ojczu, zwierzę się odwraca i biegnie prosto na nas.

- O! to nam wcale nie na rękę, chowajmy się co prędzej.

- A gdybym ja teraz zastrzelił jelenia?

- Niech cię Bóg broni! Uciekaj za mną.

W pobliżu polanki wznosiło się kilka skał, zbliżonych do siebie, w odstępach

pomiędzy nimi można było ukryć się doskonale; tam też szybkimi krokami pobiegli ojciec z synem. Zraniony jeleni zwrócił się także w tę stronę; z chwiejnej jego postawy łatwo było poznać, że był ugodzony śmiertelnie. Potykał się co chwila, szedł coraz wolniej, wreszcie niedaleko kryjówek Wattsonów osunął się na kolana i resztę sił utraciwszy padł martwy na ziemię o parę kroków zaledwie od skał.

Dwaj osadnicy przytulili się do zagłębienia skały. Sami nieruchomi jak głązy, oddech powstrzymując w piersiach, patrzyli wzrokiem wyteżonym w stronę, z której spieszny krokem zbliżała się wysoka postać ludzka. Widzieli ją coraz wyraźniej, najmniejszej wątpliwości nie mieli, że to był Indianin. Nie zdjął on z siebie skóry jeleniej - duże rogi sterczały mu i teraz na głowie - lecz przy świetle księżycy łatwo było dojrzeć twarz miedzianą.

Przygłuszony okrzyk: „hug!” wyrwał się z piersi Indianina, gdy stanął obok zabitego jelenia. Pochylił się nad nim i wprawna ręką obracał zwierzęcą swoją na wszystkie strony, oceniając jej wartość. Wkrótce jednak uwaga jego zwróciła się widocznie na inny przedmiot, gdyż zaczął szperać po ziemi, jakby szukał czegoś w trawie, lecz ciszej jeszcze wymówił: „hug!”, potem wyjął nóż z kieszeni i najspokojniejszy na pozór, zaczął z jelenia zdejmować skórę.

- Ten hultaj odkrył nasze ślady - szepnął stary Wattson do ucha synowi.
- To prawda. Jeżeli więc wypuścimy go cało, da znać swoim towarzyszom, a wtedy będziemy ich wszystkich mieli na karku.
- Trzeba by znaleźć jakiś sposób, aby go nieszkodliwym uczynić.
- Ja to załatwię, ojcze.
- Cóż ty chcesz zrobić?
- Indianin jest tak blisko, że w mgnieniu oka mogę go dosięgnąć, rzucić się na niego, no... reszta już łatwo pójdzie.
- Nie chciałbym daremnie krwi rozlewać.
- Nie ma zresztą potrzeby go na śmierć udusić. Możemy tylko związać mocno hultaja i usta mu zakneblować. Nim go towarzysze odnajdą, my już będziemy w domu.
- To niezły pomysł. Nie zwlekajmy więc i zaraz bierzmy się do dzieła.

Obaj złożyli ostrożnie strzelby u stóp skały. Jan, jako młodszy i zwinniejszy, miał pierwszy rzucić się na Indianina, a ojciec pośpieszyć mu niezwłocznie z pomocą.

- Najważniejsza rzecz, żeby nie miał czasu krzyknąć, nim się z nim załatwimy - mówił stary Wattson.

- Bądź spokojny, ojcze - szepnął Jan i przypadłszy do ziemi zaczął pełzać jak wąż po trawie, usiłując zająć Indianina od tyłu. Ten zdawał się całkowicie pogrążony w swej robocie i najłżejszym ruchem nie zdradzał, aby cośkolwiek innego obchodzić go mogło w tej chwili.

Lecz był to pozór tylko. W rzeczywistości wychowaniec puszczy śledził czujnie najłżejszy szelest; ani cicha rozmowa obu osadników w kryjówce, ani poruszenia Jana w trawie nie uszły jego uwagi. Wiedział on doskonale, że kule białych ludzi osiągną go z łatwością, gdyby próbował umknąć i dlatego nie poruszył się z miejsca, Indianie nigdy w takim wypadku nie ratują się ucieczką.

Jan był już bliski celu, gdy dziki zerwał się nagle na równe nogi, zrzucając z siebie jednocześnie skórę i rogi jelenie. Syn osadnika ujrzał przed sobą młodzieńca swojego wieku, wysokiego wzrostu, o kształtach wysmukłych, lecz silnych zarazem, twarz jego nie miała w sobie nic wstrętnego; patrząc na białego człowieka wzrokiem przenikliwym, badawczym, stał nieruchomy trzymając nóż skrwawiony w ręku. Tymczasem stary Wattson ukazał się obok syna i podnosząc broń zawołał dobitnie:

- Jeżeli tylko krzykniesz, czerwonoskóry, w tej chwili dostaniesz kulą w łeb.

- Orzeł Czuby nie ma potrzeby krzyżeć - odrzekł Indianin spokojnie dźwięcznym głosem - a ojciec mój może ten piorun na inny wypadek zachować, bo Orzeł Czuby ani myśli wstępować na ścieżkę wojenną i chce żyć w zgodzie z białymi swoimi braćmi.

- Jeżeli Orzeł Czuby szczerze mówi, to i ja także nie mam najmniejszej ochoty krwi rozlewać - odrzekł osadnik mierząc podejrzliwym wzrokiem Indianina.

- Orzeł Czuby nie ma podwójnego języka - mówił tamten ocierając nóż i za pas go wkładając - nie jest też wcale Pawnisem, tylko Osagiem, a Osagowie żyją w przyjaźni z białymi.

- Nie jesteś Pawnisem? - powtórzył Wattson przyjemnie zdziwiony,

gdyż plemię Pawnisów najgorszej używało sławy, a myśliwy przed ich napaścią, właśnie go przestrzegał.

- Pawnisy są psy - rzekł tamten krótko, a z oczu jego błyskawice strzeliły.

- Czy Orzeł Czubaty nie napotkał tu gdzie Pawnisów?

- Tu nie. Ale włóżą się niezbyt daleko, w tej stronie, skąd słońce wschodzi.

Wattson pobladł. W kierunku, wskazanym przez Indianina, leżała właśnie jego osada.

- Orzeł Czubaty nie wie, w jakim celu przybyli w te strony? - spytał drżącym głosem.

- Wybrali się na żubry i na ludzi białych.

- Skądże Orzeł Czubaty ma tę wiadomość?

- Z własnych ust Pawnisów to słyszał; oni już od dawna zbierali się wykurzyć białych ze swoich gruntów myśliwskich.

- Widać z tego jednak, że Orzeł Czubaty utrzymuje stosunki z Pawnisami.

- Orzeł Czubaty rad by jednak bardzo przekonać swego białego ojca i młodego brata, że nie jest podstępny jak wąż. Wódz Osagów najchętniej nawet zawarłby przymierze z nimi.

Indianin wyrzekł te słowa z taką prostotą i szczerością, że podejrzenia osadnika znikły; był tylko zdziwiony i zapytał:

- Jakież powody ma Orzeł Czubaty do tego, by z nami zawrzeć przymierze?

- Bo jeden biały uczynił mu dużo dobrego i jest najserdeczniejszym jego przyjacielem. Przez wzgląd na tego jednego Orzeł Czubaty życzliwy jest dla wszystkich białych.

- Któż to taki?

- Ojciec mój nie zna go zapewne, nazywa się Serce Prawe. Jest wielkim sławnym myśliwym.

- Dziś właśnie go poznałem, chociaż imię to od dawna nie było mi obce. Nie ma jeszcze godziny, jakeśmy się rozstali.

- Hug! - wykrzyknął Indianin radośnie.

- Czy wódz Osagów rad by się widzieć z Sercem Prawym?

- Orzeł Czubaty umyślnie przyszedł w te strony, aby się spotkać z wielkim myśliwym. On tu zazwyczaj łowi bobry, Orzeł wie o tym i odbył daleką

drogę, bo ma o ważnych sprawach pomówić z Sercem Prawym, a potem zaraz powracać musi do swoich.

- Wódz Osagów wspomniał przed chwilą, że ten myśliwy wyświadczył mu wiele dobrego. Może to niewłaściwa ciekawość, lecz rad bym bardzo wiedzieć.

- Orzeł Czubaty najchętniej ciekawość białego ojca swego zaspokoi - odezwał się Indianin z żywością. - Serce Prawe wzięty był do niewoli przez Osagów, gdy liczył zaledwie szesnaście wiosen; Osagowie napotkali go wśród lasu, gdy wędrował sam jeden z bronią w ręku, jakby myśliwy dorósł i doświadczony. Niełatwo było pochwycić chłopca, gdyż schronił się do kryjówki, urządzonej na kształt twierdzy, gdzie zapamiętałe się bronił. Okazał on wówczas odwagę jaguara i przebiegłość lisa. Ani jeden muskuł jego twarzy nie drgnął, gdy go prowadzono na śmierć i do pala uwiązano. To męstwo w tak młodym wieku wzruszyło serce Osagów. Wodzem był natenczas ojciec Orła Czubatego, który przystąpił do młodzieńca i rzekł, że Osagowie darują mu życie, jeżeli zostanie odtąd sprzymierzeńcem ich i przyjacielem. Serce Prawe przystał na to chętnie i odtąd przebywał pośród plemienia Osagów i nigdy zaufania ich nie zawiódł; biały myśliwiec jest odtąd najserdeczniejszym przyjacielem czerwonych swych braci. Orzeł Czubaty był chłopczykiem trzynastoletnim, gdy Serce Prawe zbierał się z Osagami. Obaj pokochali się wzajemnie, jakby dzieci jednego ojca. Razem polowali, razem odbywali wycieczki; Serce Prawe opiekował się młodszym bratem i nieraz uratował mu życie z narażeniem własnego. Orzeł Czubaty umie być wdzięczny i chętnie także oddałby życie za myśliwca białego.

- Czemuż więc Serce Prawe opuścił teraz Osagów?

- On lubi samotność. Cięży na nim wielki jakiś smutek. Osagowie strzec go nie potrzebują, gdyż pewni są, że wszędzie i zawsze zachowa dla nich te same uczucia przyjaźni. Do zdrady jest niezdolny, dlatego też nosi to imię: Serce Prawe.

- Cóż to za smutek tak gnębi młodego myśliwego?

- Orzeł Czubaty nie wie tego i nikt tego nie wie. Serce Prawe umie milczeć jak grób.

- A gdzież są wojownicy Czubatego Orła? - spytał stary Wattson po chwili milczenia.

- Wojownicy Orła Czubatego ukryci są w tych skałach, w tym samym miejscu, z którego ojciec mój i brat wyszli przed chwilą.

- Czyż to możliwe? - wykrzyknął Jan ze zdumieniem.

- Tak jest - rzekł Indianin spokojnie. - Osagowie nie czynią nigdy niepotrzebnego hałasu. Wojownicy Orła Czubatego byli w pobliżu i nieznacznie zaczęli się za skałami, podczas gdy wódz rozmawiał z ojcem swoim i bratem.

- Nie, ja w to uwierzyć nie mogę! - zawołał Jan i chciał biec do skał, aby się przekonać o tym naocznie. W tej chwili z ust Indianina wyszedł dźwięk, naśladujący doskonale świerszcza. Z szybkością błyskawicy wypadły zza skał ciemne postacie i okrążyły wodza dokoła; dziesięciu rośliwych, silnych wojowników stanęło przy jego boku. Obaj Wattsonowie z przerażeniem pochwycili broń do ręki.

- Ojciec mój i brat mogą być spokojni - odzwał się wódz tym samym serdecznym tonem - ci wojownicy byliby mogli na znak Orła Czubatego przeszyć ich serca w jednej chwili swymi strzałami, nie dając im czasu porunów w strzelbach zbudzić.

- To prawda - rzekł stary Wattson.

- Wodzu, jesteś rzeczywiście zadowolony i szlachetny! - zawołał Jan przystępując do Indianina i podając mu rękę.

- Brat mój znajdzie przyjaźń w sercu Orła Czubatego - odrzekł Indianin z uśmiechem, a potem dodał zwracając się razem do ojca i syna: - wódz Osagów pyta: czy ojciec i brat jego nie potrzebują w tej chwili pomocy?

- Ja bym miał prośbę do Orła Czubatego - odpowiedział stary Wattson.

- Niech ojciec mówi z całym zaufaniem.

- Mam osadę niezbyt stąd daleko, w pięknej dolinie nad rzeką, wpadającą do Arkansasu.

- W której stronie? - spytał Indianin - może tam? - i wskazał w stronę wschodu.

- Tam właśnie. Czyżby wódz znał osadę moją?

- Orzeł Czubaty był w pobliżu tej osady.

- Jak dawno?

- Przed kilku dniami, właśnie idąc tu na spotkanie Serca Prawego.

- Czemuż to twarz mego syna nagle pochmurna się stała? - spytał Wattson zaniepokojony, gdyż młody Indianin namarszczył czoło i zamyślił się posepnie.

- Pawnisowie włóczą się w tej okolicy - odrzekł po chwili milczenia. - Mój ojciec zostawił tam dzieci same, Orzeł Czuby obawia się o nie.

- Skąd wódz Osagów wie o moich dzieciach? - ozwał się osadnik zdziwiony.

- Dwóch chłopaków i młoda dziewczyna, nieprawdaż? - mówił dalej Indianin.

- Ależ tak, rzeczywiście, czy Orzeł Czuby ich widział?

- Orzeł Czuby widział na łące, gdzie bydło się pasło, obu chłopców z młodym Murzynem. Potem nadeszła córka mego ojca, niosła jedzenie dla dwóch robotników, pracujących w polu. Ojciec mój pysznić się może taką córką, piękna jest jak kwiat na łące; oczy Orła Czubatego oderwać się nie mogły od jej postaci i obraz białej dziewczyny wyrył się głęboko w jego sercu.

Umilkł Indianin i znowu się zamyślił na chwilę, wreszcie podniósł głowę i żywo zapytał:

- Jaką drogą ojciec mój chce powracać do domu?

Osadnik wskazał mu, w którym kierunku iść zamierzali.

- To najgorzej - mówił wódz kręcąc głową. - Ojciec mój i brat wpadliby bardzo prędko w ręce tych psów Pawnisów i byliby zgubieni.

- A więc cóż mamy czynić? - pytał Wattson przerażony.

- Orzeł Czuby sam poprowadzi ojca swego i wskaże mu drogę bezpieczną.

- Takiej usługi nie zapomniabym do śmierci! - zawołał osadnik z uniesieniem.

- Wódz Osagów odprowadziłby chętnie ojca swego i brata aż do samej osady, ale teraz nie ma czasu, musi spieszyć do przyjaciela, a potem u siebie w domu ważne ma sprawy.

- Wielka szkoda! Bylibyśmy szczerze radzi wodzowi Osagów w naszym mieszkaniu.

- A piękna córka mego ojca czy także byłaby mu rada? - spytał nieśmiało Indianin.

- Czemuż nie? Wszyscy byśmy Orła Czubatego przyjmowali jak najmilszego gościa.

- Szkoda! - szepnął Indianin z westchnieniem. - A jednak nie mogę żadnym sposobem. Ale chodźmy już; nie ma czasu do stracenia.

Jeden z Osagów przez ten czas zajęty był oporządzaniem zabitego jelenia; oczyściwszy skórę odciął najlepsze części mięsa, jedno i drugie wziął na plecy i na znak wodza ruszył za nim wraz z innymi wojownikami. Orzeł Czubaty szedł naprzód, wskazując drogę, a obrał kierunek wprost przeciwny temu, który dwaj osadnicy za najdogodniejszy uważali.

VI

SMUTNY POWRÓT

Pochód gromadki wędrowców trwał bez przerwy do samej północy. Orzeł Czubaty i jego towarzysze nie okazywali żadnego znużenia, lecz obaj Wattsonowie, którzy już dnia poprzedniego kawał drogi odbyli z niezwykłym pośpiechem, widocznie upadali na siłach.

- Może by ojciec mój i brat wypoczęli nieco? - pytał troskliwie wódz Osagów.

- Już nóg nie czuję, to prawda - westchnął stary osadnik - ale trzeba się śpieszyć, Orzeł Czubaty sam to najlepiej rozumie.

Poszli dalej w milczeniu i znowu postępowali bez odpoczynku przez parę godzin. Chociaż księżyc świecił, w lesie pomiędzy drzewami zalegały prawie zupełne ciemności, niełatwe więc to było zadanie w takich warunkach kierować się wśród puszczy. A jednak wódz Osagów ani razu się nie zawahał, nie okazał najmniejszej niepewności. Czasem tylko wzrok badawczy podnosił do gwiazd lub wprawną ręką dotykał kory drzew, rozpoznając na niej różne znaki, niewidoczne w nocy.

- Ojciec mój dalej iść nie może, musi koniecznie zatrzymać się choć na godzinę - powiedział Orzeł Czubaty, nie uszło bowiem jego uwagi, że Wattson ostatnich sił dobywał i ledwo nogami włóczył.

- Nie, nie, idźmy dalej, nie ma czasu do stracenia - odrzekł osadnik, którego obawy wzmagaly się z każdą chwilą.

- Ojciec mój siły zupełnie wyczerpie, a kto wie, czy nie będą mu potrzebne, gdy dzień nastanie.

- Orzeł Czubaty ma słuszość - odezwał się Jan. - Jak wypoczniemy trochę, to potem spieszniej będziemy mogli iść dalej i nadrobimy czas stracony.

- Niechże i tak będzie - westchnął Wattson i mówiąc to osunął się ciężko na trawę.

Na znak wodza Indianie nazbierali suchych gałęzi i po chwili wesoły ogień zapłonął i rozjaśnił ciemności dokoła naszych wędrowców.

- Ojciec mój i brat powinni teraz usnąć, to ich pokrzepi. Orzeł Czubaty i wojownicy jego czuwać będą nad nimi - przemówił wódz.

Osadnicy z wielką ochotą usłuchali tej rady, a po kilku minutach obaj na wyścigi chrapali. Upłynęło tak ze dwie godziny. Pierwsze brzaski świtu różowym blaskiem oblały wierzchołki olbrzymich drzew puszczy i orzeźwiający wonie poranne rozlały się w powietrzu; powiał świeży wietrzyk, księżyc pobladł, a gwiazdy jedna po drugiej znikwały na błękitnie niebios. Ucichły ryki i wrzaski zwierząt leśnych, natomiast odezwały się tu i ówdzie w gąszczach głosy ptasząt i mniej przyjemne brzęczenie owadów, które poranek zbudził z uspienia.

Wódz Osagów przez całą noc siedział przy ognisku głęboko w myślach pogrążony. Sen ani na chwilę powiek jego nie zmrużył. Teraz dopiero powstał. Widocznie żał mu było budzić tak smacznie śpiących. Zbliżył się jednak do starego Wattsona i za rękaw go pociągnął.

- Mój ojciec wstawać już musi - rzekł miękko łagodnym głosem. - Słońce zaraz ukaże się na niebie, świat cały się budzi. Czy ojciec mój słyszy?

Osadnik zerwał się szybko, przetarł oczy, potem oparł czoło na dłoni i przemówił z wyrazem głębokiego smutku:

- Miałem sen taki przykry!

- Wakondah¹ często przemawia we śnie do ludzi - powiedział wódz indyjski uroczyście, nie pytał jednak osadnika o sen jego, lecz gotował się do dalszego pochodu.¹ Nazwa najwyższego bóstwa u Indian.

- Janie, wstawaj! - wołał Wattson niecierpliwie potrząsając śpiącego syna.

Jan zerwał się spieszenie na równe nogi.

- Co tu tak przyjemnie pachnie? - zapytał wciągając z upodobaniem powietrze w nozdrza.

- Wojownicy moi upiekli kawał zabitej przeze mnie zwierzyny - odpowiedział wódz. - Niechże ojciec i brat mój posilą się nieco, zanim udamy się w dalszą podróż.

Pieczeń jelenia, zawieszona nad ogniem na kiju drewnianym, wydawała rzeczywiście woń niezmiernie nęcącą. Ojciec i syn nie dali się długo prosić, a posiłek ten przydał się bardzo na zgłodniałe żołądki. Soczyste mięso smakowało im wybornie, chociaż podane było bez żadnej przyprawy. Indianie pochłonęli także ogromne kawały pieczeni.

Śniadanie to niewiele czasu im zabrało. Gromadka wędrowców spiesźnie wyruszyła w dalsze drogę i około ósmej z rana przybyła do pięknej kotliny, otoczonej z obu stron niezbyt wysokimi wzgórzami.

- Teraz już wiem, gdzie jesteśmy! - zawołał Wattson. - Znam tę dolinę i trafię stąd do domu.

- To dobrze - rzekł wódz Osagów - ojciec mój i brat dadzą sobie radę sami, a Orzeł Czuby pójdzie w swoją drogę.

- Niechże Orzeł Czuby idzie, skoro ważne sprawy go wołają i niech będzie pewny, że osadnik Jakub Wattson i syn jego Jan zachowają dlań wdzięczność do śmierci.

- Orzeł Czuby nigdy nie zapomni o białych przyjaciółach swoich, lecz nie żąda od nich żadnej wdzięczności.

- Czy syn mój sądzi - zapytał Wattson - że tu już nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo ze strony Pawnisów?

- Orzeł Czuby ma wzrok tak bystry jak ptak, którego nazwę nosi, nie wykrył jednak żadnego śladu Pawnisów po drodze, zapewne więc nie ma ich i dalej z tej strony.

- Ależ ja nawet nie zauważyłem, aby wódz Osagów szukał po drodze jakich śladów - odezwał się Jan zdziwiony.

- Pawnisy chodzą jak krowy i bardzo widoczne ślady zostawiają po sobie. Orzeł Czuby nie potrzebuje się schylać, ażeby je dostrzec.

Pożegnanie krótko trwało, lecz w ostatniej chwili wódz Osagów zatrzymał się, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć.

- Czego syn mój życzy sobie? - spytał Wattson.

- Orzeł Czuby byłby bardzo szczęśliwy - rzekł młody Indianin cichym i wzruszonym głosem - gdyby mógł usłyszeć imię pięknej córki mojego ojca, podobnej do polnego kwiatka.

- Córce mojej Ella na imię.
- Ella! Co za ładne imię! Niech mój ojciec wybaczy tę ciekawość.

I pomknął spieszenie za swoimi wojownikami, którzy go już znacznie wyprzedzili. Wkrótce Indianie znikli z oczu Wattsonów, oglądających się za nimi.

- A to doprawdy nieoceniony chłopak, ten Orzeł Czubaty - rzekł Jan do ojca idąc obok niego pośpiesznym krokiem. - Zaczynam mieć zupełnie inne wyobrażenie o Indianach.

- Żeby wszyscy byli tacy! - mruknął ojciec.

Szli dość długo w milczeniu, gdyż stary Wattson popadł znów w posępne zamyślenie, a im więcej się zbliżali do celu, tym większy dręczył go niepokój, tym niecierpliwiej spoglądał w stronę, z której ukazać się miał dach osady. Około dziesiątej zaczęli wchodzić na grzbiet jednego z większych wzgórków, opasujących malowniczą dolinę, w której mieściła się ich siedziba. Nagle osadnik stanął i przysłonił oczy; serce jego uderzyło gwałtownie.

- Nie rozumiem, co to może znaczyć - rzekł po chwili drżącymi ustami - zdaje mi się, że widzę ogromny słup dymu. Popatrz no ty, Janie.

- Istotnie - powiedział młodzieniec i wyraz przestachu pojawił się na jego twarzy, lecz zapanował nad sobą i dodał spokojniej: - Jerzy i Tobiasz musieli ogień rozpalic na polu.

- Ze zwyczajnego ogniska nie powinno być tyle dymu - mówił ojciec i z nadzwyczajnym pośpiechem, biegnąc raczej niż idąc, zdążył na sam wierzchołek wzgórza, skąd roztaczał się widok rozległy na całą dolinę. Obaj stanęli tam wkrótce, bo i Jan za ojcem pośpieszył.

- O Boże wielki!... Co to jest?! - wykrzyknął Wattson.

Głos jego rozległ się po lesie, brzmiała w nim rozpacz najwyższa. Jan milczał, lecz pobladł strasznie, nogi się pod nim zachwiały, drżał cały od stóp do głowy.

Widok, który się oczom ich przedstawił, był naprawdę przerażający. Na miejscu, gdzie stały budynki osady, pozostały tylko zgliszcza, z których się unosił ogromny słup dymu. Dokoła leżały rozrzucone po ziemi szczątki zniszczonej i połamanej palisady.

- O mój sen!... Moje przecucia! - jęknął Wattson rozdzierającym głosem i runął na ziemię jak dąb wichrem złamany.

- Boże, Boże, co za nieszczęście! - wołał Jan załamując ręce.

Lecz stary Wattson zerwał się po chwili i z takim pośpiechem zbiegł ze wzgórza, że zapomniał o strzelbie, która mu się z ramienia zsunęła i padła na trawę. Podniósł ją Jan i za ojcem podążył. Doszli wkrótce do miejsca, gdzie wczoraj jeszcze stała spokojna siedziba szczęśliwej rodziny, a dziś jedynie dopalały się smutne zgłiszcza.

Jakub Wattson jak szalony zaczął się uwijać pośród tych dymiących, a gdzieniegdzie i płonących jeszcze szczątków. Nie zważał na to, że go dym dusił, stąpał po węglach żarzących, które mu paliły obuwie, z trwogą śmiertelną szukał jakiegoś śladu ukochanych swych dzieci, powtarzał ich imiona, jak gdyby sądził, że je przywoła lub dowie się, co się z nimi stało. Lecz echo tylko mu odpowiadało, a nieszczęśliwy człowiek padał na ziemię, rwał włosy z głowy, potem znów twarz ukrywał w dłoniach i szlochał. Jan próbował przemówić do ojca, lecz głos mu w piersi zamierał i łyzy go dławily. Był on niezmiernie przywiązany do młodszego rodzeństwa; Ellę zwłaszcza kochał niezmiernie, jak zresztą wszyscy kochali dobrą i śliczną dziewczynę.

- Ojcze! - zawołał w końcu - może to był pożar przypadkowy, wskutek jakiejś nieostrożności. W takim razie Ella wraz z braćmi i ze sługami musiała się ukryć w lesie; kto wie, czy ich nie zobaczymy za chwilę zdrowych i całych.

- Patrz - rzekł krótko ojciec i wskazał mu liczne ślady nóg bosych, odcisnięte w miękkiej, wilgotnej ziemi na dziedzińcu. Jan umilkł i westchnął głęboko.

- Nie ma żadnej nadziei, wszyscy zginęli - mówił nieszczęśliwy ojciec z rozpaczą - a ciała ich spaliły się zapewne. Okrutnicy! Nawet tej ostatniej pociechy mi nie zostawili, abym mógł martwe szczątki moich ukochanych ujrzeć i uczcić pogrzebem. Ach, Janie! przeszukajmy te zgłiszcza, może ich ciała nie spłonęły jeszcze do szczeru, może choć ślad jaki odnajdziemy.

Mówiąc to chwycił żarzącą się belkę i z siłą olbrzyma na bok ją odrzucił. Jan mu pomagał i obaj pracowali tak gorliwie, że pot dużymi kroplami ściekał im z czoła. Jan spostrzegł motykę, rzuconą na podwórzu; była to ta, z którą Tobiasz z pola powrócił. Młodzieniec użył jej do rozrzucania rozpalonych węgla, wkrótce jednak drewniana rękojeść motyki zaczęła się palić i musiał ją gasić w strumieniu, ale i to nie na długo pomogło. W końcu ojciec

i syn przekonali się, że próżne są ich wszystkie wysiłki, gdyż niepodobna było rozrzucić takiej masy rozpalonego drzewa.

- Może by wodą zalać zgłiszcza - rzekł ojciec i pobiegł do strumienia, lecz wnet spostrzegłszy, że nie ma żadnego naczynia do nabierania wody, powrócił z opuszczonymi rękoma. Jan zbliżył się i znowu próbował rozpac ojca łagodzić i wlać jakąś nadzieję do jego serca.

- Nie mamy jeszcze żadnych dowodów na to - mówił - że Ella, bracia i Jerzy z Tobiaszem nie żyją. Wszak mogli umknąć, Schronić się do lasu, a w najgorszym razie mogli ich Indianie wziąć do niewoli i uprowadzić.

- Ach, Janie! to rzeczywiście jest możliwe - odrzekł osadnik i czoło zimnym potem pokryte oparł na dłoni. - W pierwszych chwilach szalonej rozpacz nie przyszło mi nawet na myśl to przypuszczenie, dość jednak prawdopodobne. Masz słuszość, takie wypadki nieraz się zdarzały - ciągnął dalej po chwili namysłu - chociaż najczęściej dzicy mordują od razu swoje ofiary. Ale tonący chwytą się nawet źdźbła słomy. Natychmiast przetrząśniemy całą okolicę, może ślad jaki ukochanych naszych odnajdziemy.

I osadnik, jak stał, tak pobiegł prosto przed siebie.

- Strzelba, ojcze! - zawołał Jan pośpieszając za nim i broń mu podając - o ostrożności nigdy zapominać nie należy. Bardzo być może, że Indianie włóczą się jeszcze w okolicy.

- O! Gdybym ich teraz napotkał - rzekł Jakub Wattson zgrzytając zębami - krwią by mi swoją zapłacili.

- Dziś jest naszym obowiązkiem - mówił Jan - chronić nasze życie i wolność, ażebyśmy mogli ratować ukochanych naszych, jeżeli żyją, lub przynajmniej ich pomścić.

- Dobrze mówisz - odparł ojciec opatrując starannie strzelbę, co też i Jan uczynił.

Doszli wkrótce do skraju lasu. I tu, tak samo jak na polach, otaczających spalone mieszkanie, cicho było i pusto. Tylko brzęczenie moskitów i pszczoł leśnych, szukających pożywienia, odzywało się w powietrzu; kiedy niekiedy dawało się słyszeć kucie dzięcioła, wiewiórki wesoło skakały po gałęziach. Lecz ani Indian, ani jakichkolwiek istot ludzkich nie widać było w lesie,

choć liczne ślady kopyt końskich świadczyły o niedawnej obecności czerwonoskórych. Obaj Wattsonowie oglądali te ślady bardzo starannie, ludzkich jednak pomiędzy nimi nie odkryli, nie mogli więc i teraz rozstrzygnąć pytania, czy ukochani ich zginęli, czy uprowadzeni zostali w niewolę. Próbowali wołać głośno po imieniu Ellę i chłopców, lecz echo im tylko odpowiadało.

Postępując ciągle brzegiem lasu doszli Wreszcie do miejsca, gdzie Indianie wieczorem pochwycili biednego Jerzego i niezwłocznie zamordowali. Trupa jego, leżącego tam i teraz, spostrzegł pierwszy Jan, a na okrzyk zgromy, jaki się z jego piersi wyrwał, nadbiegł wnet i ojciec...

- Jerzy! zamordowany, oskałpowany! ¹ - zawołał z boleścią.

¹ Indianie mieli zwyczaj zwyciężonym przeciwnikom obcinać skórę dookoła włosów i ściągać z czaszki razem z włosami. Nazywano to ściągnięciem skalpu.

- Niestety! - potwierdził Jan.

- Taki sam los okrutny musiał spotkać ukochane moje dzieci - jęknął osadnik.

- Nie traćmy jeszcze wszelkiej nadziei, ojcze - pocieszał Jan usiłując powstrzymać łzy, gwałtem cisnące mu się do oczu.

- Idźmy stąd, idźmy! - wołał Jakub Wattson.

- Pozwól mi, ojcze, pogrzebać biednego Jerzego - rzekł Jan.

- Masz słuszność; zajmij się tym, a ja pójdę dalej, może jakikolwiek ślad odzyskam.

- Bądź tylko ostrożny, ojcze, nie narażaj się; niebezpieczeństwo na każdym kroku spotkać cię może.

- A po cóż mi to nędzne życie?

- Ojcze, nie rozpaczaj jeszcze.

- To już lepiej zostań tu z tobą i pomogę ci pochować szczątki naszego biednego sługi. Bierźmy się do dzieła.

- Nie mam czym ziemi rozkopać, pobiegnę po motykę.

- Tylko nie marudź, ja tymczasem zajrzę do tej gęstwiny.

Jan pośpieszył po motykę, którą przy zgłiszczach zostawił, a ojciec wszedł w pobliskie gąszcze leśne. Raz po raz wołał głosem donośnym, lecz zawsze na próżno. W kwadrans nadbiegł Jan, w jednej ręce trzymał motykę,

a w drugiej mały jakiś przedmiot, który w palcach ścisnął.

- Ojcie, ojcie! - wołał głosem, rozlegającym się daleko po lesie.

- Jestem już, jestem! - odpowiedział osadnik i zbliżył się szybkim krokiem, zdyszany, z oczyma błyszczącymi wzruszeniem nadzwyczajnym. - Czy poznajesz? - zapytał drżącym głosem ukazując synowi mały nożyk.

- To nożyk Elli - rzekł Jan zdziwiony - a czy poznajesz to, ojcie? - i pokazał mu czarną, wąską aksamitną tasiemeczkę, którą trzymał w ręku.

- Wielki Boże! tę aksamitkę ona zawsze na szyi nosiła! - wykrzyknął osadnik chwytając tasiemeczkę z rąk syna - skąd ją masz, gdzie ją znalazłeś?

- Niedaleko stąd, w lesie, a ty, ojcie, gdzie znalazłeś nożyk?.

- Pod krzakiem, tuż przy miejscu, gdzie las jest rozrzedzony i mnóstwo śladów końskich widać na ziemi.

- Ojcie, te odkrycia mają dla nas nadzwyczaj ważne znaczenie.

- Być może, nie śmiem jednakże budować na tym jakichś nadziei.

- Ależ zastanów się, ojcie, toż to jest jasne jak dzień. Ella z Benem i Di-kiem niezawodnie znajdują się w niewoli u tych przeklętych czerwonoskó-rych. Skądżeby się ten nożyk i ta tasiemka wzięły w lesie? Ella sama zapewne rzuciła po kryjomu te przedmioty, ażebyśmy je znaleźli i pomyśleli o wyswobodzeniu jej i braci.

- O, gdybyż to było prawdą!

- Mnie się zdaje, że tu nie ma najmniejszej wątpliwości.

- Mogli Indianie zabrać nożyk i wstążeczkę wraz z innymi rzeczami, gdy rabowali mieszkanie, a potem zgubić po drodze.

- Wszak sam mówisz, ojcie, że nie na samej drodze, tylko z boku pod krzakiem nożyk znalazłeś; widocznie więc nie był zgubiony, lecz rzucony umyślnie.

- To prawda - rzekł osadnik i w oczach jego zajaśniał promyk nadziei.

- Ojcie, my ich wybawimy z niewoli.

Jakub Wattson, pogrążony w myślach, milczał czas jakiś. Gdy podniósł głowę, twarz jego miała wyraz całkiem odmienny; znikła z niej rozpacz,

straszne przygnębienie ustąpiło miejsca uczuciom bardziej odpowiadającym usposobieniu osadnika, który przez całe życie z nieustraszoną odwagą narażał się na niebezpieczeństwa wszelkiego rodzaju i bez wahania podejmował najtrudniejsze zadania.

- Uczynimy wszystko, co jest w naszej mocy, aby ich uratować - wyrzekł głosem stanowczym i spokojnym prawie - bo rzeczywiście można mieć nadzieję, że żyją.

Kochający ojciec jeden tylko cel widział teraz przed sobą: odszukać dzieci i wyzwolić je z niewoli. A wiedział, że to niełatwa sprawa, znając przebiegłość przeciwników, z którymi miał do czynienia. Na nic by się nie przydało biec na oślep i działać zbyt pośpiesznie. Należało rozważyć wprzód wszystko, z zimną krwią i roztropnością obmyślić plan działania. Wiedząc o tym dobrze osadnik całą siłą woli starał się opanować wzruszenie i spokój odzyskać. Wśród takich smutnych okoliczności już i to dużo znaczyło, że jakkolwiek nadzieję odzyskał: nie upadał przynajmniej pod ciężarem bóleści, przechodzącej siły ludzkie.

Ojciec i syn za pomocą motyki wykopali dół w ziemi, wysypali go zielonymi liśćmi i złożyli ciało Jerzego w tym ubożuchnym grobie. Odmówili pacierz, zasypali dół ziemią i położyli na wierzchu pęk ciernistych gałęzi dla odstraszenia drapieżnych zwierząt; wreszcie przewiesili strzelby i udali się drogą, śladami kopyt końskich oznaczoną.

VII

DIK NA ZGLISZCZACH OSADY

W pół godziny później, na skraju tegoż samego lasu, lecz w innej stronie, dość daleko od miejsca, gdzie Wattsonowie złożyli zwłoki wiernego sługi, ukazał się pies duży i silny, choć niezbyt piękny. Zaczął biec prosto ku zgliszczom osady, gdy wtem z gęstwiny leśnej ozwało się gwizdanie i przyciszone wołanie:

- Sułtan! tu, Sułtan, tu!

Po chwili wysunął się zza drzew młody chłopiec, uzbrojony w strzelbę z rogim bawolim, uwiązany u pasa. Głowę miał odkrytą, oczy zaczerwienione od płaczu, a na twarzy jego malowała się boleść głęboka. Po cóż mamy czytelników dłużej trzymać w niepewności. Tym chłopakiem był Dik, znany nam dobrze najmłodszy syn osadnika. Obejrzawszy się bacznie dokoła i on także wraz z psem skierował się w stronę, gdzie słup dymu wznosił się z dogasających szczątków.

- Jak to dobrze - szepnął chłopak sam do siebie - żem się w porę spostrzegł, aby przyjść tutaj i czekać powrotu ojca i Jana. Że też mi to od razu na myśl nie przyszło! Z tego przestachu zupełnie głowę straciłem. Teraz tu sobie gdzieś usiądę i będę czekał, bo oni niezawodnie nadejdą niedługo. Mój Boże, gdybym przynajmniej wiedział, co się stało z Ellą, z Benem, z Tobiaszem...

Tu głośne łkanie mowę mu przerwało i lzy puściły się z oczu. Pies ze współczuciem zbliżył się do chłopca i lizał mu ręce.

- O Ello, Benie, czy ja was kiedy jeszcze zobaczę - mówił znów biedny Dik płacząc rzewnie. W końcu jednak otarł oczy, gdyż musiał myśleć o własnym bezpieczeństwie i znów zaczął niespokojnie rozglądać się dokoła.

- Zdaje się - mówił sam do siebie - że można już teraz tam pójść na podwórze. Tak wszędzie cicho i pusto, widać wszystko doskonale. Indianie musieli się przenieść gdzieś dalej, nie mieli tu już po co dłużej popasać, zrobili swoje. Pies zaszczeakałby niezawodnie, gdyby tu kto obcy był w pobliżu. Pójdź tu, Sułtan, idźmy śmiało.

Pies poskoczył wesoło naprzód, a chłopiec szedł za nim ostrożnie, trzymając strzelbę w pogotowiu.

- Jakże tu smutno i okropnie! - rzekł znowu zbliżywszy się do zgłiszczy. - Żeby przynajmniej ojciec i Jan powrócili. Mój Boże, jak oni długo siedzą! Ale już lepiej dziś stąd nie odejść, ukryję się za tym stosem gruzów, będę tu przecież tak samo bezpieczny jak i w lesie, a przynajmniej zaraz zobaczę ojca i Janka z daleka, bo musieli już Murzyna dogonić i schwytać.

Chłopiec usiadł na kłodzie niedopalonej i zagasłej, spoglądając ciągle na wszystkie strony, czy nie dojrzy powracających ojca i brata. Smutne, bardzo smutne myśli snuły się biedakowi po głowie.

Słońce wzniosło się tymczasem wysoko na niebie i prostopadle jego promienie spadały na odkrytą głowę chłopca.

- Niepodobna tu usiedzieć w taki upał - szepnęła - nie doczekam się już dziś chyba ojca i Jana. - Mówiąc to wstał i odszedł znów do lasu; nie zapuszczał się jednak dalej, tylko tuż przy skraju usiadł w cieniu rozłożystego drzewa.

Mijały godziny jedna po drugiej, słońce zaczęło się zniżać ku zachodowi, wreszcie na skraju widnokregu rozciągnęła się purpurowa smuga, zwiastująca wieczór. Dik nie siedział przez ten czas na miejscu: coraz większy ogarniał go niepokój, chodził więc tu i ówdzie, rozglądając się tęsknym wzrokiem na wszystkie strony. Wszystko nadaremnie, nikt nie nadchodził. Od dnia wczorajszego nic nie jadł, dotąd nie pomyślał jednak o posiłku, bowiem smutek i trwoga zagłuszyły w nim głód - teraz dopiero żołądek wyścieńczony upominał się o swoje prawa.

- Mam strzelbę, mógłbym z łatwością zwierzynę jaką upolować, gdybym dalej w las poszedł, ale nie, boję się stąd odejść, bo ojciec i Jan muszą kiedyś powrócić - mrucał smutnie i znowu się zamyślił, coraz czarniejsze przecucia go trapiły, zaczął się zastanawiać nad tym, co pocnie, jeżeli

ojciec i brat nie nadejdą wcale, jeżeli ich także nieszczęście spotkało po drodze. Mogli i oni wpaść w ręce Indian.

- Nie, nie, to niepodobna, to byłoby zanadto! - wykrzyknął na głos i twarz ukrył w dłoniach.

Zmierzch zapadał coraz wyraźniej, noc zbliżała się szybko, a głód dotkliwy dawał się chłopcu uczuwać.

- Ha, dobra myśl! - zawołał nagle, gdyż zaspokojenie tej najpilniejszej potrzeby prawie wyłącznie go zajmowało w tej chwili.

Podążył spiesźnie na pole, graniczące ze zniszczonym mieszkaniem, trafił z łatwością do grządek, zasadzonych rzepą i patatami; wyrwawszy z ziemi kilka dużych korzeni oczyścił je nożykiem, który miał w kieszeni, i zjadł ze smakiem. Posiliwszy się powrócił na dawne miejsce przy skraju lasu. Tymczasem chmury zbierać się poczęły i zasłoniły księżyc. Tak się ciemno zrobiło, że Dik nie mógł dojrzeć nic o kilkanaście kroków. Niepokój go zdjął na myśl, iż nie obaczy ojca i Jana, gdyby nadeszli w nocy.

Nagle zgliszcza, rozżarzone blaskiem jaskrawym, zwróciły jego uwagę.

- Jakiż ja jestem niemądry! - zawołał uderzając się dłonią po czole. - Wszakże mogę sobie ogień rozpalić, a ten odstraszy drapieżne zwierzęta.

Wyszukał natychmiast pomiędzy szczątkami palisady parę płaskich kawałków drzewa, za pomocą których wygarnął trochę rozżarzonych węgla, dołożył do nich drewek suchych, których tu nie brakło i wkrótce ognisko zapłonęło trzaskając i sypiąc iskrami. Dik nie mogąc usnąć podsycał je nieustannie.

- Otóż to doskonały pomysł - mówił sobie chłopiec siedząc przy ogniu, z ręką opartą na kudłatym łbie Sultana, strzelbę złożywszy obok siebie.

Mijały godziny jedne po drugich, było już pewnie po północy. Dik ciągle nasłuchiwał, czy nie usłyszy kroków ojca i brata, lecz żaden odgłos nie przerywał ciszy. Uczuł wreszcie, że go sen morzyć zaczyna; usiłował się przemoc, otwierał szeroko oczy i spoglądał w przestrzeń oddaloną, która przy blaskach ogniska jeszcze ciemniejsza się wydawała. Ale powieki jego kleiły się mimo woli, jeszcze przez czas jakiś otwierał je niekiedy, w końcu

zamknęły się na dobre i chłopak usnął smacznie, przytulony do Sułtana.

Przed samym niemal świtem pies zerwał się nagle, wysuwając spod głowy Dika miękką swój grzbiet, który mu za poduszkę służył. Chłopiec się przebudził i ze strachem spostrzegł, że drobny deszczyk, który padać zaczął, prawie zupełnie zagasł ognisko. Sułtan wył z cicha, jakby strwożony, i położył łeb na kolanach młodego swego pana, a ten z nieopisaną trwogą poczuł, że pies drży cały. Pochwycił strzelbę do ręki, ale wśród ciemności nic zrazu nie mógł dojrzeć. Nareszcie wzrok jego wyteżony natrafił na jakąś ciemną, wydłużoną postać, przesuwaną się w pewnej odległości tam i na powrót. Z zachowania się psa wnosił, że to było jakieś zwierzę drapieżne. Wniosek okazał się trafny: ciemna postać zbliżyła się z wolna i Dik zdołał nareszcie rozpoznać czarnego niedźwiedzia, zwanego baribalem, bardzo pospolitego w owych czasach w Ameryce Północnej.

Baribal wielkością i siłą dorównywa niedźwiedziowi europejskiemu. Futro ma piękne, czarne i lśniące. Chociaż wygląda niezgrabnie i ociężale, jest jednak czujny, roztropny, a nawet zwinny, biega szybko, pływa doskonale i zręcznie łązi po drzewach. Żywi się głównie roślinnymi pokarmami, nie gardzi jednak mięsem i ze szczególnym upodobaniem rzuca się na łagodne zwierzęta domowe; często też włóczy się w pobliżu osad, dusi owce i cielęta.

Rozpoznawszy nieproszonego gościa, Dik przede wszystkim począł jak najspieszniej rozniecać na nowo ognisko. Wkrótce buchnął płomień i chłopak z radością obaczył, że niedźwiedź przystanął, a potem ociężałym krokiem się oddalił i znikł wśród ciemności.

- Dobrze przynajmniej, że mam tego pocziwego psa przy sobie - rzekł chłopiec i pogłaskał Sułtana. Nie usnął już więcej i dokładał ciągle drzewa do ognia, lecz trudniej się teraz paliło, bo deszcz padał nieustannie. Lekkie ubranie Dika na wskroś przemokło, dopiero po wschodzie słońca rozpogodziło się i chłopiec osuszył ubranie przy ogniu, którego i teraz nie przestał podniecać. Nie mogąc odgadnąć, że ojciec i Jan tu już byli i odeszli, ciągle ich wyglądał tłumacząc sobie w rozmaity sposób to opóźnienie. Tymczasem, gdy i ten dzień upłynął, a oczekiwania jego były zawsze daremne, nadzieja opuszczała go poczęła i trwoga nieopisana ścisnęła mu serce.

Przy tym już i drzewa zabrakło na paliwo, a przynieść nowy zapas z lasu było prawie niepodobieństwem, bo nie miał czym go urąbać. Nazbierał jednak na ziemi suchych gałęzi, których mu starczyło na całą noc, gdyż dorzucał ich nader oszczędnie, w obawie, aby ogień nie zagaśł i dla tego samego powodu nie zmrzyzył oka aż do rana. Nie chcąc się zapuszczać w głąb lasu po zwierzynę, poprzestał i tego dnia na patatach. Biedny Sułtan nie mogąc się zadowolić tym roślinnym pokarmem wybrał się za pozwoleniem pana na wycieczkę myśliwską. Powrócił z niej z niezłą zdobyczą, gdyż udało mu się pochwyć zwierzątko, zwane dydelfem (*Opossum*), do rzędu workowatych należące.

Niepokój, trapiący serce Dika, wzrastał dnia tego z każdą godziną, z każdą niemal minutą. Chłopak nie wiedział, czy miał jeszcze dłużej wyglądać w tym pustkowiu ukochanych swoich, czy udać się w drogę na odszukanie ich? Wahał się długo, nareszcie postanowił jeszcze jedną noc tu przebyć, a nazajutrz rano, gdyby go oczekiwanie zawiodło, wyruszyć gdzie oczy poniosą.

Noc przeszła spokojnie; zajaśniał ranek, lecz daremnie chłopak wpatrywał się tęsknym wzrokiem w oddalony widnokrąg: wyglądani z tak gorącym upragnieniem brat i ojciec nie nadeszli. Gdy słońce podniosło się na niebie, Dik ukląkł na zgliszczach rodzinnego domu. „Kiedy trwoga, to do Boga” - przysłowie to sprawdziło się na nim. O, jakże serdecznie się modlił, z jaką skruczą się obwinał i postanawiał poprawę. Taka modlitwa, z głębi serca płynąca, nigdy nie jest bezskuteczna, daje pociechę, siłę i odwagę. Gdy powstał, lżej mu było na sercu i oczy zaczerwienione od płaczu spokojniej, śmielej patrzyły. Poszedł raz jeszcze na pole, gdzie rosły pataty i nakopał zapas tych smacznych korzeni na drogę.

- Pójdę, gdzie mnie oczy poniosą - rzekł wreszcie i gwizdnąwszy na Sułtana puścił się wprost przed siebie. Na nieszczęście obrał kierunek, który go nie mógł zbliżyć do ojca i do brata, lecz przeciwnie, oddalał od nich coraz więcej.

VIII

ŁOWIENIE BOBRÓW

Opuściliśmy młodego myśliwego i Murzyna Cezara w chwili, gdy mieli sobie upatrzeć miejsce dogodne na nocleg. Serce Prawe wyciągnął czólenko swoje z wody, a Cezar nie czekając rozkazu, wziął je na plecy i poszedł za nowym panem tak żwawo, jak gdyby nie czuł wcale tego ciężaru. Na dobrodusznej jego twarzy igrał ciągle wesoły uśmiech i kiedy niekiedy nogi zdawały się same unosić do podskoku. Łatwo było poznać, że chłopiec zachwycony był zmianą swego położenia.

- Więc ty naprawdę obeznany jesteś z puszczą? - zapytał myśliwiec po dłuższej chwili milczenia.

- Oho! Cezar doskonale zna puszcę.

- Rad jestem z tego, a i dla ciebie to dobrze.

- Ja też niezmiernie się z tego cieszę.

- A czy znasz się także trochę i na polowaniu?

- Pan Smith lubił nad wszystko polowanie, Cezar mu zawsze towarzyszył.

- Na jakąż zwierzynę polowaliście z twym panem?

- Polowaliśmy na jaguary, kuguary czyli pумы, pantery, rysie kanadyjskie, wilki stepowe, śmierdziele, niedźwiedzie czarne, szopy, dydelfy, no i na wiele innych zwierząt.

- Hm! Aż miło posłuchać. Więc twój pan celnie strzelał?

- Doskonale, znakomicie!

- A ty, czy miałeś kiedy strzelbę w ręku?

- Czy raz?! I umiem także strzelać.

- Rad bym się o tym przekonać.

- To niechże pan pozwoli Cezarowi strzelić na próbę.

- I owszem. Czy widzisz tę wiewiórkę, tam wysoko, aż na szczycie jodły?
- Widzę ją doskonale!
- Jakże ci się zdaje, czy potrafiłbyś ją zastrzelić?
- Cezar popróbuj, jeżeli pan pozwoli - i mówiąc to złożył czólenko na ziemi.

- Masz strzelbę. Czy nie za ciężka dla ciebie?
- Ach, gdzież tam! Leciutka jak piórko.

Murzyn się roześmiał i podniósł ciężką strzelbę jedną ręką potrząsając nią na wszystkie strony.

- Silny jesteś jak niedźwiadek - rzekł myśliwiec zdziwiony. - A teraz czekaj! Szkoda wiewiórki, niech skacze i tańczy po lesie. Niepotrzebne nam jej życie. Zestrzel wierzchołek jodły.

- Ten, na którym siedziała wiewiórka?

- Ten, uważaj. Strzelba jest kulą nabita. Trzeba mieć dobre oczy, żeby zerwać kulą szczyt jodły.

- Cezar ma dobre oczy - mówił Murzyn. Mierzył niedługo, strzał padł i w tejże chwili szczytowa gałąź, na której przed chwilą siedziała wiewiórka, opadła, jak ucięta nożem.

- To był strzał mistrzowski! Widzę, żeś był w dobrej szkole - powiedział Serce Prawe z widocznym zadowoleniem, biorąc strzelbę z rąk Murzyna i niezwłocznie nabijając ją na nowo. - Trzeba będzie się wystarać o strzelbę dla ciebie.

- Tu w puszczy niełatwo pan strzelbę dostanie - odrzekł Cezar śmiejąc się.

- Łatwiej może, niż sobie wyobrażasz. To już moja rzecz. Ale teraz idźmy dalej.

Cezar włożył znowu czólenko na plecy i poszedł za myśliwym, postępującym przodem.

- Czy widziałeś bobry i znasz sposoby łowienia ich? - spytał Serce Prawe zawiązując na nowo przerwana rozmowę.

- To rzecz dziwna, Cezar nigdy nie widział żywego bobra, chociaż tyle się po lasach nawędrował - odparł Murzyn.

- I nie wiesz, jakim sposobem się łowią?

- Nie słyszałem o tym nigdy. Dawny pan Cezara nie lubił łowić bobrów.

- To mnie dziwi. Mało jest zwierząt tak osobliwych jak bobry; ja też z wielkim upodobaniem je łowię, jestem myśliwym i traperem zarazem.

- Toż dopiero radość dla Cezara! Nauczy się jeszcze i bobry łowić - i Murzyn znowu dał susa.

- Zaraz jutro rano będziesz miał tę przyjemność. Czy bardzo jesteś teraz zmęczony?

- Ej, tak bardzo to nie.

- A jednak uciekając od pogoni musiałeś wszystkie siły wyczerpać, bo padłeś, biedaku, jak nieżywy.

- O, wtenczas Cezar był zmęczony, to prawda. Ale wypoczął, a radość dodała mu siły i poszedłby teraz jeszcze i kilka mil, gdyby pan sobie tego życzył.

- Poczekaj, zdejmę z ciebie przynajmniej tę łódkę.

- Broń Boże! Cezar nie czuje jej nawet na plecach.

Po chwili myśliwy się zatrzymał. Znajdowali się obecnie w małej kotlince, zamkniętej pomiędzy dwoma wzgórkami.

- Tu rozłożymy się na nocleg - rzekł Serce Prawe i ustawił strzelbę pod drzewem. - Czy wiesz, co mamy do roboty?

- Sporządzimy sobie najpierw szałas z gałęzi - odpowiedział Murzyn bez namysłu.

- Dobrze, widzę, że znasz życie leśne. A więc do dzieła - i myśliwy wyjął siekierkę zza pasa.

- Cezar to wszystko sam zrobi - rzekł Murzyn.

Chwytał siekierkę z rąk myśliwego i zrywał cztery młode drzewka, z których w przeciągu chwil kilku sporządził cztery pale rozmaitej długości. Wbił je potem w ziemię tworząc czworobok; dwa krótsze pale umieścił naprzeciw dwóch dłuższych, potem powiązał je pomiędzy sobą u góry giętkimi pręcikami. Następnie naciął liściastych gałęzi i ułożył je w taki sposób na wierzchu, że utworzyły wyborny spadzisty dach, mogący nawet od deszczu zabezpieczyć. Ziemię w szałasie usłał liśćmi i mchem.

Serce Prawe nie mieszał się do niczego, lecz wsparty o pień drzewa spoglądał z zadowoleniem na Murzyna - bo też miło było patrzeć, jak zręcznie i porządnie szła robota.

- Czy już koniec? - spytał Serce Prawe, gdy Cezar urządził szałas jak

należy, przykrywszy nawet i bok jeden od strony wiatru gałęziami.

- Jeszcze Cezar ma ogień rozpalić dla odstraszenia zwierząt drapieżnych od obozu.

Co rzekł, to uczynił. Wziął znów siekierkę i pobiegł z nią żwawo w las, a w dziesięć minut powrócił niosąc duży pęk suchego drzewa. Tymczasem Serce Prawe wyjął z torby myśliwskiej upolowaną dziką gęś, oskubał ją, wypatroszył, a wszystko to trwało ledwo chwilę. Następnie za pomocą krzesiwa rozpałił drzewo, ułożone w stos przez Cezara, ten zaś zastrugał kij i zatknął gęś na rożen, umieścił ją przy ogniu. Wkrótce miły zapach rozszedł się dokoła w powietrzu.

Jakże to pieczone smakowało obu wędrowcom! Zabrali się do niego tak żwawo, że wkrótce z dużej gęsi kosteczki tylko zostały.

Ściemniło się przez ten czas zupełnie, toteż myśliwy z Murzynem udali się zaraz po wieczery na spoczynek. Noc upłynęła bez żadnych przygód, o świcie obaj się przebudzili jednocześnie i wyszli z szałas. Cezar znowu wziął łódkę na plecy i puścili się w dalszą drogę. Słońce wznosiło się już wysoko ponad widnokręgiem, gdy stanęli na brzegu dość dużego, bagnistego jeziora. Myśliwy zatrzymał się za kępą drzew, skąd widzieli doskonale całe jezioro sami będąc ukryci.

- Jesteśmy na miejscu - rzekł Serce Prawe.

- Czy to tu mają być bobry? - zapytał Murzyn ze zdziwieniem.

- Tu właśnie są.

- Nigdzie ich jednak nie widać!

- Tak ci się zdaje, przypatrz no się lepiej. Czy nic osobliwego nie dostrzegasz na tym jeziorku?

- Ależ nic a nic.

- Czy tak? A przecież to jezioro jest prawdziwą osobliwością.

- Cóż ono ma w sobie nadzwyczajnego?

- Ani się domyślasz, że masz przed oczyma staw sztuczny, przez bobry urządzony.

- Pan chyba żartuje?

- Wcale nie. Przedtem płynął tu tylko mały strumyczek, stawu nie było śladu, niedawno się pojawił.

- I skądże się wziął?

- Stąd, że bobry w poprzek tej kotlinki zbudowały groble, którą też i przez strumień przeprowadziły. Bieg jego tym sposobem się zatamował, woda wystąpiła z brzegów i zalała kotlinkę aż do grobli, na niej zaś powstał mały wodospad. Możesz to wszystko obejrzeć własnymi oczyma.

- To jednak rzecz dziwna - mówił Murzyn, słuchający tych objaśnień z największą uwagą - bo z czegoż takie bobry mogą pobudować groble?

- Ba! rąbią drzewo.

- Co, co? drzewo rąbią? - wołał Murzyn ze zdumieniem. - Ależ do tego trzeba narzędzi?!

- Mają one narzędzia wyborne: i cieśla lepszymi się nie pochwali.

- Ależ to rzecz niepojęta!

- Nic niepojętego w tym nie ma. Stwórca dał im zęby nadzwyczaj silne i ostre; rozcinają nimi pieńki, mające do dwudziestu i więcej cali w obwodzie.

- Jakżeż one to ciężkie drzewo zanieść mogą do wody?

- Jeśli pień ma być użyty w całości, wybierają drzewo rosnące nad samym brzegiem strumyka i nacinają je dokoła zębami, a tak dowcipnie, że drzewko zawsze przewróci się w stronę wody. Ułożywszy dostateczną ilość takich większych kłoców przeplatają je gałęziami i przyciskają ziemią i szlamem. Pracują tak dotąd, dopóki grobla nie dosięgnie dostatecznej wysokości. Czasem potrzebują i mniejszych kawałków drzewa, wówczas ogałają ścięte drzewko z gałęzi i przecinają je na części właściwej długości.

- O cóż to za cuda, panie, cóż to za cuda!

- Nie mniej zadziwiająca są mieszkania, domy, które sobie bobry budują.

- Ależ to trudne do uwierzenia!

- Tak jednak jest. Czy widzisz te pagórki zaokrąglone, tu i ówdzie rozsypane na wodzie u brzegów stawu, a nawet i pośrodku?

- Zauważyłem je od razu i chciałem już pana zapytać, co to takiego?

- Otóż to są właśnie domy bobrów. Budują je zwykle blisko brzegu, ale także i pośrodku stawu, urządzonego przez siebie na mieliznach. Wygrzebują najpierw w kierunku ukośnym przejście pod ziemne, którego otwór

ukryty jest pod powierzchnią wody. Budynek właściwy wznosi się ponad wodą, lecz tylko podwodne ma wyjście. Złożony jest z kawałków drzewa, nagromadzonych z wielkim trudem i dowcipnie spojonych gliną, piaskiem i szlamem; tym sposobem tworzą się ściany mocne i trwałe, a całość przybiera, jak widzisz, kształt pagórka. Wewnątrz budynek zawiera dużą izbę główną i parę mniejszych, w których przemyślnie zwierzęta gromadzą zapasy żywności. Są to: korzonki, młode pędy roślinne, po większej części pęki wierzb, topoli, olch, jesionów i brzoź. Bobry także z upodobaniem ogryzają młodą korę z drzew, zwłaszcza brzożową. Niełatwo je zająć przy robocie, bo są nadzwyczaj lękliwe i czujne i za najmniejszym szelestem ukrywają się w wodzie. W nocy nawet w osadach bobrów rozstawione są strażę, dające znać o niebezpieczeństwie szczególnym klaskaniem. Już to, co prawda, najsroższym nieprzyjacielem tych niewinnych stworzeń jest człowiek; w niektórych okolicach tak zawzięcie na nie polowano, że wytępiono je zupełnie...

- O ciszej, panie, ciszej - szepnął Cezar i wzrokiem wyteżonym spoglądał na staw.

- A tak, to one - odpowiedział myśliwy również półgłosem. - Możesz je teraz dokładnie obejrzeć.

Bobry przysiadły na tylnych łapkach obok młodego drzewka, rosnącego na brzegu stawu i zaczęły je zębami obrabiać. Nieraz obrywały duże kawałki kory i trzymając je w przednich łapkach, gryzły zawzięcie i wykrzywiały się przy tym najzabawniej na świecie, co przypominało trochę małpy, gdy gryzą orzechy. Z ogólnej postaci, a zwłaszcza z ruchów, bobry mają duże podobieństwo do wydry.

- Czy pan do nich nie będzie strzelał? - spytał Cezar ledwo dosłyszalnym głosem.

- Broń Boże! - odrzekł również szeptem Serce Prawe. - Strzał wystraszyłby je tak, że przez dni kilka żaden by nie wylazł z kryjówki.

Chociaż obaj mówili bardzo cicho, musiały jednak bobry ich dosłyszeć. W mgnieniu oka pomknęły do wody i znikły.

- Jaka szkoda! - rzekł Murzyn.

- Tym razem nie na długo się zapewne przestraszyły - możesz stąd jednak brać miarę, jak są czujne.

- Jakimże sposobem można schwytać takie mądre i przezorne zwierzątko?

- Nielatwa to sprawa w istocie. Łowca musi mieć tyleż przebiegłości i dowcipu, co i one. Opowiem ci, jak ja te łowy urządzam. Mam do tego wyborne sidła, o mocnych, żelaznych kleszczach. Zastawiam je przy brzegu stawu, gdzie są mieszkania bobrów, wybierając do tego zazwyczaj godziny południowe, bo one wtenczas siedzą w swoich kryjówkach. Nie dość na tym, wbijam oprócz tego pal w dno jeziora i przytwierdzam doń sidła łańcuszkiem, bo inaczej silny zwierz pociągnąłby je za sobą i umknąłby wraz z sidłami. Za przynętę służy mała gałązka umaczana w pewnej cieczy, mocno woniejącej, którą my miksturą nazywamy. Jeden koniec gałązki wkłada się w sidła, drugi sterczy nad wodą na siedem do dziesięciu centymetrów. Zwabiony ulubionym zapachem, bóbr się przybliży i, jeśli jest niedoświadczony, porywa gałązkę i z całych sił ją ciągnie. Tym sposobem porusza kleszcze, które wyskakują i chwytają go za nogi. Stare doświadczony bobry nie tylko same nie wpadają w sidła, lecz ochraniają swych młodszych braci od niebezpieczeństwa, umieją bowiem tak zręcznie szturchać sidła kijem, że kleszcze zaskakują nic nie złowiwszy i stają się nieszkodliwe. Indianie utrzymują, iż bobry mają rozum ludzki, mowy im tylko brakuje. Czasem naprawdę bierze ochota w to uwierzyć.

Myśliwy umilkł, Murzyn zamyślił się na chwilę, wreszcie zapytał:

- Czy pan zastawił już sidła w tym stawie?

- Zastawiłem ich z tuzin.

- I sądzi pan, że się co złapało?

- Zobaczymy. Sidła po większej części umocowane są z tamtej strony stawu. Może też się złapało choć parę bobrów.

- A nie pójdziemy zobaczyć?

- Nie zaraz, za kilka godzin, jak słońce wyżej się wzniesie.

Czas ten upłynął szybko i obaj przepawili się łódką na drugą stronę stawu, gdzie sidła były zastawione. Lecz ku wielkiemu niezadowoleniu naszego trapera, jeden tylko bóbr dał się ponętą „miksturą” zwabić do pułapki.

- Nie powiem jednak, ażeby bóbr bardzo był ładny – mówił Murzyn przypatrując się uważnie zdobyczy.

- Ładny nie jest - potwierdził Serce Prawe - tułów ma szeroki i niezgrabny, szyję krótką i grubą, głowę dużą, pysk jakby odcięty; wszystko to nadaje mu postać ociężałą, pękata i niekształtną.

- Ale to futerko ciemnobrunatne jest prześliczne.

- Nie wszystkie są jednakowo ubarwione: u niektórych futerko miewa odcień popielatawy, a mnie samemu zdarzyło się już łowić bobry białe lub cętkowane. Lecz to są bardzo rzadkie wyjątki.

- Mnie ogon bobra wydaje się najdziwniejszy, a także i tylne łapy.

- Bo widzisz, bóbr jest doskonałym pływakiem. Tylnymi nogami posługuje się jak wiosłami, ogon zaś zastępuje mu ster, używa go do kierowania reszty ciała w wodzie. Ten szczególny skład tylnych nóg i ogona ma dla niego niezmiernie ważne znaczenie.

- Jakież to wszystko dziwne!

Podczas tej rozmowy myśliwy nie był beczynny: zastawił znowu sidła, potem odszedł z Cezarem dalej trochę od brzegu i zaczął zdejmować skórę z bobra.

- Taką skórkę można chyba drogo sprzedawać! - rzekł Murzyn, który, ośmielony przez myśliwego, puścił wodze swej gadatliwości.

- Bardzo drogo. Gdyby te skóry nie były kosztowne, nikt by z takim trudem nie uganiał się za bobrami. Z jednego bobra traper może mieć dochodu od 8 do 18 dolarów.

- Czy to możliwe! Pan chyba żartuje!

- Wcale nie; nie porachowałem nawet jeszcze bobrowego stroju, czyli *Castoreum*.

- A cóż to znów takiego ten strój bobrowy.

- Zaraz zobaczysz.

Zdejmowanie skóry ze złowionego zwierzątka odbywało się z szybkością zadziwiającą. Myśliwy odciął teraz mięsisty ogon bobra, zręcznym cięciem rozplatał brzuch w tym miejscu i wyjął coś na kształt dwóch małych worczków, a raczej pęcherzyków. Gdy rozciął je tym samym nożem, ukazała się masa gęsta, ciemna i szczególny, przejmujący zapach rozszedł się w powietrzu. - Ależ to wcale nie pachnie - rzekł Cezar, zatykając nos. - Czy to nie jest ten strój bobrowy, panie?

- Tak, ta substancja nazywa się także *Castoreum*.

- Czemuż pan nie wyrzuci tej obrzydliwości?
- Bo mi za nią dobrze zapłacą.
- Na cóż to się może komu przydać?
- Jest to lekarstwo bardzo skuteczne w kurczach nerwowych.
- Aha! I ogona pan nie wyrzuci?
- Z ogona będziemy mieli wyborne śniadanie - rzekł Serce Prawe.
- Ogień trzeba rozpalić! - zawołał Cezar i nie czekając odpowiedzi wziął siekiere i poszedł po drzewo do lasu. W kwadrans potem soczysty ogon bobra smażył się przy ognisku.

- O, to pysznie pachnie - mówił Murzyn wciągając ponętną woń w nozdrza.

- A lepiej jeszcze smakuje - dodał myśliwy.

Osobliwa ta pieczeń gotowa była w krótkim przeciągu czasu i rzeczywiście okazała się bardzo smaczna.

Po śniadaniu myśliwy powstał z kłody, na której usiadł był wraz z Murzynem, i zaczął zbierać swoje graty gotując się do drogi.

Na stawie panowała głęboka cisza, ani jeden bóbr się nie pokazywał. Gdy dalej nieco odeszli, Murzyn zapytał:

- A czy nie lepiej by to było, proszę pana, żebyśmy tu gdzie niedaleko od stawu poczekali?

- Na nic by się to nie przydało - odrzekł myśliwy - odstraszylibyśmy tylko bobry. Zresztą dziś już nie ma co zaglądać do sideł, wrócimy więc jutro o tej samej porze.

Nazajutrz zastali dwa bobry złapane; trzech jeszcze brakowało do liczby, którą traper, wedle umowy, miał odnieść osadnikowi, jako resztę zapłaty za Murzyna. Następnego dnia znowu dwa bobry były w sidłach.

- A do pioruna! Jedna pułapka znikła! - zawołał Serce Prawe z niezadowolaniem, przeszukawszy dokładnie miejsce, gdzie zastawił dnia wczorajszego sidła, i nie znalazłszy ich nigdzie.

- A ot tam, tam! - zawołał Cezar wskazując na środek stawu.

- Patrzcie go! Wyrwał pal i pułapkę mi zabiera! - mówił traper rzuciwszy okiem w tę stronę. - Ale poczekaj, bratku, ze mną nie taka łatwa sprawa, dawaj tu prędko łódkę!

Cezar poskoczył pędem strzały i po chwili łódka kołysała się na wodzie.

Traper wskoczył w nią razem z chłopcem, ujął wiosło silną ręką i pomknął chyżo za bobrem.

Tymczasem bóbr był już niedaleko swojego domu, ale i pogoń zbliżała się coraz więcej. Już mieli go dosięgnąć, gdy nagle zwierzę dało susa i znikło w wodzie.

- Niestety! Już się pewnie dostał do swego korytarza i ukryje się w domku.

- Chciałby on tej sztuki dokazać - odparł spokojnie traper - ale mu się to nie uda, bo nie wejdzie do tego korytarza mając nogi ściśnięte kleszczami.

- Więc gdzież on siedzi?

- U wejścia. Usiłuje dostać się do środka.

- I cóż dalej będzie? Pan myśli, że on utonie?

- Nie, posiedzi biedak pod wodą, póki mu oddechu nie zabraknie, wypłynie na powierzchnię, na widok nas znów się zanurzy i będzie próbował wejść do korytarza, lecz zawsze nadaremnie. I tak raz po raz, póki go siły nie opuszczą. Wtedy z łatwością go z wody wyciągniemy.

Tak się też stało jak Serce Prawe przepowiedział i bóbr wpadł niedługo w jego ręce.

- Teraz mam już więc sześć skórek - rzekł traper kładąc bobra na dnie czółenka - i to wielkie szczęście, bo trzeba będzie na długo zaniechać łowów w tym stawie. Żaden bóbr ani się pokaże, wszystkie się zamurują w mieszkaniach, nie warto nawet sideł zastawiać.

Tegoż samego dnia przed wieczorem Serce Prawe puścił się w drogę do osady Wattsona, a Murzyn służył mu za przewodnika. Dnia następnego z rana Cezar oznajmił, że najdalej za pół godziny staną na miejscu.

IX

ZA ŚLADAMI

Im bardziej Serce Prawe zbliżał się do miejsca, gdzie wedle wskazówek Murzyna znajdować się miała osada Wattsona, tym posępniejsza i bardziej zamysłona stawała się twarz jego. Często pochylał się ku ziemi i oglądał tam coś z wielką uwagą.

- Tłumy czerwonoskórych były w tej okolicy - mruczał półgłosem sam do siebie przyśpieszając kroku.

- Może i teraz są gdzie w pobliżu - odezwał się niespokojnie Murzyn.

- Nie, to są ślady dawniejsze, sprzed kilku dni. Pawnisy musieli się przenieść dalej. Daj tylko Boże, aby pobyt ich tutaj nie stał się przyczyną jakiego strasznego nieszczęścia.

- Czy pan ma na myśli osadę?

- Tak.

Rozmawiając doszli do skraju lasu, skąd, jak upewnił Cezar, powinni byli zobaczyć osadę Wattsonów. Murzyn pobiegł naprzód i nagle krzyk przeraźliwy wyrwał się z jego piersi.

- Co to jest? - zawołał myśliwy, a na poważnej jego twarzy ukazał się wyraz przestachu.

- O Boże, jakie nieszczęście, jakie okropne nieszczęście! - powtarzał Cezar, łamiąc ręce.

Po chwili myśliwy stał przy nim.

- To okropne! - szepnął półgłosem, utkwivszy wzrok nieruchomo w smutne zgłiszcza i gruz, nagromadzone w miejscu, gdzie stały przedtem budynki osady.

- Biedna panna Ella! Biedni panicze! - mówił Cezar żałośnie i twarz ukrył w dłoniach.

- Trzeba to jednak z bliska obejrzeć - odezwał się po pewnym czasie myśliwy, którego rysy odzyskały już zwykły spokój i poszedł wraz z Murzynem ku zgłiszczom. - Że Pawnsy są sprawcami tego zniszczenia - mówił półgłosem - to nie ulega żadnej wątpliwości.

- Czy pan sądzi, że ci niegodziwcy Indianie wymordowali całą rodzinę? - spytał Murzyn, a twarz jego, gdy to mówił, miała wyraz szczerego smutku.

- Niepodobna tego odgadnąć - odpowiedział Serce Prawe. - W ogóle Pawnsy są okrutni i nie mają zwyczaju oszczędzać przeciwników, którzy im w ręce wpadną.

- Ach, to byłoby okropnie! - szepnął Murzyn głęboko przejęty.

- A jednak - dodał myśliwy - i to jest możliwe, że wzięli w niewolę dzieci osadnika. Co się tyczy panny Elli szczególnie, rzecz jest nawet dość prawdopodobna, bo i oni nawet rzadko kiedy kobiety mordują.

- O panie, żeby to tak było naprawdę! Mogłaby się panna Ella wyswobodzić z niewoli.

- Zapewne, bo inaczej... śmierć nawet byłaby lepsza dla biednej dziewczyny, aniżeli niewola u Pawnsów.

- Ach! niech pan tego nie mówi! Może my ją zdołamy uratować i braci.

- My?

- Czyż pan nie ulituje się nad nimi? Pan taki dobry, czyż nie zechce pan przyjść w pomoc nieszczęśliwym?

- Jak to? I tym niegodziwym chłopcom, którzy cię za wierzchowca używali?

- O! gdyby Cezar mógł ich uratować, jakże by chętnie to uczynił! W Piśmie świętym powiedziano: chlebem płąć za kamień.

- Gdyby to Orzeł Czuby tu był - szepnął Serce Prawe sam do siebie, tak cicho, że Murzyn nie zrozumiał słów jego, a głośniejszy dodał: - no dobrze, zrobi się, co będzie można. Ale wprzód musimy tu wszystko obejrzeć dokładnie.

Człowiek, nie znający zwyczajów puszczy, zdziwiłby się niezmiernie, gdyby był świadkiem, w jaki szczególny sposób Serce Prawe oglądał widownię nieszczęścia. Często przyklękał na ziemi z oczyma utkwionymi w jakiś punkt, mierzył objętość śladów stóp, odcisniętych na ziemi, jedno z drugimi

porównywał, chociaż deszcz znacznie te ślady pozacierał. Powracał kilkakrotnie na jedno miejsce; najdrobniejszy przedmiot zwracał na siebie jego uwagę. To postępowanie przypominało trochę wyżła, tropiącego zwierzynę. Nie wymówił przy tym ani jednego słowa; wszystkie władze umysłu jego zwrócone były ku tym poszukiwaniom. Skończył wreszcie, stanął w ulubionej postawie, oparty na strzelbie, i rzekł krótko:

- To dobrze - i pogrążył się w myślach. Murzyn patrzył na niego w milczeniu, nie śmiać mu przeszkadzać. - To dobrze - powtórzył po raz drugi. Znać było i na twarzy, i w głosie, że uczynił jakieś postanowienie.

- Czy pan co odkrył? - zapytał Cezar, który już dłużej nie mógł powstrzymać niepokoju i ciekawości.

- Owszem. Otóż wiem teraz na pewno, że Wattson ze starszym synem przyszedł tu, gdy już było po wszystkim i zastał tylko zgliszcza swojego mieszkania.

- A więc ci dwaj nie zginęli.

- Przynajmniej nie tu, można to stwierdzić z całą pewnością.

- A jakże pan to wszystkim wiedzieć może?

- Poznałem ze śladów. Ślady nóg osadnika i jego syna ukazują się wszędzie z wierzchu, na śladach Pawnsów, ani razu nie napotkałem ich pod spodem. To jest dowód najlepszy, że Wattson daleko później od nich tu chodził, oglądając zniszczenie już dokonane.

- A czy nie odszukał pan także śladów panny Elli, paniczów, Tobiasza i Jerzego?

- Napotkałem ślady jednego tylko dorosłego człowieka, zmieszane ze śladami Indian i widoczne także dalej na drodze wiodącej do lasu. Musieli więc Pawnsy uprowadzić ze sobą jednego z tych sług. Był też zapewne zraniony, bo znalazłem na śladach jego zastygłe krople krwi.

- I cóż jeszcze panie? - wołał Murzyn z niepokojem, gdy myśliwiec umilkł na chwilę - co się stało z panną Ellą?

- Nigdzie nie natrafiłem na ślady małej, wąskiej nóżki dziewczęcej...

- O wielki Boże!

- A jednak mam nadzieję, że panienka ta żyje.
 - A czy naprawdę? Ach, panie!
 - Jeżeli Indianie nie zamordowali sługi tu na miejscu, tym bardziej nie uczyniliby tego z młodą dziewczyną. Musieli ją posadzić na konia.
 - To prawda! Tak, tak było niezawodnie i panienka żyje! Co za szczęście! A nie wie pan, co się stało z Benem i Dikiem?
 - Obaj ci chłopcy prawdopodobnie żyją, jeśli ich jakie inne nieszczęście nie spotkało - mówił myśliwy z wielką pewnością siebie i spokojem - a nie tylko żyją, lecz jak sądzę, nie są wcale w niewoli. Ten młodszy, Dik, był tu już po odejściu starego Wattsona z Janem; świadczą o tym wyraźnie ślady tego malca, pokrywające inne, tak czerwonoskórych, jak i ojca. Za nim przybiegł pies dość duży, zapewne jeden ze stróżów domowych. Później jeszcze od młodszego brata przychodził tu ów starszy, Ben; ślady jego, cokolwiek od tamtych większe, są najświeższe. Po nim tu już aż do przyjscia naszego nie było żywego ducha. Ślady obu tych chłopaków idą po kilkakrotnie stąd w stronę lasu i na powrót, a co jest najdziwniejsze, że prawie w jednym kierunku, chociaż z pewnością nie chodzili razem, tylko każdy z osobna.
 - Cóż my teraz robić będziemy, proszę pana? - zapytał Cezar. Znać było z oczu jego, utkwionych w myśliwego, jak niecierpliwie i niespokojnie czekał odpowiedzi.
 - Musimy najpierw wykryć, co się stało z obu chłopcami. Panna Ella i służący są niezawodnie w rękach Indian. O wyswobodzeniu ich pomyślimy później, wprzód musimy się zająć losem malców, narażonych na największe niebezpieczeństwa, jeżeli sami błądzą w puszczy. Zresztą ojciec i brat starszy zapewne już udali się za śladem dziewczyny. Oby tylko zachowali się roztropnie i ostrożnie, bo mogą z łatwością i sami ulec przemocy, nim zdolają wyrwać ją z rąk tych okrutników.
- Mówiąc to myśliwy przewiesił strzelbę przez plecy i udał się wraz z Murzynem w kierunku, który obrał Dik, gdy opuścił zgłiszcza rodzinnego domu. Drogę wskazywały mu ślady, dla niego tylko widoczne, pozostawione przez obu chłopców na trawie. Ślady te ciągle ukazywały się prawie razem,

niekiedy rozchodziły się cokolwiek i znów potem łączyły. Obaj chłopcy widocznie powędrowali w głąb lasu.

- Zdawałoby się, że starszy brat podążył za młodszym, który go w każdym razie nie o wiele wyprzedzi - odezwał się Serce Prawe po dłuższym milczeniu. - Byłby to bardzo szczęśliwy zbieg okoliczności, i dla nich obu, i nawet dla nas, gdyby się spotkali w lesie. To się wkrótce okaże.

I znowu czas jakiś postępował w milczeniu, ciągle z największą uwagą odszukując ślady. W końcu zatrzymał się i mówił z pewnym niepokojem.

- Sądziłem zrazu, że brat starszy świadomie szedł za śladami młodszego, chociaż zbaczał od nich niekiedy. Ale jak się teraz przekonuję, on tych śladów nie dostrzegł wcale: po prostu przypadkiem udał się w tym samym kierunku.

- Jakże pan to odgadł?

- Bo ślady obu chłopców tu się rozchodzą zupełnie i idą dalej w przeciwnych prawie kierunkach. Ben poszedł na południe, a Dik z psem zwrócił się na wschód.

- O panie! I co tu robić teraz?

- Ty sam rozstrzygnij, za którym z dwóch mamy się najpierw udać.

- Dik ma psa przy sobie, więc nie jest bez żadnej opieki.

- Dobrze mówisz. I ja to już myślałem. Idźmyż więc za śladami starszego.

Z godzinę szli obaj w milczeniu, zwracając się ciągle ku południowi, naraz Serce Prawe znów się zatrzymał.

- Hm! Cóż to ma znaczyć? - rzekł ze zdziwieniem.

- Czy pan co nowego zobaczył? - spytał Murzyn niespokojnie.

- Obok śladów chłopca widzę tu ślady dorosłego człowieka, z pewnością białego.

- Ach, prawda! Tak są wyraźne, że ja sam widzę je doskonale. Podeszwy obuwia odcisnęły się głęboko w miękkim gruncie - mówił Cezar, który przykląkł na ziemi i bacznie oglądał miejsce, wskazane przez myśliwca.

- Teraz musimy się jeszcze przekonać - rzekł Serce Prawe - czy ślady idą i dalej razem, czy też się rozchodzą; chociaż to prawie niepodobna, aby

chłopiec miał się rozstać z napotkanym człowiekiem.

I przyspieszonym krokiem poszli za śladami.

- Co to jest? - zawołał Cezar ze zdumieniem zatrzymując się jednocześnie z myśliwym i razem z nim spoglądając na liczne ślady, nie tylko stóp ludzkich, lecz kopyt koni i mułów, ukazujące się w tym miejscu. - O Boże! może Indianie pochwycili tu biednego Bena!

Serce Prawe nic początkowo nie odpowiedział, ukląkł na ziemi i z uwagą największą śladom się przypatrywał. Powstał wreszcie, twarz jego była spokojna, chociaż ów dziwny wyraz smutku, rozlany na niej zwykle, wyraźniej jeszcze zarysował się w tej chwili.

- To dobrze - powiedział krótko - teraz pójdziemy znowu za śladami młodszego.

- A cóż się mogło stać ze starszym, proszę pana?

- Według wszelkiego prawdopodobieństwa znajduje się w dobrych re-
kach.

- O, co za szczęście! - wykrzyknął Cezar.

- Z tych śladów łatwo poznać, że tu przechodziła gromadka myśliwców i traperów meksykańskich - rzekł Serce Prawe, a potem zwracając się w inną stronę dodał tak cicho, że Murzyn słów jego dosłyszeć nie mógł: - któż wie, może przyszli prosto z moich stron rodzinnych?...

Cezar był tak zajęty oglądaniem śladów, że nie spostrzegł nawet, jaki straszny ból odbił się w pięknych rysach jego pana. Myśliwy ochłonął prędko ze wzruszenia i głosem zupełnie już spokojnym powtórzył ulubione swoje wyrażenie:

- To dobrze - i zwracając się na tę samą drogę, którą tu przybyli, dodał: - Teraz pójdziemy odszukać młodszego.

Po pewnym czasie powrócili do miejsca, gdzie ślady obu się rozdzielały, i podążyli dalej. Wkrótce musieli zwolnić kroku, gdyż las stawał się coraz gęstszy, coraz więcej niedostępny.

- Ten niemądry chłopak powlókł się w najdzikszą okolicę puszczy - mruknął myśliwy postępując ostrożnie, nie wahając się jednak ani przez chwilę.

Już wieczór nadchodził, gdy dwaj wędrowcy zatrzymali się nad małym

jeziorkiem, porośłym przy niskich brzegach trzcina i wodnymi roślinami. Mnóstwo gęsi i dzikich kaczek pływało po jeziorku, lecz skoro tylko spostrzegły ludzi, zerwały się wszystkie z przeraźliwym wrzaskiem i odleciały.

Myśliwy szedł dalej brzegiem jeziora nie tracąc z oczu śladów Dika.

- Czy pan widzi te piórka rozsypane na trawie? - odezwał się po chwili Murzyn.

- Rozumie się, że widzę - odrzekł Serce Prawe. - To są piórka dzikiej gęsi, którą chłopak zastrzelił, a pies zapewne z wody mu przyniósł. Tu w tym miejscu ptak był oskubany. Nie widzę jednak nigdzie śladów ognia, nieborak oczywiście nie mógł go rozpalić. Zapewne więc przełknął kawałek surowego mięsa dla zaspokojenia gwałtownego głodu, a resztę pies pożarł. To wielkie szczęście, żeśmy pośpieszyli na ratunek biednego chłopca, bo nie potrafiłby sobie radzić w tej dzikiej puszczy nawet ze strzelbą i psem, tym bardziej, że w tej porze roku nie ma tu jeszcze prawie żadnych jagód ani orzechów. Ale mam nadzieję, że go niedługo dogonimy.

- Ach! żebyśmy go już dogonili! On jednak na parę dni przed nami puścił się w drogę.

- To prawda, lecz nie może iść tak prędko jak my. Miejmy ufność w Bogu; los tego chłopca, zarówno jak i nasz, jest w Jego ręku. Patrz, patrz, teraz ślady idą prosto ku tym zaroślom, dochodzą aż do stóp pięknego różanecznika, co ma liście gładkie z wierzchu a pod spodem omszone i kwiaty tak przyjemnie pachnące. Chłopak tu musiał się rozłożyć na nocleg.

Mówiąc to myśliwiec przykłęknął pod krzakiem i pochylił się do ziemi.

- Rzeczywiście tak jest, jak przypuszczałem - rzekł po chwili - trawa zgnieciona w miejscu, gdzie leżał. No, ale śpieszmy, nie ma czasu do stracenia, jeżeli chcemy uratować biednego chłopca.

- Ach, panie! Cezar rad by mieć skrzydła.

Po niejakiem czasie, gdy zmierzch zupełnie zapadł, myśliwy zatrzymał się mówiąc:

- To darmo, wśród nocy nikt nie zdoła śladów odszukać, nie widzę już nic a nic. Musimy tu zanocować, innej rady nie ma.

Nie będziemy powtórnie opisywali przygotowań do noclegu; wszystko się odbyło tak samo jak pierwszym razem. Po rozpaleniu ognia myśliwy upiekł przy nim upolowanego tego dnia indyka; spożywszy ze smakiem wieczrę, wędrowcy ułożyli się do snu, którego też do rana nic im nie przewało. Nazajutrz skoro tylko się rozwidniło, ruszyli w daleką drogę przyspieszając kroku o ile możliwości. Godziny poranne upływały szybko, a w południe upał wzmógł się prawie nie do wytrzymania. Wskutek tego podróżnicy zmuszeni byli czas jakiś wypocząć w cieniu rozłożystego drzewa, po czym na nowo udali się w drogę, usiłując pośpiechem wynagrodzić czas stracony. Nieraz w ciągu dnia tego nadarzała się sposobność zabicia zwierzyny, lecz myśliwy nie chciał się zatrzymywać i dopiero nad wieczorem zastrzelił parę jarząbków i cietrzewia, byle głód czymkolwiek zaspokoić. W ciągu dnia tego kilkakrotnie natrafiali na miejsca, gdzie Dik widocznie na nocleg rozkładać się musiał.

- Biedny chłopak! Niewiele sił mu zostało, skoro kilku dni potrzebował na przebycie tej drogi - mówił myśliwy - pewnie ledwo nogami włóczy. A jednak dziwnie błądzi, jakby w kółko się kręcił! Daj Boże, ażebyśmy go odszukali jak najprędzej, bo wszystko to dowodzi, że nieborak z głodu, strachu i osłabienia zupełnie głowę stracił i na oślep krąży po puszczy.

A jednak jeszcze i tego dnia nie zdołali go dogonić. Nadszedł wieczór. Myśliwy był milczący i zadumany, Cezar nie śmiał ust otworzyć. Smaczne pieczone żadnemu z nich nie smakowało i większa część jego poszła nie tknięta do torby podróжной. I do snu nie mieli ochoty, siedząc naprzeciw siebie przy ognisku, w smutnych pogrążeni myślach.

Myśliwy usnął wreszcie tym snem niezmiernie lekkim, właściwym ludziom, którzy są zwykle otoczeni niebezpieczeństwami. Już i Cezar drzemać poczynął, gdy nagle ogarnął go jakiś nieopisany niepokój. Nie mogąc go stłumić zerwał się po chwili na równe nogi i usiłował przebić wzrokiem ciemności; nic jednak nie mógł dojrzeć, gdyż noc była nadzwyczaj ciemna, a księżyc za parę godzin dopiero miał wypłynąć na niebo. To poruszenie Murzyna nie uszło uwagi myśliwego; przebudził się natychmiast i pochwycił strzelbę, gdyż nawet podczas snu miał lewe ramię przez jej ramię przelozone.

- Co się stało? - zapytał półgłosem, lecz nie czekając odpowiedzi zerwał się także i pilnie nasłuchiwał.

- Czy słyszysz pan? - szepnęła Cezar - co to może być za głos?

- Jest zanadto oddalony - odpowiedział myśliwy - abym mógł rozpoznać od razu, co to za stworzenie. Może sowa, albo... prawdopodobniej jeszcze: pies.

- Ja to już właśnie sam myślałem - odrzekł Murzyn.

- Tak, tak, nie ulega wątpliwości, to jest szczekanie psa - mówił Serce Prawe po dłuższej chwili uważnego nasłuchiwania.

- Ale w takim razie to pies Dika!

- I ja tak myślę.

- Ach, panie! czyż nie pośpieszymy do niego?

- Trzeba czekać do rana.

- A jeżeli ten pies szczekaniem wzywa ratunku? Może pań jego znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie?

- Na to nie ma rady.

- Ależ, panie...

- Nie rozumiesz tego, że my sami narazilibyśmy się na najokrutniejsze niebezpieczeństwo, gdybyśmy niebacznie wędrowali po nocy wśród puszczy.

Murzyn milczał przez chwilę, wreszcie odezwał się błagalnym tonem:

- Ja bym chciał pana o coś prosić.

- O co? Mów śmiało!

- Niech mi pan pozwoli iść samemu! Ja doskonale słyszę szczekanie psa i pójdę prosto w tę stronę. Nie mogę słuchać tego bezczynnie!

- Idź, jeżeli chcesz koniecznie. Ale raz jeszcze ci powtarzam, że nim Dika uratujesz, sam zginąć możesz bardzo łatwo.

- Mniejsza o to! ja się nie boję! - odrzekł Murzyn i nie zwlekając ani chwili oddalił się szybkimi krokami.

- To dobrze - mruknął myśliwy sam do siebie. - Odważny, dzielny, najpocziwszy w świecie chłopak - i mówiąc to wziął strzelbę do ręki i spieszonym krokiem podążył za Cezarem.

I obaj biegli tak w stronę, skąd ciągle w krótkich lub dłuższych odstępach czasu dawał się słyszeć głos psa. Teraz gdy już byli bliżej, nie mogli

nawet wątpić, że to pies tak poszczekiwał i wyl żalośnie, jak gdyby w przy-
stępie trwogi.

- Jak się nazywały psy, które pan twój zostawił w osadzie? - zapytał my-
śliwy.

W tej chwili byli już niedaleko miejsca, skąd dochodziło wycie psa,
dziwnie żlowrogo brzmiące wśród tej dzikiej puszczy i głucliej nocnej ciszy.

- Sułtan i Nero, proszę pana.

- A czy na głos twój przybiegały?

- Jeden tylko Sułtan, tamte wszystkie nie cierpiały Cezara i rzucały się
na niego. Pan Wattson i panice nieraz je podszczuwali umyślnie, nie chcie-
li, aby się zaprzyjaźniły z Murzynem.

- Nie bez powodu to czynili.

- Ach, tak panie, nie bez powodu.

- Spróbuj zawołać na cały głos: Sułtan!

Murzyn poczał wołać z całej siły, aż echo rozlegało się po lesie. Potem
umilkł, pies także się nie odzywał więcej.

- Teraz jestem pewny, że to rzeczywiście ten Sułtan – rzekł myśliwy. -
Zawołaj jeszcze, ale łagodniej, pieszczotliwie.

Cezar usłuchał i po kilkakroć powtarzał imię Sułtana w sposób wskaza-
ny.

- Pies już biegnie - mówił myśliwy - wołaj jeszcze.

- Sułtan tu, tu Sułtan! - wołał Murzyn, a w teźże samej chwili ogromne
psisko wyskoczyło z zarośli i stanęło przed naszymi wędrowcami. Był to
rzeczywiście Sułtan, który ku wielkiemu zdziwieniu Murzyna zaczął się doń
łasić i lizać mu ręce, czego nigdy dawniej nie czynił. Po chwili odskoczył,
podbiegł w stronę, z której przybył i znów się zawrócił, powtarzając to kil-
kakrotnie.

- Teraz i chłopca odnajdziemy niedługo - szepnął myśliwy i poszedł za
psem.

- O Boże! żeby tylko nie za późno - rzekł Cezar głosem wzruszonym.

Szli przez czas jakiś w milczeniu; wreszcie Serce Prawe zatrzymał się i
pochylił do ziemi.

- Co pan tam zobaczył? - spytał Murzyn niespokojnie.

- Chłopca.

- O mój Boże! czy nie żyje?
- Nie wiem jeszcze, zobaczymy.

Myśliwy podniósł się; trzymał on teraz Dika na swych silnych rękach, lecz nie zdawał się wcale czuć tego ciężaru. Głowa chłopaka spoczywała na jego piersiach, lecz zwieszona była bezwładnie jak u zmarłego. Serce Prawe wyniósł go z zarośli na miejsce odkryte i złożył na posłaniu z mchu i liści, które Cezar naprędce przygotował, po czym przyłożył ucho do piersi chłopca. Murzyn czekał powstrzymując oddech w sobie.

- Żyje - rzekł wreszcie Serce Prawe.
- Żyje! Dzięki Ci, Boże - wykrzyknął Murzyn i w uniesieniu radości dał potężnego susa.
- Nie ciesz się zawczasu - mówił myśliwy poważnie - życie jego wisi na włosku i to tak cienkim, że w jednej chwili może być po wszystkim.
- O, panie! Trzeba go ratować!
- Przede wszystkim poszukaj gdzie wody.
- Idąc tu widziałem mały strumyczek. Polecę i za dziesięć minut będę z powrotem.
- Weźże tę szklankę z sobą - rzekł Serce Prawe i podał mu naczynie skórzane, które wyjął ze swej torby.

Murzyn popędził jak jeleń; nie upłynęło i dziesięć minut, a już powrócił z naczyniem napełnionym wodą. Myśliwy bryznął nią silnie w twarz omdlałego chłopca i parę kropel wlał mu do gardła. Na koniec Dik otworzył oczy i westchnął głęboko. Wzrok jego, nieprzytomny prawie, padł najpierw na Murzyna: przerażenie okropne odmalowało się na twarzy chłopca i znowu zamknął oczy.

- O, jakiż ja głodny - wyszeptał po chwili, ledwo dosłyszalnym głosem.
- Nie dziwię się temu - rzekł myśliwy dźwięcznym, spokojnym głosem.
- Ojczy! - wykrzyknął chłopak otwierając oczy i podnosząc się z wysiłkiem.
- Nie jestem twoim ojcem - mówił tamten łagodnie - ale gotów jestem tymczasem ci go zastąpić. Masz tu kawałek mięsa.

Cezar tymczasem na znak swego pana już wy dostał z torby skrzydło pieczonego indyka, pokrajał je nożem na małe kawałeczki i włożył jeden z nich chłopcu do ust.

- Gdzie ojciec? - spytał Dik zajądając chciwie.

- Ojca twego tu nie ma - odpowiedział Serce Prawe - nie wiem, gdzie się obecnie znajduje.

- Więc ojciec ciebie nie schwytał, Cezarze? - pytał znów Dik - skądże ty się tu wzięłeś?

- Ten pan, dobry pan, Serce Prawe, uratował mię od śmierci i teraz do niego należę.

Tu Murzyn opowiedział w kilku słowach swoje przygody. Dik słuchał w milczeniu i żarłocznie połykał kawałki mięsa, które mu Cezar do ust wkladał.

- Dostyc - rzekł myśliwy - nie można mu naraz dawać jeść tak dużo.

- Mogę poczekać - odrzekł chłopiec - już nie jestem tak okropnie głodny i czuję się zupełnie dobrze.

- To dobrze, jeżeli to tylko głód tak cię osłabił, będziesz jutro zdrów. Pójdiesz teraz z nami do naszego obozu, tam wygodniej się wypisz. Oprzyj się na Cezarze!

Dik musiał sobie przypomnieć okrutną swoją jazdę na Murzynie, gdy ten pocziwiec z największą troskliwością go podtrzymywał i pomagał mu ułożyć się na miękkim posłaniu z mchu i liści.

X

TWIERDZA

Nazajutrz o świcie Dik obudził się jednocześnie z myśliwym i Cezarem. Chociaż czuł się bardzo osłabiony, nie wątpił jednak zrazu, że będzie mógł puścić się w drogę z obu towarzyszami, których mu Opatrzność zesłała. Lecz okazało się wkrótce, iż przecenił swe siły: postępował z wielką trudnością dysząc ciężko i ledwo nogami włączając, co nie uszło uwagi myśliwego.

- Cóż robić - rzekł on zwracając się do Dika - musisz wypocząć, mój chłopcze, bo nie nadążysz za nami. Jeden dzień zwłoki nic nie stanowi; rozłożymy tu obóz, a jutro, gdy będziesz silniejszy, powędrujemy dalej.

Zatrzymali się na szczycie wzgórza, w cieniu kilku wyniosłych drzew; niższych zarośli nie było nigdzie dokoła. Na zachód ciągnął się rozległy step, właściwy, tej okolicy, z innych stron las bezgraniczny jak okiem sięgnąć otaczał wzgórze.

- Jakież to pyszne miejsce na obóz - rzekł Cezar usiłując pocieszyć zamuconego Dika.

- W istocie niezłe - odparł Serce Prawe. - Teraz przede wszystkim trzeba pomyśleć o jakiejś większej zwierzynie; dotychczas brakło nam na to czasu. Zostań tu z chłopcem, Cezarze, a ja powrócę do tej polanki, gdzieśmy nocowali, bo spostrzegłem tam ślady całej gromady jeleni.

I zaledwie wymówił te słowa udał się w drogę, a po chwili wyniosła jego postać znikła wśród gęstwiny leśnej i Dik z Cezarem pozostali sami.

Pierwszy z nich był niezmiernie milczący, tylko wzrok jego często ze szczególnym wyrazem wzruszenia zatrzymywał się na uśmiechniętej twarzy

Murzyna; ten zaś z wielką gorliwością urządzał dla osłabionego chłopca wygodne posłanie z mchu i liści.

- Chodź, usiądź tu przy mnie - odezwał się wreszcie Dik usadowiwszy się na tej miękkiej pościółce.

- Panic jest bardzo dobry dla Cezara - odpowiedział Murzyn siadając przy dawnym swoim prześladowcy.

- Przede wszystkim, proszę cię, nie nazywaj mnie paniczem, tylko po prostu mów mi po imieniu: „Diku” - rzekł chłopiec.

- Ależ ja bym nie śmiał - tłumaczył się Cezar zakłopotany.

- Proszę cię, zrobisz mi tym wielką przyjemność.

- Czy panicz szczerze to mówi?

- Najzupełniej szczerze.

- A więc dobrze, jeżeli Dik życzy sobie tego.

- Zostaw te wszystkie ceremonie i bądźmy z sobą na ty. Jestem młodszy od ciebie i niczym nie lepszy.

- Co też Dik mówi! Ja jestem tylko biedny Murzyn.

- Jesteś najzaczepniejszy w świecie chłopak, dobrym za złe odpłacasz! Ach! Cezarze, czy to być może, żebyś ty naprawdę mnie i bratu memu zupełnie przebaczył okrutne postępowanie nasze z tobą?

- Cezar o wszystkim zapomniał, niechże i Dik nie wspomina o tym więcej.

- Podajże mi rękę na znak zgody i przyjaźni.

Uścisnęli sobie dłonie serdecznie i swobodnie gawędzić zaczęli.

W parę godzin powrócił myśliwy niosąc na plecach tłustego, młodego jelenka. Oczywiście radością błysnęły, gdy spostrzegł poufały stosunek obu chłopców. Nic jednak nie powiedział, ani nie okazał zdziwienia, jak gdyby to było rzeczą zupełnie naturalną. Murzyn rozpałił ogień i wkrótce soczysta pieczeń piekła się na drewnianym rożnie miłą woń roznosząc dokoła. Dik tymczasem umilkł znowu, zamyślił się głęboko i parę razy westchnął z wyraźnym smutkiem.

- Myślisz zapewne o rodzinie - ozwał się Serce Prawe, który odgadł powód smutku chłopca - nie martw się jednak i nie trwóż zbyt. Jak ci to już powiedziałem, ojciec twój i dwaj bracia według wszelkiego prawdopodobieństwa nie wpadli w ręce Indian, którzy porwali tylko siostrę twoją i starego sługę. Że ich jednak nie zamordowali, o tym jestem najmocniej przekonany. Mam nadzieję, że ich wszystkich z pomocą Bożą wyswobodzimy.

A teraz nam opowiedz, jakim sposobem udało ci się wyrwać z rąk Pawni-
sów.

Dik zaczął opowiadać od początku, jak Indianie zakradli się pod palisa-
dę, jak przeskoczyli przez nią i wpadli na dziedziniec, co wszystko już wie-
my; dalej zaś mówił w te słowa:

- Nie mieliśmy jeszcze czasu zamknąć za sobą drzwi mieszkania, gdy
Indianie wpadli tam razem z nami. My z Benem biegliśmy najprędzej. Ja
wdrapałem się po drabinie na strych i ukryłem się pod stosem kukurydzy
tam złożonej. Nie wiem doprawdy, czemu Ben nie poszedł za moim przy-
kładem. Leżąc tak nad pułapem, słyszałem tylko, jak Tobiasz kłął i krzyczał.
Elli ani Bena nie było słychać. Wstyd mi bardzo, że nie próbowałem nawet
ratować kochanej mojej siostrzyczki; oplakałem gorzkimi łzami to tchórz-
stwo, lecz z przerażenia zupełnie straciłem przytomność.

- Niepotrzebnie sobie czynisz wyrzuty - pocieszał go myśliwy - cóż byś
ty mógł poradzić przeciw tak licznym napastnikom?

- Co się dalej stało z Ellą, Benem i Tobiaszem, tego już nie wiem - mó-
wił Dik po chwili milczenia - musiałem chyba zupełnie stracić przytomność.
Jak przez sen przypominam sobie tylko, co się działo ze mną; raz mi się
wydało, że ktoś chodził koło mnie, ale musiało to być przywidzenie. Gdy
przyszedłem do siebie, cicho było w całym domu, słyszałem tylko trzaska-
nie, jakby palącego się drzewa, i dym okropny mnie dusił; wydobywał się z
dołu przez pułap. Przerażony, wyskoczyłem z mojego ukrycia; miałem przy
sobie strzelbę i rożek z prochem. Pobiegłem do drabiny, ale cała już stała w
płomieniach, a ogniste języki dochodziły aż do strychu. Tą drogą uciekać
nie mogłem. Wybiegłem więc na dach, gdzie ojciec urządził małą strzelnicę
i stamtąd zobaczyłem dom cały w płomieniach. Nie było innego ratunku,
jak zeskoczyć z dachu na dziedziniec, a że to było niezbyt wysoko, nic mi się
złego nie stało.

Zaledwie odbiegłem o kilkanaście kroków, gdy dach runął z łoskotem.
Suche belki paliły się nadzwyczaj szybko; jeszcze nie dostałem się do lasu, a
już odwróciwszy się ujrzałem na miejscu, gdzie stał nasz dom, ogromny stos
palącego się drzewa, nic więcej. Tak okropnie obawiałem się pogoni Indian,
że zeskoczywszy z dachu pędem uciekałem do lasu. Nie zatrzymałem się

nawet dopadłszy gęstwiny, biegłem bez odpoczynku coraz dalej; byłem jakby obłąkany, nie mogłem myśli zebrać, ani się zastanowić. W lesie spotkałem poczciwego Sultana; musiał on podczas zamieszania uciec tak samo jak i ja od Indian. Ucieszyłem się niezmiernie na widok wiernego psa, a i on także witał mnie z wielką czułością.

Później dopiero przyszło mi na myśl, że ojciec z Janem wrócą pewnie do osady, więc nie należy się od tego miejsca oddalać. Tymczasem zabiegłem tak daleko w głąb puszczy, że trudno mi było trafić na powrót i, gdyby nie Sultán, który mnie z lasu wyprowadził, może bym sobie i nie był dał rady. Kilka dni i nocy spędziłem przy zgłiszczach naszego domu czekając na ojca i Jana, a co wycierpiałem, i wówczas, i potem błędząc w puszczy, tego wypowiedzieć nie potrafię.

- Wierzę ci, biedaku - rzekł myśliwy - ciężkie was wszystkich nawiedziły ciosy. Lecz z wolą Boga zgodzić się trzeba; on wie, co czyni, pewnie też nie bez celu nieszcześnie to zesłał na was.

- O tak - mówił Dik wzruszonym głosem - Bóg nas ukarał ciężko, lecz sprawiedliwie. I ja, i brat mój Ben zawiniliśmy bardzo. O, jakże jesteśmy upokorzeni i zawstydzeni!

- To dobrze, mój chłopcze, żeś sam już przyszedł do tego przekonania. A teraz powiedz mi jeszcze, czy spostrzegłeś ślady brata twego Bena w lesie, czy też przypadkiem tylko szedłeś czas jakiś tą samą drogą?

- Przypadkiem tylko, panie myśliwy.

- Nazywaj mnie Sercem Prawym bez żadnych ceremonii; to imię jest mi najmilsze.

- Jeżeli Serce Prawe życzy sobie tego, będę posłuszny.

- Wszak ci już powiedziałem, że brat twój Ben napotkał białych myśliwców i znajduje się zapewne pod ich opieką. Obaj więc jesteście bezpieczni.

- A Serce Prawe tyle sobie trudu zadał, aby mię odszukać i uratować. A ten Murzyn poczciwy, z którym obchodziłem się tak okrutnie, stał się moim wybawcą. O mój Boże!

- To dobrze, nie mówmy już o tym. Teraz musimy się namyśleć, jakim sposobem wyrwać twoją siostrę ze szponów Pawnisów.

- Ależ to zapewne nielatwa sprawa.

- Nie tak jednakże trudna, jak ci się zdaje. Jestem zaprzyjaźniony w najserdeczniejszy sposób z innym plemieniem indyjskim, nie mniej potężnym, noszącym nazwę Osagów. Osagowie są odwiecznymi nieprzyjaciółmi Pawnisów i, byłem tylko poprosił ich o to, natychmiast wypowiedzą im wojnę, ja zaś pójdę razem z nimi.

- O Boże! Serce Prawe chciałby to uczynić, by siostrzyczkę moją wyswobodzić? - zawołał Dik składając ręce. - Czymże my potrafimy wywdzięczyć się za takie poświęcenie!

- To nie jest żadne poświęcenie - rzekł myśliwy. - Powinniśmy przychodzić bliżnim z pomocą w potrzebie; to obowiązek chrześcijański.

- A czy to stąd bardzo daleko do tych Osagów? - zapytał Cezar.

- Wcale nie blisko - odrzekł Serce Prawe - najmniej pięćdziesiąt, może i sześćdziesiąt mil.

- Niestety! - jęknął Dik.

- Ileż dni iść trzeba, aby się tam dostać? - pytał dalej Murzyn.

- Nieraz, gdy okoliczności wymagały pośpiechu, przebywałem tę przestrzeń w tydzień, a nawet i prędeej. Teraz także rad bym się dostać jak najspieszniej do moich przyjaciół czerwonoskórych.

- Cezar z pewnością nadaży za panem - rzekł Murzyn.

- Nie wątpię o tym, lecz czy nadaży Dik?

- Kto wie, zobaczymy - odezwał się chłopak.

- Jesteś nadto osłabiony i wycieńczony.

- Gdy powiem sobie, że idzie o ocalenie ukochanej mej siostry, będę silny i wytrzymały.

- To dobrze, możemy spróbować; wprzód jednak posilimy się tą wyborną pieczenią.

W godzinę potem trzej wędrowcy puścili się w drogę i szli nie zatrzymując się do samego wieczora. Dik nie ustawał ani na chwilę, znać było jednak, że szedł z największym wysiłkiem. Przewycięzył wprawdzie zmęczenie, nie skarżył się na żadne cierpienie, położył się i zasnął, lecz sen jego był nadzwyczaj niespokojny. Serce Prawe kilka razy zbliżał się do niego, dotykał ręką jego czoła i smutnie kiwał głową.

- Będziemy musieli podróż przerwać na czas dłuższy – szepnął do Murzyna, który także czuwał jeszcze. - Dik na dobre zachorował, ma silną gorączkę. Jutro rano przyrządzę mu napój orzeźwiający ze znanych mi ziół. Żałuję jednak niezmiernie, że chłopak nie może iść dalej choćby tylko przez dzień jutrzejszy.

- Dlaczegoż przez dzień jutrzejszy? Cóż by nam stąd przyszło?

- Bo o dzień drogi od tego miejsca mam w tej puszczy małą twierdzę, leżącą w tej okolicy, gdzie w razie potrzeby można by bardzo wygodnie na czas dłuższy zamieszkać.

- Twierdza? Ciekawa rzecz, jak też to może wyglądać - mówił Murzyn.

- Jest to schronienie doskonale ukryte i zabezpieczone. Mam tam skład rozmaitych przedmiotów, których zabrać ze sobą nie mogę: trochę odzienia, zapas kul i prochu, nawet i wyborną strzelbę, którą właśnie dla ciebie przeznaczyłem, Cezarze, bo nie chcę, żebyś wędrował w puszczy bez broni.

- O, jakież pan Serce Prawe jest dobry dla mnie! Cóż to będzie za radość dla Cezara, gdy tę strzelbę dostanie! - i Murzyn miał ochotę podskoczyć.

- Żebyśmy tylko mogli dojść do tej twierdzy! To kłopot straszny z tą chorobą Dika.

- Ja bym go mógł doskonale zanieść na plecach, proszę pana - mówił Cezar.

- Wiesz co, to myśl wcale niezła! - odrzekł myśliwy. - Na plecach nie pozwolę ci dźwigać chłopca, ale zrobimy nosze z gałęzi i we dwóch go zanieśmy; to nas nie powinno bardzo zmęczyć.

Nazajutrz okazało się, że stan biednego chorego, jakkolwiek nie pogorszył się znacznie, nic a nic się nie polepszył. Myśliwy zabrał się więc niezwłocznie z pomocą Murzyna do sporządzenia noszy. Niewiele to czasu zabrało. Ułożywszy chorego na miękkiej pościółce z mchu i liści, wzięli nosze na plecy i poszli dalej. Jakkolwiek pośpieszali o ile tylko mogli, nie zdołali jednak z takim ciężarem dotrzeć tegoż dnia do owej twierdzy. Dopiero nazajutrz w godzinach porannych przybyli do prześlicznej malowniczej okolicy. Nie była to już dzika, jednostajna puszcza; roślinność nawet miała tu cechy całkiem odmienne. Pasma niewielkich wzgórz, drzewami porośłych, ciągnęło się w kierunku zachodnim; małe kotlinki, pokryte ukwieconymi łąkami, przecinały w różnych kierunkach lesiste wyżyny. Porozrzucane

tu i ówdzie skały, o kształtach dziwacznych, podnosiły jeszcze urok piękno-
go krajobrazu.

- Jesteśmy na miejscu - rzekł Serce Prawe i zatrzymał się na wierzchoł-
ku pagórka, uwieńczonego licznymi, stromo sterczącymi skałami; u stóp
jednej z największych złożono nosze, na których Dik spoczywał. Skała ta od
dołu była prawie prostopadła, tak iż najzręczniejszy gimnastyk nie zdołałby
się wdrapać na nią, dopiero na wysokości piętnastu stóp co najmniej uka-
zywały się rozpadliny i szpary. Gęste zarośla przytykały do niej, a pośród
zieleni wytryskało u stóp jej źródelko czystej, przejrzystej wody. Tuż obok
wznosiły się dwa piękne drzewa tulipanowe, których wysmukłe pnie docho-
dziły trzydziestu stóp wysokości.

- Na miejscu jesteśmy? - powtórzył Cezar zdziwiony oglądając się bac-
nie dokoła. - Jeżeli to ma być miejsce mieszkalne! Ja bym przysiągł, proszę
pana, że tu nigdy jeszcze stopa ludzka nie stanęła.

- To ustronie ma w istocie taki pozór, co stanowi właśnie największą je-
go zaletę.

Mówiąc to myśliwy zdjął z siebie strzelbę, postawił ją pod drzewem, zło-
żył na ziemi siekierkę i torbę myśliwską, potem z zadziwiającą zręcznością
wdrapał się na pień tulipanowca, najwięcej zbliżonego do skały. Zrównaw-
szy się z miejscem, gdzie stroma ściana poczyniała się rozpadać na szpary,
szczeliny i sterczące cyple, przeskoczył jednym susem z gałęzi na skałę i w
tejże samej chwili znikł z oczu zdumionych chłopców.

Cezar czekał parę minut z widoczną niecierpliwością, wreszcie, nie mo-
gąc wytrzymać, wlaźł także na drzewo tulipanowe, szperał, nigdzie nie do-
strzegł nic podobnego do przejścia do kryjówki, dokąd by człowiek mógł się
schronić, żadnego śladu nie zostawiając po sobie.

- A to dopiero ciekawa rzecz, gdzie on się mógł podziać - mrucał Mu-
rzyn sam do siebie drapiąc się za uchem.

- I cóż tak bardzo ciekawego? - odezwał się w tej chwili tuż obok niego
głos myśliwego.

Cezar obejrzał się, ale i teraz dojrzeć go nie mógł; zdziwienie chłopca do-
szło do ostatecznych granic. A wtem w pobliżu miejsca, na którym siedział,
głaz poruszył się z wolna i niewielka, płaska płyta się podniosła, odkrywając

wąski otwór. Ukazał się w nim Serce Prawe, unoszący na ramionach niezbyt ciężką płytę, którą wreszcie na bok trochę odsunął.

- O! cóż to za wyborna kryjówka - krzyknął Murzyn zachwycony.

- Nieprawdaż? - odrzekł tamten z uśmiechem. - Drugiej podobnej nie znalazłbyś w całej puszczy. Ale chodźże tu bliżej i obejrzyj dokładnie moją twierdzę.

Cezar nie czekał powtórnego wezwania: schylił się i na czworakach wpełznął do ciasnego przejścia, które jednakże bardzo prędko rozszerzać się zaczęło, tak że i Murzyn po chwili mógł się wyprostować.

Przejście to prowadziło do obszernego i wysokiego podziemia; nie było tam zupełnie ciemno, gdyż w ścianach skały ukazywały się liczne szczeliny, wpuszczające do wnętrza światło dzienne i świeże powietrze. Otwory te mogły w potrzebie służyć za strzelnice, a tym sposobem kryjówka ta rzeczywiście zasługiwała na nazwę twierdzy.

W kącie na grubej warstwie miękkiego mchu leżało kilka przepysznych skór niedźwiedzich, a obok nich duża kołdra wełniana, rozesłana na ziemi. W innym miejscu stał stolik, a przy nim ławeczka. Sprzęty te były, rozumie się, bardzo proste: składały się z kilku kijów wbitych w ziemię i splecionych łożyną w sposób, który im kształt żądany nadawał. Taka gęsta plecionka tworzyła i blat stolika, i siedzenie ławeczki.

Na kółkach wbitych w ścianę wisiała owa strzelba, o której wspominał myśliwy; obok niej siekierka i parę noży, dalej róg bawoli olbrzymich rozmiarów, napełniony prochem, worek z kulami, odzienie rozmaite i obuwie. W innym miejscu zawieszony był duży worek skórzany; na zapytanie Murzyna Serce Prawe objaśnił, że to był zapas „pemikanu”; tak nazywają mięso suszone i utłuczone na proszek. Nie brakło i stągiewki na wodę, urządzonej z dużej kłody, wyłobionej za pomocą siekiery i noża. Obok stało i drugie naczynie podobne, choć znacznie mniejsze, zastępujące wiadro do noszenia wody, w tym też celu opatrzone paskiem rzemiennym. Poszukawszy dobrze, znalazłoby się tam jeszcze parę czarek drewnianych, woreczek z solą i różne gospodarskie naczynia.

- Ach! - rzekł Cezar zakłopotany - czy tylko Dik będzie miał siłę wdrapać się na drzewo i przeskoczyć na skałę! On taki osłabiony!

- Ja też go nie myślę tą drogą wprowadzać; pójdź ze mną.

Myśliwy poszedł w najodleglejszy kąt jaskini, podniósł siekiere i ostrze jej wbił w małą, prawie niewidzialną szparkę w ścianie. Za pociśnięciem otwór się powiększył, kamień, zastępujący drzwi, przesunął się na bok i ukazało się ciemne, wąskie przejście.

- Za mną! - powtórzył myśliwy wchodząc sam na czworakach, a Cezar bez wahania puścił się za nim. Przejście to, nieco spadziste, nie było długie, tylko ciemne strasznie, nie dochodził doń żaden promyczek światła. W końcu jednak rozwidniło się nagle, gdyż Serce Prawe usunął znów kamień, zamykający podziemny korytarz od strony zewnętrznej, u samego dołu skały, pośród najgęstszych zarośli. Tu w pobliżu wytryskało źródelko.

- Cóż to za pyszny zamek obronny! - wykrzyknął Cezar z zapałem. - Sądzę, że ta droga nie będzie zbyt uciążliwa dla Dika.

- I mnie się tak zdaje - mówił myśliwy przeciskając się wraz z Murzynem przez zarośla i zbliżając do miejsca, gdzie chory chłopak spoczywał na noszach. Nie bez trudności biedny Dik dowłókł się przez ciemny korytarz do podziemia; zmęczony i zdyszany padł na wygodne posłanie, gdzie zasnął niebawem. Sułtan śmiało poszedł za swoim panem i legł przy nim na ziemi.

Wypocząwszy nieco Serce Prawe wyjął ze szczeliny skały, służącej za schowanko, drabinkę sznurową, z mocnych roślinnych włókien, wyszedł na dach swojego mieszkania, to jest na skałę i do ostrego jej cypla uczepił jeden koniec drabinki, drugi zaś spuścił na ziemię. Była to droga o wiele dogodniejsza niż wspinanie się i spuszczenie z drzewa. Powróciwszy do podziemia myśliwy obejrzał starannie Dika; nie musiał być jednak zadowolony ze stanu chorego, bo czoło jego zasępiło się i wyraz niepokoju ukazał się na twarzy.

- Tak mi się pić chce - szepnął Dik.

- Jak to dobrze, że źródelko tak blisko - rzekł Cezar chwytając wiadro i śpiesząc po wodę.

- Oto masz sznur - wołał za nim myśliwy, podając mu mocną plecionkę z roślinnych włókien - uwiąż wiaderko i spuść je, a łatwo nabierzesz wody.

Dostawszy się na skałę Murzyn spostrzegł zaraz drabinkę, spuszczoną ku ziemi.

- Patrzcież, co to za wygody - mruknął sam do siebie z uśmiechem i nabrawszy wody w wiaderko za pomocą sznura postawił je na skałę, a sam dla wypróbowania drabinki spuścił się po niej i znowu w jednej chwili wybiegł na górę. Świeża woda orzeźwiła chorego, który zdrzemnął się znowu.

- Jak będziesz miał ochotę - rzekł myśliwy do Cezara - to nalej więcej wody w stągiewkę. Mamy tu w fortecy dostateczną ilość żywności, trzeba więc pamiętać, aby i wody nie brakło. Ponieważ zaś liczba mieszkańców się zwiększyła, muszę więc niezwłocznie wybrać się na polowanie, by przynieść jaką większą zwierzynę, której mięso wysuszymy na słońcu. A oprócz tego trzeba będzie wyszukać w lesie jagód, orzechów i smacznych korzonków, bo tu jest wszędzie obfitość tego wszystkiego.

Przewidywanie myśliwego sprawdziło się w zupełności; nie upłynęła i godzina, a już powracał z polowania niosąc na plecach ogromnego, tłustego jelenia. Cezar przez ten czas napełnił stągiewkę wodą i wyszedł jeszcze po coś. Serce Prawe zastał Dika samego; chłopak był niezmiernie smutny i przygnębiony.

- Czy cię tak mocno głowa boli? - spytał myśliwy ze współczuciem. - Czegoś się tak zasępił?

- Głowa mnie boli, lecz nie dlatego jestem taki zmartwiony - mówił chłopiec z westchnieniem. - Myślę o biednej siostrze, o ojcu, o braciach.

- Już ci mówiłem, żeś nie powinien zbyt często się o nich niepokoić, bo możesz się jeszcze gorzej rozchorować.

- Jakże się nie mam martwić - rzekł chłopiec - nie dość, że tu leżę bezczynnie, jeszcze i Serce Prawe, i Cezar muszą przy mnie czas tracić, zamiast śpieszyć na pomoc mojej nieszczęśliwej siostrze.

- W tym rzeczywiście masz słuszość, to bardzo przykry zbieg okoliczności. Można by jednak poradzić i na to. Właściwie nie ma żadnej potrzeby, byście wy obaj z Cezarem towarzyszyli mi w podróży do Osagów. Ja nawet sam jeden daleko prędzej się tam dostanę, aniżeli z wami. Otóż byłoby najlepiej, gdybyś tu został z Cezarem w tej bezpiecznej i wygodnej kryjówce.

- O, mój Boże! Żeby tylko Cezar chciał tu ze mną zostać – rzekł Dik, widocznie uradowany.

- A gdzież to poszedł Cezar? - spytał Serce Prawe.

- Poszedł z siekierą do lasu po suche drzewo.

- To dobrze, ten chłopiec o wszystkim myśli. Ale zdaje mi się, że już powraca.

Rzeczywiście Murzyn wszedł po chwili do podziemia. Był zgrzany i zdyszany, a duże krople potu spływały mu po czole i twarzy.

- Czyż to taka spieszna była robota, żeś się tak zmęczył i spocił? - zapytał myśliwy.

- Przyrzekłem Dikowi powrócić za kwadrans. A myślałem, że skoro pan Serce Prawe chce zaopatrzyć twierdzę w żywność i wodę, to przecież i o drzewie pomyśleć trzeba.

- Masz zupełną słuszność; cieszę się niezmiernie, że jesteś taki roztropny i przezorny. Teraz posłuchaj mnie, mam ci coś ważnego do powiedzenia. Postanowiłem was obu z Dikiem zostawić w tej bezpiecznej kryjówce, a sam podążę nie tracąc czasu do moich czerwonoskórych przyjaciół. Cóż ty na to powiesz?

- O! jakież ja tu będę niespokojny, nim Serce Prawe powróci! - zawołał Murzyn.

- Starajcie się radzić sobie sami. Mam nadzieję, że choroba Dika nie potrwa długo. Obaj przecież umiecie polować, a Cezar obeznany jest z puszcza. Nie zapominajcie jednak o ostrożności.

- Już niech pan będzie spokojny - przerwał Cezar - ja doskonale znam lasy i stepy. Czy to ja mało się nawędrowałem z nieboszczykiem panem Smithem, gdyśmy polowali na żubry!

- Przestroga w każdym razie nie zawadzi - mówił dalej myśliwy - a na wypadek, wielce nieprawdopodobny, gdybyście spostrzegli Indian w okolicy, zdejmijcie tylko drabinkę ze skały i siedźcie cichutko w fortecy, wyglądając ostrożnie przez szpary. Trudno zresztą przypuścić, aby nieprzyjacieli kryjówkę waszą wyszedł. Ale choćby nawet do tego przyszło, jeszcze nie tak prędko dostanie się do niej, jeżeli dopilnujecie, aby ruchome kamienie szczelnie były utwierdzone na swoich miejscach. Byłe tylko twierdza była zaopatrzona w żywność i wodę, możecie się w niej długo utrzymać. W ostatecznym niebezpieczeństwie uciekajcie przejściem, wychodzącym na zarośla.

Nie dlatego mówię wam to wszystko, ażeby was straszyć, lecz przeciwnie, abyście zrozumieli, jak pewne i bezpieczne jest to schronienie, a także, abyście żadnych środków ostrożności nie zaniedbywali.

Cezar i Dik przyrzekli najsolenniejszemu wszystkim te przestrogi zachować w pamięci i polecenia wypełnić. Dnia następnego raniutko, przed wschodem słońca, Serce Prawe puścił się w drogę.

XI

LOSY ELLI

Musimy raz jeszcze cofnąć się do owego strasznego poranku, gdy osada Wattsonów stała się pastwą dzikich Pawnisów i płomieni. Jak wiadomo, zgraja napastników jednocześnie z nieszczęsnymi mieszkańcami wpadła do domu. Indianie rzucili się tak gwałtownie na Ellę i Tobiasza, że chociaż oboje trzymali strzelby w ręku, bronić się nie mieli czasu. Tobiasz zaledwie zdołał uniknąć śmierci zręcznym pochyleniem głowy. Tomahawk, który miał czaszkę roztraskać, przeciął mu głęboko ramię. Obalono starego na ziemię i skrępowano mu tak silnie ręce i nogi, że nie mógł powstrzymać bolesnego okrzyku.

Podobny los zagrażał także zrazu i Elli; ciężkie pięście popychały i szarpały biedne dziewczę bez litości. Wtem dzikie postacie się rozstały i młoda dziewczyna ujrzała przed sobą wojownika indyjskiego okazałej powierzchowności. Uderzony pięknnością i wdziękiem młodej dziewczyny, spoglądał na nią przez chwilę w milczeniu, potem wziął ją za rękę i głośno „hug!” wyrwało się z ust jego. Mała rączka biednej Elli zadrżała w jego szerokiej dłoni.

- Czegóż to blada twarzyczka się boi? - zapytał Indianin ostrym, niemiłym głosem.

- Ja się nie boję - odrzekła dziewczyna, która na równi z ojcem i bratem starszym znała mowę Indian. - Ufam szlachetności wojowników Pawnisów i nie sądzę, aby chcieli obchodzić się okrutnie ze słabą kobietą.

- Tygrys Zębaty weźmie w opiekę Sarenkę Modrooką, posadzi ją przy sobie na koniu i odwiezie do swego „wigwamu”¹. Czy Sarenka zadowolona?

¹ Wigwam, dom w języku czerwonoskórych.

- Bardzo zadowolona - szepnęła Ella nie chcąc drażnić wodza, chociaż serce jej omdlewało ze strachu.

- A tę bladą twarz wy zabierzcie! - wykrzyknął wódz do swoich wojowników wskazując im Tobiasza. - Kobiety nasze dawno już nie widziały białych jeńców, uwiązanych do śmiertelnego pala, będą miały widowisko.

Z dzikim wrzaskiem usłuchali Indianie rozkazu wodza; wywłókszy Tobiasza na dziedziniec zdjęli z niego krepujące sznury, lecz natomiast uwiązali go mocnym rzemieniem do jednego z koni, trzymanyh za uździenice. O ucieczce więc nie było co myśleć.

- A teraz niech ogień pochłonie siedlisko bladych twarzy! - wykrzyknął znowu wódz. Rozkaz ten również spieszenie został wykonany, a kłęby dymu uniosły się ku chmurom.

Tymczasem wódz wyprowadził Ellę na dziedziniec. Na skinienie jego jeden z Pawnisów przyprowadził przepyszny, białego jak mleko, konia, na którym wódz umieścił młodą dziewczynę i sam obok niej usiadł. Rumak zarżał i pomknął w stronę lasu, dokąd inni Indianie pośpieszyli za wodzem. Biedny Tobiasz pieszo bieć musiał za koniem, do którego był uwiązany, co było dlań okropną męczarnią, tym bardziej, że krew płynęła mu z nie opatrzonej rany.

Gdy Tygrys Zębaty uwoził ją szybkim pędem przez błonia, Ella nieznacznie zdjęła z szyi tasiemeczkę aksamitną i rzuciła na ziemię. Przyszło jej na myśl, że ojciec i brat mogą ten znak znaleźć i domyśleć się, co się z nią stało. Wódz na szczęście nie spostrzegł jej ruchu i tasiemeczka uleciała z wiatrem na pola. Później, gdy dojechali do lasu, dziewczyna wyjęła nożyk, który zawsze nosiła w kieszeni, i trzymała go w ręce. W chwili, gdy koń podskoczył gwałtownie, udając wielki przestach obie ręce podniosła do góry i zręcznie upuściła nożyk na ziemię, z przykrością jednak spostrzegła, że wpadł pod zarośla. Tygrys Zębaty i tym razem nic nie zauważył.

Zgraja dzikich dłuższy czas już pędziła z jednakowym pośpiechem. Tobiasz upadał prawie ze znużenia z największym wysiłkiem biegnąc za kłusującym koniem.

W tej chwili jeden z wojowników przyskoczył do wodza. Był to młodzieniec lat osiemnastu najwyżej, wyniosłej i kształtnej postaci.

- Czego żąda brat mój, Jeleń Wrzący? - zapytał wódz przybyłego uprzejmie i z odcieniem szacunku.

- Błady człowiek jest wycieńczony jak stary żubr, trafiony strzałą w serce - rzekł młody Indianin głosem łagodnym i dźwięcznym.

- Jeleń Wrzący może kazać wsadzić jeńca na konia, póki nie przyjdzie do siebie - odpowiedział Tygrys Zębaty. - Jeleń ma prawo rozkazywać, jest przecież wodzem, tak samo, jak i brat jego, Tygrys Zębaty.

- Dobrze - odrzekł młody Indianin i odjechał.

Przez czas tej krótkiej rozmowy wzrok jego utkwiony był nieustannie w śmiertelnie bladej twarzyczce Elli. Odjeżdżając odwrócił się raz jeszcze i spojrzał na nią. Dziewczyna także popatrzyła na niego i ze zdziwieniem spostrzegła na ustach młodzieńca uśmiech szczególny, bardzo życzliwy; skinął jej nawet głową przyjaźnie.

„O gdybym mogła zbliżyć się do tego Jelenia Wrzącego - pomyślała Ella - musi on być daleko lepszy od wszystkich innych i z pewnością by mi dopomógł”.

Jazda trwała do południa; po drodze spotykano ciągle nowe gromadki Indian na koniach, a wszystkie przyłączyły się do oddziału Tygrysa Zębatego. Ella była już bardzo zmęczona, gdy wreszcie jeźdźcy się zatrzymali i Tygrys zszedł ją z konia. Z rozmowy Indian młoda dziewczyna zrozumiała, że przybyli w te strony jedynie po to, aby zniszczyć osadę jej ojca, a teraz po dokonaniu tego dzieła mają zamiar niezwłocznie powracać do głównych swych koczowisk.

Dziewczyna od najpierwszej chwili gdy wpadła w ręce Pawnisów, ciągle myślała o ucieczce, chociaż to wcale nie łatwa była sprawa, gdyż pilnowano jej dobrze, zwłaszcza Tygrys Zębaty ani na chwilę nie spuszczał jej z oczu. Lecz ufała Opatrzności sądząc słusznie, że miłosierna ręka Boża wskaże sposób wyzwolenia jej z tej strasznej niewoli, jeśli na tę łaskę zasłuży.

Wypoczynek południowy przeciągnął się kilka godzin. Ponieważ Ella była pod opieką naczelnego wodza, wszyscy wojownicy okazywali jej uszanowanie, co ją tak ośmieliło, że sama weszła w tłum Indian. Nie uczyniła tego bez celu. Przede wszystkim szło jej o to, aby się zobaczyć z Tobiaszem i choć słówkiem go pocieszyć. Po wtóre zaś chciała się bliżej poznać z Jeleniem Wrzącym.

Odszukała wkrótce biednego Tobiasza, który odzyskał wprawdzie przytomność, lecz upadał ze znużenia. Pomimo to nie zdjęto mu więzów z ramię i rąk, chociaż opuchnięte były wskutek silnego skrępowania.

- Mój biedny, poczciwy Tobiaszu - mówiła Ella ze łzami w oczach - jakże ty się czujesz?

- Bardzo niedobrze - odpowiedział stary sługa słabym głosem. - Rana na ramieniu okropnie boli, ale najwięcej mi dokuczają te więzy.

- Może ja potrafię rozluźnić je trochę - szepnęła Ella pochyłając się nad nim.

- Na miłość Boga! - odrzekł Tobiasz równie cicho. - Niech panienka da spokój, bo gdyby który z tych łotrów to spostrzegł, mogłoby być nieszczęście.

- Muszę jednak spróbować - mówiła dziewczyna i usiadła tuż obok jeńca na ziemi.

Dotychczas otaczający ich Indianie udawali, że nie zwracają uwagi na rozmowę Elli z Tobiaszem, lecz było to tylko pozorne, bo w rzeczywistości ani na chwilę nie spuszczała z oczu obojga. Zaledwie dziewczyna przysunawszy się bliźutko do jeńca zaczęła nieznacznie, jak się jej zdawało, rozsuwać krępujące go sznury, nagle zjawili się dwóch olbrzymich Pawnisów, którzy w mgnieniu oka pochwycili Tobiasza na ręce i odnieśli go w inne miejsce zostawiając Ellę samą. Kilku innych stanęło przed nią, w pewnej wprawdzie odległości, lecz groźne ich spojrzenia dostateczną były dla niej przestroga, aby się miała na baczności.

Żałość wielka ścisnęła serce Elli, zakryła twarz rękoma i cicho płakać zaczęła. Po chwili uczuła lekkie dotknięcie czyjejs dłoni na swoim ramieniu, a głos, który poznała od razu, zapytał:

- Czegóż to Sarenka Modrooka tak płacze?

Obejrzała się i spotkała się z pięknym, łagodnym wejrzeniem Jelenia Wrzącego.

- Jeleń Wrzący niepotrzebnie o to pyta - rzekła rozżalona. - Widzę, że Pawnisy z rozkoszą patrzą na lzy i cierpienia swych jeńców.

- Siostra moja może śmiało serce swoje otworzyć przed Jeleniem Wrzącym.

- Chciałabym opatrzyć ranę biednego jeńca i obłożyć ją sokiem gojących roślin.

- Niech Sarenka Modrooka dogodzi litościwemu swemu sercu - rzekł Jeleń Wrzący i własną ręką rozszerzył otwór, przecięty ostrzem tomahawka w odzieniu Tobiasza, aby ranę odkryć. Rana ta rzeczywiście nie była głęboka, i tylko utrata krwi zmęczyła starego. Podczas gdy Ella obmywała ranę, a potem przykładła do niej kawałeczek płótna z własnej chusteczki oddarty i umoczony w soku pewnej rośliny, obficie wszędzie rosnącej, Jeleń Wrzący podszedł do ogniska, przy którym wojownicy obracali na różnie smaczną pieczeń żubrzą. Wyjął nóż, uciął spory kawał mięsa i przyniósł go Tobiaszowi.

- Masz, jedz - rzekł krótko do jeńca. Potem, zwracając się do Elli, mówił tonem proszącym raczej niż rozkazującym: - Niechże moja siostra już stąd odejdzie.

Dziewczyna usłuchała natychmiast, czuła bowiem, że i tak niemało dokazała. Usiadła więc spokojnie pod drzewem, opodal od Tobiasza, i nie ruszała się więcej, tylko wzrok jej, pełen wdzięczności, zwracał się kiedy niekiedy na młodego Indianina, który jej tyle okazał współczucia.

Tygrys Zębaty przebudził się wkrótce: na dany przez niego znak wojownicy dosiedli koni i udali się w dalszą drogę.

Wieczorem kawalkada dotarła do końca lasu, poza którym rozpoczynał się step niezmierny. Tygrys Zębaty zatrzymał się i oznajmił swoim wojownikom, że ma zamiar jedną dobę przebyć w tym miejscu i urządzić wielkie łowy. Indianie zajęli się tymczasem zwykłymi przygotowaniami do noclegu; rozpalono kilka wielkich ognisk i dokoła obozu ustawiono strażę. Wojownicy zasiedli przy ogniskach. Po większej części milczący byli i zadumani; niektórzy tylko ze starszych opowiadali młodzieży o bohaterskich swych czynach, przy czym często przechwalali się i chełpili w najśmieszniejszy sposób. Wkrótce jednak sen ich począł morzyć po całodziennych trudach; jeden po drugim rozciągał się na miękkiej trawie i usypiał. Każdy miał skórę żubrzą, która mu na koniu zastępowała siodło, teraz zaś służyła za kołdrę, gdyż noc była dość zimna. Na gorące prośby Elli Tygrys Zębaty pozwolił jej spędzić noc obok Tobiasza; pamiętał jednak o tym przezorny wódz, aby

dobrze nad obojgiem czuвано. Młoda dziewczyna i z tego była rada, że mogła rozmawiać ze starym sługą, pocieszyć go i dodać mu otuchy; smutny jego los więcej ją od jej własnego niepokoił.

- Ach, panienko! - rzekł Tobiasz - co tu mówić; niedobrze jest z nami, bardzo niedobrze, a później może być jeszcze gorzej.

- Nie upadajmy jednak na duchu - odrzekła Ella - ja nie tracę nadziei. Zastanów się, czyż możliwe, aby ojciec i Jan nie pomyśleli o uratowaniu nas z niewoli?

- Ja tam niewiele już mam nadziei - mówił Tobiasz. - Na własne uszy słyszałem, jak ci dzicy mówili między sobą, że gotują przyjemne widowisko dla swoich żon i dzieci, a ja mam główną rolę w nim odegrać. Na nieszczęście nasłuchiłem się już nieraz o tych przedstawieniach, wiem dobrze, co mnie czeka.

- Uspokój się, mój dobry Tobiaszu, nie przyjdzie do tego; wierzaj mi, ojciec i Jan nas nie opuszczą.

- Jeżeli sami nie wpadli do tej pory w ręce Pawnisów.

- To być nie może; gdyby byli schwytani, toby ich tu zaraz przyprowadzono do głównego obozu.

- A czy to panienka jest pewna, że ich jeszcze jutro nie przyprowadzą? Ha, wszystko w ręku Boga! Największe to jednak strapienie, że nie wiemy, co się mogło stać z chłopcami, z Benem i Dikiem.

- Ufajmy Bogu, On czuwa nad nimi - odezwała się młoda dziewczyna po chwili milczenia. - Ale i sami rąk nie opuszczajmy, starajmy się ratować własnymi siłami, a i Bóg nam dopomoże.

- Bardzo słusznie i pięknie panienka mówi.

- Otóż moim zdaniem powinniśmy wziąć na odwagę i popróbować ucieczki; sposób obmyśli się powoli, stosownie do okoliczności. Ja mam nadzieję, że Indianie z czasem przestaną nas strzec tak czujnie jak teraz, jeżeli się o to postaramy. Słyszałam o ich zwyczajach i jestem pewna, że w ciągu tej podróży nieraz naumyślnie pozostawią nas bez dozoru, lecz będzie to tylko próba; nie dajmy się więc wyprowadzić w pole i nie korzystajmy z tego pozornego niedbalstwa, bo wkrótce by nas pochwycili. Gdy jednak zobaczą raz i drugi, że dobrą sposobność opuszczamy i nie mamy ochoty

uciekać, nie będą sobie tyle kłopotu zadawali z pilnowaniem nas i wówczas zobaczymy, co czynić wypadnie. Cóż ty o tym myślisz, Tobiaszu?

- Podziwiam mądrość i odwagę panienki. Ale ciszej, bo jakiś Indianin tu idzie.

Jeden z wojowników Pawnisów zbliżał się do nich, idąc prawie bez szelustu po trawie.

- To Jeleń Wrzący - szepnęła Ella. - Czego on może od nas żądać?

Jeleń Wrzący, gdyż on to był rzeczywiście, nadszedł tymczasem, niosąc na plecach ogromną skórę żubrzę, która mu spadała aż po kostki.

- Noc jest zimna - rzekł młody Indianin półgłosem. - Niech Sarenka Modrooka okryje się tą skórą.

I mówiąc to podał skórę Elli.

- Dziękuję serdecznie - odezwała się młoda dziewczyna - ale Jeleń Wrzący potrzebuje pewnie tego okrycia dla siebie.

- Wcale nie - odpowiedział Indianin - wojownicy nie mają zwyczaju się pieścić, powinni znosić zimno i gorąco. Jeleń Wrzący jest silny i zahartowany, a Sarenka powinna ciepłej się okryć.

- Jeleń Wrzący jest dzielnym i szlachetnym wojownikiem - odezwał się Tobiasz, wiedział bowiem, jak Indianie lubią pochlebstwa - nie wątpię, że będzie kiedyś znakomitym wodzem.

- Jeleń Wrzący niedługo wodzem zostanie - odrzekł młody Indianin z odcieniem zadowolonej dumy - już i dziś wszyscy wojownicy szanują go jak wodza.

Wymówiwszy te słowa odszedł równie cicho, jak przyszedł, i niezbyt daleko od nich sam do snu się ułożył na trawie.

XII

POLOWANIE NA ŻUBRY

Dnia następnego raniutko Tygrys Zębaty w towarzystwie kilku wojowników wybrał się na przejażdżkę po stepie; chciał upatrzeć stado żubrów, by wyprawić wielkie łowy. Ranek był prześliczny. Konie parszając wesoło chyżo unosiły jeźdźców przez błonia rozległe, porośnięte bujną trawą; gdzie okiem spojrzeć, wszędzie ciągnął się step niezmierny, z rzadka tylko przerywany kępami drzew i krzaków, przez myśliwców zwanych wysepkami. Wyglądało to zupełnie jak wspaniały park, lecz park olbrzymich rozmiarów, do jakich dzieła ludzkie dojść nie zdołają.

Liczne ślady żubrów krzyżowały się na stepie w rozmaitych kierunkach, lecz Tygrys Zębaty wszystkie omijał obojętnie; dopiero po dłuższym przeciągu czasu zatrzymał wierzchowca i skinął na jednego ze starszych Indian.

- Co powie Przedrzeźniacz na te ślady? -, zapytał.

- Są bardzo świeże, przed godziną zaledwie wydeptane - odpowiedział wojownik, Przedrzeźniaczem zwany, obejrawszy dokładnie ślady. - Żubry muszą być stąd bardzo niedaleko.

- Przedrzeźniacz dobrze mówi - rzekł wódz i skierował konia za śladami, które szły w kierunku pobliskiego wzgórza. Wjechał na wierzchołek jego, a towarzysze podążyli za nim. Tu nagle niespodziewany widok uderzył ich w oczy... W kotlinie pomiędzy dwoma wzgórzami, a nawet na ich stokach, pasło się spokojnie ogromne stado żubrów.

- Polowanie będzie niezłe - rzekł Tygrys Zębaty.

- Setki żubrów można by zabić z łatwością - potwierdził Przedrzeźniacz.

- Nie ma czasu do stracenia - mówił dalej wódz spiesźnie zawracając konia i popędził tą samą drogą, którą tu przybył. Mała gromadka jeźdźców w parę godzin stanęła w obozie. Tygrys Zębaty wydał w kilku słowach stosowne rozporządzenia i wnet wśród tłumu Indian zawrzało jak w ulu. W mgnieniu oka prawie pochwymano konie pasące się na łące; okielzanie ich także nie trwało długo; każdy jeździec zacisnął tylko szczęki swego wierzchowca uździenicą, z cienkich rzemyków splecioną, końce jej wziął w ręce i wskakując na konia już był gotów. Łuki i zapas strzał mieli wszyscy przy sobie.

Jeleń Wrzący przystąpił do Elli, która siedziała i teraz obok Tobiasza, pogrążona w smutnych myślach, nie zważając prawie na ruch niezwykły, panujący w obozie.

- Czego Sarenka Modrooka taka zasmucona? - zapytał młody Indianin łagodnie.

- Czyż mogę być wesola i spokojna? - odrzekła Ella żałośnie, lecz przy tym z wyrazem przychylności spojrzała na młodzieńca.

- A może Sarenka zechce teraz zobaczyć nasze polowanie? To ją pewnie zabawi i rozerwie.

- Nie jestem usposobiona do zabaw i rozrywek...

- Polowanie będzie pewnie wspaniałe i widok jego zająłby Sarenkę z pewnością - nalegał Indianin.

Ella wahała się jeszcze chwilę, w końcu rzekła:

- Pojadę, jeżeli Jeleń Wrzący tego sobie życzy. Czy tylko wódz pozwoli?

- Jeleń Wrzący nie jest już dzieckiem i nie potrzebuje pozwolenia wodza. Za dni kilka sam zostanie wodzem plemienia potężniejszego niż plemię Tygrysa. Wojownicy Jelenia Wrzącego wybrali się na wspólną wyprawę ze swoimi braćmi, lecz są tu pod rozkazami syna własnego wodza. Niechże Sarenka Modrooka nie zważa wcale na Tygrysa Zębatego, bo jest teraz pod opieką Jelenia.

Dziewczyna z nie tajoną radością słuchała tych słów młodego Indianina; ponury Tygrys Zębaty, chociaż jej żadnej krzywdy nie wyrządził, odpychał ją, a nawet przerażał niemilą powierzchownością swoją. Teraz czuła się spokojniejsza i w duchu dziękowała Bogu za tę pociechę.

Tymczasem Jeleń Wrzący przyprowadził konia, okrytego skórą żubrzą,

i usadowił na nim Elle. W tej chwili nadjechał Tygrys Zębaty i spojrzął na nich zachmurzonym wzrokiem.

- Jeleń Wrzący bawi się, zamiast myśleć o polowaniu - rzekł przytłumionym od gniewu głosem.

- Jeleń Wrzący nie potrzebuje zdawać sprawy wodzowi ze swoich czynności - odpowiedział młodzieniec wyniośle, a z oczu jego strzeliły także błyskawice gniewu.

- Mniejsza o to - mówił Tygrys łagodniej, nie chciał bowiem wobec wojowników rozpoczynać kłótni z synem znakomitego wodza. - Mój brat ma prawo robić, co mu się podoba. Tygrys Zębaty jest mu przyjacielem i tylko jako przyjaciel zapytuje, po co to Jeleń Wrzący posadził Sarenkę Modrooką na konia?

- Sarenka Modrooką pojedzie na polowanie.

- Mój brat zapomniał widocznie, że ta błada dziewczyna jest niewolnicą Tygrysa Zębatego.

- Sarenka Modrooką nie należy wyłącznie do Tygrysa, bo sprzymierzone plemiona Pawnisów mają równe prawa do zdobyczy - odparł śmiało młodzieniec.

- Mój brat trochę za wiele sobie pozwala - rzekł wódz z trudnością złość powstrzymując - ale to mała rzecz. Jeśli Jeleń Wrzący chce dla zabawki zabrać bladą twarz na polowanie, to czemuż by nie miał tego uczynić? Tygrys Zębaty i Jeleń Wrzący nie posprzecząją się przecież o taką drobnostkę, bo są wiernymi przyjaciółmi.

I oddalił się szybko. Lecz Ella przełękała się wyrazu jego twarzy, gdy odjeżdżając raz jeszcze rzucił wzrokiem na nią i na młodego Indianina.

- Jeleń Wrzący niepotrzebnie obraził wodza - odezwała się po chwili milczenia, a w głosie jej brzmiał niepokój.

- Jeleń Wrzący nikogo się nie obawia - odpowiedział młodzieniec z pogardliwym uśmiechem. - Tygrys Zębaty nie odważyłby się nigdy rozpocząć kłótni z synem największego wodza Pawnisów:

Tygrys zostawił kilkunastu wojowników na straży przy Tobiaszu, inni wyruszyli na łowy, wódz jechał na czele, zaś Jeleń Wrzący z Ellą zamykali pochód. Młoda dziewczyna z rozkoszą oddychała powietrzem, nasyconym wonią kwiatów stepowych. Wspaniały krajobraz zachwycał jej oczy, jazda na rączym koniu ożywiła ją i odurzyła tak przyjemnie, że zapomniała na chwilę

o troskach, oczy jej zabłysły prawie wesoło i rumieniec wykwitł na bladej twarzy. Spozstrzegł to Jeleń Wrzący i widocznie był ucieszony. Starał się rozerwać ją rozmową, a Ella zadawała mu różne pytania, gdyż wszystko, co widziała, zajmowało ją niezmiernie.

Wśród rozmowy czas upływał jej szybko i ani się spostrzegła, gdy gromadka Indian dojechała do miejsca przeznaczenia. Stado żubrów nie opuściło stanowiska, posunęło się tylko cokolwiek dalej po spasieniu trawy na pewnej przestrzeni; a ta przestrzeń, którą po sobie zostawiało, była tak całkowicie ogołocona z trawy, że wyglądała jak pole świeżo zorane.

Było to około południa; żubry wycoczywały leżąc wygodnie na trawie i przeżuwały lub przeciągały się leniwie. Indianie objechali poza wzgórzami w taki sposób, że zwierzęta zwietryły ich dopiero, gdy już byli dość blisko. Spozstrzegłszy jeźdźców poczęły okazywać wielki niepokój. Tysiące łbów kosmatych podniosło się w górę i ryk przygłuszony, jakby odgłos gromu, rozległ się dokoła w powietrzu. Po chwili stado całe porwało się na nogi i pędem pomknęło po stepie, lecz Indianie dogonili je prędko: żubry nie mogły iść z końmi w zawody. Każdy strzelec wybierał sobie młodego żubra lub tłustą samicę, bo mięso starych samców jest twarde i niesmaczne, a pędząc obok upatrzonej zdobyczy, przesywał ją strzałami, dopóki nie upadła. Konie, przyuczone do tego rodzaju polowania, raz wypuszczone za żubrem, wybranym przez jeźdźcę, goniły już same nie potrzebując kierowania. Strzelec wówczas całą uwagę skupiał na uciekającym zwierzęciu, a strzała jego, z bliska wypuszczona, zawsze trafiała do celu, gdzie zaś jedna nie starczyła, tam druga i trzecia niechybnie zadawały cios śmiertelny. W chwili gdy strzała świszcziała w powietrzu, roztropny wierzchowiec natychmiast odskakiwał w tył, aby uniknąć uderzenia kopyt rozjuszonego żubra, gdyż nawet śmiertelnie raniony zwierzę rzadko kiedy pada od razu. Konie Pawnisów były widocznie doświadczone pod tym względem i umiejętnie przyuczone do polowania.

Już mnóstwo zabitych żubrów pokrywało błonie, a Indianie, uniesieni zapałem polowania, wciąż jeszcze gonili za uciekającym stadem i zatrzymali się dopiero, gdy konie ich, zdyszane, ustały zupełnie. Nie odbyło się bez

wypadków: tu i ówdzie leżał koń, który nie zdążył w porę odskoczyć i strawiony kopytami padł obok żubrów na placu. Tam znów dogorywał jeździec, zrzucony przez konia, oszalałego z bólu i strachu. Kto raz wpadł pomiędzy rozbiegane stado, ten nie mógł wyjść cało z tej przygody. Niemalże też ludzi i koni poniosło większe lub mniej znaczne rany.

Jeleń Wrzący był tak uprzejmy dla Elli, że nie brał udziału w polowaniu, aby jej nie odstępować; stali obok z boku i patrzyli, a rzeź ta przykre wrażenie wywarła na młodej dziewczynie.

- Mnie się zdaje - rzekła - że Indianie za dużo zwierzyny zabili. Nie będą mogli nawet zabrać wszystkiego.

- O, zapewne! - odpowiedział Jeleń Wrzący, który spoglądał błyszczącymi oczyma na towarzyszy, goniących za zwierzyną. - I połowy nie zbiorą.

- Więc po cóż tyle zwierząt mordują?

- Bo polowanie sprawia im przyjemność.

- Ale jak zaczną tak nieogłędnie polować, to ilość żubrów na stepach co rok zmniejszać się będzie.

- Indianin nie myśli o tym. Zwierzyna była wczoraj, jest dziś i jutro pewnie się znajdzie.

- Więc połowę tylko tych zabitych żubrów zabiorą Indianie? - mówiła Ella po chwili milczenia. - A coż się stanie z resztą?...

- Wilki i sępy będą miały na długo pożywienie. Sarenka Modrooka nie potrafiłaby zliczyć, ile to żubrów zabijają po to tylko, aby z nich kudły zebrać.

Podczas tej rozmowy podjechali do miejsca, gdzie leżał stary żubr olbrzymiej wielkości, zabity wraz z innymi w zapale polowania, chociaż mięso jego na nic się przydać nie mogło. Długość ogromnego zwierza wynosiła dwa metry i pół, wysokość od kopyt do grzbietu dwa metry. Ważyć mógł co najmniej dwadzieścia cetnarów. Przednia część jego ciała znacznie była wyższa od tylnej i zadziwiająco miała rozmiary. Szyja krótka i gruba podtrzymywała łeb potężny, uzbrojony niedużymi, lecz silnymi, lekko wygiętymi rogami. Cały przód tułowia zwierzęcia porośnięty był ciemną, szarobrunatną sierścią, która na grzbiecie, na karku i na łbie nad oczyma przedłużała się w kudły, tworzyła bujną grzywę i łączyła się z podobną brodą. Tył

ciała pokryty był znacznie krótszą sierścią. Rogi, racice i pysk odbijały od reszty ciała barwą całkowicie czarną.

Łowy były ukończone. Indianie zabrali porządny zapas mięsiwa i skór, lecz mnóstwo żubrów nie tkniętych pozostało na stepie. Gromady wilków krążyły już teraz dokoła, a ptactwo drapieżne krakało w powietrzu. Jeźdźcy puścili się z powrotem do obozu, lecz dojechali tam dopiero wieczorem, gdyż wieźli kilku rannych, którzy nie mogli jechać prędko.

Ella nie żałowała wcale, że się dała nakłonić do przejażdżki, gdyż widok tego niezwykłego polowania zajął ją niezmiernie; po powrocie raz jeszcze podziękowała serdecznie Jeleniowi Wrzącemu, który ją namówił, aby mu towarzyszyła.

- Sarenka Modrooka może liczyć na przyjaźń Jelenia Wrzącego - odrzekł młody Indianin z uśmiechem i odszedł. Młoda dziewczyna później dopiero miała się dowiedzieć o przyczynie tej osobliwej życzliwości Jelenia Wrzącego.

XIII

CHYBIONE USIŁOWANIA

Było już około północy. Niebo zachmurzyło się z wieczora i silny wiatr powiał od stepu na obóz indyjski. Kiedy niekiedy błysła gwiazdka na niebie, lecz znikła po chwili pod osłoną gęstych, ciemnych chmur, które wiatr pędził szybko.

W obozie Pawnsów panowała cisza głęboka. Przewidując deszcz w nocy Indianie urządzili sobie szałasy z gałęzi i wszyscy się w nich schronili.

Za staraniem Jelenia Wrzącego szałas Elli doskonale był opatrzony. Niezbyt daleko leżał Tobiasz pod lżejszą i mniej wykwintną budką z gałęzi. Wszystkie inne szałasy ustawione były w ten sposób, że jeńcy znajdowali się w samym środku i dość odosobnieni.

Poza obozem stał Indianin na warcie, wsparty o pień drzewa, Był to ogromny, silny wojownik, w ręku jego błyszczało ostrze tomahawka; wzrok miał utkwiony w pobliską kępę drzew, niewiele jednak mógł dojrzeć w ciemności. Walczył on widocznie ze znużeniem, opanowującym go coraz silniej. Przeszedł się parę razy tam i na powrót, chcąc się rozruszać; niewiele to pomogło, więc znów oparł się o drzewo i stał nieruchomy.

Nie zdołał jednak pokonać zmęczenia i wkrótce głowa jego pochyliła się na piersi, a oddech głęboki chociaż niezbyt głośny zdradzał dostatecznie, że Pawnsi usnęli, pomimo tak niewygodnej postawy.

Tymczasem o trzy lub cztery kroki od śpiącego Pawnsa działy się rzeczy dziwne i niezwykle. Pod rozłożystym kasztanem ciemna postać ludzka leżała skulona na ziemi, najlżejszym poruszeniem nie zdradzając swej obecności. Można by ją było wziąć za martwą, gdyby nie oczy, błyszczące jak dwa płomienie, wlepione w miejsce, gdzie Pawnsi, stojący na warcie, tak niedbale

obowiązki swe spełniał. Człowiek ten prawdopodobnie długo tam czatował czekając chwili sposobnej.

Teraz dopiero gdy Pawnsis mocno usnął, skulona postać poczęła się nieco poruszać. Cicho, bez najmniejszego szelestu, wyciągnęła się jak wąż na trawie i wolno posuwała się w kierunku innego zarośla, o dwadzieścia lub trzydzieści kroków oddalonego. Za zbliżeniem się pełzającej postaci, zza krzaka wysunęło się cicho trzech ludzi i wszyscy zamienili pomiędzy sobą jakieś znaki najcichszym szeptem nie przerywając milczenia. Nareszcie tamci trzej pokładli się także na ziemi, popełzli ostrożnie i bez szelestu za pierwszym. Posuwali się jak duchy, jakby nie dotykali po drodze ani gałązek, ani liści suchych. Uplęło dość czasu, nim dotarli do celu; celem tym był Pawnsis, uśpiony na warcie.

Dwóch przepęzło doń blisko z prawej i lewej strony; jeden z szybkością błyskawicy przykrył mu usta dłonią, drugi trzymał głowę, dwaj inni przybyli wnet z pomocą i w przeciągu chwil kilku skrupowano i zakneblowano rozbudzonego tym nagłym napadem Pawnsisa tak doskonale, że ani pisnąć, ani poruszyć się nie mógł. Wszystko to odbyło się bez najmniejszego szelestu, nic nie przerwało ciszy nocnej ani na chwilę.

Jeden z pogromców Pawnsisa, ten sam, który go tak długo był szpiegował zza kasztana, zdjął mu teraz z głowy strój z piór i włożył na siebie, zabrał skórę żubrzą, służącą mu za okrycie, sam się nią owinął, a trzej inni zanieśli skrupowanego Indianina w zarośla.

Wszyscy czterej szepotali przez chwilę pomiędzy sobą, potem się rozdzielili, zaś człowiek przebrany w strój pokonanego Pawnsisa skierował się do obozu. Trzej towarzysze jego oddalili się w inną stronę i wkrótce napotkali gromadkę złożoną z dziesięciu ludzi, z którą się połączyli. Pomiędzy nimi nawet i w mroku nocnym można było odróżnić dwóch białych, pozostali byli Indianami. Człowiek zakradający się do obozu Pawnsisów był również czerwonoskóry. Postępował on śmiało pomiędzy szałasami, unikając jednak niepotrzebnego hałasu. Bystry wzrok jego wkrótce odkrył dwa szałasosobnionne, w których Ella i Tobiasz spoczywali, do tych bez wahania kroki swe skierował.

Nie jeden Pawnis, ze snu zbudzony, podniósł głowę i spojrzął na niego, lecz dostrzegłszy postać owiniętą w skórę żubrzą, z piórami na głowie, każdy spokojnie na drugi bok się przewracał w przekonaniu, że warty się zmieniają.

Dopiero w pobliżu środkowych szałasów Indianin, który tak zręcznie udawał skrępowanego Pawnisa, położył się na ziemi i zaczął z największą ostrożnością pełzać jak wąż, a zbliżywszy się do szałasu Elli zajrzał do niego i uśmiech zadowolenia pojawił się na jego twarzy. Młoda dziewczyna spała na posłaniu z mchu i liści, owinięta w ciepłą skórę żubrzą, którą ją dobry Jeleń Wrzący obdarzył. Sen jej nie był jednak spokojny; ciche jęki i westchnienia wyrywały się z piersi biednej Elli, musiała marzyć o ojcu i braciach.

Czatujący przy szałasie Indianin wpełznął do środka, powstał, wyjął spod skóry żubrzej, którą był owinięty, jakiś przedmiot i wcisnął go dziewczynie do ręki. Potem cofnął się znowu i położył u progu na ziemi, a po chwili pociągnął lekko za brzeg skóry, która dziewczynie za koldrę służyła.

Ella natychmiast się przebudziła, usiadła na posłaniu i spostrzegła, że jej coś z ręki wypadło. Podniosła ów przedmiot, obejrzała go i na wpół senna mówiła cicho sama do siebie:

- O wielki Boże! Czy to złudzenie, czy rzeczywistość! Wszak widzę tabakierkę mego ojca, on ją zawsze nosił przy sobie. Czyżby to miał być znak, że ojciec i Jan wiedzą już, co się dzieje ze mną i z pomocą mi śpieszą? Ale co tam się rusza? - dodała z niepokojem, gdyż w tej chwili usłyszała szelest kroków tuż obok siebie i ciemna, wysoka postać stanęła przed nią.

- Niech Ella się nie obawia - szepnął głos ledwo dosłyszalny - wojownik z plemienia Osagów przynosi jej wieści od ojca. Ta tabakierka świadczy o tym, że ojciec Elli go przysłał.

- Wojownik z plemienia Osagów? - powtórzyła dziewczyna równie cicho, lecz z odcieniem nieufności. - Skądże ojciec ma znać Osagów?

- Czy Ella pozwoli mi wejść do szałasu?

- Dobrze - odrzekło dziewczę po chwili wahania - chociaż może popełniam nieostrożność.

- Niechże siostra moja usunie wszelki niepokój z serca – mówił Indianin wchodząc do szałas.

Ella tymczasem oprzytomniała trochę i lepiej mu się przyjrzała.

- A jednak wojownik mnie oszukuje - rzekła - bo ja wiem, że Osagowie odmienny strój noszą na głowie; to jest strój Pawnisów.

- Strój ten zabrany był gwałtem Pawnisowi, stojącemu na warcie, ażeby Osag mógł się zakraść do obozu. Pawnisowie łatwo podejść się dają, w dzień nawet niedowidzą, a cóż dopiero w nocy. Siostra moja śmiało zawierzyć może Osagowi, on to włożył jej podczas snu tabakierkę ojca do ręki, aby wiedziała, że spotka przyjaciela na swej drodze.

- Chciałabym wiedzieć, jak się ten przyjaciel ojca mego nazywa, i słuchać go będę z uwagą.

- Orłem Czubatym zowią go jego bracia, jest on wodzem wielkiego i potężnego plemienia Osagów.

- Z przyjemnością teraz posłucham, co Orzeł Czuby mi powie.

I Ella z coraz większą ufnością wpatrywała się w szlachetne rysy znanego nam już młodego wodza. Ten opowiedział jej przygody, wiadome czytelnikom z rozdziałów poprzednich, spotkanie swoje z ojcem jej i bratem, wspólną wędrówkę do osady, w której on był przewodnikiem, a wspomniawszy nareszcie, że musiał się rozstać z nimi z powodu ważnych spraw, nim doszli do domu, tak mówił dalej :

- Ścieżka Osagów krzyżowała się kilkakrotnie z drogami Pawnisów. Orzeł Czuby wysledził wkrótce, że ci nieprzyjaciele jego ludu zaglądali do mieszkania białych ludzi, z którymi się zaprzyjaźnił. Oglądając uważnie ślady znalazł na nich krople krwi. To go niezmiernie zaniepokoiło: obawiał się, aby dzieciom jego przyjaciela nie stało się coś złego. Orzeł Czuby postanowił niezwłocznie pójść wraz z towarzyszami do osady, lecz po drodze napotkał dwóch białych przyjaciół i ci mu opowiedzieli o strasznym nieszczęściu.

- Czy ojciec ma jaką wiadomość o dwóch młodszych moich braciach? - spytała Ella uspokoiwszy się nieco.

- Na nieszczęście Orzeł Czuby nie może siostrze swojej odpowiedzieć na to dobrą wieścią. Ojciec był przekonany, że i oni także są w niewoli u Pawnisów. Teraz dopiero błąd swój poznał.

- Ale teraz, gdy już wie, że się omylił, powinien by nie zwlekając udać się na poszukiwanie biednych chłopców.

- Uczyni to niezawodnie; jak tylko córkę wyrwie z rąk Pawnisów, pójdzie za śladami synów.

- To jednak najpilniejsze, mnie tu obecnie niebezpieczeństwo nie grozi.

- Jeńcom Pawnisów zawsze grozi niebezpieczeństwo.

- Zjednałam tu sobie przyjaciela, on się mną opiekować będzie.

- Jakże się zowie ten przyjaciel?

- Jeleń Wrzący.

- Niech siostra moja pamięta, że Jeleń Wrzący nie jest jeszcze wodzem, a Tygrys Zębaty nie zna litości.

- Ach! nie darmo ja go się tak bałam od razu! Czy Orzeł Czuby zna bliżej tego wodza Pawnisów?

- Orzeł Czuby spotykał się z nim nieraz oko w oko na ścieżce wojennej i nienawidził go zawsze, lecz teraz nienawiść ta stała się stokroć silniejsza.

- Dlaczegoż to Orzeł Czuby tak nienawidzi Tygrysa Zębatego?

- Wódz Pawnisów napadł z wojownikami swoimi na wioskę Osagów, gdy ci byli na wyprawie myśliwskiej, a w wigwamach pozostały tylko kobiety, starcy i dzieci. Jak zwierzę ów drapieżny, którego nazwę nosi, Tygrys Zębaty pastwił się okropnie nad niewinnymi ofiarami. Matka, siostra i młodszy brat Orła Czubatego padli pod razami jego tomahawka.

- Kiedy to straszne nieszczęście się stało?

- Bardzo niedawno; zaraz po powrocie z tej wyprawy Pawnisy wyruszyli do osady białych twarzy.

- Dziwi mię to, że Osagowie nie puścili się natychmiast w pogoń za napastnikami.

- Nie mieli sił dostatecznych, aby wystąpić do walki z liczniejszymi daleko Pawnisami; musieli sobie wprzód wyszukać sprzymierzeńców.

- O, jakże, ja się obawiam tego niegodziwego Tygrysa Zębatego! - mówiła Ella. - Jeleń Wrzący uspokoił mię trochę, ale rzeczywiście jestem w mocy wodza.

- Ella może się z rąk jego uwolnić, byle tylko chciała.
- Niech Orzeł Czubyty mówi jaśniej.
- Niechże siostra mnie posłucha. Orzeł Czubyty obmyślił dla niej sposób ratunku. Ojciec jej i brat przystali na to, byle tylko Ella sama chciała...
- Czy ojciec i brat mój są stąd niedaleko?
- Bardzo blisko, ukryci w zaroślach.
- I jakież to jest ten sposób ratunku dla mnie?
- Niech Ella włosy uwiąże wysoko i włoży na głowę te pióra, w których tu przyszedł Orzeł Czubyty, owinie się w tę skórę żubrzą i śmiało wychodzi z obozu. Noc ciemna i Pawnisowie nie poznają Elli. Byle tylko siostra moja dostała się do lasu, tam wojownicy Orła Czubytego, porozstawiani w różnych miejscach, czekają na nią i wnet odprowadzą ją do ojca i brata.
- A cóż wódz Osagów ze sobą zrobi? - spytała młoda dziewczyna.
- Schowa się najpierw w tym obozie; gdy Ella będzie już bezpieczna pod opieką ojca i brata, wojownicy Orła Czubytego zniemacka napadną na obóz Pawnisów; powstanie hałas, zamieszanie, a wśród nocy Orzeł Czubyty da sobie radę i, nim się Pawnisowie opatrzą, połączy się ze swoimi.
- A gdyby ten plan się nie powiódł? Warty są porozstawiane dokoła obozu, mogą spostrzec Osagów z daleka i nie dopuścić do tego, aby się zbliżyli.
- Niech siostra moja nie namyśla się długo, bo nie ma już na to czasu; dzień pocnie wkrótce walczyć z nocą, a wówczas będzie po wszystkim.
- Ale co się stanie z Tobiaszem, wiernym naszym sługą? - odezwała się dziewczyna, której boleśnie było opuszczać towarzysza niedoli.
- Niech siostra moja pójdzie do niego i opowie mu o wszystkim, a będzie mógł umknąć razem z Orłem Czubytym. Tylko niech Ella się śpieszy.
- Za chwilę będę gotowa. - I dziewczyna pobiegła szybko do szałasu Tobiasza; stary wysłuchał z radością niespodziewanej wieści, pochwalił pomysł wodza Osagów i naglił ją do pośpiechu. Ona też nie tracąc czasu

powróciła do Orła Czubatego i przebrała się w strój wojownika Pawnisa.

- A teraz niech siostra moja obróci twarz w tę stronę i idzie ciągle prosto przed siebie - mówił wódz Osagów, wskazując jej drogę, którą sam przebył. I niech Wielki Duch białych twarzy prowadzi ją szczęśliwie!

Dziewczyna zebrawszy całą uwagę, miarowym krokiem postępowwała obok szałasów, w których spoczywali wojownicy; słyszała głośnie bicie własnego serca, a za najbliższym szelestem drżała mimo woli od stóp do głowy. Nagle stanęła jak wryta. Z szałasu, obok którego przechodziła, wysunęła się olbrzymia postać: pomimo ciemności, Ella od razu poznała Tygrysa Zębatego.

- Sarenka Modrooka! - zawołał wódz Pawnisów.

- Bystry wzrok Tygrysa Zębatego poznał mnie, jak widzę - rzekła biedna dziewczyna, a serce jej ścisnęło się trwogą śmiertelną.

- Gdzież to Sarenka Modrooka tak wędruje?

- Niedaleko - odpowiedziała Ella, byle zyskać na czasie - tam do tych zarośli.

- Po co? - nalegał Tygrys Zębaty.

- Widziałam tam pewne zioła - odrzekła dziewczyna, rada, że wybieg ten przyszedł jej do głowy.

- A na cóż to Sarenka Modrooka tych ziół potrzebuje?

- Jeniec, mój towarzysz, skarżył się znowu, że go rany gorzej boją...

- Aha! - przerwał wódz, a na ustach jego ukazał się uśmiech złośliwy - moja siostra ma takie dobre serce, że po nocy chciała iść po zioła uzdrawiające.

- Niechże wódz pozwoli mi iść dalej.

- Zaraz, zaraz, niech no Sarenka wprzód powie, skąd dostała ten strój, który ma na głowie?

- Ten strój?... - powtórzyła Ella i zająknęła się, bo zapomniała była o przebraniu, które ją zdradzało.

- Sarenka Modrooka nie potrzebuje szukać wykrętów. Tygrys Zębaty od razu odgadł wszystko: Sarenka miała zamiar umknąć z obozu Pawnisów.

- Wódz trafnie odgadł - rzekła śmiało dziewczyna, widząc, że innej rady nie ma.

- Sarenka Modrooka jest bardzo nieroztropna.

- Czy Tygrys Zębaty może się dziwić, że pragnę odzyskać swobodę?

- Chociażby Sarenka nawet odzyskała swobodę, znalazłaby za to śmierć pewną. W puszczy tysiączne niebezpieczeństwa zagrażają niedoświadczonym wędrowcom. Sarenka Modrooka jest pod opieką Tygrysa Zębatego, a on nie może na to pozwolić, aby ją własna nieroztropność zgubiła.

- Wódz Pawnisów jest dla mnie zanadto łaskawy - szepnęła dziewczyna z goryczą usiłując pokonać straszną obawę, która dręczyła jej serce. W istocie położenie było okropne. Wiedziała, że ojciec i brat są w pobliżu, że Osagowie wyglądają jej w lesie, a tu nie było sposobu zawiadomić ich o tym, co się stało. Większe jeszcze niebezpieczeństwo groziło Orłowi Czubatemu, ukrytemu w obozie. Tygrys Zębaty spostrzegł nadzwyczajne wzruszenie młodej dziewczyny, popatrzył na nią podejrzliwie i rzekł z odcieniem szyderstwa:

- Dziwna rzecz, dziwna rzecz! - I gwizdnął trzy razy. Był to znak, że w obozie dzieje się coś niezwykłego. Hasło rozległo się daleko dokoła i wnet ze wszystkich szalasów poczęły się wysuwać ciemne, wysokie postacie Pawnisów.

- Niechże siostra moja idzie za mną - powiedział raz jeszcze wódz i chwycił drżącą dziewczynę za rękę. - Tygrys Zębaty ciekawy jest niezmiernie, kto to Sarence Modrookiej dał ten strój głowy i kto ją do ucieczki namówił?

Ona nic już nie odpowiedziała i widząc, że odgadł wszystko, szła za swym prześladowcą jak ofiara na śmierć skazana. Los szlachetnego wodza Osagów zatrzymał ją do najwyższego stopnia. Doszli tymczasem do szalasu. Tygrys Zębaty przejrzał bacznie wszystkie kąty, lecz szalas był próżny: Orzeł Czuby znikł bez śladu. Młoda dziewczyna odetchnęła głęboko, tymczasem nadbiegł i Jeleń Wrzący, zbudzony wraz z innymi.

A wtem od strony, którą Ella wymknąć się miała z obozu, ozwały się dzikie okrzyki; powstał hałas i zamieszanie, na których odgłos Tygrys Zębaty i Jeleń Wrzący spieszenie wybiegli z szalasu. Ella padła na kolana, gorąco

blagając Boga, aby się ulitował nad szlachetnym Osagiem i uratował go z rąk śmiertelnych wrogów.

Wśród wrzasku i hałasu odezwał się przeraźliwy głos sępa i rozległ się daleko, a zaraz potem dały się słyszeć dzikie okrzyki triumfu. Następnie ucichło wszystko. Trwoga najokropniejsza ogarnęła dziewczynę: prawie już wątpliwości nie miała, że Orzeł Czubaty wpadł w ręce okrutnych Pawnisów. Niedługo czekała na ostateczną wiadomość. Jeleń Wrzący nadszedł spieszonym krokiem, posępniejszy niż zwykle; spostrzegła to Ella pomimo ciemności.

- Sarenka Modrooka bardzo źle postąpiła! - rzekł młody Indianin z wyrzutem i smutkiem zarazem. - Nie powinna była związywać się ze śmiertelnymi wrogami Pawnisów. Teraz już i Jeleń Wrzący nie potrafi obronić swojej siostry, gdy ją strzec będą ściślej i gorzej się z nią obchodzić niż dotąd. Gniew Tygrysa Zębatego jest straszny i tym razem słuszny. To jednak uspokoiło go nieco, że schwytał najznakomitszego wodza Osagów.

- A cóż się stanie z Orłem Czubatym? - pytała Ella z głęboką boleścią.

- Pawnisy zabiorą go ze sobą do swoich wiosek.

- I cóż z nim uczynią?

- Orzeł Czubaty wie dobrze, co go czeka. Sarenka Modrooka nie potrzebuje pytać o to, po cóż ma się nadaremnie zasmucać?

- Smutek mój już i tak jest dość ciężki, wolę wiedzieć całą prawdę. Niech Jeleń Wrzący powie mi wszystko.

- Orzeł Czubaty musi odejść do wiekuiстых gruntów myśliwskich, gdy Pawnisy do siedzib swych powrócą.

- To niegodziwe okrucieństwo mordować bezbronnych jeńców! - zawołała młoda dziewczyna.

- Pawnisy nie wszystkich jeńców mordują. Jeżeli który przyrzeknie pozostać z nimi dobrowolnie, być ich sprzymierzeńcem i bratem, i krew swą przelewać wraz z wojownikami Pawnisami, chętnie na to przystają i uważają go za brata. Lecz wódz uczynić tego nie może; musi zanucić pieśń śmiertelną i zginąć mężnie, jak na wojownika przystało. Orzeł Czubaty jest wielkim i silnym wodzem, potrafi on znieść najsrozsze cierpienia, nie zmrużywszy nawet oczu.

- Gdzie jest Tygrys Zębaty? - spytała Ella, a głos jej zdradzał nadzwyczajne wzruszenie.

- Sarenka Modrooka musiała słyszeć niedawno krzyk sępa. To był głos Orła Czubatego. Powtórzyć go nie mógł, gdyż padł w tej samej chwili na ziemię powalony przez Pawnisów, którzy mu usta zatkali. Lecz okrzyk ten dowodzi, że Orzeł Czubaty ma przyjaciół w pobliżu i chciał ich przestrzec o niebezpieczeństwie. Tygrys Zębaty przetrząsa teraz całą okolicę dokoła obozu. Czegóż to znów Sarenka Modrooka tak się przelękała?

- Nie przelękałam się, nic mi nie jest - mówiła Ella, pomimo że dreszcz zimny przeszedł ją od stóp do głowy.

- Moja siostra musi wiedzieć, kto tu się kręci w pobliżu obozu Pawnisów, nieprawdaż?

Dziewczyna nic nie odpowiedziała, lecz ciężkie westchnienie wyrwało się jej z piersi.

- Niech siostra moja zaufa Jeleniowi Wrzącemu - mówił dalej. - Może on znajdzie dla niej pociechę.

Ale ona wahała się jeszcze; nie miała tyle odwagi, by zwierzyć się zupełnie Pawnisowi, jakkolwiek przychylny okazał się dla niej.

- Mniejsza o to - rzekł Jeleń Wrzący po chwili milczenia - niech siostra moja zachowa przy sobie tę tajemnicę.

- A więc zaufam zupełnie Jeleniowi - odezwała się wreszcie. - Ojciec mój i brat przyszli tu z Osagami.

- Jeleń Wrzący sam się tego domyślał.

- I nie nadużyje Jeleń mego zaufania?

- Sarenka Modrooka może być spokojna. Tygrys Zębaty powróci do obozu, jak tylko się przekona z odszukanych śladów, że wojowników Osagów jest niewiele; pozwoli on im odejść do swoich ze smutną wieścią o uwięzieniu wodza. Tygrys Zębaty pragnie, aby Osagowie jak najspieszniej dowiedzieli się o tym; to ich wprawi w straszliwą wściekłość, zechcą też niezawodnie pomścić Orła Czubatego. Lecz Pawnisy ich się nie boją, cóż znaczy ciało bez głowy?

Młody Indianin odszedł, natomiast kilku olbrzymich Pawnisów zbliżyło się do szałasu Elli i zasiadło tuż przy nim. Młoda dziewczyna ukryła się pod osłoną gałęzi i padła na posłanie, lecz zasnąć nie mogła. Wkrótce zajaśniał ranek.

Niebo wypogodziło się zupełnie; po smutnej i ponurej nocy dzień zapowiadał się tym piękniej i weselej.

Tygrys Zębaty powrócił do obozu jak tylko odszukał nieliczne ślady Osagów i białych. Wezwawszy na naradę najstarszych i najznakomitszych wojowników, zasięgał ich zdania, czy należało gonić zbiegów, czy też puścić ich wolno. Jeleń Wrzący, a za nim wielu innych twierdziło, że byłoby to niepotrzebną stratą czasu; postanowiono więc niezwłocznie wyruszyć w dalszą drogę.

XIV

SYN MARNOTRAWNY

A teraz musimy opuścić na czas jakiś wszystkie osoby, z którymi zapoznaliśmy czytelników naszych w poprzednich rozdziałach i przenieść się myślą w odległą okolicę, a nawet cofnąć się nieco w przeszłość.

Prowincja Sonora zajmuje północną część rozległej krainy meksykańskiej. Na północy graniczy z rzeką Rio-Gila, na wschodzie z pasmem gór Sierra Madre, a na zachodzie z odnogą Kalifornijską, na południu z prowincją Kinalou.

Przyroda z hojnością szczególną obsypała tę krainę najcenniejszymi darami. Klimat jej, niezmiernie miły, nie jest za gorący ani za zimny. Urodzajność gruntu, wszędzie w Meksyku niepospolita, tu występuje w całej pełni. Najpyszniejsze owoce, najpożyteczniejsze rośliny obficie wyrastają na tej błogosławionej ziemi. Jest to ojczyzna bawełny, wanilii, trzciny cukrowej, palmy kokosowej, drzew kampszowych, mahoniowych i wielu innych płodów. Ale największe jej bogactwo stanowią szlachetne metale: złoto i srebro, a także drogie kamienie i piękne gatunki marmurów.

Liczne plemiona indyjskie zamieszkują rozkoszną tę krainę, broniąc dostępu białym osadnikom, którzy przybyli tu, aby korzystać z bogatych ich dóbr. Najwięcej osiedlało się tu zawsze Hiszpanów. Znaczniejsze miasta Sonory zowią się: Guaymos, Hermosillos i Arizpel. Hermosillos jest głównym składem morskiego handlu; w owym czasie liczyło około sześciu tysięcy mieszkańców.

Było to na osiem lat przed wypadkami opowiedzianymi w rozdziałach poprzednich. Pewnego popołudnia w marcu na jednej z głównych ulic miasta Hermosillos panował hałas nie do opisania. Tłumy ludzi z przerażliwymi

okrzykami tłoczyły się przed dużym, okazałym domem. Z okien i balkonów innych mieszkań mnóstwo głów mężczyzn i kobiet zwracało się do tego domu. Żołnierze hiszpańscy - w owym czasie Meksyk należał do Hiszpanii - dużo trudu zadawać sobie musieli, aby utrzymać ludność w porządku. Nie raz zniecierpliwieni uciekali się do włóczni, popychali i kłuli najbliższej stojących, co wcale nie przyczyniało się do zmniejszenia krzyku i hałasu. Zamieszanie doszło do ostatecznych granic, gdy z bramy wspaniałego budynku wypadł nagle jeździec na rozhukanym koniu i nie zważając na tłumy ludu i ścisk na ulicach puścił się wprost przed siebie szalonym pędem, roztrzając wszystkich i wszystko po drodze. Odezwały się okrzyki przerażenia; kto mógł uchodził przed szalonym jeźdźcem, nie każdemu się to jednak udało: wielu padło na ziemię, ponosząc większe lub mniejsze skaleczenia. A wtem, z okien tegoż samego domu, ozwał się okrzyk donośny:

- Trzymajcie, chwytajcie mordercę, kto ma lasso, niech go chwyta i żywcem przyprowadzi!

Słowa te z ust do ust przechodziły po całej ulicy, nikt jednak nie miał ochoty porywać się na szalonego jeźdźcę. Był to młodzieniec, chłopak raczej, mogący liczyć zaledwie piętnaście lub szesnaście lat. Pomimo tak młodego wieku wzrostem wysokim i silną budową ciała dorównywał prawie dorosłym mężczyznom. Twarz jego, bardzo piękna, pałała dzikim gniewem, oczy ciskały błyskawice; w prawej ręce trzymał dużą szpicrutę i wywijał nią na wszystkie strony smagając bez miłosierdzia każdego, kto nie dość spieszenie z drogi mu ustępował i opóźniał bieg jego szalony.

- Co to za chłopak? - pytano tu i ówdzie.

- To Rafael, syn don Ramona de Saavedra - odpowiadali inni.

- Czy popełnił jakąś zbrodnię?

- Grał w karty i straciwszy dużo pieniędzy wpadł w taką wściekłość, że pchnął nożem tego, który go ograł, syna wysokiego urzędnika. Rana jest podobno śmiertelna. Szalony to i nieposkromiony chłopak, próżniak i nicpoń, który nieszczęśliwemu ojcu już niejednej ciężkiej zgryzoty przysporzył. Żadne środki, ani łagodne, ani surowe, nie wywierają na nim wrażenia. Tym razem hultaj nie ujdzie zasłużonej kary.

Podczas tych rozmów Rafael de Saavedra dojechał do końca ulicy i miał skręcić na inną, gdy nagle zastąpił mu drogę *vaquero*¹, olbrzymiego wzrostu i niemilej wielce powierzchowności. Twarz jego miała wyraz złośliwy i dziki. ¹ Tak nazywają ludzi pasących stada na wpół dzikiego bydła na stepach. Rozwijał on lasso, odjęte od pasa, i mruczał półgłosem:

- Już ja sobie z tym smarkaczem poradzę. Nikt nie ma odwagi go pochwyć, lecz z rąk moich nie ujdzie. Ho, ho! poczekaj, paniczyku, Kornelio weźmie cię na lasso jak niesfornego źrebaka i odprowadzi do kryminału.

A tłum uliczny, dla którego każde widowisko jest pożądane, wnet spostrzegł przygotowania *vaquero* i począł mu dodawać otuchy.

- Doskonale! Chwytaj hultaja, Kornelio! - wołano ze wszystkich stron. - Do kryminału mordercę, do kryminału!

- A spraw się dobrze, nie daj mu uciec, Kornelio! - wołali inni.

Chłopak tymczasem nadjechał w całym pędzie. Twarz jego pokryła się śmiertelną bladością, gdy spostrzegł zastępującego mu drogę człowieka. Znał on go dobrze: Kornelio służył dawniej u jego ojca i z powodu różnych wykroczeń został wypędzony, za co straszliwie się odgrażał. Teraz wybiła dla niego godzina zemsty.

- Aha! Poznajesz mnie? - rzekł Kornelio zgrzytając zębami, gdy młody chłopak był już blisko niego.

- Poznaję cię, Kornelio - odpowiedział jeździec, który w jednej chwili odzyskał przytomność i śmiałość - i radzę ci ustąpić z mojej drogi. Jeśli tego nie uczynisz, możesz się na wielkie nieszczęście narazić. Ostrzegam cię!

- Chwytaj go, chwytaj! Do kryminału! - wołał tłum pobudzając olbrzymiego *vaquero*.

- Poddaj się dobrowolnie, chłopcze! - odezwał się Kornelio i trzymając ciągle lasso w pogotowiu posunął się spieszenie za jeźdźcem, który z trudnością teraz przeciskał się przez napływające ze wszystkich stron tłumy, chociaż nie żałował szpicruty i wywijał nią żwawo. - Poddaj się! - powtórzył i podniósł lasso ponad głowę. - Nie ujdiesz moich rąk, trzeci i ostatni raz mówię ci: poddaj się!

- Za nic! - wykrzyknął Rafael. - Nie doprowadzaj mnie do ostateczności!

- Cha cha cha! - zaśmiał się dziko Kornelio - grozisz mi, smarkacz jakiś! Malec, dzieciak, mnie grozi! Poczekaj, dostaniesz za swoje.

Lasso świsnęło w powietrzu. Lecz w tym samym mgnieniu oka jeździec cofnął konia, zeskoczył z niego i z szybkością błyskawicy, jednym susem jak jaguar, poskoczył do olbrzymiego napastnika: nóż błysnął w jego ręce i zanim ktokolwiek zdołał temu przeszkodzić, chłopak wbił go po samą rękojęść w pierś Kornelia. Krew trysnęła strumieniem i olbrzym jak kłoda zwałił się na ziemię, a chłopiec wywijając nożem w prawo i lewo wskoczył znowu na konia. Wszystko to stało się z taką niepojętą szybkością, że tłum, odurzony i zdumiony, nie myślał go nawet zatrzymać. Padło wprawdzie kilka strzałów za uciekającym, lecz żaden nie trafił i szalony jeździec znikł wkrótce obecnym z oczu.

Liczniesze jeszcze tłumy otoczyły Kornelia, który nie dawał znaków życia. Obrzucono mordercę klątwami i groźbami, chociaż *vaquero* nie miał tu ani krewnych ani przyjaciół. Znaleźli się jednak wśród zgromadzonych i tacy, którzy podziwiali nieustraszoną odwagę i zręczność chłopaka. Nagle rozległy się okrzyki:

- Z drogi, z drogi Juez de Letras jedzie!

Tak nazywano najwyższego urzędnika sądowego. Jechał on na czele kilkunastu alguazilów, czyli policjantów, uzbrojonych od stóp do głowy; zbliżywszy się do miejsca wypadku zsiadł z konia, obejrzał rannego i pokiwał głową, wydał rozkaz, aby go odniesiono do szpitala miejskiego. Następnie począł rozpytywać świadków o szczegóły smutnej sprawy.

- A teraz - rzekł urzędnik zwracając się do alguazilów - puścimy się niezwłocznie w pogoń za młodym mordercą. Don Ramon jest zacnym i poważnym człowiekiem, serdecznie nad tym nieszczęśliwym ojcem ubolewam, lecz musi się stać zadość sprawiedliwości. Za mną, nie traćmy czasu!

To rzekłszy urzędnik odjechał spiesznie z gromadką swoją, kierując się według wskazówek obecnych w stronę, gdzie znikł przed chwilą uciekający jeździec.

O parę mil od miasta Hermosillos, w malowniczej okolicy, wznosiła się wielka i piękna „hacjenda”.¹ Hacjenda, folwark z gospodarstwem wiejskim. Okazały dom mieszkalny otoczony był licznymi, porządnymi zabudowaniami gospodarskimi, o dachach płaskich, z trzciny usypanej po wierzchu ziemią. Nazwa, którą zwykle tej uroczej siedzibie wiejskiej nadawano, była „hacjenda del Milagro”, to jest hacjenda cudowna. Wszystko to świadczyło o za-
możności właściciela. Nie tylko że dom mieszkalny posiadał szklane okna, co w owych czasach należało do niepospolitych zbytków, lecz oprócz tego szyby od strony zewnętrznej opatrzone były ozdobnymi pozłacanymi kratami. Można by przytoczyć dużo innych szczegółów, z których łatwo było wnosić o dostatkach mieszkańców hacjendy.

Mężczyzna lat średnich, przybrany w wytworny strój letni, w pięknym kapeluszu Panama, stał wsparty o kratę dziedzińca. Był to don Ramon de Saavedra, ojciec Rafaela, młodziutkiego zbrodniarza.

Cała powierzchowność don Ramona nosiła wyraźne cechy pochodzenia hiszpańskiego. I rzeczywiście wiódł on ród swój od pewnego hiszpańskiego oficera, który jeszcze z Ferdynandem Kortezem przybył do Meksyku, tu wraz z rodziną na stałe się osiedlił i przekazał następcom swym ogromny majątek. Don Ramon był jednym z „najbogatszych ludzi w całej okolicy: posiadał piękny dom w mieście i liczne dobra. Po śmierci żony, z którą przeżył lat kilkanaście w szczęściu niczym nie zamaconym, przeniósł się z dwojgiem dzieci - znanym nam już Rafaelem i siedemnastoletnią córką Karmelą - do uroczego ustronia wiejskiego, zwanego „hacjenda del Milagro”.

Don Ramon kochał dzieci miłością najczulszą, toteż bolał nad tym niezmiernie, że Rafael pomimo niepospolitych zdolności nie poszedł taką drogą, na jakiej dobry ojciec widzieć go pragnął. Chłopak był samowolny i uparty do najwyższego stopnia; żaden nauczyciel nie miał na niego wpływu, nawet ojca słuchać nie chciał; przy tym jeszcze przebywał w najgorszym towarzystwie, a szalone jego wybryki często krwawiły serce ojca i starszej siostry, wcale do niego niepodobnej. Próbowano wszelkich środków, aby niesfornego chłopca sprowadzić na drogę poprawy, ale wszelkie usiłowania

były daremne. Może też tylko nikt nie umiał trafić do jego serca, bo Rafael miał niezaprzeczenie w gruncie serce dobre i tylko zgubne namiętności brały nad nim górę.

I teraz don Ramon myślał o niepokojem o Rafaelu.

- Gdzie też on teraz być może? - mówił półgłosem do siebie, a ilekroć wzrok jego spotkał pogodną i wesołą twarz któregoś z *vaquero*, mimo woli cisnęła mu się do głowy myśl, że każdy z tych ludzi ubogich szczęśliwszy był zapewne od bogatego swego pana, bo go nie pożerały tak ciężkie troski.

- Co tu robić, ach, co tu robić, wielki Boże! - powtarzał wzdychając głęboko i niepokojem dręczony, przechodził z miejsca na miejsce; w końcu wszedł do mieszkania i zatrzymał się we drzwiach salonu, urządzonego z magnackim zbytkiem. We framudze okna siedziała młoda, śliczna dziewczyna, zajęta robótką.

- Moja droga Karmelo, czy nie wiesz, dokąd Rafael pojechał? - zapytał ją don Ramon.

- Wiem, ojcze - odrzekła młoda dziewczyna - pojechał do Hermosillos.

- Do Hermosillos? A mnie nic o tym nie wspomniał. Prosił tylko o pozwolenie na przejechanie się konno, dziwiłem się więc, że tak długo nie wraca. Nigdy już więcej nie pozwolę mu wyjeżdżać samemu; tam w mieście zejdzie się zaraz z niegodziwymi kamratami i znowu jakąś łotrowską sztukę urządzają. Sam nie wiem, dlaczego dziś właśnie tak strasznie jestem o niego niespokojny...

- Niepotrzebnie się tak martwisz, ojcze - pocieszała go Karmela. - Drobną jakąś okoliczność mogła go w mieście zatrzymać; za chwilę pewnie przyjedzie.

- Dałby Bóg tylko, żeby się nic złego nie stało - westchnął don Ramon. - Ale już wieczór się zbliża, a on wyjechał z rana.

- Może by posłać któregoś ze sług do miasta, żeby go odszukał?

- Dobrze mówisz, córko, zaraz to uczynię - i miał już wychodzić, gdy Karmela, stojąca przy oknie, zatrzymała go, mówiąc z odcieniem niepokoju:

- Jacyś jeźdźcy jadą drogą od miasta... Zbliżają się do naszej hacjendy... Kto to być może?

Don Ramon stanął obok córki, spojrzął w okno, i śmiertelna bladość pokryła twarz jego.

- Co ci jest, ojcze? - wykrzyknęła młoda dziewczyna spostrzegłszy jego przerażenie.

- Nie wiem, co to znaczy - odpowiedział drżącym głosem - to są alguazile.

- Wielki Boże! Po cóż oni tu jadą?

- Bóg to raczy wiedzieć.

- Widzę jednak na przedzie jeźdźca w cywilnym ubiorze, ale to nie Rafael, poznałabym go nawet z tak daleka.

- Nie, nie Rafael, i ja to widzę. Zdaje mi się jednak, że tego jeźdźca poznaję... za chwilę zobaczymy, czy się nie mylę.

Oblicze don Ramona stało się jeszcze bledsze; utkwiał osłupiały wzrok w jadącym na przedzie jeźdźcu i usta zacisnęły mu się kurczowo.

- Cóż, ojcze, czy już go poznałeś? - spytała Karmela.

- Tak - odrzekł don Ramon przytłumionym głosem - to najwyższy urzędnik sądowy z Hermosillos, Juez de Letras.

To mówiąc wyszedł i na ganku oczekiwał przybycia urzędnika; znał go wprawdzie osobiście, lecz nie łączyły ich żadne bliższe stosunki. Kawalkada zatrzymała się wreszcie przed gankiem.

- Wybacz, don Ramonie de Saavedra - rzekł urzędnik sądowy zsiadając z konia - ci alguazile muszą natychmiast otoczyć twe mieszkanie i pilnować, aby nikt z niego nie wyszedł.

- Cóż się stało? - spytał don Ramon na pozór spokojnie, chociaż najokrutniejsza trwoga ścisła jego serce.

- Syn pański, Rafael, popełnił przestępstwo, wskutek czego musi być oddany w ręce sprawiedliwości.

- Jakie przestępstwo? - pytał nieszczęśliwy ojciec.

- Dwóch ludzi ranił śmiertelnie; czeka go kara morderców.

- To niemożliwe! - jęknął don Ramon i oparł się o ścianę.

- Na nieszczęście tak jest - odpowiedział urzędnik - obie ofiary są bliskie śmierci. Muszę odszukać przestępcę.

- Wejdz pan - wymówił ledwo dosłyszalnym głosem don Ramon - i spełnij powinność swoją, lecz syn mój nie powrócił do domu.

Urzędnik z dwoma alguazilami przeszukał jednak całe mieszkanie, a nie znalazłszy nigdzie Rafaela zbliżył się znowu do nieszczęśliwego ojca, który przez cały ten czas stał jakby nieprzytomny we framudze okna z załamany-
mi rękoma. Ujrawszy przed sobą urzędnika pokonał na chwilę straszne
wewnętrzne wzruszenie i począł go rozpytywać o szczegóły okropnych wy-
padków. Juez de Letras opowiedział wszystko i rzekł w końcu:

- Przykro mi niezmiernie, don Ramonie, lecz muszę pozostawić w do-
mu pańskim tych alguazilów, aby przestępcę pochwycili, gdyby się tu poka-
zał. Uprzedzam pana, że ludzie ci będą mieli ode mnie polecenie nie wy-
puszczać z domu nikogo, dopóki zbieg nie dostanie się w ręce sprawiedli-
wości.

- Czy nie mógłby pan odstąpić od tego ostatniego warunku? - spytał
don Ramon. - Niezmiernie ważna i pilna sprawa zmusza mię tej nocy jesz-
cze wyjechać do miasta Arizpe. Jestem już zupełnie gotów do tej drogi i
jednego tylko wiernego sługę chcę zabrać ze sobą.

- Jak długo pan tam ma zabawić?

- Tydzień najdłużej. Wszak panu nic zależeć nie może na mojej obecno-
ści w domu, skoro go oddaję dobrowolnie do pańskiego rozporządzenia.

- Istotnie, don Ramonie, mogę w tym razie odstąpić od zwykłych prze-
pisów. Czynię to jedynie przez szacunek i współczucie dla pana. Musi pan
jednak zgodzić się na to, aby kilku alguazilów odprowadziło pana na pół
drogi przynajmniej od domu.

- Zgadzam się - rzekł krótko don Ramon.

- O której godzinie pan wyjeżdża?

- Około dziesiątej.

- Dobrze, wydam zaraz stosowne rozporządzenia i wracam do miasta,
bo muszę rozesłać alguazilów w różne strony, aby szukali przestępcy. Że-
gnam pana.

- Żegnam.

Po wyjściu urzędnika, don Ramon de Saavedra wszedł do swego pokoju i
zamknął za sobą drzwi na klucz. Dotychczas musiał straszną boleść swą
pokonywać, teraz mógł zapłakać nad marnotrawnym synem. Wyczerpany

cierpieniem i walką wewnętrzną osunął się na sofę i gwałtowne łkanie wstrząsnęło pierś jego. Długo oddawał się tej straszliwej rozpaczce, na pół przytomny z bólu i zwątpienia, wreszcie począł się uspokajać i wpadł w głębokie zamyślenie. Nagle zerwał się: twarz przybrała wyraz stanowczości, a oczy wyrażały silne postanowienie.

- Tak, innego ratunku nie ma - szepnął sam do siebie i pociągnął za sznur od dzwonka, wiszący przy drzwiach. Młody Murzyn w kosztownej liberii wszedł do pokoju.

- Niech tu natychmiast przyjdzie Euzebio - rzekł i gdy Murzyn odbiegł spełnić rozkaz, począł się przechadzać wielkimi krokami po pokoju.

XV

WYROK OJCOWSKI

Euzebio pełnił w domu don Ramona de Saavedra obowiązki zarządcy, majordomo. Był to człowiek już sędziwy; włosy miał białe jak mleko, a długa, śnieżna broda spadała mu na piersi. Wysoki, chudy, pomimo lat podszlých trzymał się bardzo prosto. Twarz jego, licznymi zmarszczkami porwana, miała wyraz dobroci i łagodności, oczy błyszczały jeszcze żywym blaskiem.

Euzebio służył dawniej u ojca don Ramona, a pan jego dzisiejszy żywił dlań wiele szacunku i zaufania i uważał go raczej za najlepszego przyjaciela niż za sługę. Euzebio zasługiwał na to ze wszech miar: przywiązany niezmiernie do dobrego pana, dzieci jego, Rafaela i Karmelę, kochał całym sercem. Staruszek stawił się natychmiast na wezwanie, a twarz jego, gdy wszedł do pokoju, wyrażała smutek głęboki.

- Wiesz zapewne o wszystkim? - zagadnął go don Ramon.
- Wiem, dobry mój panie! - szepnął majordomo ledwo dosłyszalnym głosem. - Jeden z alguazilów opowiedział mi rzecz całą.
- To dobrze. Pojedziesz ze mną tej nocy.
- Dokąd, panie drogi?
- Tam, gdzie prawdopodobnie ukrywa się młody złoczyńca.
- Chce go pan ukryć bezpieczniej?...
- Nie, chcę wyrok nad nim spełnić.
- Nie rozumiem pana; lecz w każdym razie nie odda go pan przecież w ręce sprawiedliwości.
- Nie, ale... posłuchaj mnie Euzebio: Rafael postępowaniem swoim zhańbił nazwisko, które nosi, nie wart jest zwać się synem moim. Popelniając

przestępstwo wyrzekł się ojca, więc i ja się go wyrzekam.

- O panie, kochany panie...

- Pozwólże mi dokończyć, nie przerywaj. Surowy, nieubłagany obowiązek nakazywałby mi oddać przestępcę w ręce sprawiedliwości. Lecz w takim razie poniósłby karę morderców, zginąłby na rusztowaniu. Wówczas hańba, którą ten syn niegodny okrył moją głowę, przyłgnęłaby do naszego rodu na wieki, i niewinna siostra pokutować by musiała za niego. To być nie powinno i temu właśnie przeszkodzić pragnę. Postanowiłem, ażeby zniknął jak najprędzej...

- Panie, mój dobry panie, czyż pan chcesz własną ręką odebrać mu życie?! - mówił stary sługa w najwyższym przerażeniu.

- Niech mię Bóg broni, abym miał przelewać krew własnego dziecka! - odrzekł don Ramon nie mniej od starca wzruszony. - Chcę go tylko uczynić nieszkodliwym, chcę, aby świat sądził, że nie żyje, aby nikt nie domyślił się nawet jego istnienia, oprócz mnie i ciebie. Odbiorę go mocy ludzkiej i oddam w ręce wszechmocnego Stwórcy; niech On z nim czyni, co Mu się podoba. Euzebio, czy mogę ci zaufać zupełnie?

- Pan wie dobrze - mówił starzec uroczyście - że przez całe życie służyłem wiernie domowi chlebobawców moich i resztę dni chętnie na ich usługi poświęcę.

- A więc posłuchaj, jakie postanowienie powziąłem.

Tu don Ramon zniżył głos i długo coś szeptał wiernemu słudze na ucho. Ten słuchał uważnie i rysy jego przybierały stopniowo wyraz przerażenia.

- O panie - odezwał się wreszcie głosem drżącym, gdy tamten mówić przestał - wszak on jeszcze taki młody, dziecko prawie...

- Starcze, nie pytałem cię o radę - odparł don Ramon surowo. - Czy sam nie pojmujesz, że to ostatni, jedyny ratunek? Czy wolałbyś, aby wpadł w ręce sprawiedliwości?

- Ciężkich rzeczy wymaga pan ode mnie, bardzo ciężkich - rzekł starzec ocierając łzy - kocham te dzieci jakby swoje własne. Rosły mi w oczach, na rękach je piastowałem. I one także mnie zawsze kochały, nawet i Rafael, mamże teraz...

- A więc odejdz, jeśli tak - przerwał zniecierpliwiony don Ramon - nie

mam ci więcej nic do powiedzenia. I bez ciebie potrafię wykonać swe postanowienie, od którego nie odstąpię. Odejdź, Euzebio!

- Mój Boże! Pan się na mnie gniewa...

- Nie gniewam się, ale cię nie potrzebuję. Obejdę się bez ciebie. Odejdź!

A jednak pomimo powtórzenia rozkazu Euzebio nie odchodził. Widocznie ciężką walkę toczył sam z sobą. Usta jego drżały, twarz pobladła więcej jeszcze, a oczy napełniły się łzami...

- Przede wszystkim - rzekł głosem przytłumionym po chwili przykrego milczenia - przede wszystkim winienem panu posłuszeństwo. Serce moje ucichnąć musi, chociaż niełatwo mu to przyjdzie. Czynilem, co mogłem, aby pana od tego strasznego zamiaru odwieść. Nie powiodło mi się... Teraz znów jestem tylko starym, wiernym sługą, nie pytam, po co to lub owo się robi, lecz ślepo wykonywam pańskie rozkazy.

- Dobrze, mój poczciwy Euzebio - rzekł don Ramon łagodniej - każ więc natychmiast osiodłać dwa konie wierzchowe, a na trzeciego naładować wszystko, co jest do dłuższej podróży potrzebne. Zabierz także broń dla tego, którego dotychczas zwałem synem moim; wybierz najlepszą, jaka jest w domu oraz zapas kul i prochu, dostateczny na czas długi. Gdy dziesiąta wybije, wyruszymy w drogę: pamiętaj więc, aby wszystko było gotowe. Czy słyszysz?

- Spełnię rozkazy pańskie - odpowiedział starzec ocierając łzy, których powstrzymać nie mógł.

O godzinie dziesiątej dwa konie wierzchowe i trzeci obładowany pakunkami stanęły przed gankiem hacjendy. Euzebio dał panu znać, że wszystko gotowe. Don Ramon pożegnawszy córkę siadł na konia i puścił się w drogę; za nim jechał Euzebio prowadząc trzeciego konia. Dwóch alguazilów przyłączyło się do nich z rozporządzenia urzędnika sądowego i gromadka jeźdźców spieszenie pokłusowała drogą, prowadzącą do miasta Arizpe. W godzinę dojechano do ustronnej wenty, czyli gospody leżącej przy gościńcu. Don Ramon zatrzymał się i kazał alguazilom podać najlepszego wina zapraszając uprzejmie, by się posilili na drogę. Podobało im się to niezmiernie: uraczyli

się porządnie i wkrótce zaszumiało im w głowach, gospodarz zaś z polecenia don Ramona ciągle jeszcze nowe trunki podawał. Właśnie wniósł świeżych parę butelek i zabrał się do ich odkorkowywania, gdy don Ramon spojrzawszy na zegarek podniósł się nagle i zawołał:

- Przykro mi bardzo, moi panowie, ale nie mogę ani chwili dłużej tu bawić, bo mi pilno do Arizpe. Wstawajcie więc co prędzej i w drogę.

Alguazilom przeciągnęły się twarze; z żalością spojrzawszy na pełne butelki, z którymi tak niespodziewanie rozstać się mieli, zaczęli szeptać pomiędzy sobą, na koniec jeden z nich wstał i rzekł do don Ramona:

- Właściwie nie ma w tym najmniejszego sensu, abyśmy panu koniecznie do pół drogi towarzyszyli. Jesteśmy przekonani, że pan i bez nas, tak samo jak i z nami, pojedzie prosto do Arizpe. Otóż, moim zdaniem, najlepiej tak zrobić: niech pan jedzie dalej nie tracąc czasu, a my tu sobie parę godzin przesiedzimy i jeśli łaska pańska, wypijemy jeszcze parę butelek za jego zdrowie.

Don Ramon starannie ukrył swe zadowolenie, gdyż, jak zapewne domyślają się czytelnicy, nie bez powodu uczęstował alguazilów i odpowiedział najspokojniej:

- Dla mnie to, rozumie się nie stanowi żadnej różnicy, czy panowie towarzyszyć mi będziecie, czy nie, po cóż więc darmo mam was narażać na męczącą podróż po nocy? Co do wina, chętnie zapłacę jeszcze za tyle butelek, ile ich wypić zdołacie. A więc bywajcie zdrowi.

- Jeszcze jedno - rzekł starszy alguazil przysuwając się bliżej i głos zniżając. - Czy pan będzie tak dobry i nie wspomni o tym nikomu?

- Daję na to słowo honoru.

- No, to dobrze; szczęśliwej podróży życzymy panu.

I alguazil zasiadł za stołem obok towarzysza, a don Ramon i Euzebio ruszyli w drogę. Jak tylko oddalili się od gospody o tyle, że już tam tętentu ich koni dosłyszeć nie było można, zawrócili i pojechali w innym kierunku, wprost przeciwnym prawie; zboczyli z gościńca na grunta piaszczyste i kamieniste, wreszcie dotarli do lasu. Tu musieli nieco powstrzymać bieg koni,

gdyż wśród gęstwiny leśnej otoczyły ich głębokie ciemności. Było już koło godziny pierwszej po północy, gdy ujrzeli przed sobą mały, na pół rozwalony budynek. Niegdyś, za dawnych czasów, gdy don Ramon z zamiłowaniem oddawał się polowaniu, wystawił był tu domek myśliwski w lesie dla własnej wygody. Później jednak z wiekiem przestał do niego zaglądać i domek zaczął się rozpadać w gruzy.

Rafael nieraz już ukrywał się po kilka dni w tym ustronnym schronieniu, mało komu znanym; zdarzało się bowiem, iż szalone jego wybryki przybierały takie rozmiary, że musiał ludziom zejść na czas pewien z oczu i przed słusznym gniewem ojca uchodzić. Ile razy młodzieniec zniknął w taki sposób, ojciec, czuwający nad nim nieustannie, wiedział doskonale, gdzie go szukać, nigdy się jednak z tym nie wydał, nie gonił za nim pozostawiając mu czas do opamiętania się w tym osamotnieniu. Nie wątpił więc, że młody przestępca i teraz w zwykłej swej kryjówce przebywa sądząc, że jest tam bezpieczny.

Dwaj jeźdźcy stanęli przed domkiem i zsiadli z koni; w tej samej chwili rzenie innego rumaka ozwało się w pobliżu.

- To jego wierzchowiec, zastaliśmy go - szepnął don Ramon i obaj na palcach podeszli do drzwi domku: były na klucz zamknięte. Musiał to przewidzieć don Ramon, gdyż wyjął klucz z kieszeni i otworzył je bez najmniejszego hałasu. Pan i sługa weszli do środka, lecz panowała tu taka ciemność, że nic dojrzeć nie mogli. Don Ramon miał przy sobie świeczkę woskową, którą zapalił za pomocą krzesiwa. Z małej sionki, w której znajdowali się obecnie, dwoje drzwi, także zamkniętych, wiodło do dalszych pokojów. Don Ramon do obojga kolejno przykładał ucho nasłuchując; przy drugich zatrzymał się dłużej i skinął na starego sługę. Obaj usłyszeli wyraźnie głęboki oddech śpiącego. Czas jakiś stali jak skamieniali i bladeść śmiertelna pokryła ich twarze.

- Wejdzimy - szepnął wreszcie don Ramon i nacisnął klamkę; drzwi otworzyły się cicho, bo nie były na klucz zamknięte. Błady płomyczek woskowej świeczki oświetlił niedużą izdebkę... W kącie na posłaniu z mchu i liści leżał Rafael. Po trudach i wzruszeniach dnia tego znużony chłopak zapadł w sen tak głęboki, że ani szelest, ani światło go nie przebudziły.

- Zbudź chłopca - rzekł krótko don Ramon.

Euzebio zbliżył się do śpiącego, pochylił się nad nim i dotykając lekko jego ramienia zawołał łagodnie:

- Rafaelu, Rafaelu!

Chłopiec otworzył oczy, lecz nie spostrzegł w pierwszej chwili ojca, stojącego nieco dalej.

- Euzebio! - zawołał Rafael zdziwiony i podniósłszy się usiadł na posłaniu.

- Tak, to ja. Wstawaj, Rafaelu!

- Czegoż ty chcesz ode mnie? Jakim sposobem odszukałeś mię w tym ukrytym zakątku?

- Nie ja cię odszukałem, obejrzyj się, Rafaelu...

- Co, to ty, ojczcze! - wykrzyknął chłopiec przerażony, gdy wzrok jego spotkał się z ponurym wejrzeniem don Ramona, i zerwał się szybko na nogi.

- Nie ojciec, lecz sędzia stoi przed tobą - odezwał się tamten przytłumionym głosem - nie masz już ojca, a ja nie mam syna.

Usta młodzieńca drgnęły nagle, jak gdyby pod wpływem gwałtownego bólu, lecz po chwili twarz jego znowu przybrała wyraz zaciętego uporczywości; stał nieruchomy i milczał.

- Padnij do nóg ojcu, błagaj o przebaczenie - mówił półgłosem Euzebio.

- Nic z tego - zawołał don Ramon, który to dosłyszał. - Nie mam nic wspólnego ze zbrodniarzem, który się zmazał krwią bliźniego. Przybyłem tu po to jedynie, aby spełnić nad nim wyrok... Rafaelu! Nie możesz żyć w towarzystwie ludzi: stałeś się szkodliwy dla nich! Odtąd musisz przebywać pośród dzikich zwierząt, bo do nich jesteś podobny.

Rafael stał nieporuszony: zacięte usta jego nie wydały głosu. Surowe słowa ojca nie tylko nie zmiękczyły serca chłopaka, lecz przeciwnie, utwierdziły go w uporze.

- Nie ma czasu do stracenia - mówił dalej don Ramon. - Euzebio, przyprowadź konie; mamy przed sobą daleką drogę. W głębiach puszczy, gdzie nigdy stopa ludzka nie powstała, będzie mógł wściekłość swoją wywierać do woli na zwierzętach drapieżnych. To najważniejsze dla niego towarzystwo.

- I owszem, i owszem! - zawołał Rafael siląc się na wesołość. - Lubię walkę z dzikimi zwierzętami!

Euzebio westchnął głęboko nad bezprzykładną lekkomyślnością chłopaka. Don Ramon naglił do pośpiechu: koń Rafaela, posłuszny jak pies, przybiegł na głos chłopca, któremu ojciec skinieniem kazał na niego wsiąść. Potem wyjął z kieszeni chustkę i zwracając się do starego sługi rzekł:

- Zawiąż mu oczy.

- I owszem, i owszem - odezwał się chłopak tym samym szyderczym tonem. - Chociaż to niepotrzebna komedia, bo ja i tak nie powróciłbym tą drogą. Dobrze mi będzie w puszczy, doskonale, świetnie!

- Cicho, cicho, szaleńcze - szepnął Euzebio do ucha chłopca, który pochylał się do niego pozwalając zasłonić sobie oczy.

- A teraz w drogę! - zawołał don Ramon chwytając za uździenicę konia Rafaela i pomknął naprzód, wiodąc go przy sobie; Euzebio wzdychając ciężko jechał za nimi i prowadził jucznego konia.

Don Ramon więcej ust nie otworzył, tamci dwaj także milczeli. Jeźdźcy jak cienie przemykali się pośród gęstwiny leśnej, w której panowała niezmacona niczym cisza, gdyż nawet kopyta końskie nie tętniły po miękkim mchem usłanym gruncie. Jechali tak bez wytchnienia, dopóki słońce nie wzniosło się wysoko na niebie. Konie upadały ze znużenia, trzeba się było zatrzymać. Ale i podczas popasu nikt milczenia nie przerwał, a Rafael miał ciągle oczy zawiązane.

Jak tylko konie wypoczęły nieco, mała gromadka puściła się w dalszą drogę. Okolica, przez którą jechano, stawała się coraz dziksza. Don Ramon nie zatrzymał konia, póki się nie ściemniło zupełnie.

- Tu nocować będziemy - rzekł wreszcie. Pierwsze to było słowo, które od początku podróży wyszło z jego ust. Wszyscy trzej zsiadli z koni i Euzebio otrzymał pozwolenie odwiązania oczu Rafaelowi. Stary sługa wydobył zapasy żywności, którymi posilono się w milczeniu, tylko przytłumione westchnienia przerywały je niekiedy. Puściwszy konie na paszę, wędrowcy ułożyli się do snu na trawie i cisza głębsza jeszcze zaległa dokoła.

Nie będziemy tu opowiadali szczegółów dalszej podróży, która trwała

dni pięć. Szóstego dnia, około dziesiątej z rana, don Ramon się zatrzymał i zsiadł z konia.

- Chłopcze - odezwał się głosem surowym do Rafaela - to miejsce oddalone jest o mil sześćdziesiąt najmniej od hacjendy del Milagro, gdzie tak niegodnie zmarnowałeś młode swoje lata. Nie waż się nigdy powracać do ojczyzny, bo cię czeka śmierć i hańba. Pozostaniesz tu sam jeden. Puszczą ta jest bezludna; czasem tylko, bardzo rzadko, w głąb jej zapędzi się odważny myśliwy lub przemknie przez nią gromadka dzikich Indian. Pamiętaj, że odtąd nie masz ani ojca, ani siostry, ani krewnych, ani znajomych. Nie umiałeś się zastosować do obyczajów ludzi cywilizowanych, żyjże tu w dzikiej puszczy! Nie chciałeś ulegać nikomu: tu będziesz musiał ulec woli Bożej, bo On tylko jeden, Stwórca miłosierny, który czuwa nad każdym stworzeniem, mocen jest wspierać cię w tym osamotnieniu. Może też łaska Jego niewyczerpana wzruszy w końcu harde i nieugięte serce twoje i natchnie je lepszymi uczuciami. Ostateczny to dla ciebie ratunek; nie próbuj więc zmiękczyć mnie i przebłagać, gdyż postanowienie moje jest niewzruszone.

- Ja też wcale nie myślę zniżyć się do błagania - odrzekł Rafael zimnym, sztywnym tonem. - Chcesz być katem moim! Któż zdoła zmiękczyć serce kata?

Don Ramon drgnął cały, zapanował jednak wkrótce nad sobą i nie odpowiedziawszy nic na zuchwałe słowa syna mówił dalej, wskazując przedmioty, które blady i zapłakany Euzebio rozpakowywał i rozkładał:

- Masz w tych torbach zapasy żywności na czas dłuższy: tu znów krzesiwo i hubkę do rozniecenia ognia. Te rogi bawole pełne są prochu i kul; oszczędzaj tej amunicji, a starczy ci na długo. Oto jest strzelba wypróbowana. Ten, którego ojcem swym zwałeś, nie chybił z niej nigdy. Daję ci także dwa wyborne noże myśliwskie i siekierę. Żyjąc tu wśród ustawicznych niebezpieczeństw, będziesz musiał być ciągle uzbrojony. Szanujże tę broń, ochraniaj życie... Rozpoczniesz je tu na nowo: oby było lepsze...

Wymówiwszy te słowa, don Ramon spiesznie się odwrócił i wskoczył na konia. Euzebio za to pochwycił Rafaela w objęcia nie ukrywając łez rzewnych, a i chłopiec teraz zapłakał głośno.

- O, Rafaelu - mówił stary sługa szlochając - serce moje przeczuwa, że jeszcze kiedyś powrócisz w progi rodzinne.

- Nie, nigdy! - wykrzyknął chłopak, ocierając łzy, i zwykły wyraz zaciętego oporu znowu zabłysnął w jego oczach. - Ojciec wyrzekł się mnie, skazał na wygnanie wśród dzikich zwierząt. Niechże tak będzie, nie zobaczy więcej syna. Nie obawiaj się o mnie zbyt wiele, Euzebio; dam ja sobie radę z dzikimi zwierzętami; uspokój także Karmelę.

Wtem gwizdanie odezwało się z oddalenia.

- Ojciec twój się niecierpliwi! - rzekł Euzebio. - Bywaj zdrow, Rafaelu, niech cię Bóg strzeże. A teraz weź to jeszcze na pamiątkę ode mnie i zachowaj na ciężkie chwile, gdy potrzebować będziesz pociechy w smutku, umocnienia, światła w opuszczeniu i samotności.

Wymawiając te słowa, wśród tłumionego łkania, starzec podał chłopcu mały jakiś przedmiot w papier owinięty. Raz jeszcze pochwycił chłopca w objęcia, raz jeszcze złożył pocałunek na jego czole. Rafael zalewając się także rzewnymi łzami wyrwał się z jego uścisku i zawołałszy:

- Bywaj zdrow, uściskaj siostrę ode mnie - pomknął w las jak szalony. Starzec przez chwilę spoglądał za nim zażwawionym wzrokiem, wreszcie siadł na konia i spiesźnie odjechał.

XVI

POSELSTWO

Rok po roku upływał, aż nadeszła wiosna, poprzedzająca o parę miesięcy ów skwarny dzień letni, od którego rozpoczęliśmy opowiadanie nasze. Pewnego dnia, w kwietniu, przed wieczorem, jeździec kurzem okryty zatrzymał się przed hacjendą del Milagro. Od pierwszego rzutu oka łatwo było poznać, że koń i jeździec długą i nużącą odbyli drogę. Jeździec był człowiekiem lat średnich, niezbyt wysoki, lecz silnej herkulesowej budowy.

Jak wspomnieliśmy wyżej, stanął on przed hacjendą pod wieczór, a że zastał bramę zamkniętą, uderzył w nią kilkakrotnie kolbą swej strzelby. Szczekanie psów odpowiedziało na to niezbyt wytworne oznajmienie odwiedzin. W parę chwil potem otworzyła się furtka, umieszczona obok bramy, i ukazał się w niej biały jak gołąb staruszek. Twarz jego blada miała wyraz głębokiego smutku.

- Czego pan sobie życzy? - zapytał drżącym od starości głosem.
- Czy to jest hacjendą del Milagro? - wycedził przybysz przez zęby. Wi-
dać było, że wygłoszenie tylu słów naraz wiele go kosztowało.
- Dom ten rzeczywiście tak się nazywa.
- Czy sam don Ramon de Saavedra? - pytał znów dziwny gość zsiadając
powoli z konia.
- Nie - odrzekł krótko staruszek.
- Może Euzebio?
- Pan mnie zna?
- Z imienia tylko.
- Jak się pan nazywa?
- Johnson.

- Czy przypadkowo, czy umyślnie zajechałeś pan do hacjendy del Milagro?

- Umyślnie. Chcę się widzieć z don Ramonem.

- Czego pan żąda od niego?

- Przybyłem tu w poselstwie. Ale po co te pytania? Starzy ludzie, czy mężczyźni, czy kobiety, zawsze są nieznośnie gadatliwi. Otwieraj prędzej bramę, staruszk, i prowadź mnie do don Ramona.

- Odmawia w tej chwili modlitwy wieczorne, przerywać mu nie wolno.

- Dobrze, poczekam.

- Chodź pan tymczasem do mego pokoju, panie Johnson - rzekł starzec uprzejmie i zawołał masztalerza, któremu kazał zabrać konia obcego przybysza.

- Jakże się miewa don Ramon de Saavedra? - zapytał ten ostatni, gdy weszli do mieszkania Euzebia.

Twarz starca stała się jeszcze smutniejsza.

- Niedobrze się miewa - odrzekł półgłosem.

- Ba! Nic dziwnego, przy takiej zgryzocie.

- Czyżbyś pan miał wiedzieć?...

- Wiem wszystko.

- O Rafaelu?

- Tak. Ubolewałem nad jego ojcem, lecz syn na większe zasługuje współczucie.

- Co pan wie o nim? - zawołał Euzebio drżąc cały ze wzruszenia.

- Wiem tylko tyle, że młodzieniec ten musiał być zawsze w gruncie rzeczy zacny i szlachetny i, jeśli zawinił przez lekkomyślność, wymierzona kara była zanadto surowa.

- O, panie Johnson, pan musi coś wiedzieć o późniejszych losach Rafaela! Mów pan, mów na miłość Boską!

- Powiem wszystko w swoim czasie. Wprzód jednak, panie Euzebio, musisz mi opowiedzieć ze szczegółami, jak najdokładniej, w jakim usposobieniu jest obecnie don Ramon de Saavedra dla tego syna, którego skazał na wygnanie w dzikiej puszczy, na życie pośród drapieżnych zwierząt.

- A więc posłuchaj pan - mówił Euzebio westchnąwszy głęboko. - Jestem

przekonany, że biedny pan mój zaraz tegoż samego dnia, gdy spełnił ten czyn okrutny, już go w duszy żałował. Nie mówił tego wprawdzie, lecz ja to i bez słów poznałem. Ileż razy nagle zatrzymywał konia wśród lasu i nasłuchiwał, czy nie usłyszy głosu syna. Czasem zdawało mi się, że zawróci, lecz on tym gwałtowniej bódł konia ostrogami i pędził dalej! Straszne było jego położenie, bo pomyśl pan tylko: gdyby sam nie był go ukrył przed sprawiedliwością, stałby się współnikiem jego hańby; gdyby go wydał w ręce sadowników, winowajca nie uniknąłby sromotnej śmierci na rusztowaniu. Chociaż bowiem obie ofiary popędliwości Rafaela pozostały przy życiu, ojciec młodzieńca, którego przy grze w karty niebezpiecznie Rafael zranił, człowiek możny, wielkie wpływy mający w Hermosillos, domagałby się nań kary śmierci.

- To prawda - mruknął znów Johnson - położenie było trudne. Zaczynam wierzyć, że don Ramon nie mógł postąpić inaczej, a jednak...

- A jednak serce jego ojcowskie straszliwie nad tym cierpiało. Gdyśmy powrócili do domu, z dniem każdym stawał się bledszy i smutniejszy. Niekiedy zrywał się nagle, jak gdyby w gwałtownym przerażeniu, i wybiegał z domu; kazał sobie siodłać konia, jechał do lasu i po kilka godzin, czasem dnie całe spędzał na tych przejażdżkach, których dawniej nie miał w zwyczaju. Trwało to przez kilka tygodni; sen odbiegał od jego powiek, rzadko się rozbierał. Natomiast po całych nocach jak widmo błędził po pustych pokojach. Unikał towarzystwa ludzi, nawet od własnej córki uciekał.

- A Karmela, siostra Rafaela? Nic mi jeszcze o niej nie mówiłeś, panie Euzebio!

- Biedna Karmela! Nieszczęśliwa dziewczyna! - mówił dalej Euzebio. - Co się wycierpiała, napłakała, bo serdecznie przywiązana do brata pocieszyć się nieboga nie mogła, a ojciec nic jej nie chciał powiedzieć o jego losie. Długo pozostawała w niepewności. Później dopiero przypadkiem dowiedziała się o prawdzie.

- A więc dowiedziała się? Jakimże sposobem?

- Najsmutniejszym w świecie. Zgryzota don Ramona z dniem każdym zdawała się wzrastać; nadzwyczajny niepokój, który przy tym okazywał, budził w sercu Karmeli straszliwe domysły. Dnia pewnego odważyła się

zapytać ojca, co się stało z Rafaelem. Don Ramon ofuknął ją z niezwykłą u niego szorstkością i nie odpowiedział wcale. Jestem pewny, że biedna dziewczyna wyobrażała sobie coś gorszego jeszcze od rzeczywistości. Może sądziła, że ojciec własną ręką zamordował syna... Nie śmiała temu ojcu w oczy spojrzeć, w końcu poczęła go unikać, a że i on ze swojej strony nie szukał córki, nieraz więc przez całe tygodnie nie widywali się wcale. Od owego czasu i ona także zaczęła blednąć i chudnąć coraz więcej.

- A więc wygnaniec nie był zapomniany, więc ojciec nie zdołał wyrwać z serca miłości dla niego! Bo też on na to z żadnego względu nie zasługiwał... Ale mów dalej, staruszku.

- Tymczasem obaj ci ludzie, którzy mieli być śmiertelnie ugodzeni przez Rafaela, żyli i w krótkim przeciągu czasu zupełnie do siebie przyszli. Teraz i w mieście wszyscy już zaczęli inaczej zapatrywać się na tę sprawę. Przyznawano, że chłopiec działał w zapalczywości i uniesieniu, nie będąc panem siebie; zawinił wprawdzie, lecz nie zasługiwał na nazwę zbrodniarza. Może pan sobie wyobrazi, co się działo z nieszczęśliwym ojcem. Pewnego rana pan mój wyjechał sam z domu i nie powrócił ani wieczorem, ani dni następnych. Ja jeden domyślałem się celu tej podróży, chociaż mi nic nie powiedział, bo i do mnie rzadko kiedy słowo przemówił. Byłem pewny, że błędzi w głębi puszczy szukając Rafaela.

- Szukał go w puszczy! O, jakże mię to cieszy - mówił półgłosem Johnson. - Szukajcie a znajdziecie!

- Nie znalazł jednak, ach, nie znalazł! - odrzekł staruszek wzdychając ciężko. - Gdy po dwóch tygodniach powrócił, wyglądał okropnie: postarzał o lat dziesięć, a wzrok jego miał wyraz obłąkania. W kilka dni zapadł na silną gorączkę, która go o mało nie zaprowadziła do grobu. W czasie owej choroby Karmela czule pielęgnowała ojca, dzień i noc nie odstępując od jego łoża, i wówczas to dowiedziała się całej prawdy o losie brata: pan mój będąc nieprzytomnym w gorączce wypowiedział wszystko. Biedna dziewczyna na nowo opłakała brata, bo nie przypuszczała nawet, aby mógł uniknąć tylu okropnych niebezpieczeństw, otaczających go w puszczy. Ja także to jej przekonanie podzielałem aż do chwili obecnej.

- Możesz je zmienić, panie Euzebio - mruknął obcy przybysz.
- Pan mój chorował długo i ciężko, w końcu jednak zaczął powoli przychodzić do siebie, chociaż znać było, że życie stało się już dlań ciężarem niezdolnym. Tak mijały miesiące, lata, a czas leczący podobno wszelkie rany, żadnego wpływu nie wywarł na smutny stan don Ramona, najmniejszej mu nie przyniósł pociechy. I on, i Karmela, i ja - z jednakową boleścią oplakujemy ciągle Rafaela. Już utraciliśmy byli zupełnie nadzieję, aby jakkolwiek wieść o nim dojść mogła do nas, aż oto pan powiadasz... mój Boże, gdybyż to była prawda!

- Nie myślę cię udręczać dłużej, panie Euzebio - rzekł przybysz powstając i kładąc rękę na ramieniu starca. - Rafael żyje!

- Dzięki ci Boże! - wykrzyknął Euzebio i wzniosłszy obie ręce do góry począł szeptać cichą modlitwę. Potem z młodzieńczą żywością przyskoczył do gościa, pochwyił go za oba ramiona, utkwiał w nim wzrok badawczy i zawołał:

- Gdzie on jest?

- O tysiąc mil stąd.

- I pan go znasz? Przynosisz wieści od niego?

- Znam i wieści przynoszę.

- Czy pomyślne?

- Pomyślne.

- Czy on sam przysłał tu pana?

- W każdym razie w poselstwie od niego przychodzi.

- Masz pan list od Rafaela?

- Nie, ustnie wypowiem wszystko.

- Mówże pan, mów prędzej.

- Będę mówił w obecności don Ramona.

- Biegnę do niego, choćbym mu miał przerwać modlitwy...

Euzebio wybiegł spiesźnie, bawił jednak z kwadrans przeszło, a gdy powrócił, oczy miał od łez zaczerwienione, choć wyraz twarzy świadczył dostatecznie, że to nie były lży smutku.

- I cóż? - zapytał Johnson.

- Jakkolwiek starałem się mówić ostrożnie - rzekł staruszek - nagła ta i niespodziewana wiadomość tak gwałtownie wywarła na biednym panu

wrażenie, iż omdlał na chwilę, a gdy przyszedł do siebie, był przez czas jakiś jakby nieprzytomny. Śmiał się i płakał jednocześnie, wołał córki, której nie widział od tygodnia... Zdawało mi się w pierwszej chwili, że bredzi, że oszalał. W końcu uspokoił się nieco i sam chciał tu biec do pana, ledwośmy go powstrzymali. Ale chodźże pan jak najprędzej do niego!

Gdyby kto po ośmiu latach niewidzenia spojrzął teraz na don Ramona, nie poznałby go z pewnością. Z silnego, przystojnego mężczyzny przemienił się w niedołężnego starca. Postać cała pochyliła się, włosy i broda pobielały jak śnieg, blask oczu zagasł, a głos stał się drżący i bezdźwięczny. Ujrawszy wchodzącego gościa podbiegł żywo ku niemu wołając ze wzruszeniem, którego nie mógł opanować:

- Czy to prawda, że syn mój żyje? Czy pan to rzeczywiście powiedział?

- Tak jest.

- I pamięta o rodzinie?

- Pamięta.

- Czy pan to wie na pewno?

- Nigdy nie mówię tego, czego nie wiem na pewno.

- O Boże miłosierny, dzięki! - zawołał don Ramon składając ręce i znów począł pytać z gorączkową niecierpliwością: - Wszak wspominał pan coś o poselstwie? Jakież to poselstwo mi pan przynosi?

- Pozwól mi pan pierwej usiąść, jestem mocno zmęczony długą podróżą - odrzekł Johnson sadowiac się wygodnie w fotelu.

- O, wybaczy pan moją nieuwagę! - rzekł don Ramon siadając naprzeciw niego. - I jakież to poselstwo?

- Nie tak nagle, niechże pan poczeka, muszę wprzód wspomnieć o różnych innych okolicznościach. Będzie już temu rok przeszło, jak wybrałem się na polowanie na wybrzeża rzeki Czerwonej. Na nieszczęście spotkałem tam gromadkę Komanszów. Nie przeczuwałem nawet, aby się w tych stronach włóczyć mieli; opadli mnie tedy zniemacka i ani się spostrzegłem, gdy już byłem okrążony dookoła i ująć im nie mogłem. Nie poddałem się jednak bez walki: kilku napastników położyłem trupem, dwóch czy trzech kolbą

obalilem na ziemie, w koncu mnie jednak pokonali; nie dziw zreszta: bylem sam jeden przeciw licznej gromadzie. Powalili mnie i skrepowali.

Ze mi to wcale w smak nie poszlo, kazdy to zrozumie; wiedzialem, ze chca pomosci zabitych towarzyszy, a znalem sie troche na ich zwyczajach. Niedlugo sie namyslali: uwiadzali mnie do pala i oznajmili, zem godzien ponieśc smierc wojownika, poniewaz zlozyłem jawne dowody walecznosci. Wiedzialem ja, co to znaczy, i bylbym sie chętnie zrzekl tego zaszczytu. Nie majac powolania do smierci męczeńskiej, która u Komanszów jest przywilejem wielkich wojowników, usilowalem ich rozzloscić wszelkimi sposobami, azeby przynajmniej przedzej tę niemila sprawe zalatwili. Ale nadaremnie! Upierali sie przy swoim i z godzine juz trwala ta arcynieprzyjemna zabawka. Strzaly swistaly mi przy samych uszach, siekierki lataly nad glowa.

A wtem - patrzę - bialy jakis myśliwy, ogromny, przystojny mężczyzna bieży prosto ku mnie. Wyższy ode mnie o glowe, silnie zbudowany, olbrzym prawdziwy! Przedzej niżbym do trzech zliczył, myśliwy ten rozcial więzy, którymi byłem do pala przymocowany. Komanszowie stali wszyscy, jakby w ziemie wrośli, i żaden nawet nie próbował przeszkodzić memu wybawcy. Doslyszalem tylko, jak szeptali między sobą: „Wielki bialy myśliwy!”

Musial on miec u nich niemale znaczenie. Przemowil w ich jezyku. Rozmawiali z nim jak z czlowiekiem, do którego maja zaufanie i którego cenia. Byłem zdumiony. Widzialem, ze można do nich przemowić, porozumiec sie z nimi. Ze można miec w nich przyjaciół. Widocznie musial na to zaslużyć. Trudne to do uwierzenia a jednak prawdziwe, po jego slowach oddali mi noz, strzelbę i inne przedmioty, które mi zabrali.

Myśliwy podal mi rękę i obaj najspokojniej poszliśmy w las. Komanszowie ani myśleli isc za nami i wkrótce straciliśmy ich z oczu.

- Powiedz mi pan jedno tylko slowo - przerwal właściciel hacjendy drzącym głosem - czy to byl mój syn?

- Tak jest.

- O Boze, dzięki ci stokrotnie! - zawolal don Ramon ze łzami rozrzewnienia.

- Masz pan syna, z którego może pan być dumny - rzekł Johnson.
- O bracie mój, bracie ukochany! - szepnęła Karmela zalewając się łzami radości.

- Że też ja dożyłem tej chwili - mówił półgłosem Euzebio.

- A teraz niechże pan mówi dalej - odezwał się don Ramon. - Niechże już dowiem się o wszystkim.

- Ze dwie godziny szliśmy tak obok siebie przez las - opowiadał Johnson - kiedy niekiedy tylko otwierając usta, by parę wyrazów wymówić, gdy młody myśliwy się zatrzymał, spojrzał na mnie swymi pięknymi, a tak smutnymi oczyma, podał mi rękę i rzekł:

- Jest pan już teraz bezpieczny od napaści Komanszów; możemy się pożegnać.

Dziwnie mi się jakoś przykro zrobiło. Zawahałem się chwilę, a potem odrzekłem:

- Miałbym prośbę do pana.

- Jaka? - zapytał.

- Smutno mi rozstawać się z panem, czy nie moglibyśmy odtąd razem wędrować po lesie? Ja także jestem myśliwym i traperem.

- Z przykrością odmówić muszę - rzekł łagodnie - ale ja przywykłem do samotności.

- Może pan spróbuje mego towarzystwa przez krótki przeciąg czasu przynajmniej.

- Dobrze - wyrzekł po chwili namysłu.

- A więc dobrze? Pozostańmy razem przez dni czternaście, dziesięć, cztery zresztą, jak się panu podoba.

- Niech będzie cztery dni na początek - odpowiedział.

Cztery dni upłynęły prędko; byłem w wielkiej obawie, gdy nadszedł piąty. Lecz i ten jakoś przeminął szczęśliwie i syn pański nie wspominał o rozstaniu, ani ja naturalnie także. Odtąd już nie tylko dni, lecz tygodnie i miesiące upływały, a my ciągle wędrowaliśmy razem wśród puszczy; towarzystwo moje widocznie nie przykryło się młodzieńcowi, ja zaś najszczęśliwszy się czułem przy boku wybawcy mojego. Zaczęliśmy coraz częściej rozmawiać z sobą - w puszczy ludzie odwykają od mowy. Tak było aż do dwudziestego stycznia.

Nigdy dnia tego nie zapomnę. Syn pański był od samego rana smutniejszy jeszcze niż zwykle; spostrzegłem nawet, że łzy ocierał ukradkiem...

- To było dwudziestego stycznia? Wszak tak pan powiedział? - przerwał don Ramon z gwałtowniejszym jeszcze wzruszeniem.

- Tak jest, dwudziestego stycznia - potwierdził myśliwy.

- A czy pan wie, jakie znaczenie ma dzień ten w rodzinie naszej?

- Wiem, to dzień pańskich urodzin.

- Czy syn mój to panu powiedział?

- Tak jest.

- O, mów pan dalej, mów dalej!

- Już nieraz usiłowałem wybadać, jaki to smutek tak ciężko dręczy jego duszę. Nigdy jednakże nie chciał mi opowiedzieć. Dnia tego lepiej mi się powiodło; widocznie uczuł gwałtowną potrzebę wynurzenia się. Wyznał mi więc, iż w młodych latach zawinił bardzo i ojciec zmuszony był go się wyrzec. Lecz Bóg zmiłował się nad nim, otoczył wygnańca swoją opieką, pychę jego zamienił w pokorę itd. Nie potrafię tego wszystkiego tak pięknie wyopowiedzieć. Sam mi później mówił, że to wyznanie wielką mu ulgę przyniosło i odtąd już codziennie rozmawialiśmy o rodzinnym jego domu, o panu, don Ramonie, o córce pańskiej i o tym staruszką. Wkrótce przyszło do tego, że syn pański prawie o niczym innym nie mówił.

- I nie oskarżał mnie, nie narzekał na mnie? - zapytał don Ramon i przyciskał niespokojnie bijące serce.

- Nie, nigdy! Siebie tylko oskarżał, o ojcu mówił zawsze z miłością i żalem.

- O, zacny, szlachetny mój synu!

- Tak, masz pan zacnego i szlachetnego syna, może pan być z niego dumny!

- A czy nigdy nie wspominał, że rad by wrócić do rodzinnego domu?

- Nie, nigdy.

- Czemuś go pan nie namawiał do tego?

- Namawiałem.

- I cóż?

- Powiedział, żeś mu pan zabronił wracać do ojczyzny, gdyż jest hańbą i zaklął rodziny.

- Niestety! Rzeczywiście wymówiłem te okrutne słowa.

- Chciałem rzec w niego - ciągnął dalej myśliwy - że pan już dawno musiał mu przebaczyć i przyjąłby go z otwartymi rękoma, bo dziś stałby się chlubą rodziny. Bóg świadkiem, że mówiłem szczerze.

- I niczym przekonać się nie dał?

- Niczym. A jednak...

- Cóż jednak?

- Widziałem ja to dobrze, jak tęsknił za rodziną, za ojczyzną, widziałem, jak mu to wygnanie straszliwie ciąży, i uczyniłem postanowienie, które wykonałem bezzwłocznie. Rozstałem się z nim pod pozorem jakiejś osobistej sprawy, oznaczyliśmy miejsce, gdzie znowu spotkać się mamy, i udałem się w drogę.

- O dzięki ci, zacny, szlachetny człowieku! - przerwał don Ramon ścisnąc serdecznie dłoń myśliwego.

- Nie ma pan za co dziękować. Uczyniłem to dla pańskiego syna jedynie, pana nie znałem przecież wcale. Przykro mi było patrzeć na wieczny, przygnębiający smutek młodego mego przyjaciela, postanowiłem więc wrócić mu spokój i zadowolenie. Zadanie to będzie spełnione, jeśli mu przywiozę dowody przebaczenia ojca. Zechce więc pan, don Ramonie, powierzyć mi list do syna z wynurzeniem tych uczuć ojcowskich, które, jak widzę, serce twoje przepelniają. Jutro rano myślę wyruszyć z powrotem.

- List? O nie, listu nie napiszę - wołał właściciel hacjendy z młodzieńczą żywością przechadzając się po pokoju, widocznie w myślach pogrążony.

- A więc nie chce mu pan przebaczyć? - mruknął Johnson chmurząc się groźnie.

- Jak pan może to przypuszczać?! Co innego miałem na myśli. Ale powiedz mi pan, czy syn mój nie domyśla się nawet celu twej podróży?

- Rozumie się, że nie. Chciałem mu niespodziankę sprawić. Jest on przekonany, że pojechał do Missouri; wymieniłem mu na chybił trafił tę miejscowość.

- Otóż ja sędzę, że niespodzianka będzie jeszcze większa przyjemniejsza, gdy ja sam razem z panem pojedę na spotkanie mego syna.

- O, to dobrze, to doskonale - mówił Johnson zacierając ręce z zadowoleniem, a po chwili milczenia dodał: - Czy tylko sił panu starczy? Droga to bardzo daleka i uciążliwa, uprzedzam pana.

- Wiem o tym - odpowiedział don Ramon, który w tej chwili wyglądał jak inny człowiek i nagle odzyskał dawną stanowczość i energię. - Nie pierwszy to raz będę podróżował w puszczy. Nadzieja ujżenia kochanego mego syna doda mi sił i dopomoże do zniesienia największych trudów.

- Dobrze, doskonale - powtarzał myśliwy. - I kiedy wyruszymy w drogę?

- Nie prędej jak za tydzień, chociaż rad bym nie tracić ani chwili czasu. Muszę jednak zabrać ze sobą ze trzydziestu uzbrojonych ludzi, abyśmy podróż odbyć mogli z zupełnym bezpieczeństwem.

- Wybornie, doskonale - powtórzył Johnson raz jeszcze z wielkim zadowoleniem.

- Ojcze, mój drogi ojcze - odezwała się Karmela, której śliczna twarzyczka promieniowała szczęściem - mam prośbę do ciebie, czy ją spełnisz?

- Z góry ci to przyrzekam - odpowiedział ojciec - dziś nie odmówiłbym niczego nikomu, a zwłaszcza tobie, Karmelo, któraś się tyle nacierpiła w ciągu tych smutnych ośmiu lat! - Mówiąc to czule uściskał córkę.

- Zabierz mię ze sobą - rzekła Karmela błagalnie - ja też pragnę pojechać po Rafaela.

- Żądasz niepodobieństwa, moje dziecko - odpowiedział don Ramon, zdziwiony tymi niespodziewanymi słowami.

- A jednak z góry przyrzekłeś spełnić moją prośbę, ojcze; trzymam cię za słowo i na świadków biorę pana Johnsona i Euzebia.

- Dał pan słowo - rzekł Johnson - nie ma co, trzeba go dotrzymać. Zresztą, czemu by panna Karmela jechać nie miała? Wszak nie będzie bez opieki: trzydziestu ludzi uzbrojonych, to siła nielada wśród puszczy.

- Mogę wziąć nawet czterdziestu, wyszukam silnych, roztropnych, obeznanych z puszcza.

- Tym lepiej - mruknął Johnson.

- Słyszysz, Karmelo - rzekł don Ramon - pojedziesz z nami. Przygotuj się jak należy do tej podróży.

- Bądź spokojny, ojcze, natychmiast wezmę się do przygotowań - odpowiedziała młoda dziewczyna uszczęśliwiona i wybiegła z pokoju.

Hacjenda del Milagro zawrzała ruchem i życiem. Don Ramon objeżdżał konno okolicę wynajdując, gdzie tylko można było, ludzi najpewniejszych, których zamierzał uzbroić i zabrać ze sobą na wyprawę do puszczy. Ponieważ obiecywał sowitą nagrodę, nie trudno mu przyszło zebrać potrzebny, orszak. Jeszcze tydzień wyznaczony przez don Ramona nie upłynął, gdy już wszystko było gotowe do podróży.

Pewnego pięknego poranka gromadka jeźdźców wyruszyła z hacjendy i skierowała się na północ; Karmela, wybornie jeżdżąca konno, nie pozostawała w tyle za innymi trzymając się przy boku ojca. Przed bramą stał Euzebio i zażawionymi oczyma spoglądał za odjeżdżającymi. Długo powiewała z daleka biała chustka Karmeli, wreszcie wszystko znikło w mgle porannej.

XVII

POLOWANIE NA GOŁĘBIE

Opuściliśmy Cezara i Dika owego poranka, gdy Serce Prawe pożegnał się z nimi i powędrował do przyjaciół swoich, Osagów. Stan zdrowia Dika znacznie się polepszył, lecz chłopak był tak osłabiony, że przez dni kilka jeszcze nie mógł się podnieść z posłania. Cezar pielęgnował go ciągle z największą troskliwością, wówczas tylko na chwilę odstępując chorego, gdy trzeba było koniecznie przynieść świeżej wody lub inną spełnić usługę. Łątwo sobie wyobrazić, że tym pocziwym postępowaniem coraz więcej serce Dika pociągał ku sobie. Syn osadnika nieraz niespodzianie zarzucał obie ręce na szyję Murzyna i serdecznie całował czarne, wystające jego policzki i grube usta.

Wkrótce też mógł wychodzić z Cezarem na przechadzki po lesie, a potem i na dalsze wycieczki myśliwskie. Rozrywka ta bardzo była biednemu chłopcu potrzebna, bo pomimo upewnień myśliwego, że ukochanym jego nie grozi żadne większe niebezpieczeństwo, był on zawsze bardzo niespokojny o nich.

Dnia pewnego słońce zniżało się już ku zachodowi, gdy dwaj przyjaciele powracali z takiej myśliwskiej wyprawy. Byli już niedaleko od fortecy, gdzie tym razem zostawili Sultana na straży, i szli przyśpieszonym krokiem, gdy nagle Cezar przystanął i bacznie począł nasłuchiwać.

- Czy Dik nic nie słyszy? - zapytał Murzyn.
- Prawda. Słyszać w oddaleniu jakiś szczególny szum i łoskot - rzekł tamten po chwili milczenia. - Cóż to może być?
- To są gołębie, tak zwane gołębie wędrowne - odpowiedział Cezar bez

wahania. - Ogromne stada tych ptaków przeciągają często w różnych okolicach Ameryki.

Podczas tej rozmowy szelest skrzydeł zbliżał się coraz więcej i stał się ogłuszający. Nagle dokoła młodych wędrowców padł cień, jak gdyby gęsta chmura przysłoniła słońce, jednocześnie szum wzrastał i stał się podobny do szumu wzburzonych fal morskich; w powietrzu poruszonym skrzydłami ptaków powstał podmuch, wiatru.

- Może byśmy palnęli do nich - odezwał się Dik.

- Nie teraz, nie teraz jeszcze - odpowiedział Cezar - bądźmy cierpliwi, a upolujemy ich więcej niż potrzeba. Czyż nie uważasz, że ptaki zwalniają lotu? Musiały odkryć żer w pobliżu i niedługo się opuszczą.

Murzyn miał słuszność: gołębie poczęły lecieć coraz wolniej i coraz niżej, czas jakiś jeszcze unosiły się ponad wierzchołkami drzew, na koniec spuściły się na ziemię i pokryły ją całkowicie na znacznej przestrzeni. Teraz poczęły pilnie szukać żywności, grzebały i przetrząsały liście, leżące na ziemi, wynajdując tam żołędzie i różne orzeszki. Obfitość tego jadła musiała być wielka, bo je tak chciwie przelykały, że dławily się i dusily, co łatwo było poznać po ich niespokojnym szamotaniu się i trzepotaniu skrzydłami. Przy tym najmniejszej uwagi nie zwracały na obu chłopców, spoglądających z podziwem na to niezwykle widowisko. - Czy można już strzelić? - zapytał Dik.

- Jeszcze chwileczkę cierpliwości, mój Diku - prosił Murzyn. - Gołębie niedługo usadowią się do snu na drzewach, będziemy ich wtenczas mogli nabić tyle, ile zechcemy, bo siadają bardzo gęsto. Lubią też sypiać na jednym miejscu, jeżeli gdzie dłużej przebywają.

Gdy Murzyn to mówił, ptaki podniosły się z ziemi, nie odleciały jednak, lecz posiadały na drzewach, widocznie na nocleg. Pełno ich było nawet na najniższych gałęziach, łatwo więc mogli chłopcy zbliżyć się do nich i kijem nawet zabijać. Toteż młodzi nasi myśliwi zaopatrzyli się w zwierzynę nie spaliwszy ani ziarnka prochu; pamiętali o tym, co zalecał Serce Prawe, aby oszczędzali amunicji. Gołębie nie okazywały najmniejszej obawy, gdy który

z chłopców się zbliżał, a co dziwniejsze, nawet i wtedy nie uciekały, gdy widziały, jak ich bracia padali pod śmiertelnymi ciosami. Cezar i Dik nie mordowali jednakże biednych ptaków dla zabawki; zabijali ich więc tylko tyle, ile rzeczywiście potrzebowali.

Dik z wielkim zajęciem przypatrywał się ptakom z bliska. Gołąb wędrowny jest dość silnie zbudowany: ma szyję długą, małą główkę, skrzydła wydłużone i spiczaste, nogi krótkie, lecz silne. Pióra jego na grzbiecie są popielato-błękitnawe, na brzuchu przechodzą w odcień czerwonawy; oczy ma błyszczące, purpurowe, czarny, niezbyt długi dziób, a nogi także czerwone. Ptaki te wyrządzają ludziom nieobliczalne szkody, głównie też z tego powodu tak niemiłosiernie są tępione. Łatwo sobie wyobrazić, co się dzieje na łąkach i polach uprawnych, gdy takie ogromne stado gołębi wędrownych przyleci na nie i szuka pożywienia. Tak samo jak w innych stronach świata po przejściu szarańczy, w krótkim przeciągu czasu z pracy rolnika nie pozostaje nic prócz nagiej i огоłoczonej ziemi. Sady, ogrody, uprawne pola, wszystko to żarłoczne ptactwo pustoszy i niszczy do szczętu ¹.

¹ Tak było przed laty. Obecnie gołąb wędrowny jest niemal zupełnie w Ameryce wytępiony.

Już zmierzch począł zapadać, gdy Dik i Cezar, obładowani zwierzyną, puscili się spiesznie w drogę chcąc przed nocą do fortecy powrócić. Lecz po raz drugi tego dnia odgłos niezwykły obił się o ich uszy. Był to wyraźnie ryk drapieżnego zwierza.

- Jaguar - szepnął Dik strwożony.

- Nie, to kuguar, czyli puma - odrzekł Murzyn. - Znam dobrze to zwierzę i głos jego odróżnić potrafię.

Tymczasem głos drapieżnego zwierzęcia zbliżał się coraz więcej i coraz wyraźniejszy się stawał.

- Co tu robić? - spytał Dik opatrując starannie strzelbę.

- Najlepiej stańmy tu z boku i czekajmy - odrzekł Murzyn. - Kuguar zwęszył już także gołębie, idzie tu niezawodnie po to, aby sobie porządną ucztę wyprawić. Zaraz zobaczymy.

- A jeżeli zechce i naszej skóry zakosztować? To by nie była wcale rzecz przyjemna.

- O to Dik może być spokojny, nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

Kuguar jest rzeczywiście nadzwyczaj drapieżny, gdy ma do czynienia ze słabszymi zwierzętami, lecz na człowieka bardzo rzadko się rzuca. Zresztą mamy przecież strzelby. Najlepiej byłoby, gdybyśmy się wdrapali na drzewo: widzielibyśmy go stamtąd doskonale.

- Zapominasz chyba, że kuguar łązi po drzewach jak wiewiórka.

- Pamiętam o tym, ale niech się Dik nie obawia. Kuguar będzie prawdopodobnie łąził po drzewach i chrupał gołębie; a choćby nawet zabłądził do nas przypadkiem, z pewnością ucieknie zaraz, gdy nas zobaczy. Gdyby się rozzuchwiał, zakosztuje naszych kulek.

- Niechże i tak będzie - rzekł Dik - ja także rad bym temu złośliwemu kotu i przypatrzeć się bliżej.

Murzyn upatrzył drzewo stosowne i obaj wdrapawszy się na nie usadowili się wygodnie pod osłoną liści, skąd wszystko widzieć mogli doskonale sami nie będąc widziani. Zabite gołębie uwiązali obok na gałęzi w miejscu jak najmniej widocznym.

XVIII

KUGUARY I INNE ZWIERZĘTA LEŚNE

Zaledwie dwaj przyjaciele usadowili się w swej kryjówce, gdy pod tym samym drzewem dał się słyszeć szelest. Dik trącił lekko Cezara w ramię, tamten skinął głową na znak porozumienia. Obaj ujęli strzelby i trzymali je w pogotowiu. Spojrzawszy w dół ujrzeli tam ciemną jakąś postać, która krążyła pod drzewem i łeb co chwila podnosiła. Przypatrzwszy się jej lepiej poznali kuguarą. Tymczasem z dwóch stron jednocześnie ozwały się głosy innych kuguarów, także niezbyt oddalonych.

- Ej, źle podobno będzie z nami - szepnął Dik przestraszony do ucha Murzyna.

- Niech Dik się nie boi, jeszcze nam żadne niebezpieczeństwo nie zagraża - odpowiedział tamten równie cicho.

- Nie widzę już zwierza - szepnął znów Dik. - Czyżby nas zwietrzył i uciekł?

- Nie sądzę. Kuguar, podobnie jak inne koty, ma wzrok i słuch doskonały, lecz węch nieszczególny. Nawet i o jaguarze powiedzieć to można. Aha!... Czy słyszysz?... Wszak to trzepotanie skrzydeł gołębi.

- Masz słuszość - potwierdził Dik. - Żarłok musiał wdrapać się na drzewo i zajada gołąbki.

- A gdy się nasyci, będzie je dusił dla przyjemności - mówił Cezar, zawsze cichym głosem, chociaż nie było obawy, aby go zwierz posłyszał. - Jest okrutny i krwiożerczy do najwyższego stopnia. Straszne szkody wyrządza, gdy zakradnie się do zagrody gospodarskiej, bo zagryza naraz mnóstwo bydła, owiec, drobiu, chociaż i połowy pożreć nie może. Morduje bez miłosierdzia wszystko, co mu pod ząb wpadnie. Nieraz w ciągu jednej nocy udusi

do pięćdziesięciu owiec po to tylko, aby wysać z każdej trochę krwi. Zwykle skacze zwierzętom do gardła, rozdziera je i chciwie gorącą krew żłapie. Gdy się opije do woli tego przysmaku, dostaje jakby odurzenia i zapada zwykle w długi, głęboki sen. Często też odbiera karę zasłużoną wkrótce po dokonaniu tych okrucieństw, gdyż łatwo jest odszukać go uśpionego w pobliżu.

- Chciałbym wiedzieć przynajmniej - odezwał się Dik ledwo dosłyszalnym szeptem - ile tam tych obrzydłych kotów uwija się po lesie.

- Ze trzy lub cztery - odpowiedział Cezar. - Szkoda, że tak ciemno i nie można zobaczyć, jak one dokazują. Moglibyśmy jednak zejść trochę niżej, nic nam się przecież nie stanie, a na wszelki wypadek mamy strzelby, których wystrzał rozpędzi tę drapieżną zgraję od razu.

Dik zgodził się chętnie, i obaj przyjaciele zeszli ostrożnie na niższą, grubą gałąź, z której łatwiej można było coś dojrzeć. Siedzieli tam krótką chwilę zaledwie, gdy straszliwy hałas odezwał się pod samym drzewem. Dwa kuguary wiodły ze sobą walkę zawziętą. Przyskakiwały jeden do drugiego z szalonym rozpędem i gryzły się zażarcie, to znów tarzały się razem po ziemi, a przy tym mruczały i ryczały wściekle. Ponieważ obaj zapaśnicy nie ustępowali jeden drugiemu w sile i zaciętości, losy walki przez czas dość długi pozostawały nie rozstrzygnięte.

- Może by strzelić? - spytał cichutko Dik.

- Niech Bóg broni, nie strzelaj - odrzekł Murzyn.

A wtem i na placu boju zmieniła się postać rzeczy. Świadkowie tego krwawego widowiska ani na chwilę nie spuszczały z oczu obu kugarów i naraz ujrzeli, jak jeden z nich wyrwał się gwałtownie z pazurów przeciwnika jęknąwszy żałośnie; zapewne niezwykle bolesną otrzymał ranę. Widocznie też uznał się za zwyciężonego, gdyż jednym susem wskoczył na drzewo, na którym siedzieli nasi znajomi. Z szybkością błyskawicy zwierz stanął przed nimi i zmierzył ich iskrzącymi się oczyma.

Dik skamieniał z przerażenia i nie pomyślał nawet o obronie. Ale i Cezar się nie poruszył, chociaż nie stracił przytomności i trzymał palec na cynglu

strzelby. Śmiało spojrzął on w oczy zwierzęciu, które zdawało się nadzwyczajnie zdziwione widokiem ludzi. Kuguar stał tak przez czas jakiś szczerząc zęby i mruczając zupełnie jak kot, po czym odwrócił się i zaczął uciekać. Drugi kuguar puścił się w pogoń za zbiegiem, wdrapał się także na drzewo i gdy pierwszy uciekał spieszenie od naszych znajomych, ujrzał niespodzianie przed sobą rozwartą paszczę swego zwycięzcy.

- Teraz pora - szepnął Cezar do towarzysza. - Bierz na cel pierwszego, a ja się z drugim rozprawię. Tylko mierz dobrze, Diku, mierz dobrze.

Dik ochłonął już z przestrawu o tyle, że mógł spełnić to polecenie Murzyna; wycelował uważnie i pewną ręką trzymał strzelbę.

- Pal! - wykrzyknął Cezar na głos.

Oba strzały padły jednocześnie. Kuguar, którego na cel wziął Cezar, spadł z drzewa zabity na miejscu. Nie tak dobrze powiodło się Dikowi. Trafił on wprawdzie także, lecz zranił tylko zwierzę, czym je wprawił we wściekłość. Wielkie niebezpieczeństwo zagrażało teraz obu młodym myśliwym. Kuguar szczerząc zęby i mruczając groźnie, przyskoczył do Murzyna, który własnym ciałem osłonił towarzysza i podniósł nóż myśliwski. Dik tymczasem spieszenie broń nabijał.

Nieustraszona postawa Cezara oneśmieliła zwierzę na chwilę: spoglądało ono na przeciwnika niepewne, czy rzucić się na niego, czy cofnąć. A chwila ta, pomimo ciemności, wystarczyła Dikowi do nabicia strzelby. Podał ją przyjacielowi: rozległ się strzał i kuguar, który był przysiadł właśnie gotując się do skoku, jęknął głucho i podskoczywszy tylko na miejscu, martwy spadł z gałęzi na ziemię.

- Dzięki ci, Panie! - zawołał Dik i odetchnął głęboko. - Jednak nie mów już nigdy więcej, Cezarze, że kuguar czyli puma nie jest niebezpieczny dla człowieka!

- Niechże Dik pamięta, że spotkanie nasze z tymi drapieżnikami nastąpiło wśród szczególniejszych okoliczności. Można więc uważać to za wyjątek od reguły, że kuguar nigdy nie napada człowieka. No, teraz nasze strzały musiały wypłoszyć wszystkich niepotrzebnych włóczęgów nocnych. Wracajmyż co prędzej do naszej twierdzy, tylko wprzód nabijmy strzelby.

Dwaj towarzysze spuścili się z drzewa, Murzyn pierwszy, a za nim Dik. Oba kuguary nie dawały już znaków życia.

- Jutro rano zdejmujemy z nich skórę - rzekł Cezar. - Wprawdzie niewiele warta, myśliwi wcale się o nią nie ubiegają. Mięso na nic się nam nie przyda, chociaż niektórzy utrzymują, iż jest jadalne i przypomina smakiem cielęcinę.

- Fe! dziękuję za taką cielęcinę - odparł Dik krzywiąc się ze wstrętem.

- Mamy pod dostatkiem gołębi - mówił Murzyn, który nie zapomniał zabrać tej zdobyczy, nim zszedł z drzewa. - Musimy tu jednak w każdym razie jutro powrócić, mam nadzieję, że napotkamy jeszcze niejedno osobliwe zwierzątko, zwabione przelotem gołębi. Z pewnością będę mógł ci pokazać szopa, a także i dydelfy. Są to zwierzęta workowate, zabawne bardzo, sam się o tym przekonasz.

- O! Bardzo bym rad zobaczyć je z bliska - zawołał Dik. - Ale ty musisz wiedzieć mnóstwo ciekawych szczegółów o ich życiu i obyczajach. Ja bym tak chętnie słuchał, gdybyś zechciał opowiadać...

- I owszem. Żadne zwierzę nie jest mi obce, bo często z panem Smithem puszczaliśmy się na długie myśliwskie wyprawy po lasach i stepach. Zaczniemy od szopów. Szop, blisko spokrewniony z niedźwiedziem, przebywa wyłącznie w Ameryce, rozpowszechniony jest bardzo i na południu i na północy. Na nieszczęście myśliwi tak zawzięcie za nim wszędzie uganiają, że jeżeli to dłużej potrwa, wytępią go niezawodnie do szczytu. Teraz jest ich jeszcze dosyć po lasach i tu ślady szopów napotykałem nieraz. Zwykle sadowią się na brzegach rzek i strumieni, gdyż ryby są najulubieńszym ich pokarmem, z wielką też zręcznością je łowią. Nie gardzą jednak i innymi pokarmami. Tak samo, jak pokrewne im niedźwiedzie jedzą prawie wszystko, co im pod ząb wpadnie, tak zwierzęce, jak i roślinne pokarmy. Lubią kasztany, kukurydzę, jagody leśne, owoce wszelkiego rodzaju. Ale chwytają także łapczywie ptaki, jaja z gniazd wybierają, duszą kury i gołębie, pożerają nawet mięczaki i owady. Słowem: szop jest to żarłok nad żarłokami i niemało szkody z tego powodu wyrządza osadnikom. Bliskość wody z innego jeszcze względu jest mu potrzebna. Zwierz ten ma osobliwy zwyczaj, że każdy pokarm przed jedzeniem musi koniecznie w wodzie opłukać.

Oj! napatrzyłem się niemało ciekawych rzeczy, gdyśmy z panem Smithem polowali na szopy.

- Wszystko, co opowiadasz, mój Cezarze, jest nadzwyczaj zajmujące - mówił Dik, gdy Murzyn umilkł. - Skoro już tak się rozgadałeś, może byś za jednym zachodem przypomniał sobie coś ciekawego o dydelfach. Mówiłeś przed chwilą, że jutro prawdopodobnie zobaczymy je także na miejscu noclegu gołębi.

- Jeżeli tylko masz ochotę słuchać - odrzekł Murzyn - nie zabraknie mi przedmiotu do opowiadania. Zwierzęta workowate żyją przeważnie w Australii. Jeden gatunek, mianowicie dydelf, *oposum*, właściwy Ameryce, zamieszkuje Meksyk, chociaż napotkać go można i znacznie dalej na północ. Dydelf jest zwierzęciem drapieżnym w całym znaczeniu tego wyrazu. Dusi i pożera wszelkie słabsze zwierzęta ssące i ptaki; łązi doskonale po drzewach i straszne spustoszenia wyrządza w gniazdach ptasich. Zakrada się często do kurników, a taki jest krwiożerczy, że podobno jak kuguar gotów wymordować wszystkich drób, chociaż i czwartej części zjeść nie może, tylko krwi trochę wyssie z każdej sztuki. I on tą krwią się upaja, często też nie zdąży nawet się oddalić i na miejscu, gdzie nabroił, usypia. Zawzięty zwierz, gdy raz krwi zakosztuje, nie przerwie sobie za nic rozpoczętej ucztę i gdy go służba zajdzie na gorącym uczynku, prędzej się da zabić niż wypłoszyć.

Nieduży i na pozór niezbyt silny, wytrzymały jest ogromnie. Sam widziałem, jak pewien osadnik pochwywszy dydelfa w szkodzie zbił go tak okropnie, że wyglądał zupełnie jak nieżywy. Pysk miał rozwarty, język wywieszony, oczy zamglone, nikt nawet nie przypuszczał, aby mógł odżyć. A jednak zaledwieśmy się cokolwiek oddalili, chytry zwierz zerwał się na nogi i umknął tak szybko, że go dogonić nie zdołano.

- A to musiał być zły ten osadnik - odezwał się Dik.

- Zły był, naturalnie; mnie jednak w tym wypadku głównie zajął przykład wielkiej wytrzymałości i przebiegłości zwierzęcia.

Tak rozmawiając dwaj młodzi myśliwi przybyli do twierdzy, gdzie ich Sułtan powitał z wielką radością. Spali smacznie tej nocy po trudach przebytych, a nazajutrz, skoro tylko szarzyć zaczęło na niebie, wyruszyli znowu do miejsca, gdzie nocowały gołębie wędrowne.

Już z daleka usłyszeli szelest skrzydeł ptaków, fruujących niespokojnie tu i ówdzie między drzewami.

- Szopy i dydelfy muszą się już uwijać - szepnęła Murzyn. - Byłem pewny, że je zastaniemy przy robocie.

Przypuszczenie Cezara okazało się trafne. Wkrótce też celne strzały naszych młodych myśliwych położyły trupem i szopa, i parę dydelfów. Gołębie tymczasem uniosły się w powietrzu i wkrótce całe stado znikło im z oczu. Dik zaczął uważnie oglądać zabita zwierzynę. Szop z powierzchowności podobny był do borsuka, miał pięćdziesiąt kilka cali długości. Futro szarawe, ciemniejszymi smugami oznaczone, powszechnie jest znane. Barwa jego przedstawia niejaki podobieństwo do kory starych drzew.

Dydelf nie większy był od domowego kota, a z kształtu wyglądał, zupełnie jak olbrzymi szczur; długi jego ogon, przy nasadzie tylko włosami obrośnięty, dochodził dwudziestu ośmiu cali. Cezar wytłumaczył towarzyszowi, że ogon ten, czepnym zwany, wielce jest pożyteczny zwierzęciu przy łażeniu po drzewach: owija go bowiem około gałęzi i łatwiej tym sposobem daje ogromne susy.

Ale najbardziej zajął Dika ów osobliwy worek pod brzuchem zwierzęcia, od którego pochodzi nazwa wszystkich zwierząt workowatych. W worku tym matki noszą swoje małe, póki te nie podrosną o tyle, że mogą się obejść bez ich starań. A trzeba wiedzieć, że małe dydelfy przychodzą na świat nadzwyczaj słabe i niedołążne, potrzebują więc i ciepła, które znajdują u łona matki, i pieczołowitości szczególnej, aby się wychować mogły. Nawet i starsze, umiejące już biegać, chętnie chronią się do tego worka, gdy im jakie niebezpieczeństwo zagraża, lub gdy matka dalsze wędrówki z nimi odbywa.

- A teraz trzeba jeszcze odszukać kuguary - rzekł Cezar po chwili. Znaleźli je oba nietknięte na miejscu, gdzie padły pod ich strzałami dnia poprzedniego. Były to dwa samce. Oba miały około jarda długości i tyleż wysokości. Tułów ich był wysmukły, głowa stosunkowo do reszty ciała wydawała się mała. Silne nogi, łapy szerokie, ostrymi pazurami uzbrojone, mocno uwydatniały ich przy należności do kociego rodu. Sierść, na grzbiecie żółtoczerwona, jaśniejsza na brzuchu a biała na podgardlu, ciemniejszą

barwę przybierała tylko na długim ogonie, dochodzącym pięćdziesięciu kilku centymetrów. Cezar z wielką zręcznością i wprawą zdjął z nich skórę, i młodzi myśliwi, obładowani zdobyczą, podążali z powrotem do fortecy.

Niedaleką mieli drogę, a jednak nim zaszli, spotkała Dika przygoda, której żadną miarą do przyjemności zaliczyć nie można, chociaż życiu jego nic tym razem nie zagrażało. Chłopak, usłyszawszy szelest w krzakach, spojrzął wołając:

- O, jakie ładne zwierzątko! - i puścił się szybko w pogoń za zgrabnym stworzeniem wielkości kota domowego, które umykało przed nim z całej siły.

- To śmierzdiel, niech Dik nie zbliża się do niego! - wołał Murzyn i wolnym krokiem podążał za towarzyszem. Ale Dik nie zważał na przestrożę, chociaż Cezar powtórzył ją raz, drugi i trzeci; uradowany widokiem nieznanego zwierzątka, pędził za nową zdobyczą, chcąc ją koniecznie do poprzednich dołączyć.

Dik nigdy przedtem nie widział śmierzdiela i nie słyszał o nim, nie domyślał się więc nawet, jakie niebezpieczeństwo mu zagraża. Powierzchność zwierzątka nie przedstawiała nic strasznego; przypominało ono bardzo łasicę: tułów miało wysmukły, futerko w białe i czarne pręgi, duży, puszysty ogon i małe łapki, przy czym nie odznaczało się wcale zwinnością i zgrabnością. Toteż Dik już je miał dogonić bez zbytecznego trudu, gdy nagle zwierzątko stanęło.

- Na miłość Boską, uciekaj! - zawołał raz jeszcze donośnym głosem Murzyn. Ale Dik i tym razem wcale na tę przestrożę nie zważał: zbliżył się znów o parę kroków do zwierzęcia i wziął je na cel. Nim jednak zdążył pociągnąć za cyngiel, krzyknął przeraźliwie, rzucił strzelbę na ziemię i zaczął uciekać jak szalony. Smród najokropniejszy i nadzwyczaj mocny rozszedł się dokoła w powietrzu.

- Ach, uduszę się, uduszę! Cezarze, ratuj! - wołał Dik rozpaczliwym głosem.

- Przestrzegalem, prosiłem, Dik mię słuchać nie chciał i teraz ma za swoje. Ja tu nic nie poradzę - mówił Cezar. Przybył jednak na ratunek towarzysza, szczerze nos zatkawszy. Dik miał twarz, ręce, i zwierchnie odzienie zbryzgane cieżką, wydającą tę woń straszliwą.

- O, co za potwór! Czy ja mogłem przypuścić coś podobnego? Ach! jakież to smród okropny, mdłości mię porywają!

- Zdejmij jak najprędzej zwierzchnie ubranie - rzekł Cezar i nie zważając na smród pomógł Dikowi spiesznie się rozebrać. Potem rzucił ubranie jego na trawę i zaczął twarz i ręce chłopca, zbryzgane cuchnącą cieczą, pocierać ziemią.

- Jaka szkoda, że tu nie ma wody - ubolewał Dik.

- Woda w takim razie nic nie pomaga: ziemią zwykle się naciera, ażeby tę woń odpędzić. Niechże Dik sam wyciera ręce, a ja twarz, to zaraz będzie ulga.

Murzyn miał słuszość. Woń zaczęła słabnąć powoli: po godzinie nieustannego wycierania ziemią nie ustąpiła wprawdzie jeszcze zupełnie, lecz stała się już mniej dokuczliwa.

- Moje nieszczęśliwe ubranie przepadło - mówił Dik spoglądając żalosiście na jedyny swój ubiór.

- Ej, nie - odrzekł Murzyn - musimy je tylko okurzyć jak najprędzej. Rozpalimy ogień; dym doskonale na to działa.

Cezar rozłożył spiesznie ognisko i podsycił je zielonymi gałęziami, ażeby wydawało jak najwięcej dymu. Potem powiesił odzienie Dika na dużym kiju ponad ogniskiem i całą godzinę je tak trzymał.

- Fe! jeszcze śmierdzi okropnie - rzekł Dik, gdy Cezar zdjął ubranie uważając je za dostatecznie okurzone - niepodobna będzie tego włożyć.

- Teraz nie - potwierdził Murzyn - ale przyszedłszy do domu zakopujemy to odzienie w ziemi na dwadzieścia cztery godziny przynajmniej, a zapewne powoli smród się rozejdzie. Ziemia i dym - to jedyne środki przeciw obrzydliwej cieczy śmierdziela. Najlepiej jest spalić zanieczyszczone tą obrzydliwością przedmioty, lecz ponieważ tu w puszczy o nowy ubiór nie tak łatwo, musimy sobie radzić jak można.

- Skąd to szkaradne zwierzę bierze tę ciecz piekielną? - spytał Dik, gdy Murzyn zwinął cuchnące odzienie i wziął je pod pachę zbierając się do drogi. - Tyle tylko pamiętam, że podniosło ogon wysoko, nim ładunek mię dosięgnął!

- Naturalnie, bo właśnie pod ogonem ma kilka gruczołów, z których wydziela się owa ciecz cuchnąca. Gruczoły te są dość duże i mięskami

obciśnięte w ten sposób, że zwierzę może dowolnie ciecż wyrzucać na mniejszą lub większą odległość. Przyroda obdarzyła śmierdziała szczególną bronią, która słabe to zwierzątko prawdziwie strasznym czyni.

- Ta broń starczy za każdą inną - mruknął Dik.

- Trzeba ci wiedzieć, że nawet jaguar i kuguar uchodzą przed śmierdzialem. On też tak jest pewny swej potęgi, że rzadko kiedy ucieka przed nieprzyjaciółmi: zwykle czeka na nich najspokojniej, a w ostateczności tryska straszliwą ciecżą.

- Wiem o tym z doświadczenia, niestety! No, ale więcej się to nie zdarzy: do razu sztuka!

XIX

PRZEBYTE NIEBEZPIECZEŃSTWA

W kilka dni po zdarzeniach, opisanych w poprzednim rozdziale, młodzi nasi przyjaciele spostrzegli, że im już wkrótce zabraknie świeżego mięsa, niezwłocznie więc postanowili wyruszyć na dalszą wycieczkę myśliwską i postarać się o zwierzynę. W pobliżu twierdzy brakło jej zupełnie, bo strzały młodych myśliwych wypłoszyły stąd wszelkie żyjące stworzenia. Toteż Cezar i Dik umyślili w dalszych stronach próbować szczęścia.

Po kilkugodzinnej wędrówce natrafili na małą, wąską kotlinkę, przez którą przepływał rączy strumień z szumem i pluskiem. Wybrzeża jego, porośnięte najrozmaitszymi drzewami i krzakami, uroczy przedstawiały widok.

W miejscu cokolwiek więcej przerzedzonym młodzi wędrowcy ku wielkiej radości napotkali dwie rośliny niezmiernie pożyteczne, a mianowicie: tak zwaną rzepę stepową i dziką cebulę. Pierwsza ma korzeń gruby, bardzo smaczny, a przy tym zawierający w sobie dużo pożywnej mączki. Myśliwi i traperzy znają dobrze tę rzepę, która im niejako chleb zastępuje. Dzika cebula, tak samo jak i ogrodowa, stanowi smaczną przyprawę do potraw. Cezar i Dik postanowili później, wolniejszym czasem, zaopatrzyć twierdzę w porządny zapas obu tych roślin.

Nie tylko świat roślinny, lecz i zwierzęcy zwrócił na siebie uwagę młodych wędrowców. W tym pustkowiu, nigdy może nietkniętym stopą ludzką, wrzało wszędzie życie, roilo się mnóstwo najrozmaitszych zwierząt, a tysiące głosów przerywało ciszę. Miły świergot ptasząt śpiewających mieszał się z krakaniem drapieżnego ptactwa, gruchanie gołębi z przeraźliwym wrzaskiem papug; to znów przedrzeźniacz zdawał się szydzić ze wszystkich

swych braci skrzydlatych. Wiewiórki przeskakiwały z gałęzi na gałąź, z drzewa na drzewo. Kiedy niekiedy migała wśród liści duża wiewiórka lisia, piękne zwierzę, którego futro wysoko jest cenione. Zewsząd odzywało się kucie dzięciołów, a ile owadów brzęczało w powietrzu, ile różnych szmerów dochodziło, i z trawy, i z gęstwiny liści, tego żadne pióro opisać nie zdoła. Ale wśród wszystkich głosów skrzydlatej rzeszy jeden szczególnie uderzył Cezara.

- Indyki dzikie - rzekł wskazując ręką stronę, z której głosy tych ptaków słyszeć się dawały.

- Musimy parę upolować - odezwał się Dik.

- Rozumie się - powtórzył Cezar. - Wprawdzie są niezmiernie bojaźliwe i najmniejszy szelest je płoszy, jednak z powodu swej głupoty łatwo się podejść dają. Idźmy ostrożnie i cichutko w tę stronę, a może nam się uda je wypatrzeć.

Musieli przebyć dobry kawał drogi z ogromną ostrożnością, co w tej gęstwinie niełatwą było rzeczą.

- Stój! - szepnął wreszcie Cezar stanąwszy za grubym pniem drzewa i skinieniem wskazał towarzyszowi, aby uczynił to samo. Wnet z ukrycia swego Murzyn począł naśladować gdakanie indyka w tak mistrzowski sposób, że w podziw wprowadził Dika. Kilka indyków odpowiedziało natychmiast na to wezwanie, które Cezar powtarzał raz po raz, a za każdym razem głosy indyków bliżej się odzywały. Nareszcie kilka ptaków nadleciało i usiadłszy na pobliskim drzewie z ciekawością oglądało się na wszystkie strony, szukając kolegi, który je tu sprowadził. Na to tylko czekał Cezar: podniósłszy strzelbę wymierzył i dał znak przyjacielowi, by go naśladował; dwa strzały rozległy się jednocześnie i dwa tłuste indyki spadły na ziemię. Reszta odleciała z wraskiem przeraźliwym.

Młodzi myśliwi zabrali swoją zdobycz i poszli z powrotem do kotliny, gdzie Cezar na wybrzeżach strumyka zauważył był już poprzednio ślady jeleni i innych większych zwierząt. Nagle Cezar przystanął i pilnie począł nasłuchiwać, a jednocześnie podniósł głowę i wypatrywał czegoś pomiędzy wierzchołkami drzew. Dik także słuch i wzrok wyteżył, a po chwili spytał:

- Co to za dziwne brzęczenie?

- To pszczoły - odpowiedział Murzyn.
- Pszczoły, tu w lesie? Cóż znowu?...
- Niezawodnie; zresztą nie ma w tym nic dziwnego, można nieraz ogromne roje pszczół napotkać w puszczy.
- Skądże one się biorą? Czy to dzikie pszczoły?
- Nie dzikie, lecz zdziczałe. Uciekają od osadników, trudniących się pszczelarstwem, i dziczeją. Miód jednak robią bardzo dobry i jeżeli Dik ten przysmak lubi, możemy się o niego postarać; właśnie nadarza się dobra sposobność.
- Wątpię, abyś tak łatwo potrafił odszukać dziuplę, w której te pszczoły miód składają - odrzekł tamten.
- Nie powinna być daleko, bo po cóż by pracowite robotnice daleko odlatywały po swoje zapasy, kiedy wszędzie, dokąd się tylko obróca, mają pod dostatkiem upragnionej słodyczy?
- To prawda, i teraz zapewne powracają z zapasami, więc nam wskażą drogę. Tylko czy my zdążymy za nimi? Skrzydeł przecie nie mamy.
- Za tymi, które brzęczą nam teraz nad głową, naturalnie nie zdążymy. Ale będą leciały inne i jeszcze inne.

Dik przyznał słuszność towarzyszowi i obaj puścili się w pogoń za brzęczącym rojem owadów. Droga, którą iść musieli, nie należała wcale do wygodnych i przyjemnych. Nieraz trzeba było prze, dzierać się z trudnością przez gęste i poplątane zarośla, przełazić przez pnie olbrzymie, obalone wskutek starości lub gwałtownych huraganów, przeskakiwać doły i w bród przechodzić strumienie. Wędrówka ta tym uciążliwsza była dla nich, że ciągle musieli spoglądać w górę, aby nie stracić z oczu lecących pszczółek. Lecz wszystkie te przeszkody nie mogły powstrzymać chciwych słodkiego przysmaku chłopców.

Z godzinę tak wędrowali bez wytchnienia, aż wreszcie doszli do drzewa, które niewątpliwie było mieszkaniem miododajnych owadów, gdyż wszystkie doń zmierzały i ukrywały się w wydrążeniach pnia. Był to ogromny dąb farbiarski, widocznie bardzo stary, w którego pniu na wpół spróchniałym mnóstwo było wszędzie dziupli i szpar głębokich. Pszczoły usadowiły się dość wysoko.

- Jakże my się dobierzemy do tego miodu? - pytał Dik. - Nielatwa to sprawa na ten pień się wdrapać i rozpocząć walkę z pszczołami.

- Ja też o tym wcale nie myślę, mam lepszy sposób - odrzekł Murzyn biorąc do ręki siekierkę, którą nosił zawsze za pasem. Dik zaopatrzony był również w to narzędzie, nieodzownie potrzebne wędrowcom w puszczy, poczęli więc obaj po prostu walić nimi z całej siły w drzewo. Drzazgi leciały na wszystkie strony, a pień, kruchy i spróchniały, rozpadał się z łatwością.

- Więc ty chcesz to drzewo zrząbać? - spytał Dik.

- Naturalnie. Potem miód zabierzemy bez kłopotu a pszczoły mogą sobie inny ul upatrzeć i na nowo rozpocząć robotę. Czasu im przecież nie zabraknie.

- Żeby nas nie pokąsały.

- Dzikie pszczoły rzadko kęsają - odrzekł Murzyn. - W lesie nikt ich nie drażni, więc nie potrzebują używać żądła i nie uczą się złości. W każdym razie potrafimy się od ich ukąszenia uchronić.

Tak rozmawiając Cezar bez chwili spoczynku zawzięcie pracował siekierką, w czym Dik pomagał mu gorliwie. Pszczoły zdawały się wcale nie przeczuwać grożącego im niebezpieczeństwa, najspokojniej wsuwały się do swej kryjówki i załatwiwszy się z robotą leciały po nowe zapasy. Nawet i wówczas nie okazały żadnego niepokoju, gdy po półgodzinnych usiłowaniach dwóch chłopców drzewo poczęło trzeszczeć i chwiać się w posadach. Po kilku jeszcze silnych uderzeniach siekiery stary dąb runął wreszcie z loskotem na ziemię.

Teraz dopiero pszczoły zaczęły głośniejsz brzęczeć i całym rojem wyleciały z kryjówki; zrozumiały na koniec, że mieszkanie ich jest zagrożone. Tymczasem Cezar nie tracąc czasu narwał trawy i przytwierdziwszy sporą jej wiązkę do długiej gałęzi okrył się na wszelki wypadek wełnianą koldrą, którą zawsze zabierał ze sobą na dalsze wycieczki, po czym trawę zapalił, a gdy dymić zaczęła jak należy, przytknął ją do otworu dziupli, zamieszkałej przez pszczoły. Sposób ten poskutkował od razu: cały rój niewiele myśląc ratował się ucieczką od uduszenia. Wciąż jednak jeszcze groźne brzęczenie dawało się słyszeć w pobliżu: pszczoły widocznie nie dawały jeszcze za wygraną.

Zważywszy to Cezar narwał suchej trawy i szczelnie zatknął nią otwór dziupli.

- Teraz już po wszystkim - rzekł.

- Tak sądzisz? - pytał Dik. - A jeżeli pszczoły napadną na nas, gdy zagniemy miód wybierać?

- Odstraszymy je. Trzeba rozpałcić ognisko z wilgotnych gałęzi, tak samo jak wtenczas gdyśmy odzienie Dika okurzali.

I niezwłocznie zabrali się do dzieła. Obłoki dymu otoczyły dokoła wywrócone drzewo tak gęsto, że żadna pszczoła ani ważyła się zbliżyć. Gdy Cezar rozszerzył otwór dziupli za pomocą siekiery, Dik aż wykrzyknął z podziwu: w obszernej tej kryjówce leżały ogromne zapasy miodu w plastrach. Obaj przyjaciele odjeść go się nie mogli, tak był wonny i smaczny.

- Jaka szkoda - odezwał się Dik - że nie możemy tego wszystkiego zabrać ze sobą.

- Trudno zapewne - odrzekł Murzyn - obładowywać się takim zapasem miodu, musimy więc większą część tych ślicznych plastrów zostawić. Ale czemuż byśmy nie mieli powrócić tu raz i drugi po gotową zdobycz? Byle nas tylko jaki łakomy niedźwiadek nie uprzedził: jegomość miś przepada za słodkim miodem. Dziwi mię to nawet trochę, żeśmy tego kudłacza nie spotkali dotąd w okolicy, gdzie przebywają pszczoły. Co prawda, muszę się przyznać, że spotkanie to nie sprawiłoby mi wielkiej przyjemności.

- Widziałem niedźwiedzia z bliska raz w nocy, na zgliszczach naszego domu - rzekł Dik z westchnieniem.

- Niechże Dik zagasi ogień - odezwał się żywo Murzyn chcąc oderwać chłopca od smutnych myśli - ja tymczasem załatwię się z tym miodem i pójdziemy dalej.

Cezar wyciął nożem kilka pięknych plastrów miodu, po czym starannie zatkawszy otwór dziupli nagromadzili duży stos suchych gałęzi i zasypali nimi pień obalonego drzewa, szczególnie w miejscu, gdzie zapas miodu się znajdował. Czas było już puścić się w dalszą drogę; Cezar chciał koniecznie powrócić przed południem do owej kotliny, na brzeg strumienia, gdyż miał nadzieję napotkać tam większą zwierzynę. Nie tak łatwo jednakże zdołali odszukać drogę: chociaż Cezar znał dobrze wszystkie sposoby kierowania

się wśród puszczy, zaledwie w południe po długiej i nużącej wędrówce ujrzeni przed sobą kotlinę i strumień. Dik był tak znużony, że ledwo nogami włóczył; spostrzegł to poczciwy Murzyn.

- Dik musi teraz dobrze wypocząć - rzekł. - Najlepiej by zrobił, żeby zasnął na godzinę.

- Wyborna rada - odpowiedział tamten i niezwłocznie wyciągnął się na kołdrze, rozesłanej przez Cezara. - A ty nie zaśniesz razem ze mną?

- Cezar wcale się nie zmęczył, poszuka tymczasem zwierzyny.

- To dobrze; ja bym ci chętnie pomógł, ale mi się okropnie oczy kleją. Dobranoc!

Murzyn odszedł kilka kroków, lecz wnet zatrzymał się i szepnął sam do siebie:

- Nie można go tak samego zostawić.

Usiadł na trawie pod krzakiem i nie spuszczał z oczu Dika, który po chwili spał już w najlepsze, a głęboki, miarowy jego oddech rozlegał się wśród ciszy. Słońce przygrzewało silnie, upał nawet w cieniu drzew ucuwać się dawał; cała przyroda zdawała się wypoczywać o tej porze. Ucichły głosy ptactwa i różnych zwierząt leśnych, nawet brzęczenie dokuczliwych owadów ustało na chwilę; skwar południowy uspił wszystkie żyjące stworzenia. I Cezar był znużony, chociaż nie przyznawał się do tego, wkrótce też opanowała go senność niepokonana. Oczy jego przymknęły się mimo woli, otworzył je raz i drugi, spoglądając na uspiętego Dika, w końcu zmęczenie przemogło i usnął w siedzącej postawie, wsparty o pień drzewa.

Już dawno minęła godzina południowa i słońce posunęło się znacznie ku zachodowi, gdy w rozległej puszczy wszystko zbudziło się znowu do ruchu i życia. Cezar ocknął się również z głębokiego snu i wzrok jego padł najpierw na Dika, którego oddech spokojny i głęboki odzywał się i teraz tak samo, jak przedtem. Nagle drgnął cały: twarz jego przybrała wyraz gwałtownego przerażenia i oczy stanęły mu słupem... W istocie widok, który w tej chwili przedstawił się oczom Murzyna, musiał zatrzwożyć nawet jego nieustraszone serce. Dwa węże, mogące mieć około metra długości, usadowiły się tuż obok Dika. Jeden z nich leżał zwinięty na kołdrze obok chłopca i zdawał się także

uśpiony, drugiego widać było nieco dalej w trawie, jak pełzał powoli ku rozesłanej kłodrze wydając przy tym szczególny łoskot.

- Grzechotnik! - wymówił Cezar drżącym i zmienionym głosem.

Któryż z czytelników naszych nie słyszał o straszliwych grzechotnikach, któryż z nich nie wie, że ukąszenie tego jadowego węża jest prawie bezwzględnie śmiertelne. Wielka drażliwość grzechotnika czyni go jeszcze niebezpieczniejszym. Jeśli podkradnie się do człowieka śpiącego w lesie, co zdarza się dość często, ruch najłżejszy, okrzyk trwogi nieszczęśliwej ofiary wprawia go w gniew, i natychmiast się na nią rzuca. Jakże łatwo mógł biedny Dik, nie przeczuwający w tej chwili okropnego swego położenia, przez sen się poruszyć, wyciągnąć rękę bezwładnie i dotknąć nią węża, który się obok niego na kłodrze usadowił. Tymczasem Cezar nie śmiał go przebudzić, bo gdyby nawet miał tyle przytomności i natychmiast spostrzegł grożące mu niebezpieczeństwo, jeszcze mogło mu zabraknąć czasu do ucieczki: dość bowiem było jednego mgnienia oka, by wąż go dosięgnął!. Przebudzić śpiącego w taki sposób, aby się nie poruszył i najłżejszym szelestem nie rozdrażnił węża, było niepodobieństwem. W tak strasznym położeniu Cezar na chwilę stracił głowę i sam nie wiedział, co począć. Lecz wkrótce odzyskał zwykłą odwagę i przytomność umysłu. Jedną myśl miał tylko: uratować Dika albo zginąć z nim razem.

Przede wszystkim należało uczynić nieszkodliwym potworne stworzenie, pełzające dalej nieco po trawie, i widocznie w podejrzanym zamiarach zakradające się ku śpiącemu. Cezar powstał, wziął siekierkę do ręki i cichutko, ostrożnie postępować zaczął. Wąż jednak musiał usłyszeć lekki szelest jego kroków, gdyż zatrzymał się, podniósł nieco głowę i straszne oczy zwróciły się w stronę, skąd Murzyn się przybliżał. Coraz głośniejszy odzywał się odgłos grzechotek, w końcu wąż zmienił kierunek i szybko zwijając giętkie swoje cielsko zmierzał prosto do Cezara. Temu to było właśnie bardzo na rękę; śmiało postąpił jeszcze parę kroków i w tej samej chwili, gdy grzechotnik w rozpedzie rzucał się na niego, siekierka błysnęła w powietrzu i za jednym zamachem odcięła głowę potwora.

Po dokonanym zwycięstwie, Murzyn spojrział na śpiącego Dika i znów krew zastygła w jego żyłach. Drugi wąż, dotychczas nieruchomy, przebudził się, podniósł z wolna głowę i, jakby brał w posiadanie upatrzoną ofiarę, oparł tę straszną głowę na ramieniu, chłopca. Brakowało tylko, aby ten najłżejszym ruchem pobudził gniew grzechotnika, a ukąszenie śmiertelne mogło go w mgnieniu oka dosięgnąć! Lecz szybki jak błyskawica Cezar w dwóch susach był już przy nim, bez namysłu pochwyił węża obiema rękami za szyję i odrzucił go daleko w trawę.

W tej samej chwili wśród liści pobliskiego drzewa dał się słyszeć szelest: jakiś wielki ptak spadł jak strzała na węża i pochwyiciwszy go potężnymi szponami uniósł się z nim w powietrze. Stało się to z tak niepojętą szybkością, że Cezar zaledwie dostrzec zdołał, skąd mu ta niespodziewana pomoc przybyła; bystre jego oko poznało jednak sokoła wężojada.

Ptak ów zapewne już od dłuższego czasu czatował na pożądaną dlań zdobycz i tylko widok ludzi prawdopodobnie go wstrzymywał; w każdym razie bardzo w porę nabrał odwagi i Murzyn serdecznie mu za to był wdzięczny... Tymczasem Dik się przebudził, a rzuciwszy okiem na Cezara, który stał z siekierą w ręku, pomieszany i drżący, pochwyił broń i zrywając się na równe nogi począł pytać niespokojnie:

- Co to jest, co się stało?... Ach!... grzechotnik! - dodał ujrawszy w trawie zabitego węża.

- Dik zna te obrzydłe węże? - odezwał się Cezar i oparł się o pień drzewa, bo teraz, gdy niebezpieczeństwo już minęło, siły go opuściły i nogi zachwiały się pod nim.

- Znam je bardzo dobrze - mówił tamten.

- Dwa tu były: Dik ani się domyśla, że jeden z tych potworów głowę opierał mu na ramieniu.

- Na miłość Boską! Jakimże cudem ocalałem?

- Cezar się z nimi krótko rozprawił: jednego siekierą zabił, drugiego chwycił rękoma i odrzucił; poczciwy ptak zabrał go sobie i oszczędził roboty Cezarowi.

- Więc znowu uratowałeś mi życie? O Cezarze!

- Wielka to radość, wielkie szczęście dla Cezara!

- I sam narażałeś się na największe niebezpieczeństwo, aby mnie wybawić!

- Czyżby Dik nie był uczynił tego samego na miejscu Cezara? - rzekł Murzyn z prostotą.

- O, ty najpocziwszy, najwierniejszy przyjacielu, czyż zdołam ci się kiedy wywdziękzyć? - wołał chłopak rzucając się Murzynowi na szyję i ścisnął go czule.

Gdy minęły pierwsze chwile wzruszenia i rozrzewnienia, młodzi myśliwi obejrzeni z bliska zabitego węża. Wierzch jego ciała oznaczony był czarnymi, poprzecznymi prążkami na tle szarobrunatnym, pod spodem miał barwę żółtawą, upstrzoną czarnymi kropeczkami. W budowie tej żmii najosobliwsza jest grzechotka, umieszczona na końcu ogona, złożona z twardych obrączek rogowych, którymi płaz dowolnie porusza, sprawiając ów łoskot szcze-gólny, podobny do tego, jaki powstaje przy poruszaniu dużej torebki nasiennej, pełnej suchego ziarna. Nie potrzebujemy dodawać, iż nazwa węża od tego dziwnego przyrządu pochodzi.

Już słońce chyliło się ku zachodowi, gdy młodzi myśliwi wyruszyli ku domowi niosąc zabite indyki i plastry miodu. Późnym wieczorem zbliżyli się do twierdzy i ku niemałemu zdziwieniu swemu usłyszeli z daleka zawzięte szczekanie Sułtana, którego przed wyjściem na tę wycieczkę zamknęli w jaskini.

- Hoho! - rzekł Murzyn przystając i z wielką uwagą oglądając strzelbę - co się też psisku stało? To nie może być bez powodu. Musiał zwierz jakiś zajrzeć do naszego mieszkania, może szop albo dydelf.

- Byle nie co gorszego - mówił Dik. - A co byś na to powiedział, żeby Indianie przybyli do nas w odwiedziny?

- Wszystko jest możliwe - odpowiedział Murzyn - lecz w tym wypadku bardzo nieprawdopodobne. Gdyby Indianie trafili do naszej kryjówki, nie pozwoliliby przede wszystkim Sułtanowi tak czekać i ostrzegać nas o niebezpieczeństwie. Zaraz by pocziwego psa udusili i czekali na nas w najgłębszym milczeniu. W każdym razie musimy się dowiedzieć, jaka jest przyczyna niepokoju Sułtana.

Dwaj chłopcy położyli się na ziemi i pełzając na rękach i nogach, ostrożnie, bez najmniejszego szelestu, zbliżyli się do twierdzy. Zatrzymawszy się u stóp skały poczęli z uwagą nasłuchiwać.

- Niedźwiedź - szepnął Cezar po chwili do ucha towarzysza. - Czy Dik nie słyszy, jak zwierzę sapie i chrapie tam na skale? Musiał tu niezbyt dawno przywędrować.

- I jakże my tego jegomościa wyprosimy stamtąd? - zapytał Dik.

- On by sobie i sam poszedł, żebyśmy na noc wynieśli się do lasu. Ale Cezar nierad by wyrzec się dobrowolnie takiej pysznej zdobyczy i ma już pewien pomysł... Wpierw jednak trzeba, żeby Dik schronił się do jaskini.

- Do jaskini? Jakim sposobem, a niedźwiedź?

- Alboż to nie mamy tajemnego przejścia przy źródelku? Dik może tą drogą dostać się do podziemia. Raz tam siedząc bezpiecznie, nic łatwiejszego, jak upatrzyć szparę stosowną i palnąć do niedźwiadka.

- Zapewne, i chętnie to uczynię. Lecz cóż ty przez ten czas robić zamierzasz?

- Ja wdrapię się na to dalsze tulipanowe drzewo. Tym sposobem weźmiemy go w dwa ognie. Jak tylko Dik wypali, Cezar huknie także ze swojej strzelby, i trudno, aby obie kule chybiły z tak niewielkiej odległości.

Obaj przepelzli ostrożnie do miejsca, gdzie kamień ruchomy ukryty był w zaroślach i wyjęli go bez najmniejszego szelestu. Dik wsunął się w ciasny otwór i po chwili był już w jaskini obok Sułtana, który na chwilę szczeakać przestał z wielkiej radości, gdy ujrzał niespodzianie młodego swego pana.

Tymczasem Cezar wszedł ostrożnie na drzewo tulipanowe i usadowił na nim w taki sposób, że patrzył na wierzchołek skały sam nie będąc widzanym. Ujrzał teraz najwyraźniej postać zwierzęcia, siedzącego na płaskiej skale. Trzymając strzelbę w pogotowiu Murzyn czekał tylko, aż się odezwie z głębi podziemia strzał towarzysza. Oczekiwanie jego nie trwało długo; wśród ciszy nocnej rozległ się głośny huk; niedźwiedź z głuchym rykiem podskoczył w miejscu, a potem mrucząc groźnie zaczął pazurami drapać skałę, nie mogąc oczywiście zrozumieć, skąd go taka niespodzianka spotkała.

Teraz z kolei Cezar wypalił. Kula trafiła, gdyż zwierz ryknął boleśnie, nie padł jednak na miejscu, lecz chwiejącym się krokiem postąpił w stronę, z której ten drugi strzał go osiągnął!. Murzyn tymczasem jak najspieszej nabijał strzelbę na nowo. Niedźwiedź rozwścieczony posunął się aż nad brzeg skały, lecz stracił równowagę i całym ciężarem runął na ziemię.

Cezar był prawie pewny, że zwierz odszuka go na drzewie i gotował się na przyjęcie gościa, toteż zdziwił się nieco, gdy oczekiwanie jego się nie spełniło. Darmo jednak w ciemnościach wzrok wyteżał; nie mógł nawet dojrzeć niedźwiedzia, który spadłszy ze skały nie dawał znaku życia. Przez chwilę Murzyn sam nie wiedział, czy zejść z drzewa, czy jeszcze czas jakiś czekać cierpliwie. Nagle odezwało się z podziemia zajadłe szczekanie Sułtana, któremu towarzyszył okrzyk trwogi Dika; usłyszawszy go Cezar w mgnieniu oka zeskoczył z drzewa i wlaźszy na drugie, bliższe, skoczył na skałę.

Dik strzelił był do niedźwiedzia przez szparę, znajdującą się u góry w sklepieniu podziemia, i był pewny, że trafił. Alé zwierz ani się zachwiał, choć ryknął wściekle, co bardzo młodego strzelca zdziwiło. Patrzał ciągle przez szparę i dopiero po strzale Cezara spostrzegł, iż niedźwiedź widocznie traci siły, a gdy spadł na ziemię, Dik uważał sprawę za skończoną. Ponieważ jednak Murzyn się nie pokazywał i zachowywał milczenie, więc i on cicho się sprawował usiłując nadaremnie wy badać, co się stało z niedźwiedziem. Na nieszczęście nie przyszło mu na myśl nabić strzelbę, czuł się bowiem zupełnie bezpieczny w jaskini.

A gdy tak stał przy szczelinie skały i wyglądał w noc ciemną, Sułtan nagle zaszczekał gwałtownie. Wnętrze podziemia było oświetlone małą lampą, którą Dik zapalił zaraz po przyjściu do jaskini. Odwrócił się niespokojnie do Sułtana, który ujadał coraz wścieklej, zwrócony do kamienia, zamykającego podziemne przejście do grotty. Jakież było przerażenie chłopaka, gdy usłyszał wyraźnie za tym kamieniem, bardzo słabo ubezpieczającym wejście do podziemia, groźny ryk niedźwiedzia. Teraz dopiero przypomniał sobie, że obaj z Murzynem w pośpiechu zapomnieli włożyć na miejsce kamień, który od strony zewnętrznej przejście to zamykał. Zwierz oczywiście wcisnął się

w wąski otwór i przybył w odwiedzinę, nieproszony i wcale niepożądany. Dik krzyknął z przestachu i podbiegłszy do ruchomego kamienia całym ciężarem swego ciała go przyciskał, gdyż był to jedyny sposób powstrzymania niedźwiedzia. Tymczasem i Cezar przybiegł na ratunek drugim wejściem.

Niedźwiedź dobijał się gwałtownie: drapał kamień pazurami, zębami o niego dzwonił i, gdyby nie to, że był już mocno osłabiony z powodu ran otrzymanych, odwaliby go niezawodnie bez trudności. Ryk jego brzmiał straszliwie w tej ciasnej, zamkniętej przestrzeni, wściekłość sił mu dodawała, i dwaj przyjaciele zaledwie zdołali kamień utrzymać wspólnymi siłami. Murzyn miał wprawdzie strzelbę nabitą, bo jeszcze na drzewie o tym pamiętał, lecz nie mógł z niej zrobić użytku; ani na chwilę nie śmiał odejść od kamienia, żeby zwierz nie wpadł do jaskini, nie było bowiem pewności, czy, trzecia kula go dobije od razu, wobec znanej, prawdziwie zadziwiającej wytrzymałości niedźwiedzia.

Nic więc nie pozostawało obu oblężonym, tylko trzymać mocno kamień i nie wpuszczać napastnika do twierdzy. Pocieszali się nadzieją, że zwierz w końcu musi osłabnąć wskutek wysilenia i utraty krwi, a wówczas jeden będzie mógł kamień utrzymać, drugi zaś, strzelając raz po raz, położy w końcu trupem nieproszonego gościa. Nie omylili się w tym przewidywaniu. Niedźwiedź coraz to słabiej się dobijał, chwilami nawet wypoczywał, widocznie znużony, ryczał, sapał, lecz kamienia nie wstrząsał wcale.

- Bierz moją strzelbę - zawołał podczas takiego przestanku Murzyn do towarzysza - ja już sam kamień utrzymam.

Dik nie tracąc ani chwili pochwycił strzelbę, leżącą obok nich na ziemi, po czym niezwłocznie podparł znowu kamień, gdyż niedźwiedź rozpoczął szturm na nowo.

- A teraz, jak tylko się zmęczy i przycichnie, przesuniemy troszeczkę kamień, aby lufa przejść mogła przez szparę i pał prosto w ślepie!

Nadeszła wkrótce pożądana przerwa.

- Do dzieła! - krzyknął Cezar i przesunął ostrożnie kamień; ale w tejże samej chwili niedźwiedź z podwójną wściekłością dobijać się począł, jakby resztki sił zbierając. Udało mu się nawet przez otwór łapę wsunąć do środka

podziemia, a w tejże samej chwili ponad tą łapą błysnęło oko krwią nabiegłe.

- Spiesz się, Diku, śpiesz na miłość Boską! - wołał Cezar i całą siłą trzymał kamień, aby zwierz nie wpadł do jaskini.

Dik przyłożył lufę prawie do oka potwora i pociągnął za cyngiel; łapa i oko znikły nagle. Dwaj chłopcy, powstrzymując oddech, słuchali... Krótkie sapanie wraz z przygłuszonym jękiem doszło do ich uszu, po czym w podziemiu zapanowała cisza grobowa.

- Diku! nabij zaraz obie strzelby - rzekł Murzyn nie dowierając jeszcze, by nieprzyjaciel ostatecznie był pokonany i nie przestając mocno przytrzymać kamienia.

- Bądź spokojny, już on się teraz nie ruszy - odpowiedział Dik spełniając jednak spieszenie polecenie Murzyna.

Dopiero gdy obaj mieli broń w rękę, Cezar puścił kamień i odskoczył na drugi koniec jaskini, pociągając za sobą towarzysza. Lecz była to zbyteczna ostrożność; w podziemnym przejściu panowała głucha cisza. Pomimo to znajomi nasi po jakimś czasie dopiero odważyli się odjąć kamień i zajrzeć ze światłem do ciemnej kryjówki. Z radością przekonali się, że, niedźwiedź został tym razem zabity: ostatnia kula Dika zadała mu cios stanowczy.

- Dzięki Bogu! I to niebezpieczeństwo przeżyliśmy szczęśliwie - rzekł Dik oddychając swobodniej.

- Wielka to była nieuwaga z mojej strony - mówił Murzyn - żem zapomniał położyć natychmiast kamień u wejścia. Będzie to dla nas nauką na przyszłość, jakie skutki pociągnąć może za sobą najmniejsza nieostrożność. Trzeba też przede wszystkim to wejście zamknąć jak należy.

- Poczekajże - odparł Dik - musimy przecież wprzód niedźwiedzia stąd wydobyć.

- Łatwiej nam będzie przenieść go przez jaskinię i na wierzch skały wciągnąć. Zabierzemy się do tego jutro rano.

I nie tracąc czasu Murzyn poszedł zabezpieczyć starannie wszystkie wejścia i pozasuwać kamienie, a uspokoiwszy się zupełnie o bezpieczeństwo twierdzy powrócił do towarzysza i obaj po trudach tego dnia smacznie usnęli. Niedźwiedź pozostał na noc w podziemnym przejściu. Nazajutrz od

samego rana znajomi nasi zajęli się wydostaniem go stamtąd, co było niełatwą sprawą, gdyż zwierz był duży i ciężki. Piękne, czarne, puszyste futro baribala wysoko jest w handlu cenione. Po dwugodzinnych zaledwie usiłowaniach udało się chłopcom, za pomocą sznurów, drągów i tym podobnych przyrządów, dźwignąć tę okazałą zdobycz i przenieść ją na dach swojego mieszkania, to jest na płaski wierzchołek skały. Tu zdjęli mu najpierw skórę, potem zaś wycięli najlepsze kawały mięsa, zwłaszcza łapy, które uchodzą za wyszukany przysmak. Tak więc całkiem niespodziewanie spiżarnia ich na czas długi zaopatrzona została w zapasy żywności. Kości i resztę szczątków zwierzęcia zrzucili ze skały i odciągawszy je dalej nieco zakopali w ziemię, ażeby woń padliny nie naprowadziła im innych jeszcze nieproszonych gości.

XX

W LESIE I STEPIE

Kilka tygodni upłynęło od wypadków opisanych powyżej. Młodzi myśliwi odbyli przez ten czas niejedną bliższą i dalszą wycieczkę, nigdy jednak nie oddalali się zbyt daleko od twierdzy: najdłuższe ich wędrówki nie przeciągały się dłużej niż dwa dni. Nie obeszło się też bez przygód rozmaitych, a Dik, coraz więcej nowych i zajmujących wiadomości nabywając od przyjaciela swego Cezara, coraz więcej uczył się podziwiać wszechstronną jego wiedzę. Bo też rzeczywiście Murzyn niewyczerpany był w opowiadaniach o różnych zwierzętach, zamieszkujących niezmiernie lasy i stepy amerykańskie.

Z czworonogów, które młodzi myśliwi napotkali i upolowali, wymienimy rysia kanadyjskiego, *Lynx canadensis*, zwanego przez krajowców „piszu”. Ojczyzną jego jest Ameryka Północna; mniejszy nieco i słabszy od europejskiego imiennika, nie różni się od niego obyczajami i rodzajem życia. Znajomi nasi mieli także sposobność zapoznać się z rysiem kasztanowatym, *Lynx rufus*. Zwierzę to, nie większe od psa jamnika, odznacza się pięknym, czerwonym futrem w ciemniejsze smugi i plamki, niezmiernie cenionym w handlu. Z tego też powodu rokrocznie tysiące tych zwierząt pada pod strzałami myśliwych, którzy zawzięcie na nie polują.

Oglądali także węże rozmaite. Raz nad brzegiem większej rzeki ujrzeli ogromną żmiję czarną, dochodzącą do dwóch metrów długości, ukrytą wśród trzciny i sitowia, które są ulubionym jej siedliskiem. Wierzch jej ciała jest granatowo-czarny, spód szarawy, prawie biały na podgardlu. Żmija ta nadzwyczaj zwinnie czołga się po ziemi, wchodzi z łatwością na skały i drzewa, a nawet przepływa szerokie rzeki.

Tępi zawzięcie młode grzechotniki i z tego względu zaliczona jest do stworzeń pożytecznych.

Innym razem spostrzegli w trawie węża z rodzaju biczowatych, pospolitego w Ameryce. Wszystkie węże biczowate są niezmiernie wysmukłe, główkę mają podłużną, jajowatą, cienką szyję; ogon ich długi, cieniutki jak nitka, koniuszek ma zaostroszony, twardy jak róg.

Ale z największym zajęciem przypatrywał się Dik szczególnym zwierzętom, które w owych czasach bardzo były pospolite w północno-zachodniej Ameryce. Podczas jednej z dalszych myśliwskich wycieczek, dwaj towarzysze przechodzili nad brzegiem rzeki Arkansas: w pewnym miejscu cała jej szerokość prawie pokryta była drzewem, które prąd wody z wolna unosił, a niekiedy osadzał na mieliźnie przy brzegu.

- To szczególne - rzekł Dik spoglądając na te pływające wyspy - patrz, jak te pnie ułożyły się jedne na drugich. Na spodzie leżą najdłuższe, na tych krótsze. Ale cóż to znów znaczy? Te najkrótsze zaczynają się poruszać!

- Bo to, co Dik bierze za kloce drewniane - odrzekł Murzyn, śmiejąc się - to są żyjące stworzenia.

- Ach! aligatory, nic innego, tylko aligatory! - zawołał Dik.

- No tak - potwierdził Murzyn - aligatory, kajmany czy też krokodyle, bo rozmaicie je nazywają, usadowiły się na tych pniach pływających jakby na tratwach, a na grzbietach matek siedzą młode i wygrzewają się na słońcu.

- Ależ jest ich tu nie lada gromada - mówił Dik - żeby tak zliczyć byłoby ich niezawodnie ze sto.

- Najmniej. Często można i liczniejsze gromady napotkać. Wcale też nie są bojaźliwe; łódką można by dopłynąć do nich bardzo blisko.

W tej chwili odezwał się głos jednego z aligatorów podobny trochę do ryku byka. Wszystkie inne mu zawtórowały i powstał koncert, nie należący wcale do najprzyjemniejszych; niedługo jednak przeraźliwe głosy umilkły.

- Mógłbym tu kilku ichmościów przywabić do brzegu - rzekł Murzyn.

- A czyż to nie byłaby niebezpieczna zabawa? - zapytał tamten.

- O nie, aligator obawia się ludzi. Na lądzie zwłaszcza tchórzostwo jego dochodzi do najwyższego stopnia, a i w wodzie łatwo mu dać radę. Muszę się trochę pobawić i przywabić na łąd kilka tych jaszczurek. One to dosyć lubią, czasem dla przyjemności wędrują po ziemi od jednej rzeki do drugiej.

Dwaj przyjaciele ukryli się za krzakami, tak jednak, że całe wybrzeże widzieć mogli. Tu Cezar zaczął naśladować po mistrzowsku beczenie kozy.

Odgłos ten wywołał pośród aligatorów wielkie poruszenie. Jedne po drugich spuszczały się z pni drzewnych w wodę i płynęły do wybrzeża, skąd ponętny głos kozy się odzywał. Nie wszystkie jednak miały ochotę wylądować, dwa tylko odważniejsze z wody wylazły, reszta krążyła w pobliżu i nasłuchiwała.

- Teraz mi już nie ujdą - zawołał nagle Cezar, wychodząc ze swej kryjówki i śmiało zmierzając naprzeciw dwóch żarłoków.

- Bądźże ostrożny, bądź ostrożny - mówił Dik postępując jednak bez trwogi za towarzyszem.

- Nie ma żadnego niebezpieczeństwa - uspokajał go Murzyn - już sam nasz widok napędził im niemało strachu. Teraz tylko pilnujmy się, żeby nas który nie dosięgnął! tym obrzydliwym, zabloconym ogonem, bo w nim aligatory mają największą siłę: jednym uderzeniem mogą człowiekowi nogę lub ramię zgruchotać. Zresztą nie potrafią się nawet bronić: będziemy je siekierami bili po głowach i głupie stworzenia nic na to nie poradzą. O! jak się upokarzają.

W rzeczy samej kajmany na widok myśliwców spłaszczły się na ziemi i przytuliły do niej pyski. Pozostały tak całkowicie nieruchome, oczyma tylko niespokojnie mierząc nieprzyjaciół.

- Sam nie wiem - rzekł po chwili Cezar patrząc na płazy - co teraz zrobić z tym obrzydliwym bydlęciem. Gdyby się mogło bronić albo przynajmniej uciekać, odżałowałbym już kulkę dla niego, ale mordować bezbronne stworzenie, jakkolwiek potworne, to nie moja rzecz.

- Masz słuszność - potwierdził Dik. - Niechże sobie głupcy wracają do wody, tam przecież potrafią uciekać przed kulą, może więc nic nie będziesz miał przeciw temu, abym którego poczęstował, a wyznając, że mam ogromną na to ochotę.

- Tak będzie najlepiej, odejźmy teraz, nie potrzebujemy ich odprowadzać, a nim się dowłoką do rzeki, możemy się rozprawić z ich braćmi.

Tak też uczynili; poszli na brzeg rzeki i w parę chwil dwa aligatory pływały martwe po wodzie. Dik tym razem strzelił nie gorzej od Murzyna i obie kulki trafiły w najczulsze miejsca potworów. Nie chcąc jednak marnować więcej amunicji, znajomi nasi zadowolili się zgładzeniem ze świata dwóch aligatorów i wzięwszy strzelbę na plecy puścili się dalej brzegiem rzeki. Po półgodzinnej wędrówce Cezar zatrzymał się i słuch wyteżył.

- To kaczkę - rzekł Dik po chwili milczenia - najwyraźniej słyszę ich kwakanie.

- Że to są kaczkę, o tym nie wątpię ani na chwilę - odpowiedział Cezar - idzie tylko o to, jakie kaczkę. Zakradniemy się do nich i zobaczymy, ale trzeba największą ostrożność zachować, bo wszystkie dzikie kaczkę są nadzwyczaj lękliwe.

Kierując się za głosem ptaków młodzi myśliwi doszli wkrótce do miejsca, gdzie rzeka tworzyła głęboką zatokę i ukrywając się za krzakami z przyjemnością spoglądali na piękny widok, który się stąd przedstawił ich oczom.

Po zatoce pływało całe stado prześlicznych kaczek, świetnie upierzonych: szczególnie zdożyły je długie, zwieszające się czuby na łebkach. A nie tylko ładne piórka, lecz zwinne i zgrabne ruchy tych ptaków zachwyciły naszych znajomych. Z szybkością strzały przepływały od jednego brzegu zatoki do drugiego, kiedy niekiedy zręcznie zanurzały łebki w wodzie i wyciągały żywność, to znów rozgłośnym kwakaniem wiodły wesoły rozhovor z towarzyszkami. Niektóre wychodziły na brzeg, osuszały się na słońcu lub przechadzały się uciesznymi ruchami, po czym znów wskakiwały do wody, a inne wychodziły na brzeg na ich miejsce; słowem była to prawdziwa sielanka, pełna wdzięku i życia.

- To są kaczkę czubate, zwane także leśnymi lub karolińskimi - szepnął Murzyn. - Właściwie są w całej prawie Ameryce Północnej, a zwłaszcza tej okolicy. Mięso ich jest najwyszukańszym przysmakiem.

- To doskonale - odpowiedział Dik równie cicho i przygotował strzelbę,

co też i Murzyn uczynił. Potem zakradli się jeszcze cokolwiek bliżej i każdy upatrzył sobie kaczkę pośród stada, biorąc ją na cel z największą uwagą. Ponieważ mogli być pewni, że reszta kaczek na dalsze strzały czekać nie będzie, więc trzeba było dobrze wycelować, aby nie spudłować. Co do Cezara, ten nigdy prawie nie chybiał, ale tym razem i Dikowi się powiodło: dwie pyszne kaczki zostały na wodzie, reszta z wrzaskiem przeraźliwym uniosła się w powietrze i znikła z oczu myśliwych. Po powrocie do twierdzy upiekli kaczki; Dik przyznał, że nigdy w życiu nie jadł tak wybornego pieczystego.

Niejedną jeszcze podobną wycieczkę odbyli dwaj towarzysze, i tym sposobem upłynęły trzy tygodnie od rozstania ich z Sercem Prawym.

Wnet jednak krótkie te przechadzki w pobliżu twierdzy przestały zadowalać przedsiębiorczych chłopaków. Przedłużali je więc coraz więcej: nieraz po trzech i czterech dniach dopiero do domu powracali, ale i to im nie starczyło. W końcu nieustraszony i spragniony niezwykłych przygód Murzyn namówił towarzysza, aby się wraz z nim wybrał na dalszą wyprawę. W każdym razie postanowili nie przedłużać tej wędrówki ponad dwa tygodnie.

Parę dni poświęcić wprzód było potrzeba na przygotowania. Zwłaszcza obuwi obu wędrowców potrzebowało gruntownej reperacji. Na szczęście znaleźli w jaskini wszelkie potrzebne do tego przybory i dzięki zręczności Murzyna zniszczone obuwi wkrótce doprowadzone zostało do porządku.

Pewnego ranka w najpiękniejszą pogodę, dwaj młodzi przyjaciele, zaopatrzeni na czas dłuższy w amunicję, w zapasy żywności, pomiędzy którymi główne miejsce zajmowała spora ilość soli, puścili się w drogę w kierunku północnym zabierając z sobą tym razem i Sułtana. Zrozumiało, że twierdzę najstaranniej ze wszystkich stron pozamykali i pochowali przedmioty mogące zdradzić obecność ludzi w tym miejscu.

Gdy przybyli do okolicy oddalonej, gdzie jeszcze przedtem nigdy nie byli, Cezar wyjął zza pasa ostrą siekierkę, zbliżył się do pięknego białego dębu i wyciął w korze jego duży okrągły znak. Rosło tam dużo drzew podobnych i znak ten widoczny był z daleka.

- Co ty robisz? - zapytał Dik.
- Trzeba pomyśleć o drogowskazach.
- Jak to o drogowskazach?
- Wybieramy się w daleką podróż: gdy zapędzimy się w głąb puszczy, jakże trafimy z powrotem do twierdzy? Muszę więc tak wszędzie w pewnych odstępach poznać drzewa, żebyśmy z łatwością drogę odszukać mogli nawet po upływie kilku tygodni.
- Ty o wszystkim pamiętasz, doprawdy podziwiam twoją przezorność i roztropność - rzekł Dik, który zawsze zachwycał się dowcipnymi pomysłami przyjaciela.

Młodzi wędrowcy przebyli tym sposobem znaczny kawał drogi. Niejedna też spotkała ich przygoda, chociaż trudno je tu wszystkie opisywać.

Zatrzymali się nareszcie na skraju niezmiernego stepu. Serce Prawe przestrzegając ich odchodząc, że stepy większe jeszcze przedstawiają niebezpieczeństwo dla wędrowców, niż puszcza leśna; konno przebywać je łatwiej, lecz niemniej potrzeba odwagi, aby pieszo puszczać się na te bezdrożne łąki, gdzie na każdym kroku napotkać można zasadzkę niespodziewaną.

Cezar i Dik długo naradzali się nad tym, czy zawrócić stąd i tą samą drogą dążyć do twierdzy, czy też puścić się na dalszą wędrówkę i korzystając ze sposobności zapoznać się jeszcze ze stepem. Dla Murzyna wprowadzić i step już nie był nowością, znał dobrze wszystkie niebezpieczeństwa jego, równie jak i sposoby uchronienia się od nich. Jakkolwiek jednak wielką miał ochotę na taką wycieczkę, nie namawiał na nią Dika. Ale tamten marzył tylko o tym, aby zobaczyć na własne oczy stada żubrów i dzikich koni, hasające po stepie, i tak gorąco pragnął urzeczywistnić to marzenie, że w końcu ku wielkiej radości Cezara stanęło na tym, aby udać się dalej stepem. Dla uspokojenia sumienia, obaj przyrzekli sobie uroczyście nie zaniedbać żadnych środków ostrożności i nie narażać się na niebezpieczeństwa, których uniknąć by mogli. Spędzili więc noc ostatnią pod drzewami na kraju stepu, a nazajutrz o świcie wyruszyli w drogę; najpiękniejsza pogoda im sprzyjała.

Step wyglądał zrazu jak park wspaniały, z kolei ukazywały się kępy drzew i łąki cudnie ukwiecone. Po większej części kwitły tam wśród bujnej

trawy złociste słoneczniki, purpurowe malwy, żółte i białe łubiny, różowy proświnnik, mak kalifornijski i fiołki najrozmaitszych gatunków. Ogromne motyle o skrzydłach jaskrawych, roje pszczoł i innych owadów unosiły się ponad tym różnobarwnym kobiercem kwiatowym. Tu młodzi wędrowcy po raz pierwszy ujrzeli kolibry, maleńkie ptaszyny, nie przechodzące ośmiu centymetrów długości, o piórkach tak świetnie zabarwionych, że blaskiem przypominają kosztowne klejnoty. Gatunek najpospolitszy w tej okolicy, który też najczęściej spotykali, odznacza się szmaragdowym grzbiecikiem, szyjką i piersią purpurową w czarne plamki, i skrzydełkami ciemniejszej czerwonej barwy. Ptaszek w tej jaskrawej sukience wygląda jak duży motyl i podobnie do motyli żywi się sokiem kwiatów. Jego nazwa naukowa jest *Trochylus colubris*.

Młodzi wędrowcy szli coraz dalej bez zbytniego pośpiechu, nieraz ukrywając się prawie wśród wysokich traw i ziół, które im aż do głowy sięgały. W jednym miejscu ujrzeli przed sobą niespodzianie szeroko wydeptaną ścieżkę.

- Co to znaczy? - wykrzyknął Dik zdziwiony - droga wśród pustyni?

- A tak - odpowiedział Murzyn - nie ludzie jednak ją zrobili, tylko żubry. Całe stada zazwyczaj wydeptują taką ścieżkę, przechodząc nią raz po raz; tym sposobem ziemia się ubija, trawa w tym miejscu rosnąć przestaje i wygląda to jak prawdziwy bity gościniec. Łatwo też poznać i po innych śladach, że stada żubrów przebywają niedaleko: spojrzysz, ile tu wszędzie gnoju tych zwierząt. Gnoj ten wysuszony na słońcu, używany jest przez myśliwych i wędrowców jako paliwo; na stepach, gdzie często rozległe obszary całkowicie z drzew i krzaków są оголоcone, bywa to nieraz jedyny sposób rozpalenia ogniska.

Pierwszy dzień wędrówki po stepie upłynął bez żadnych niezwykłych przygód. Kępy drzew, które przez czas jakiś urozmaicały krajobraz, ukazywały się coraz rzadziej, coraz szerzej natomiast rozciągały się rozległe łąki, jednostajnie pokryte trawą i różnobarwnym kwieciami; gdzieś tam tylko równinę przerywały nieduże wzgórza lub skały, stojące długim szeregiem. U stóp jednej z takich skał, pod osłoną kilku drzewek orzechowych z gatunku

zwanego *Hickory*, w klasyfikacji naukowej *Caria porcina*, rozłożyli się wędrowcy nasi na nocleg. Na nieszczęście przez całą noc dokuczał im niemiły wrzask żab drzewnych, które na gałęziach ponad ich głowami obrały sobie siedlisko. W pobliżu skały tryskało źródło i stamtąd także, oprócz szmeru wody, dochodziły niezbyt przyjemne dźwięki ogromnych świerszczy stepowych; pomimo to jednak znużeni wędrowcy usnęli w końcu snem kamieniem. Poczciwy Sułtan czuwał przy nich wiernie.

XXI

BEZ DROGI

Dnia następnego dwaj przyjaciele o świcie wyruszyli w dalszą drogę. Drzewa i krzaki zupełnie były już znikły im z oczu, gdy około południa ujrzeli przed sobą niezmierną płaską równinę, na której jednak rozsypane były małe pagórki, w regularnych odstępach od siebie leżące.

- Jakże to dziwnie wygląda! - zawołał Dik. - Patrz, Cezarze, można by sądzić, że te wzgórki sztucznie są usypane.

- Bo też tak jest rzeczywiście - odpowiedział Cezar. - Widzimy tu wioskę pieśków łąkowych. Małe te zwierzątka, do rodziny wiewiórkowatych należące, mają głos podobny nieco do szczekania psa, skąd pochodzi ich nazwa. Czy Dik nigdy ich jeszcze nie widział?

- Nigdy w życiu. Na myśl mi nawet nie przyszło, żeby zwierzątka mogły wioski zakładać. Bardzo rad jestem, że tę osobliwość na własne oczy zobaczę.

- Zwłaszcza, że jak mi się zdaje, jest to wioska bardzo duża. Bywają niekiedy osady tak rozległe, że ledwie w dni kilka można je przejść od końca do końca.

- Co też ty mówisz? Żartujesz chyba!

- Wcale nie, sam takie wioski widziałem.

- I tam pod każdym pagórkiem zwierzątka mieszkają?

- Tak jest, to są ich domki. Nora podziemna ma zawsze dwa wejścia. Idźmy teraz cichutko, ostrożnie, a może nam się uda spostrzec które z tych zwawych zwierzątek. Chętnie bym nawet kilka z nich złowił, bo zupełnie są dobre na pieczyście, ale niełatwa to sprawa, gdyż najłżejszy szelest je płoszy, a sił mają tyle i przytomności, że nawet śmiertelnie ranione prawie zawsze

umykają do nory. Popróbujemy jednak. Najlepiej będzie położyć się na ziemi i podpełznąć cichuteńko na czworakach do najbliższych pagórków. Ponieważ wioska jest nieustannie strzeżona przez kilku wartowników, czuwających nad bezpieczeństwem ogólnym, gdybyśmy się tylko pokazali, zaraz by przestrzegli całą osadę głośnym szczekaniem i wszystko co żyje pochowałoby się po norach. Trzeba także i Sultana dopilnować; każ mu leżeć.

Roztropne psisko na rozkaz Dika położyło się na trawie i czekało cierpliwie powrotu panów. Myśliwi zaś zaczęli się czołgać cichuteńko i niepostrzeżenie przybliżyli się do pagórków. Przebiegłe zwierzątka dały się tym razem wyprowadzić w pole i nasi znajomi mogli jak najdokładniej im się przypatrzeć. W całej osadzie, jak okiem sięgnąć, panował w tej chwili ogromny ruch i ożywienie. Zwierzątka uwijały się tu i ówdzie, podskakując zgrabnie, to znów przysiadły na tylnych nóżkach; bawiły się ucieszenie, goniąc się, tocząc pozorne bójki pomiędzy sobą, tarzając się po ziemi i przewracając z najzabawniejszymi w świecie ruchami. To znów poważniejszą przybrawszy postawę obgryzały młodą trawkę, myły się łapkami jak koty lub kręciły ogonkami podnosząc je w górę.

- O, jakież to zabawne, jakie zabawne! - zawołał Dik, zachwycony tym widokiem. Słowa te niebacznie wymówił głośniej i wnet odezwały się głosy wartowników, przestrzegające o niebezpieczeństwie; ze wszystkich stron odpowiedziały im inne podobne i w kilka chwil cała ożywiona gromadka pochowała się po norach. Dik o mało znów głośno z żalu nie wykrzyknął; powstrzymał go od tego Murzyn kładąc palec na ustach i obaj czas jakiś leżeli w trawie nieruchomo, najgłębsze zachowując milczenie. Wkrótce nastąpił pożądany skutek: zwierzątka znów jedno po drugim wysuwać się zaczęły z podziemnych kryjówek. Znajomi nasi szczerze podziwiali ich ostrożność: chociaż już cisza panowała dokoła, one jednak ciągle oglądały się bacznie na wszystkie strony i nie odchodziły od swoich nor, aby w razie nowego niebezpieczeństwa natychmiast się do nich schronić. Nie przeczuwały jednak wcale, że teraz właśnie zbliżało się najgroźniejsze niebezpieczeństwo. Cezar wysunął strzelbę cichuteńko i gotował się do strzału. Tymczasem pieski, łąkowe znowu powychodziły z kryjówek, uwijały się i igrały w najlepsze na trawie.

- Pst! - odezwał się teraz Murzyn głosem przyciszonym. Nowy popłoch powstał wśród zwierzątek; zaczęły spiesznie ukrywać się po norach, tylko młodsze i mniej doświadczone pozostały na placu i podnosząc się tylko na tylnych nóżkach zaglądały ciekawie w stronę, skąd podejrzany odgłos się odezwał. Cezar na to właśnie czekał. Rozległ się huk wystrzału i jedno z najbliższych zwierzątek padło z łebkiem roztrzaskanym. Próbowало jeszcze dowlec się do nory, lecz siły je opuściły i u samego wejścia pozostało nieruchome. Dwaj przyjaciele zerwali się i pobiegli po zdobycz. Długość małego zwierzątka wynosiła trzydzieści centymetrów; głowę miało stosunkowo bardzo dużą, uszy szerokie, zaokrąglone. Sierść na wierzchu ciała była barwy jasnokasztanowatej w szare i czarne pręgi, pod brzuchem brudnobiała. Nazwa naukowa pieska łąkowego jest *Cynomys ludovicianus*.

Murzyn zdjął skórę z zabitego zwierzątka, rozpałił ogień z wysuszonego gnoju żubrego, i wkrótce dwaj młodzi wędrowcy posilali się smacznym pieczysem. Bardzo byli radzi, że osada piesków łąkowych ciągnęła się w bok, bo nie mieli ochoty wędrować dni całe pomiędzy pagórkami, utrudniającymi pochód. Droga ta wprawdzie i tak nie była wygodna, ponieważ ciągle przeciskać się musieli przez wysokie trawy; przy tym drzew na całej przestrzeni, którą mogli objąć okiem, nie widzieli wcale, gdzieniegdzie tylko sterczały kolczaste kaktusy lub zarośla drzewiastych szaławii. Napotkali tu pewien gatunek kur stepowych, nie mogli jednak ani jednej zastrzelić, gdyż ptaki te, dochodzące wielkości cietrzewia, nadzwyczaj są płochliwe.

Niemają to być kłopot dla naszych wędrowców, że tu na stepie, całkowicie drzew pozbawionym, nie mogli zostawić drogowskazów, jak mówił Cezar, i zapewnić sobie sposobu odszukania powrotnej drogi, a na tych obszarach niezmiernych, jednostajnie pokrytych trawą, najdoświadczeńszy wędrowiec łatwo zablądzić może. Ta myśl tak ich zaniepokoiła, że powtórnie naradzać się zaczęli, czy wędrować dalej, czy niezwłocznie powracać. I chociaż gorące pragnienia Dika dotychczas się nie spełniły, nie napotkali bowiem ani stada żubrów, ani dzikich koni, po głębszym namyśle postanowili jednak wracać. Cezar miał nadzieję, że teraz jeszcze trafi z łatwością do swoich drogowskazów.

Niestety! nadzieja ta zawiodła go tym razem. Po całodziennej wędrówce chłopcy nasi ujrzeni się w okolicy całkiem nieznannej, niepodobnej do tych wszystkich, które przebywali dotąd. Przed nimi ciągnęły się wzgórza wyniosłe, poprzerywane głębokimi wąwozami; tak jak wszędzie i tu jednak brakło zupełnie drzew i krzewów, przed oczyma rozciągały się przestrzenie porośnięte tylko trawą stepową.

Znużeni drogą i upałem wędrowcy nasi dotkliwie uczuwać zaczęli brak wody, a pomimo najstaranniejszych poszukiwań, nigdzie nie mogli odkryć żadnego jej śladu. Już zmrok rozpostarł się nad ziemią, gdy spragnieni chłopcy, ku swej wielkiej radości, ujrzeni na kamiennej wyżynie kilka krzaków opuncji z rodzaju jeżomelonów. Cezar znał dobrze duże kuliste ich owoce, wypełnione wodnistym sokiem, które często w okolicach pozbawionych wody są prawdziwym dobrodziejstwem dla zabłąkanych wędrowców. Dwaj chłopcy ściąwszy kilka tych owoców ugasili ich sokiem palące pragnienie, musieli jednak pójść spać bez wieczery, gdyż dnia tego nic nie upolowali oprócz piaska łąkowego.

Dnia następnego o świcie ruszyli w dalszą drogę, a smutna to była wędrówka bez celu, bo już nie mogli wątpić, że zabłądzili w pustyni. Około dziesiątej rano, gdy upał się wzmagał i nogi ustawać im poczynały, z radością spostrzegli w oddaleniu gromadkę drzew. Spodziewali się napotkać tam także i wodę, co też się spełniło: doszedłszy do owej kępy pięknych orzechów „hickory”, ujrzeni małe, lecz czystą i świeżą wodą tryskające źródelko. Zaspokoiwszy pragnienie wędrowcy nasi postanowili resztę dnia i noc spędzić w tym pięknym ustroniu.

- Napiliśmy się wybornej wody - rzekł Cezar - teraz idzie o to, aby głód zaspokoić; może w tym gaju i na to znajdzie się rada. Pewny jestem, że niejedno zwierzę stepowe przychodzi pić wodę u tego źródelka. Na nie szczęście, nie ma tu gdzie schować się jak należy, a widok nasz wypłoszy i w nocy zwierzynę. A najmniej nam teraz potrzebny Sułtan; a nawet dużo nam może zaszkodzić.

- A czy nie moglibyśmy ukryć się na drzewach pośród gałęzi? - spytał Dik - jak owej nocy, gdyśmy zabili kuguary.

- To prawda - odrzekł Murzyn - z wieczora przynajmniej trzeba to zrobić,

a może doczekamy się jakiej zdobyczy. Tylko co zrobić z Sułtanem?

- On jest tak nauczony, że można mu kazać godziny całe leżeć na ziemi i ani się ruszy, ani piśnie - mówił Dik. - Mogę nawet odprowadzić go trochę dalej i każę mu w jakim kącie cicho siedzieć.

Przystał na to Cezar, a tymczasem obaj rozciągnęli się wygodnie na trawie i wypoczywali w cieniu. Zaledwie jednak chwilę poleżeli, gdy znów zerwali się na równe nogi. Z wielkiego oddalenia dało się słyszeć poszczekiwanie i wycie licznych zwierząt: stawało się coraz wyraźniejsze, widocznie zwierzęta zbliżały się w tę stronę.

- To wilki stepowe - wyjaśnił Cezar. - Co im się stać mogło? Te żarłoki wiecznie zgłodniałe muszą gonić jakieś zwierzę, prawdopodobnie zranionego żubra. Bardzo być może, że nam tu zdobycz napędzą, bo zmierzają w tę stronę; ukryjemy się teraz na drzewach, ażeby ich nie spłoszyć, lecz przede wszystkim niech Dik zaraz ukryje psa.

Dik niezwłocznie spełnił polecenie Murzyna; posłuszny Sułtan skulił się w zaroślach tak, że go wcale widać nie było, po czym obaj chłopcy wdrapali się na drzewo i starannie ukryli pośród liściastych gałęzi.

- Patrz, patrz, co tam może być za zwierzę? - wołał już po chwili Dik wyciągając rękę w stronę, z której coraz to głośniejsze ujadanie wilków się odbywało.

- Mów ciszej - odrzekł Cezar - to antylopa widłoroga, zwykle zwana kabri; omylić się trudno, bo w Ameryce Północnej przebywa tylko ten jeden gatunek antylop. Biedne stworzenie musi być chore albo ranne, ledwo nogami włóczy. Dlatego też jedynie wilki ją z tak bliska gonią, inaczej nie zadawałaby sobie daremnie trudu, bo antylopa nadzwyczaj chyżo biega i zdrowej nigdy wilki by nie dały rady. Ale te drapieżniki zwykle czatują na zwierzęta osłabione i pędzą za nimi poty, póki ich nie zmęczą do ostatka.

Antylopa zbliżała się coraz więcej. Było to zwierzę wielkości sarny, na grzbiecie miało sierść płowo-kasztanową, na brzuchu zupełnie białą, rogi sterczące w kształcie wideł, skąd pochodzi nazwa tej amerykańskiej antylopy (*Antilopa furcifer*). Myśliwi nie bardzo się za nią ubiegają, gdyż mięso

jej nie odznacza się wytwornym smakiem. Zgłodniali nasi wędrowcy nie pogardziliby jednak w tej chwili i taką zdobyczą, toteż z wielkim zajęciem śledzili ruchy uciekającej antylopy: zwracała się wyraźnie w stronę źródełka, a zgraja wilków prawie następowała jej na pięty.

- Już ją mam - szepnął Cezar i wypalił, a antylopa padła martwa pod samym prawie drzewem. Wilki zatrzymały się zdziwione, a po chwili uciekać zaczęły, lecz w pewnym oddaleniu przystały znowu: widocznie żal im było zrzekać się upatrzonej zdobyczy; poczęły oglądać się, nasłuchiwać, pragnąc prawdopodobnie wysledzić, skąd strzał pochodził.

- Cicho, cicho - szeptał Murzyn do ucha towarzysza - niech no hultaje się tu zbliżą, a dostaną za swoje.

Istotnie, wilki ośmielone ciszą wkrótce podstępły pod drzewo i myśliwi mogli je obejrzeć dokładnie. Wilk stepowy amerykański zajmuje miejsce pośrednie pomiędzy wilkiem właściwym a lisem, więcej nawet zbliża się do tego ostatniego, cokolwiek jest jednak od niego większy. Puszyste futro zwierzęcia ma odcień brudno-łowy, na brzuchu jaśniejszy. Wilki stepowe włączają się zwykle licznymi gromadami i razem napadają słabsze zwierzęta; nadzwyczaj są przy tym śmiałe i natrętne, a gdy wysledzą podróżników dni całe biegną w ślad za nimi chwytając resztki jedzenia.

Znajomi nasi o mało nie pożałowali tego, że przywabili żarłoczną zgraję, bo wilki gwałtownie rzuciwszy się na antylopę w mgnieniu oka poczęły ją szarpać w kilku miejscach; gdyby nie interwencja naszych znajomych, byłyby się bardzo prędko z nią załatwiły.

- A rabusie! a lotry! - wołał Murzyn i strzelił; Dik poszedł za jego przykładem i dwa wilki padły obok antylopy, reszta zaś z przeraźliwym wyciem uciekła, nie odbiegła jednak daleko, lecz zatrzymała się w pewnym oddaleniu.

Młodzi myśliwi zeszli z drzewa i przywołali psa, który zresztą nie okazywał najmniejszej ochoty zadzierania z wilkami i na krok nie odstępował Dika. Trzeba było jak najprędzej zabezpieczyć mięso antylopy od nowego napadu, gdyż wilki widocznie czekały tylko na sposobność po temu. Nie zdołał ich odstraszyć widok ludzi ani zabójcze strzały, a na psa najmniejszej nie zdawały się zwracać uwagi. Zdejmując skórę antylopy chłopcy nasi ze

zdziwieniem spostrzegli, że oprócz kuli Murzyna, która przebiła na wylot jej czaszkę, inna także sama kula pozostawiła wyraźny ślad pod łopatką zwierzęcia. Odkrycie to wywarło na młodych wędrowcach wielkie wrażenie: należało zeń wnosić, iż w pobliżu znajdują się myśliwi lub Indianie, bo i ci ostatni już wówczas mieli niekiedy broń palną. Roztrząsając z ożywieniem to zdarzenie i snując przeróżne domysły nie tracili jednak czasu: wyciąwszy najlepszy kawał mięsa antylopy, który zamierzali zaraz upiec, resztę pokrajali na cienkie pasy do ususzenia. Zaledwie skończyli tę robotę, gdy Cezar znów bystrym uchem dosłyszał jakieś oddalone odgłosy i spiesznie się położył przykładając ucho do ziemi. Gdy powstał, twarz jego wyrażała wielkie zadowolenie.

- Doczekaliśmy się na koniec! - mówił z uśmiechem. - Stado bawołów się zbliża! - A jak się w porę wybrały! Niemale to dla nas szczęście, że możemy schronić się na drzewa, inaczej, kto wie, czy nie rozdeptałyby nas jak muchy.

- Ale czy ty nie uważasz - odezwał się Dik pociągając nosem - jak tu okropnie dym czuć? Co to być może?

W pierwszej chwili Cezar nic nie odpowiedział; nagle wesołość znikła z jego twarzy, a natomiast ukazał się na niej wyraz mocnego wzruszenia. Z szybkością strzały poskoczył na drzewo dając towarzyszowi ręką znak, aby pozostał na dole, po czym w mgnieniu oka prawie zeskoczył z takąż samą szybkością wołając z przerażeniem:

- O Boże! pożar na stepie! Ogromne płomienie unoszą się wszędzie w górę, straszliwe obłoki dymu pędzą prosto w tę stronę! Żubry uciekają przed pożarem! Diku, rozpalajmy ogień jak najprędzej, od tego pośpiechu życie nasze zależy!

I Murzyn rzucił się jak szalony do zbierania suchych gałęzi: wyrwał pęki trawy, zapalał to wszystko i rozkładał naokoło kępy drzew, tworząc krąg obszerny, który w parę chwil żywym ogniem zapłonął. Nie rozumiejąc wcale celu tego wszystkiego, Dik pomimo to pomagał mu ze wszystkich sił; ogień szybko się rozszerzył i ogarnął znaczną przestrzeń, posuwając się coraz bliżej, a tymczasem w miejscu, gdzie go dwaj wędrowcy rozniecili, wygasł powoli. Tym sposobem dokoła drzew utworzył się teraz krąg, na którym trawa całkowicie była wypalona. Od ziemi nagiej i оголоconej z roślinności

buchało wprawdzie straszliwe gorąco, lecz płomienie znikły; nawet dym już się nie unosił nad tym pasem. Dopiero teraz Dik zrozumiał, o co Murzynowi chodzi: pożar nie mógł objąć tego miejsca, gdzie całkowicie brakło materiału do podsycenia ognia; był to niejako pas ochronny.

- Na drzewo, czym prędzej na drzewo! Żubry! – wykrzyknął nagle Murzyn i ciągnąc towarzysza za sobą spieszenie wdrapał się na jedno z największych drzew. Psa pozostawić musieli własnemu przemysłowi: roztropne zwierzę, jak gdyby pojęło położenie, położyło się u stóp potężnego pnia i leżało spokojnie.

Tymczasem coraz bliżej dawał się słyszeć tętent, do gromu podobny, i ziemia poczęła drżeć pod kopytami biegnących szalonym pędem żubrów. Już można było dojrzeć w oddaleniu przednie strażę stada. Ogień, rozpalony przez młodych wędrowców, płonął ciągle, wiatr pędził go coraz dalej, i żubry ujrzały niespodzianie na swej drodze drugi pożar. Wzięte tym sposobem we dwa ognie, zawały się przez chwilę; potem stado rozdzieliło się: jedna połowa zwróciła się na prawo, druga na lewo, omijając koło ogniste. Łeb przy łbie, w ściętnionych szeregach, z podniesionymi w górę ogonami, żubry przeleciały jak huragan po obu stronach kępy drzew. Niejeden padł po drodze i nie podniósł się więcej, bo reszta przebiegła po nim i zdeptała go kopytami. Stado było tak liczne, że z kwadrans tak płynęło jak rzeka; wreszcie zaczęło się przerzedzać, lecz jeszcze przez czas jakiś przebiegały pojedynczo zapóźnione słabsze zwierzęta. Jedno z takich zbliżyło się na odległość strzału do kryjówki naszych wędrowców.

- Będziemy mieli znowu zapas mięsa - rzekł Cezar i celnym strzałem powalił na miejscu żubra, który i tak już wyglądał na bardzo osłabionego.

Zaledwie stado żubrów znikło z oczu młodzieńców, gdy otoczyły ich tak gęste obłoki dymu, że z trudnością oddychać mogli. Dym ten całkowicie przesłonił im widok dokoła; nie widzieli więc ognistego morza, które ich zewsząd otaczało, czuli tylko w powietrzu żar straszliwy, duszący, który im tamował oddech. Dziwne szmery, sykania, pryskania rozszalałego żywiołu tak ich po pewnym czasie ogłuszyły, że nie słyszeli nawet szczekania i wycia

strwożonego Sultana. Obraz, który mieli przed oczyma, posiadał taką nie-
dającą się opisać groźę, iż wędrowcy nasi, jakkolwiek zupełnie bezpieczni w
swoim schronieniu, nie mogli pokonać uczucia przerażenia i trwogi. Zameł
ten nie trwał jednak długo; po upływie pół godziny wszystko się uciszyło i w
powietrzu powiało tchnienie orzeźwiającego wietrzyka.

- Rad bym wiedzieć, co się stało z żubrami? - rzekł Dik, gdy obaj przy-
szli nieco do siebie.

- Pożar musiał ich w końcu dosięgnąć i pewnie wszystkie zginęły, chyba
żeby się wiatr odwrócił w inną stronę; może też natrafiły na rzekę i wpław ją
przebyły.

- A o wilkach zapomnieliśmy zupełnie - mówił znów Dik - znikły bez
śladu.

- Widziałem - odrzekł Murzyn - jak umykały pędem przed żubrami;
prawdopodobnie musiały paść pod ich kopytami lub w ogniu się usmażyć.

Młodzi nasi wędrowcy starali się skrócić sobie czas rozmową, gdyż jesz-
cze nie mieli odwagi wychylić się ze swego schronienia. Już wprawdzie
wielkie płomienie przestały buchać na stepie, lecz iskry przelatywały w po-
wietrzu i rozpalone opary podnosiły się z ziemi. Po upływie godziny jednak
mogli już bezpiecznie dostać się do żubra, zabitego przez Cezara; był to
zwierz olbrzymi i musiał mieć siłę niepospolitą, toteż dziwnym się wydało
Murzynowi, że pozostał w tyle za stadem. Zdejmując z niego skórę, myśliwi
sposzregli pod łopatką żubra ranę głęboką, wyraźnie pochodzącą od kuli.
Nie była to jednak kula Cezara, bo ta trafiła prosto w oko i przebiła czaszkę.

- To samo, co z antylopą - rzekł Murzyn. - Mamy nowy dowód obecno-
ści ludzi w tej okolicy. Jeżeli to ludzie biali, dałby Bóg, abyśmy się z nimi
spotkali, jeżeli czerwone skóry, niech nas Opatrzność od tego uchowa.
Prawdopodobnie jednak muszą to być biali myśliwi, gdyż Indianie zazwy-
czaj do polowania używają łuków. Sądzę więc, że powinniśmy teraz skiero-
wać się w stronę, skąd nadbiegła antylopa i stado żubrów i gdzie wybuchł
ten wielki pożar.

Dnia następnego o świcie, wezwawszy pomocy Bożej gorącą modlitwą, wę-
drowcy nasi wyruszyli w drogę, kierując się na wschód, z tej strony bowiem

dnia poprzedniego nadciągnęła zgraja wilków, goniących antylopę, i stado żubrów. Step przedstawiał smutny widok zniszczenia i opustoszenia: ziemia była całkowicie ogołocona z trawy, czarna, okopcona, znikło z niej wszelkie życie i tylko szelest kroków samotnych wędrowców przerywał głuchą ciszę, panującą nad gwarным niedawno stepem.

Okazało się wkrótce, że na tej niezmierzonej jednostajnej przestrzeni niepodobna było trzymać się jakiegoś wytkniętego kierunku: daremnie bowiem wzrok znużony szukał oparcia, nigdzie, aż do najdalszych krańców widnokregu, nie napotykał przed sobą ani drzewa, ani krzaczka. Cezar musiał wyznać, że cała jego pomysłowość na nic się tu nie mogła przydać i że jeśliby im się udało dotrzeć przynajmniej do lasu, graniczącego ze stepem, przypadkowi jedynie zawdzięczać by to mogli. Na domiar nieszczęścia dostali się teraz do okolicy całkowicie pozbawionej wody. Zbliżała się już znowu południowa godzina: pragnienie dokuczało im strasznie, a nigdzie zbawczego źródła dopatrzeć się nie mogli. Dik, mniej wytrzymały od towarzysza, tak był osłabiony, że ledwie na nogach się trzymał.

Usiedli więc na wypoczynek u stóp skały. Na bezbrzeżnych równinach stepowych często napotkać można urwiste, prawie prostopadle sterczące skały, podobne do tych, które się wznoszą zazwyczaj na morskich wybrzeżach. Dik zapadł natychmiast w sen niespokojny; podczas tego Cezar obszedł skałę dokoła i upatrzawszy miejsce dogodne wdrapał się na jej wierzchołek. Odkrywał się stąd widok rozległy, który bynajmniej nie dodał Murzynowi otuchy: gdzie okiem sięgnąć wszędzie rozciągała się ta sama płaska, jednostajna równina, stykająca się z niebem na krańcach widnokregu; gdzieniegdzie tylko odcinała się od monotonnej, płaskiej powierzchni stepu stercząca skała, pagórek lub krzak kolczasty. Wszędzie, daleko dokoła, step przedstawiał ów obraz spustoszenia, który wędrowcy od rana mieli przed oczyma: pożar ogarnął widocznie obszary bardzo rozległe.

Z ciężkim westchnieniem powrócił Cezar do towarzysza; patrzeć musiał na jego cierpienia, a nic na nie poradzić nie mógł. Po kilkugodzinnym wypoczynku udali się obaj w dalszą drogę, lecz postępowali bardzo wolno:

nogi pod nimi chwiały się, i coraz więcej upadali na siłach. Sultan z wywieszonym językiem włókł się za panami wyjąc żałośnie od czasu do czasu.

- Nie, ja już dalej iść nie mogę - jęknął Dik po trzech czy czterech godzinach uciążliwego marszu. Już też słońce zniżało się ku zachodowi.

Tym razem musieli nocować na otwartym polu i pod gołym niebem, gdyż nawet skały nigdzie nie było dokoła. Po dniu upalnym nastąpiła, na szczęście, noc dosyć chłodna; spadła rosa tak obfita, że przemoczyła zupełnie odzienie śpiących wędrowców, co im przyniosło niejaką ulgę; usnęli spokojnie i pokrzepieni zbudzili się o świcie. Lecz gdy tylko słońce wzniosło się wyżej na niebie, upał znowu dokuczać im zaczął; stopniowo pragnienie tak im się dało we znaki, że chociaż mieli zapas mięsa, nie mogli go przełknąć. Nawet Sułtan odwrócił łeb ze wstrętem, gdy mu podano tak pożądaną zazwyczaj przysmak. Biedne psisko wyło prawie bezustannie i żałośnie spoglądało na panów, jakby błagając ich o ratunek.

Nieszczęśliwi wędrowcy wyruszyli w końcu w dalszą drogę, dobywając ostatnich sił w nadziei, że może nareszcie natrafią na zbawcze źródelko. I rzeczywiście po upływie dwóch godzin, w ciągu których przeszli niewielki kawałek drogi, z niewymowną radością spostrzegli przed sobą w oddaleniu gromadkę drzew. Przyspieszyli kroku, tak jednak byli już osłabieni, iż upłynęło znów kilka godzin, nim się do tych drzew dowlekli: były to orzechy stepowe. Już z daleka u stóp ich spostrzegli wyraźne zagłębienia gruntu, prawie pewni więc byli, że w nich wodę zastaną; toteż łatwo sobie wyobrazić rozpacz, jaka ich ogarnęła, gdy, przyszedłszy na miejsce, zostali w tej nadziei zawiedzeni. Owe zagłębienia gruntu były tak zwanymi „sadzawkami żubrów”. Nazwa owa stąd pochodzi, iż zwierzęta zazwyczaj kąpią się w kałużach, powstałych z deszczowej wody, a i te początek swój także zawdzięczają żubrom, które zwykle, gdy im owady zbyt wiele dokuczają, tarzają się po ziemi i to w taki sposób, że na jednym miejscu się kręcą, dopóki nie utworzą w ziemi wklęsłości; w czasie pierwszego deszczu woda do niej splywa i sadzawka coraz więcej się pogłębia. Na nieszczęście susza trwała już od dłuższego czasu i znajomi nasi nie znaleźli w sadzawkach owych ani kropli wody. Cezar spojrział w niebo, lecz i na nim nie dostrzegł ani jednej chmurki:

palące promienie słońca padały prostopadłe na step niezmierny.

- Nie pójdę dalej, sił mi już braknie, umrę już tutaj, jeżeli taka wola Boża - jęknął Dik i osunął się na ziemię pod drzewem.

- Nie można jeszcze rozpaczać - mówił Murzyn, chociaż i w jego sercu mało już pozostawało nadziei. - W oddaleniu widać inne drzewo, może tam wodę znajdziemy.

- Ja już tam nie zajdę - odrzekł Dik rozciągając się na trawie - nie ruszę się stąd. Wolę umrzeć niż znosić dłużej takie okropne męczarnie.

- Bóg miłosierny może w ostatniej chwili ratunek zesłać - pocieszał Murzyn. - Niechże Dik tu zostanie z Sułtanem, a ja sam do tamtych drzew pójdę. Jeśli wody nie znajdę, będę miał zawsze dość siły, aby się tu dowlec na powrót, a wtedy niech się spełni wola Boża nad nami. Tylko niech Dik stąd nie odchodzi i czeka na mnie, nie będę dłużej tam nad parę godzin.

Po odejściu Murzyna Dik uczył dziwny zawrót głowy: oczy przymknęły mu się mimo woli i przytomność prawie zupełnie go opuściła. Sam już nie wiedział, jak długo pozostawał w tym stanie, gdy nagle ocuciło go głośnie szczekanie Sułtana. Siłą woli podniósł głowę, wsparł się na łokciu i szeroko oczy otworzył: ujrzał bowiem kilku jeźdźców, zbliżających się do miejsca, gdzie leżał. Jeszcze nie mógł rozpoznać ich postaci, i ogarnęła go trwoga straszliwa, czy to nie Indianie. Niedługo jednak pozostawał w niepewności. Jeźdźcy podjechali bliżej: byli to biali ludzie w strojach myśliwskich, uzbrojeni od stóp do głowy.

XXII

WYPRAWA DON RAMONA

Możemy już teraz być spokojni o los Dika i Cezara, powrócimy zatem do owej gromadki wędrowców, która pod wodzą don Ramona de Saavedra i myśliwego Johnsona wyruszyła na spotkanie Rafaela w głąb puszczy. Żadne niezwykle przygody nie zatrzymały jej po drodze; przebyła szczęśliwie północną część Meksyku wdzierając się na grzbiety gór Sierra de las Mimbras, tworzące odnogę Kordylierów. Wspaniałe dzikie krajobrazy roztaczały się nieraz przed oczyma wędrowców, zwłaszcza gdy wkroczyli w sferę lasów iglastych. Do miejsc zamieszkałych i miast, leżących po drodze, zagląдали tylko w razie, jeśli im zabrakło amunicji lub zapasów żywności. W prowincji Kohahuila przeprawili się przez rzekę Rio del Norte i dostali się do Teksasu.

Ponieważ podróż trwała już dość długo bez przerwy, a wierzchowce i muły juczne bardzo były pomęczone, pomimo niecierpliwości don Ramona, na wniosek Johnsona, postanowiono zatrzymać się na kilkudniowy odpoczynek. Napotkano po drodze malowniczą, lasem porośniętą dolinę, którą przerzywał szeroki, przejrzysty strumień. Tu na znak myśliwego karawana się zatrzymała: jeźdźcy zsiadli z koni, po czym zdjęto z mułów ciężary i zabrano się do urządzenia obozu.

Tegoż samego dnia, gdy karawana rozłożyła się obozem w dolinie, Karmela z ojcem i Johnsonem wybrała się przed wieczorem na małą wycieczkę w okolicę. Jadąc wybrzeżem rzeki, z przyjemnością spostrzegła w wodzie niezmierne mnóstwo ryb większych i mniejszych.

- O, patrz pan, panie Johnson - wołała - jak tu w tej przejrzystej wodzie

doskonale widać rybki. Jaka szkoda, że nie mamy wędek, tak bym je chętnie łowiła.

- Poradzimy na to, panno Karmelo - rzekł myśliwy swym zwykłym lakonicznym tonem.

- Doprawdy? O, to byłoby wybornie!

- Czy dziś jeszcze chce panienka łowić ryby?

- Mogę poczekać do jutra.

- A więc dobrze. Jutro nałowi ich panienka, ile tylko zechce.

- Skądże pan tu dostanie wędkę?

- Sporządź. Odrobinę włosa, gałązkę klonową i kawałek sznurka po-
trafię przecież i tu znaleźć.

- A cóż to pan tam ogląda? - zapytał don Ramon myśliwego, który pochylony nad ziemią pilnie się czemuś przypatrywał.

- Nic - odpowiedział krótko Johnson, lecz nagle zmiana wyrazu jego twarzy nie uszła oczu don Ramona ani jego córki. Zdawał się wzruszony i zaniepokojony.

- Czyś pan odkrył coś niemiłego? - odezwała się z kolei Karmelą.

- Nie, nie, ale wolałbym, aby mię nie pytano - odpowiedział ściągając brwi myśliwy. - Wracajmy - dodał po chwili i nie zwracając uwagi na zdanie innych zawrócił konia w stronę obozu. Ojciec i córka nie mogli odgadnąć, co nagle w taki zły humor wprawiło Johnsona, nie pytali jednak więcej, znali już bowiem jego dziwactwa i wiedzieli, że jeżeli uparł się milczeć, nie dowiedzą się nic więcej od niego.

Gdy tylko powrócili do obozu, myśliwy zaczął bardzo starannie oglądać swoją strzelbę. Rozebrał ją, oczyścił wszystkie części, ponapuszczał oliwą i złożyłwszy ją na powrót jeszcze raz na wszystkie strony obejrzał. Późnym wieczorem wziął tak oczyszczoną broń na plecy, a na zapytanie don Ramona, czy myśli dziś jeszcze polować, odrzekł krótko:

- Tak, upatrzyłem zwierza.

I puścił się brzegiem rzeki w tę samą stronę, gdzie przed wieczorem był z don Ramonem i Karmelą. Po chwili znikł pomiędzy drzewami. Gdy o godzinie dziesiątej dopiero powrócił do obozu, twarz jego była jeszcze pośpisza niż zwykle. Nazajutrz o świcie odszedł znowu i powrócił aż o

południu, wcale nie w lepszym usposobieniu.

- Cóż będzie z moją wędką, panie Johnson - spytała Karmela.

- Ach, prawda, obiecałem paniencie wędkę, zapomniałem o tym. Czy to naprawdę panna Karmela myśli łowić ryby?

- Naprawdę. Ale nie chciałabym panu bynajmniej kłopotu przyczynić, wołałabym wyrzec się wędkę...

- No, niewielki kłopot, będzie panienska miała wędkę. Ale pójdziemy chyba we dwoje na te ryby?

- Po cóż mam panu czas zabierać?... Czy to ja sobie i sama nie dam rady?

- Jak tam sobie panienska chce - mruknął myśliwy po chwili namysłu.

W godzinę potem przyniósł przyrząd, mogący zastąpić najlepszą wędkę, chociaż niezbyt wykwintnie wyglądał. Oddał także Karmeli mały koszyczek z robakami na przynętę. Zabrawszy te przybory młoda dziewczyna przed wieczorem poszła sama w górę strumienia, póki nie upatrzyła dogodnego miejsca do łowienia ryb. Rzeka w tym miejscu tak zakręcała, że tworzyła półkole; Karmela, siedząc nad jednym jej ramieniem, drugie miała wprost za plecami. Młoda dziewczyna zajęła się gorliwie połowem i nie zważała na nic, co się dokoła niej działo.

Po jakimś czasie jednak podniosła nagle głowę i wytrzymała słuch. Usłyszała była taki plusk wody, jak gdyby w pobliżu pływał człowiek lub większy jaki zwierz. Odgłos ten odzywał się z tej części rzeki, którą miała za plecami, a chociaż się odwróciła, nic dojrzeć nie mogła, gdyż wybrzeże w tym miejscu porośnięte było drzewami i gęstymi krzakami. Karmela zaniepokojona wstała i szybko pobiegła do brzegu; przeszła przez zarośla, spojrzała na rzekę, której całą szerokość miała przed sobą i spostrzegła od razu wielkie zwierzę, płynące właśnie w jej stronę. Już było niedaleko od niej i Karmela, strwożona tym widokiem, krzyknęła przeraźliwie. A przestraszona jej był najzupełniej usprawiedliwiona: miała przed sobą drapieżnego jaguara, najniebezpieczniejsze ze wszystkich zwierząt amerykańskich, rozpowszechnione

głównie w Ameryce Południowej, lecz i w cieplejszych okolicach Północnej dość pospolite. Położenie Karmeli było okropne: znajdowała się w głębi owego półkola, opasanego zakrętem rzeki, a zwierz zmierzał właśnie do miejsca, gdzie wyskakując na brzeg przecinał jej jedyną drogę ucieczki.

Karmela była odważna i przytomna; nieraz już śmiało stawiała czoło rozmaitym niebezpieczeństwom, ale obecnie spadło ono na nią tak gwałtownie i niespodziewanie, że na chwilę od zmysłów prawie odeszła i dreszcz niewypowiedzianej trwogi przeszedł ją od stóp do głowy. Upłynęła krótka chwila straszliwego oczekiwania; zwierz wreszcie dopłynął do brzegu i wdrapał się nań z łatwością, czepiając się pazurami nadbrzeżnych krzaków, po czym potężnym susem na łąd wyskoczył i rzucił się wprost ku Karmeli. O kilka kroków od niej przystanął z głową wyciągniętą, paszczą otwartą, i oczy nieco przymrużone, błyszczące jak rozpalone węgle, utkwił w drżącej dziewczynie. Potem powoli wyciągnął się na trawie i zaczął bić ziemię ogonem. Karmela wiedząc, że drapieżny zwierz tym sposobem gotuje się do skoku, nie wątpiła, że wybiła jej ostatnia godzina. Myśl dziewczyny wzniosła się ku Temu, bez którego woli włos nawet nie spadnie z głowy, błagając Go gorącą modlitwą o ratunek lub o skrócenie męczarni. Ta straszliwa chwila wiekiem jej się wydała.

Jaguar poruszywszy grzbietem przymknął oczy tak, że małe tylko iskielki błyskały spod powiek spuszczonej, i już miał skoczyć, gdy nagle rozległ się huk palnej broni. Zwierz ze straszliwym rykiem wywrócił kozła, podniósł się jednak i ze wściekłością usiłował podpełznąć do Karmeli, chociaż zaledwo poruszyć się zdołał. Lecz nawet i w takim stanie byłby mógł jej jeszcze немало złego zrobić, gdyby w tej samej chwili nie nadbiegł Johnson z nożem myśliwskim w rękę. Myśliwy wyglądał tak, jakim go Karmela nigdy jeszcze nie widziała: oczy jego rzucały błyskawice, rysy zmienione były do niepoznania. Ze zwinnością, zadziwiającą w człowieku niemłodym i nieco ociężałym zwykle, przyskoczył do jaguara, wyprzedził go i stanął przed nim, czym uwagę zwierza na siebie zwrócił i Karmelę od wszelkiego niebezpieczeństwa uchronił; po chwili podniósł nóż i po samą rękonożę wbił go w bok potwora. Jaguar wywrócił się na wznak, lecz jeszcze długo rzucał łapami. Myśliwy wbił po raz drugi nóż w ciało zwierzęcia. Oczy jego błyszczały dzikim

plómiem, gdy patrzył na ostatnie konwulsje jaguara. Pot sperlił jego czoło. Znać było po nim jakieś szczególne wzruszenie, niezrozumiałe podniecenie, niemal wściekłość.

Karmela patrzyła na to z przerażeniem. Widziała, że nie są to zwykłe uczucia myśliwego, który pokonał zwierza, widziała, że kryje się za tym coś więcej.

W końcu jednak namiętne wzruszenie myśliwego uspokoiło się. Johnson westchnął głęboko i odstąpiwszy od jaguara włożył nóż za pas i otarł pot z bladego śmiertelnie czoła.

- Ach! panienka tu jest - rzekł z cicha, jakby zakłopotany; widocznie w straszliwym rozdrażnieniu zapomniał był nawet o obecności dziewczyny. - Przepraszam pannę Karmelę za ten przykry widok...

- Za cóż mnie pan przeprasza? Uratowałeś mi życie, nigdy ci tego nie zapomnę! O, panie Johnson, ile ja panu wdzięczności będę winna!

Karmela ochłonęła tymczasem z przerażenia, a twarz myśliwego przybrała znów zwykły wyraz: posepną, lecz spokojny.

- Żadna mi się wdzięczność nie należy - odrzekł - dogodziłem sobie, ho! dogodziłem. Wczoraj jeszcze przed wieczorem dostrzegłem ślady tego... potępieńca. Nie wspomniałem o tym, ażeby państwa nie straszyć. Czatowałem na niego i wczoraj wieczorem, i dziś rano, lecz nadaremnie. A ten zbój upatrzył sobie tymczasem dobrą zdobycz. Znam ja upodobania tych przeklętych lotrów. Kiedy panienka uparła się beze mnie iść na ryby, poszedłem cichuteńko w tę samą stronę, bo przeczuwałem nieszczęście. Dzięki Bogu, że mi się udało przybyć w porę.

- O tak, zjawił się pan w samą porę, jak narzędzie Opatrzności - rzekła Karmela wyciągając do niego rękę.

- Nie mogłem strzelić wcześniej - mówił jakby tłumacząc się myśliwy - musiałem czekać, aż przekłety zwierz przysiadzie do skoku. Raz tylko pośpieszyłem się zbyt w podobnej chwili, raz jeden w życiu... - tu umilkł i wyraz niewypowiedzianej bólesci rozlał się na jego twarzy. Lecz siłą woli pokonał to wzruszenie i mówił dalej: - Chodźmy już, panno Karmelo, trzeba panience wypocząć po tym okropnym przestרחu.

- Dobrze, chodźmy do obozu - odrzekła dziewczyna opierając rękę na ramieniu myśliwego - ale chciałabym pana o coś zapytać, panie Johnson, jeżeli zasłużyłam na ufność i życzliwość pańską.

- Czyż panienka może wątpić o tym? - odrzekł Johnson postępując wraz z nią w stronę obozu.

- A więc niech mi pan powie, czy mię przeczucie serca nie myli? Zdaje mi się, prawie pewna jestem, że pana gnębi jakiś ciężki smutek, panie Johnson.

- Skądże to panience taka myśl przyszła do głowy?

- Oto i teraz, gdy pan mówił, żeś przedtem raz jeden w życiu strzelił za wcześniej do jaguara w chwili podobnej, było coś tak dziwnego w twoim głosie... a i to niepojęte postępowanie z zabitym jaguarem. Ja z tego wszystkiego wnoszę, iż smutek pański musi mieć jakiś związek z tymi straszliwymi zwierzętami.

- Coś się przyśniło panience - mruknął Johnson i nachmurzył się po swojemu. - Mówmy lepiej o czym innym.

Karmela nie śmiała pytać więcej, gdyż znała skryty i nieprzystępny charakter myśliwego, szli więc przez czas jakiś w milczeniu obok siebie; po pewnym czasie dziewczyna mimo woli cofnęła rękę z ramienia towarzysza. Naraz Johnson zatrzymał się i szorstką dłoń swoją wyciągnął do Karmeli. Ona podniosła na niego oczy i znowu dziwną zmianę spostrzegła na twarzy pośepnego myśliwego: wyczytała na niej rozrzewnienie głębokie.

- Daruj mi, panno Karmelo - rzekł głosem wzruszonym - tyś mi okazała tyle serdeczności, a ja byłem tak nieuprzejmy. Lecz nie gniewaj się, wyjawię ci mą tajemnicę. Odgadłaś trafnie, panno Karmelo, mam na sercu ciężki smutek, straszliwe mię dotknęło nieszczęście. Zwierzyłem się już raz przed bratem twym, panienko, zwierzę się i przed tobą. Posłuchaj...

Poszli dalej, a myśliwy odzyskawszy już zwykły swój spokój opowiadał w te słowa:

- Ojczyzną moją jest Szkocja. Młode lata spędziłem w pięknej wiosce górskiej nad brzegami Klydy. W osiemnastym roku życia straciłem rodziców, których jedynym byłem synem. W spadku pozostawili mi stary domek i mnóstwo długów, oddałem więc dom wierzycielom, a sam wyruszyłem do

Ameryki. Słyszałem od ludzi, że jeżeli komu się nie wiedzie w ojczyźnie, może lepszy los znaleźć na drugiej półkuli i wraz z innymi pojechałem za ocean. Dostałem się do Kalifornii i zostałem poszukiwaczem złota. Nie żałowałem trudu: dzień i noc motyki nie wypuszczałem z ręki i wiodło mi się niezłe, dorobiłem się majątku. W tym czasie zawarłem znajomość z pewnym Meksykaninem, niemłodym już człowiekiem. Miał on piękną posiadłość ziemską na wybrzeżach rzeki. Sant Jago w prowincji Chalisko. Cuda mi opowiadał o swojej ojczyźnie, jej rozkosznym klimacie i urodzajności gruntu. Złota miałem dosyć, łatwo więc namówić się dałem i w towarzystwie pana Mittsena - tak się nazywał mój znajomy - wyruszyłem do jego posiadłości. Przekonałem się, iż stary nie przesadzał: kraj podobał mi się niezmiernie, za swoje złoto nabyłem więc grunt i osiedliłem się tam na dobre. Pan Mittsen miał liczną rodzinę; jedna z jego córek została moją żoną. Śliczna była i dobra, wiedliśmy życie tak szczęśliwe...

Tu nagle umilkł myśliwy, jakby mu głosu zabrakło w piersi. Po chwili dopiero potarł ręką czoło i mówił dalej:

- Pan Bóg dał mi dziecko, ślicznego chłopczyka. Rósł zdrowo, podobniusięni był do matki: dałem mu na imię Allan. Miał lat dziesięć zaledwie, a już z lekkiej strzelby strzelał tak celnie, jak stary myśliwy. Nic dziwnego, był przecież moim uczniem... Ale czy to on tylko strzelał celnie? Co to był za chłopak!... ach, co za chłopak!

Ciche łkanie przerwało znów mowę myśliwego. Milczał przez chwilę i gwałtownie tarł ręką czoło, po czym znów opowiadał spokojniej:

- Było to w wigilię urodzin Allana. Chcąc mu przygotować jakąś niespodziankę, wybrałem się konno do miasta Guadalaksary, o parę mil od naszej hacjendy, po sprawunki. Obiecałem żonie powrócić tegoż samego dnia wieczorem. I dotrzymałem słowa: jeszcze się nie ściemniło, gdy już byłem o pół godziny drogi tylko od hacjendy. Przebyłem niewielki las i dostałem się na odkrytą łączkę, gdy wtem ujrzałem o jakieś pięćdziesiąt kroków przed sobą skradającego się jaguara. Poznałem od razu, że zbój musiał mieć już jakąś upatrzoną zdobycz. Zacząłem się rozglądać pilnie dokoła i wkrótce spostrzegłem na samym skraju lasu leżącą u stóp drzewa postać ludzką. Podjechałem bliżej: jakież było przerażenie moje, gdy

poznałem mego chłopca, mego Allana, śpiącego spokojnie pod drzewem. Spiąwszy konia ostrogami, popędziłem za jaguarem, po czym zeskoczyłem na ziemię, jak szalony, i strzeliłem... Niestety! straciłem głowę; ręka mi drżała, jaguar był w pełnym biegu, czyż mogłem wymierzyć, jak należy? Trafiłem wprawdzie, lecz zraniłem tylko lekko zwierzę i doprowadziłem je do wściekłości. Gdybym był poczekał, aż przysiadzie do skoku... Ale ja, głupiec, szaleniec, pośpieszyłem się, jaguar ryknął i biegł, nie zatrzymując się, prosto do chłopaka. Widziałem, jak Allan przebudzony zerwał się na równe nogi i chwycił strzelbę, którą miał przy sobie, lecz nie miał czasu strzelić: po chwili leżał na ziemi, przyciśnięty łapami drapieżnego zwierza. Wszystko to stało się w mgnieniu oka, nim zdążyłem na nowo strzelbę nabić. Przyskoczyłem wprawdzie i, przyłożywszy otwór lufy do ucha potwora, wypaliłem; tym razem padł trupem, lecz konając nawet nie wypuścił chłopca ze straszliwego uścisku. Pazury jego wpiły się tak głęboko w ciało mego Allana, że gdym to ciało skrwawione oderwał i podniósł... było już martwe... trzymałem w ręku trupa jednego dziecka...

Gwałtowne łkanie wyrwało się z piersi myśliwego. Karmela także płakała rzewnie, ściskając jego rękę w swych dłoniach.

- Odniosłem syna mego do domu - mówił Johnson, uspokoiwszy się nieco. - Droga była niedaleka, a jednak szedłem bardzo długo. Co kilkanaście kroków upadałem pod tym ciężarem, tak niewielkim na moje siły! W pobliżu mojej hacjendy złożyłem ukochane szczątki pod krzakiem i okryłem je płaszczem, a sam poszedłem dalej, chcąc żonę przygotować do tego okropnego nieszczęścia. Ale nie umiałem udawać spokoju: biedaczka spojrziała tylko na mnie i zbladła jak ściana, a żem na jej pytania odpowiedział głośnym płaczem, więc odgadła od razu wszystko. Jak wąż krzewina ugodzona piorunem, tak ona zachwiała się i upadła u nóg moich na ziemię. Gdy odzyskała zmysły, dowiedziałem się od niej, że Allan wyszedł przed wieczorem na moje spotkanie. Okropny ów wypadek przytrafił się w miejscu, gdzie się rozchodziły dwie drogi, do miasta wiodące. Chłopak nie wiedział, którą powrócę, zapewne też usiadł pod drzewem i czekał, a tymczasem sen go zmorzył... Ach! wszystko się tak okropnie złożyło na naszą zgubę!

Znowu nastąpiła chwila milczenia, którego Karmela przerywać nie śmiała. Myśliwy, odetchnąwszy głęboko, mówił:

- Niewiele mi już pozostało do opowiadania. W trzy miesiące potem siedłem za trumną żony. Gwałtowne wzruszenie dnia tego podkopało wątłą jej zdrowie, a zgrzyzota ostatecznie ją dobiła. Pochowawszy ją oddałem posiadłość moją rodzinie nieboszczki, a gotówkę odesłałem do Szkocji ubogim krewnym. Zostawiłem sobie tylko kilka dolarów, strzelbę i przybory myśliwskie, i wypowiedziałem wojnę zawziętą wszystkim braciom piekielnego zbója, który zniweczył moje szczęście. W ciągu lat kilku zabiłem już немало tych drapieżników; nie brak ich w Meksyku, mogłem więc sobie dogodzić. Nigdy jednak nie strzelałem inaczej, tylko na chwili, gdy zwierz przysiadła do skoku, czy na mnie samego napadając, czy na innego człowieka, czy na zwierzę. Panienska spostrzegła, jaka mnie wściekła złość ogarnęła, gdy tym jaguara trupem położył. Nie zdołałem powstrzymać się od tego nigdy, ile razy spotkam się oko w oko z takim potworem. Ale i moje żelazne zdrowie nie mogło przetrwać tych okropnych wstrząśnień, póki się częściej powtarzały: zachorowałem w końcu i o mało życiem nie przypląciłem namiętych porywów. To mię opamiętało; zaprzestałem zawziętego tępienia jaguarów i wyniosłem się nawet naumyślnie w okolice, gdzie rzadko je mogłem spotkać. Gdy jednak przypadek sprowadzi na moją drogę przekłętą zbója, szła mnie ogarnia, przestaję być panem siebie... Skończyłem, panno Karmelo. Teraz już panienska wie, jaki jest powód mego smutku i dlaczego tak się zapomniałem po zabiciu jaguara, za co przepraszam raz jeszcze.

Karmela upewniła go serdecznymi słowy, że nie ma mu nic do przebaczenia i starała się okazać nieszczęśliwemu swoje współczucie. Gdy powrócili do obozu, twarz myśliwego miała zwykły wyraz: posępny, lecz spokojny. Odprowadziwszy Karmelę do szałasów poszedł znowu w las ze strzelbą na ramieniu i późno w noc dopiero wrócił. Nie potrzebujemy opowiadać, z jak wielkim wzruszeniem don Ramon dowiedział się o straszliwym niebezpieczeństwie, które zagrażało jego córce, i jak gorąco dziękował wybawcy.

Po kilkudniowym odpoczynku karawana wyruszyła w dalszą drogę; podróż trwała prawie bez przerwy kilka tygodni, nareszcie wędrowcy posunąwszy się

znacznie ku północy przybyli do znanej nam z rozdziałów poprzednich okolicy, gdzie stała dawniej osada Wattsonów. Pewnego wieczora Johnson oddalił się zwyczajem swoim ze strzelbą na plecach chcąc upolować świeżą zwierzynę, i stanął za drzewem na brzegu małej polanki, na której spostrzegł był ślady jeleni. Jakież było jego zdziwienie, gdy zamiast oczekiwanej zwierzyny ujrzał wychodzącego z zarośli młodziutkiego chłopca, niosącego także strzelbę na plecach. Johnson nie zaraz wyszedł ze swej kryjówki, gdyż chciał wprzód przypatrzeć się lepiej temu myśliwemu. Gdy chłopak nie dostrzegłszy obecności jego, przechodził z wolna przez środek małej polanki, Johnson zauważył, że był nadzwyczaj blady i mizerny i szedł krokiem niepewnym, jakby się nogi pod nim chwiały. Chłopiec ten wreszcie usiadł pod drzewem i ukrywszy twarz w dłoniach począł łkać głośno jak dziecko.

- Żal mi biedaka - mruknął myśliwy sam do siebie. – Rad bym wiedzieć, dlaczego on sam jeden wałęsa się po lesie i tak rozpacza?

Mówiąc to wyszedł zza drzewa i zaczął kaszleć głośno, chcąc w ten sposób zwrócić na siebie uwagę chłopca. Jakoż ten ostatni zerwał się na nogi.

- Daj no pokój strzelbie, mój kochany - rzekł myśliwy - ja nie mam żadnych złych zamiarów.

Na te słowa wyraz żywej radości zajaśniał na twarzy biednego chłopca, który postąpił parę kroków naprzeciw myśliwego.

- Co ty tu robisz sam jeden w puszczy? Czyś zabłądził? - zapytał Johnson.

- Tak, mój dobry panie, zabłądziłem - odrzekł chłopiec.

- Skądże ty jesteś?

- Nie mam domu. Indianie dom mój rodzinny spalili... - i chłopiec westchnął żałośnie.

- O, biedny chłopcze! - wykrzyknął myśliwy ze współczuciem. - Jakże się nazywasz?

- Ben Wattson.

Nie będziemy tu powtarzali dalszej rozmowy znajomego naszego Bena z Johnsonem; wszystko, co opowiadał chłopak o napadzie Indian na osadę, znane nam jest od dawna. Wspomnimy tylko w kilku słowach, jakim

sposobem Ben wymknął się z rąk Pawnisów owego wieczora, gdy okrutna ta zgraja wpadła do domu. Wbiegł on niepostrzeżony do kuchni, skąd małe drzewiczki wiodły do krytej galerii, łączącej dom mieszkalny z budynkiem gospodarskim. Przejście to ułatwiało przynoszenie drzewa i wody do kuchni. Ben wymknął się nim teraz i ukrył pod stosem słomy. Indianie byli tak zajęci Ellą i Tobiaszem, że o obu chłopcach zapomnieli. Pawnisy, jak wiemy, zaraz po podpaleniu domu, przeznaczonego na zniszczenie, odjechali; ani jednego z nich nie było już na podwórzu, gdy chłopiec musiał kryjówkę swą opuścić i ratować się od ognia. Zajrzał do głębi domu przez drzwi rozwarte, zawołał po imieniu na siostrę, na brata: nikt mu nie odpowiedział. Tymczasem płomienie ogarniały coraz gwałtowniej cały budynek, i chłopiec, gnany przestrachem, pobiegł co prędzej do lasu. Stracił zupełnie głowę i pędził wprost przed siebie, póki mu sił starczyło, to jest do samego rana nie myśląc nawet o obraniu jakiegokolwiek kierunku. Gdy padł pod drzewem na ziemię, znużenie jego było tak wielkie, że pomimo trwogi i zgryzoty usnął snem kamiennym; nazajutrz, przebudziwszy się, znowu poszedł dalej w głąb puszczy, nie zastanawiając się nad tym, dokąd tym sposobem zajść może. Zabłądził więc tak samo jak Dik, a po dwudniowej wędrówce ze zdziwieniem i przestrachem znowu ujrzał przed sobą zgliszcza spalonego domu; rozumie się, że już tu nie zastał ani ojca i brata starszego, ani Dika. Na szczęście, tak samo jak tamten, zabrał ze sobą strzelbę i amunicję, mógł więc od czasu do czasu upolować jaką zwierzynę i surowym mięsem uchronić się od śmierci głodowej. Biedny chłopiec po raz drugi puścił się w las bez żadnego zastanowienia; przypadek zrządził, że zwrócił się na południe, gdy Dik tymczasem podążył na zachód. Tym razem Ben nie błądził długo, gdyż tegoż samego wieczora spotkał się z Johnsonem.

Pocziwy myśliwy natychmiast odprowadził zmęczonego i wycieńzonego chłopca do obozu, gdzie don Ramon i Karmela jak najtroskliwiej się nim zajęli. Nie mogąc mu dać innych dowodów przychylności, postanowili zabrać go ze sobą w dalszą drogę, na co Ben przystał z największą radością. Cóż miał uczynić nie wiedząc zupełnie, co się stało z resztą jego

rodziny? Don Ramon kazał zdjąć pakunki z jednego z koni jucznych i rozłożyć je na inne, ażeby Ben miał wierzchowca.

Nazajutrz gromadka wędrowców puściła się w dalszą drogę. Jechano jeszcze kilka dni, aż w końcu ujrzano przed sobą głęboki, długi wąwóz, na którego dnie na znak Johnsona karawana się zatrzymała, on zaś sam jeden puścił się dalej w kierunku jego ujścia. Gdy w parę godzin powrócił, był jeszcze więcej niż zwykle nachmurzony.

- Syn pański - rzekł do don Ramona - nie był jeszcze wcale tam, gdzieśmy się zejść mieli. Nie pojmuję, co mu przeszkodzić mogło w dotrzymaniu słowa... W każdym razie musiał to być powód bardzo ważny.

- Byle go jakie nieszczęście nie spotkało - mówił biedny ojciec, zawiedziony w swej nadziei.

- Ech, cóż by mu się stać miało - mruknął myśliwy wzruszając ramionami.

- I cóż my teraz pocznjemy?

- Poczekamy.

- Tu, na tym miejscu?

- W tej okolicy przynajmniej.

- A czy nie lepiej byłoby go poszukać? - odezwała się Karmela.

- Ba! gdyby ta puszcza nie większa była od pięknego parku, otaczającego hacjendę don Ramona, tobym się na to chętnie zgodził - odparł Johnson - ale tak, niech panienka daruje, nie zrobię tego głupstwa.

- Jakże pan sądzi, czy prędko doczekamy się mego syna? - pytał don Ramon, Nieopisana tęsknota za tym synem, od tylu lat nie widzianym i tak gorzko opłakiwanym, ścisnęła mu serce.

- Czy prędko go się doczekamy - mówił myśliwy - alboż ja wiem? Może nadjechać dziś jeszcze lub jutro, ale może także się spóźnić o kilka tygodni.

- O, mój Boże! - zawołała Karmela żałośnie.

- Moim zdaniem - ciągnął dalej myśliwy nie zważając na tę przerwę - trzeba się przygotować na wszystko i urządzić sobie obóz w taki sposób, abyśmy i czas dłuższy przebyć tu mogli nie narażając się na zbyt wielkie

niewygody. Mam tu na myśli pana i pannę Karmelę; dłuższe obozowanie pod gołym niebem byłoby dla obojga państwa niemiłe, a może i dla zdrowia szkodliwe. Urządzimy zatem parę domków z drewnianych bali.

- Więc pan sądzi - mówił don Ramon - że mój syn niezawodnie, wcześniej lub później, przybędzie do tego wąwozu?

- Najniezawodniej. Jestem tego tak pewny, jak tego, że jutro dzień nastąpi po nocy. Nie wyobrażaj pan sobie, że my, myśliwi i wędrowcy leśni, żartujemy z danego słowa jak mieszkańcy miast. On zwłaszcza nigdy w życiu nie kazałby mi tu czekać daremnie. Że przybędzie, to żadnej wątpliwości nie ulega, nie wiadomo tylko kiedy. Jak już wspomniałem, musiała go gdzieś zatrzymać ważna sprawa. Zostawiłem teraz na miejscu umówionego spotkania pewien znak, po którym syn pański, przyszedłszy tam, dowie się zaraz, że jestem niedaleko, i szukać mnie będzie. Możemy wybrać sobie w okolicy wygodniejsze miejsce na dłuższy pobyt i czekać cierpliwie, a już on nas niezawodnie znajdzie.

- Ja bym wołał w każdym razie mniej wygodne miejsce - rzekł don Ramon - bylebyśmy się tylko stąd zbytecznie nie oddalali.

- Bądźże pan spokojny: ja tu znam pyszne ustronie bardzo blisko, o pół mili stąd; jest ono na skraju rozległego stepu, gdzie hasają stada bawołów i dzikich koni. Nieraz tam już polowaliśmy razem z synem pańskim: on tam najpierw szukać mnie będzie.

- Cóż mam robić, panie Johnson, muszę cię słuchać we wszystkim.

Stanęli wkrótce na owym miejscu, wybranym przez doświadczonego myśliwego na dłuższy pobyt w puszczy. Było to na skraju tegoż samego rozległego stepu, na którym zbłądzili Cezar z Dikiem w kilka tygodni później. Według wskazówek myśliwego zbudowano na miejscu tym kilka domków z bierwion narąbanych w lesie; robota ta zabrała zaledwie parę dni czasu, nie brakło bowiem do niej ani silnych rąk, ani stosownych narzędzi, w które wędrowcy byli zaopatrzeni.

Po ukończeniu domków nastąpiły dni długiego tęsknego oczekiwania. Jediną rozrywką wędrowców naszych było polowanie, w którym nawet don Ramon i Karmela brali zwykle udział. Mijały dni i tygodnie, czwarty już się

rozpoczął, a o Rafaelu nie było ani słyhu. Ojciec i siostra coraz więcej się o niego niepokoili, a nawet i Johnson zaczynał tracić tę pewność siebie, z którą w początkach wspominał o przybyciu przyjaciela. Nie mówił on wprawdzie nic takiego, co by mogło zatruwić don Ramona i Karmelę, ale w duszy gryzł się i martwił niezmiernie. Milczący był więcej jeszcze niż zwykle; szukał samotności, aby się ze smutnymi myślami swymi nie zdradzić, czasem tylko dawał się namówić na myśliwskie wycieczki w towarzystwie don Ramona, Ruperta i Sadowała. Zwykle też w takim razie bawili dni kilka za obozem i powracali zawsze z obfitą zdobyczą.

Na kilka dni przed ową smutną przygodą Cezara i Dika na stepie, wyruszyli także wszyscy czterej z obozu w nadziei, że im się uda zastrzelić parę żubrów, brakło już bowiem świeżego mięsa w obozie. Tym razem jednak polowanie im się nie powiodło: nie tylko żubrów, ale i żadnej innej zwierzyny nie napotkali. Dopiero trzeciego dnia natrafili na gromadkę antylop i zaraz wszyscy czterej do nich strzelili. Żadna jednakże nie padła, widać oddalenie było za wielkie; Johnson upewniał wprawdzie, że jego kula trafiła zwierzę, musiała jednak tylko zranić antylopę, bo i ta pobiegła za innymi. Tegoż samego dnia ujrzeli ogromnego żubra, który pasł się sam jeden na stepie. Johnson utrzymywał, że szkoda prochu na taką zwierzynę, bo żubr musi być bardzo stary, skoro samotne życie wiezie, więc mięso jego nie ma żadnej wartości. Don Ramon jednak strzelił do samotnika; nie zabił go, tylko zranił lekko, gdyż żubr szybko odbiegł dalej, nie bardzo też o to dbali myśliwi nasi. Johnson uważał w każdym razie obecność starego żubra za znak, że stado musi być w pobliżu.

Za późno już było dnia tego, aby szukać stada po stepie; wskutek tego myśliwi odłożyli to do jutra, tymczasem zaś rozłożyli się na nocleg. Ale nie miły przypadek popsuł im wszystkie plany: skutkiem nieostrożności Sadowała, ogień, rozłożony raniutko dla przyrządzenia śniadania, zapalił suchą trawę i płomienie tak szybko ogarnęły znaczną przestrzeń, że nie było co myśleć o gaszeniu pożaru.

- Teraz już po żubrach - mruknął Johnson, mocno niezadowolony i zgorzszony takim niedbalstwem Sadowała. Ale nie było na to rady.

Myśliwi przebyli jeszcze kilka godzin w tym miejscu przyglądając się pożarowi, i z przykrością widzieli, że ogień rozszedł się bardzo daleko. Dopiero gdy zagasł zupełnie, wsiedli na koń i stępa podążyli w stronę obozu. Jechali tak czas jakiś bez wielkiego pośpiechu, wtem ze zdziwieniem usłyszeli szczekanie psa. Podjechali bliżej i zobaczyli postać ludzką, leżącą na ziemi. Postać ta na ich widok na wpół się podniosła. Był to, jak już czytelnicy odgadli zapewne, nie kto inny, jak znajomy nasz Dik Wattson.

XXIII

DZIKIE KONIE

Że don Ramon i jego towarzysze troskliwie zajęli się biednym chłopcem, o tym nikt zapewne nie wątpi. W myśliwskich manierkach znalazł się napój orzeźwiający, który mu prędko przytomność i siły przywrócił, po czym zaczęto go rozpytywać, jak się nazywa, skąd pochodzi i jakim sposobem zabłądził w tym pustkowiu. Niezwłocznie też wyszło na jaw, że młody wędrowiec jest rodzonym bratem Bena Wattsona. Nic mu jednak nie wspomniano o obecności brata w obozie; w duchu tylko don Ramon dziękował Bogu, że mu pozwolił obu tych chłopców uratować i wielbił to cudowne zrządzenie Opatrzności, która rozdzielonych połączyła.

Myśliwi chcieli zaraz Dika posadzić obok siebie na którymś z wierzchowców i śpieszyć do obozu, lecz chłopak oparł się temu stanowczo, za nic nie chcąc opuszczać przyjaciela swego Murzyna, a don Ramon pochwalił to postanowienie.

- Rzecz prosta, że nie możemy tego biedaka pozostawić na śmierć pewną w tym pustkowiu - rzekł. - Musimy odszukać Murzyna.

- Niech pan sobie nie Wyobraża, że to łatwa sprawa - odezwał się stary Ruperto. - Mało jest jeszcze dziś ludzi, którzy chcieliby sobie zadawać tyle kłopotu dla Murzyna. Kiedyś rozumieją, że Murzyn to taki sam człowiek jak i my, tylko że skórę ma czarną, ale dziś wielu młodych jeszcze nie wie o tym i traktuje Murzynów inaczej. Cieszę się, że spotkałem młodego, który szanuje życie bliźniego Murzyna.

- Dla mnie jest on czymś więcej niż bliźnim. Dla mnie to najlepszy przyjaciel. Nigdy bym go nie opuścił.

- Kiedy zaprzyjaźniliście się ze sobą?
- O, to długa i smutna historia. Nie zawsze byłem taki jak dzisiaj. Dopiero szlachetność tego Murzyna, jego przebaczenie i dobroć nauczyły mnie, jakie powinienem żywić dla niego uczucia. On stał się nie tylko moim przyjacielem, to mój prawdziwy dobroczyńca.

- Musi to być rzeczywiście niepospolity Murzyn ten Cezar - zawyroko-
wał Sandowal.

Don Ramon wysłuchiwał tych słów w milczeniu. Teraz odezwał się:

- Znam wielu szlachetnych Murzynów, od których powinniśmy się uczyć. Nie można uważać dobrego Murzyna za wyjątek. Wśród nas jest równie wielu złych, jak wśród nich, wśród nich jest równie wielu dobrych, jak wśród nas. Tylko głupi ludzie nie rozumieją tego. Nie powrócimy do obozu póki nie odzyskamy twego przyjaciela, chłopcze.

- A ja zaraz powiem - zawołał Dik uradowany - jakim sposobem go od-
szukamy z łatwością.

- No, no, patrzcież państwo, kurczę chce być mędrze od kury - zaśmiał się Ruperto.

- Ten pies - mówił dalej Dik nie zważając na żart starego - przyuczony był do tropienia Murzynów. Sułtan niezawodnie nas doprowadzi do przyjaciela mego, Cezara, który nie mógł odejść daleko, bo także był osłabiony.

- A! to co innego - zawołał Ruperto - czemużeś od razu nie wspomniał o psie.

- Nie traćmy czasu - ozwał się don Ramon.

- Psisko jest tak wycieńczone i zmęczone, że niedaleko zajdzie - rzekł Sandowal. - Mam tu trochę wody we flaszcze, napoję biedaka, a raźniej po-
tem pobiegnie...

Stary myśliwy napił psa z dłoni, czym go tak orzeźwił, że Sułtan podskakiwać zaczął wesoło. Dik wówczas wymówił kilkakrotnie imię Cezara znakami dając roztropnemu zwierzęciu do zrozumienia, aby szukało Murzyna. Po chwili Sułtan z nosem spuszczonego ku ziemi puścił się żwawo w kierunku, w którym Cezar odszedł zostawiając się z towarzyszem.

- Siadaj tu koło mnie - rzekł Johnson i podniósłszy chłopca jak piórko posadził go przy sobie na koniu.

Ku wielkiemu zdziwieniu Dika, jechali tak ze dwie godziny, a pies biegł ciągle naprzód, nie okazując ani wahania, ani wątpliwości żadnej. Gdyby go Dik nie znał tak dobrze i nie był pewny jego roztropności, sądziłby może, że zmylił trop Murzyna; lecz Sułtan niezdolny był do tego: niezawodnie ani na chwilę nie zboczył z drogi, którą szedł Cezar. Przejeżdżano obok kilku młodych kępek drzew i krzewów kolczastych i przy każdej spodziewano się na koniec zastać Murzyna; nadzieja jednak zawodziła raz po raz. I otóż znów jeźdźcy ujrzeli przed sobą drzewa, lecz zauważyli zarazem, że ponad nimi w powietrzu krążyła gromada sępów. Ptaki spuszczały się niekiedy niżej, dotykały skrzydłami wierzchołków drzew, za każdym razem jednak unosiły się znowu i krakały wysoko w powietrzu.

- Chyba padlina jaka leży pod drzewami - rzekł Sandowal.

- Niemożliwe! - mruknął Johnson. - Gdyby to była padlina, toby sępy na niej siedziały. Murzyn musi tam leżeć.

- O, mój Boże! on już może nie żyje! - zawołał Dik żałośnie.

- Niemożliwe także - powtórzył myśliwy - gdyby nie żył, to żarłoczne ptactwo nie traciłoby czasu. Ale ono zawczasu czyha na ucztę, gdyż bardzo jest przezorne i przewidujące.

- O, śpieszmy, śpieszmy, zlituj się pan - błagał chłopak - okropne by to było, gdybyśmy przybyli za późno.

- Za późno nie będzie, mam nadzieję, ale i nie za wcześnie - mówił myśliwy spinając konia ostrogami.

Sułtan także coraz spieszniej biegł ku tym drzewom. Nareszcie gromadka jeźdźców się zatrzymała.

- Jest, leży tam nieborak! - zawołał don Ramon, wskazując ręką Murzyna, wyciągniętego pod drzewem.

- O Boże wielki! Nie powstaje nawet, chociaż powinien by nas już zobaczyć i usłyszeć... - wołał Dik przerażony.

- Nie powstaje, ale rękoma porusza, więc żyje - rzekł Sandowal.

- Zdaje się, że porusza rękoma nieprzytomnie, opędzając się od drapieżnych ptaków, których krakanie mu dokucza - mówił Johnson.

Zsiadłszy z koni jeźdźcy zbliżyli się do Murzyna. Dik wyprzedził wszystkich i przykląkł obok przyjaciela, któremu Sultán lizał ręce. Cezar otworzył oczy, spojrzał błędnie i znowu je przymknął, machając rękoma.

- Wody, wody, on kona! - rzekł żałośnie Dik, i objąwszy Murzyna ramionami, okrywał go pieścztotami powtarzając z płaczem: - Cezarze, Cezarze, przyjacielu mój najdroższy, to ja, Dik, ocknij się, przemów do mnie!

Tymczasem wszyscy otoczyli biedaka. Don Ramon podniósł mu głowę, a Johnson wyjął flaszkę napełnioną wodą i zbrzygął nią twarz omdlałego, po czym zaczął mu zwilżać usta, spieczoną gorączką, wlewając w nie ostrożnie po parę kropel wody. Po długich staraniach Murzyn otworzył wreszcie oczy i napił się chciwie; jeszcze chwilę leżał nieruchomy, w końcu spojrzał przytomnie dokoła, a gdy wzrok jego zatrzymał się na Diku, uśmiech rozjaśnił mu twarz poczciwą.

- Dik! - szepnął ledwo dosłyszalnym głosem, a jednak ileż w tym jednym wyrazie było głębokiego uczucia, ile radości z wybawienia przyjaciela.

Gdy już Cezar mógł wstać i wsiąść na konia, Sandowal posadził go przy sobie.

Johnson tak doskonale był obeznany ze stepem, że ani razu nie zmylił drogi; jechano jednak tak wolno, że nad wieczorem dopiero jeźdźcy dotarli do okolicy, gdzie już śladów pożaru nie było, i ujrzeli przed sobą przejrzyste nurty rzeki, w której Johnson poznał jeden z dopływów Arkansas. Postanowiono tutaj zanocować, ażeby dwaj znużeni i osłabieni wędrowcy wypoczęli należycie. Siedząc przy ognisku, Cezar i Dik opowiedzieli i dawniejsze swoje przygody, przy czym z uwielbieniem największym wspominali o białym myśliwym, wybawcy i opiekunie obu.

- Jakże się nazywa ten człowiek, który wam tyle dobrego wyświadczył? - zapytał nagle Johnson zrywając się z miejsca, jakby nową jakąś myślą tknięty.

- Serce Prawe - odpowiedział Dik. - Czy go pan zna może?

- Czy ja go znam! - wykrzyknął myśliwy. - Ale mówcież prędzej, gdzie on się obraca, czemu go nie ma w tych stronach?

Chłopcy opowiedzieli w krótkości wszystko, o czym czytelnicy nasi od dawna już wiedzą.

- Czemuż ta wiadomość nie doszła do mnie wcześniej! - wykrzyknął myśliwy podnosząc ręce w górę. - My tu siedzimy, czekamy, wyglądamy go tak niecierpliwie, a on tam życie naraża i krew przelewa w obronie uciśnionych.

- Co pan mówi? - odezwał się don Ramon zdumiony - cóż to za jeden, ten myśliwy, którego nazywacie Sercem Prawym? Wszak my tu czekamy na mego syna Rafaela de Saavedra?

- Don Ramonie - odrzekł Johnson z pewną goryczą - zabroniłeś pan synowi nosić swe nazwisko, więc on nosi inne, zdobyte własną zasługą.

- Jak to? Ten myśliwy, o którym chłopcy mówią z takim uniesieniem, to syn mój, Rafael?

- Rozumie się. Przyjaciele jego Indianie dali mu to imię, tak stosowne dla niego, Serce Prawe. Myśliwi i traperzy nazywają go także „Pogromcą Tygrysów”, bo zgładził z tego świata niezmierne mnóstwo jaguarów, gdy przebywał w Meksyku i innych krajach pogranicznych.

- O mój Boże! Więc on teraz może narażony jest na tysiączne niebezpieczeństwa w walce z krwiożerczymi Pawnisami, a my tu siedzimy bezczynnie, zamiast śpieszyć mu z pomocą! Nie traćmy ani chwili czasu: na koń, towarzysze, może jeszcze w porę przybędziemy na jego ratunek, lub przynajmniej podzielimy z nim niebezpieczeństwa!...

- Nie tak nagle, don Ramonie, nie tak nagle - uspokajał Johnson rozgoryczkowanego ojca - jeszcze przybędziemy w porę. Do siedlisk Osagów to kawał drogi, więc nim się tam dostał upłynęło sporo czasu. A i Osagowie w jeden dzień przecież nie przygotowują się do wojny z potężnym nieprzyjacielem. W każdym razie i ja nie myślę ociągać się dłużej niż potrzeba z odjazdem, bo rad bym uściskać przyjaciela jak najprędzej.

- Już niech pan mówi co chce, a ja obstaję przy swoim i proszę na wszystko, abyśmy natychmiast do obozu wracali.

- Chyba pan chce zabłądzić i tak drogę przedłużyć, ażebyśmy i jutro do obozu nie dojechali.

Don Ramon westchnął, lecz nic już nie odpowiedział, widział bowiem, że z koniecznością zgodzić się trzeba. Nie zważając na osłabienie Cezara i Dika długo jeszcze usnąć im nie dał i rozpytywał o tego, którego zwali Sercem Prawym. Najdrobniejsze szczegóły go zajmowały, kazał im powtarzać po kilka razy jedno i to samo; późno w noc dopiero spostrzegł, że chłopcy upadają ze znużenia i zachęcił ich, aby się udali na spoczynek. Dnia następnego nad wieczorem jeźdźcy przybyli do obozu; zdobycz ich myśliwska ograniczała się do kilku kurek stepowych i małych stepowych zajęcy, przywozili natomiast ważne wieści.

Czyż potrzebujemy opisywać powitanie dwóch braci, którzy tak niespodziewanie spotkali się z dala od domu i od swoich? Długo trzymali się w objęciach, płacząc rzewnie. Po pewnym czasie dopiero Ben spostrzegł Murzyna i wyraz zdziwienia, a zarazem pewnej odrazy ukazał się na jego twarzy.

- Co ten łotr tu porabia? - szepnęła do Dika - toż on jest sprawcą wszystkich naszych nieszczęść.

Dik odprowadziwszy brata na stronę zaczął opowiadać o poświęceniu poczciwego Murzyna, jak go dwukrotnie uratował od śmierci, jak czuwał nad nim w chorobie i ile mu wyświadczył dobrego; wspomniał także o jego niepospolitej roztropności i rozlicznych wiadomościach, którymi się z nim dzielił tak chętnie. Ben słuchał, lecz głową kręcił, jakby słowom brata nie dowierzał; wszystko to zdawało mu się tak nieprawdopodobne i niepojęte, że nie umiał pogodzić się z myślą, aby ten Murzyn, którego on za sprawcę swej niedoli uważał, mógł zasługiwać na życzliwe uczucie... I on jednakże miał się uleczyć z czasem z tych niesłusznych i niegodnych uprzedzeń.

Don Ramon, niespokojny o syna, zaraz po powrocie do obozu wydać chciał rozkaz, by wszyscy gotowali się do drogi dnia następnego o świcie. Mieli jechać wprost do koczowisk Pawnisów, gdyż tak radził Johnson, który jednak zbytniego pośpiechu nie pochwalał mając do tego aż nadto ważne powody.

- Musimy przede wszystkim zaopatrzyć się w zapasy żywności - mówił - jutro więc, moim zdaniem, powinniśmy się wybrać liczniejszą gromadką na polowanie. Tym razem będziemy pewnie szczęśliwsi i natrafimy na stado

żubrów, które tu niezawodnie w okolicy się włóczy. Trzebaż zresztą pomyśleć i o tym, że nam przybyło trzech ludzi; jakże ich teraz zabierzemy z sobą? Z niewielkiej odległości mogliśmy ich przywieźć na swoich koniach, w dalszą podróż jednak niepodobna tak się udać. Nietrudno by było postarać się o wierzchowce dla nich; na stepach hasają całe stada dzikich koni, idzie więc tylko o to, by parę z nich złowić, a w gromadce naszej znajdą się tacy, którzy to potrafią.

Don Ramon musiał w końcu przyznać słuszność doświadczonemu myśliwemu, który znał dobrze puszcze i stepy i bez wątpienia najlepiej wiedział, w jakich warunkach można odbywać dalekie wędrówki na tych niezmiernych przestrzeniach. Postanowiono więc dzień następny poświęcić polowaniu na żubry i łowom dzikich koni, tak zwanych mustangów. Ponieważ kilku ludzi musiało pozostać na straży w obozie, więc don Ramon pozwolił Cezarowi i dwu Wattsonom wsiąść na ich konie i wziąć udział w wyprawie, co chłopcy przyjęli z największą radością.

Nazajutrz gromadka jeźdźców wyruszyła z obozu przed wschodem słońca, wkrótce jednak się rozdzieliła: jedni pod wodzą Johnsona pojechali szukać żubrów, drudzy skierowali się w inną stronę, gdzie spodziewali się napotkać stado koni. W tym drugim oddziale znajdował się don Ramon z córką, oraz trzech nasi młodzieńcy. Kilku ludzi wprawnych w łowieniu koni uzbroido się w stosowne do tego przyrządy; jedni mieli dobrze nam znane łąso, inni znów tak zwane bolasy. Bolas składa się z trzech niezbyt długich rzemieni, które z jednej strony są szczipione razem, a z drugiej mają końce obciążone zaszytymi w skórę okrągłymi kamykami. Przyrząd ten ciska się za koniem w taki sposób, ażeby ciężkie kamyki, wprawione w ruch obrotowy, oplatały mu rzemieniami nogi i przewróciły na ziemię.

Cezar upewnił, że umie się obchodzić z obu tymi przyrządami, gdyż nie raz już dawniej konie łowił; usłyszał to jeden z tych, którzy zostawali w obozie, i dał mu swoje łąso. Łatwo się domyśleć, że Dik z tego powodu z podwójnym zaciekawieniem jechał na te łowy. Na przewodnika obrano nie-młodego doświadzonego peona ¹. ¹ Peon, robotnik dworski, parobek, wyrobnik.

Ten wkrótce spostrzegł na stepie świeże ślady kopyt końskich: jechano za tymi śladami z pół godziny, gdy nagle peon przystanął i, wyciągnąwszy rękę, wskazał jakiś oddalony przedmiot wołając:

- Tam, tam są, już je mamy!

- Ale cóż ty tam widzisz? - pytał don Ramon, który daremnie wzrok wężał patrząc w stronę wskazaną.

- Jakiś ruch tam widać, ojciec - odezwała się Karmela - wygląda to tak dziwnie, jakby las, gwałtownym wichrem miotany. Czyż by to miało być stado koni? - zwróciła zapytanie do peona.

- A tak, panienko - odrzekł - i wcale piękne stado. Rozdzielmy się, nie najeżdżajmy na nie całą gromadą - zawołał po chwili.

Jeźdźcy ustawili się jedni za drugimi w dość znacznych odstępach, Dik jednak trzymał się obok przyjaciela swego, Murzyna, a Karmela nie odstępowała ojca. Ci ostatni zostali oboje trochę w tyle, gdyż ani ojciec, ani córka nie mieli zamiaru chwycić sami koni.

Dzikie konie spostrzegłszy wreszcie najeżdżających, nie okazywały jednak zgoła popłochu i nie śpieszyły z ucieczką. Duży, przepyszny koń kary, pasący się w niewielkim oddaleniu od reszty stada, najpierw głowę podniósł, dmuchnął rozwartymi nozdrzami, parsknął, kopnął ziemię przednimi kopytami i zarżał głośno. Natychmiast wszystkie inne konie paść się przestały: jedne po drugich podnosiły łby i rżały, jakby hasło, dane przez przewodnika, przechodziło przez wszystkie szeregi. Po chwili całe stado poruszyło się: piękny karosz szedł na przedzie. Lecz nie była to wcale ucieczka, przeciwnie, dzikie konie postąpiły ku jeźdźcom, jakby szły na ich spotkanie i dopiero znacznie zbliżywszy się już do nich zwróciły się na prawo; i teraz jednak nie uciekały, tylko poczęły galopować zakreślając naokoło gromadki jeźdźców wielkie koło.

- Stać teraz na miejscu, nie ruszać się! - pógłosem komenderował stary peon. - Zsiadać z koni i ukryć się za nimi.

Rozkazy te szybko przechodziły z ust do ust i spieszenie wykonane zostały, a tymczasem mustangi coraz ciasniejszym kołem opasywały łowców, ani się domyślając podstępnych ich zamiarów i pragnąc z braćmi swoimi przyjazne nawiązać stosunki. Doświadczony peon nie darmo kazał jeźdźcom

pochować się o ile możliwości za wierzchowcami: wiedział on, że dzikie konie, gdy tylko spotkają się z oswojonymi, zaraz usiłują je do siebie zwabić. A trzeba wiedzieć, że owe stada mustangów amerykańskich nie są to właściwie dzikie, lecz zdziczałe konie, pochodzą bowiem od oswojonych, które niegdyś oswobodziły się z niewoli. Pierwsi zdobywcy nie zastali koni w Ameryce: przewieziono je tam z Europy i liczne te stada, uganiające po niezmiernych stepach i pampasach, były wszystkie europejskiego pochodzenia.

Całe stado krążyło tak blisko naszych łowców, że mogli doskonale obejrzeć każdego pojedynczego konia, ocenić piękność jego kształtów, zwinność i siłę. Maść ich była jak najrozmaitsza: karę, gniade, bułane, kasztanowate, szpaki wszelkich odcieni migąły w szybkim pędzie przed oczyma znawców; mieli w czym wybierać.

- Niechże teraz każdy upatrzy sobie jednego konia, który mu się najlepiej podoba - odezwał się stary peon - już pora się zbliżyć, zaraz rozpoczniemy łowy.

- Gdyby to można było naprawdę wybierać - szepnął Dik do Cezara - tobym wybrał tego pysznego karosza, co biegnie ciągle na przedzie, jakby prowadził całe stado.

- Co też tobie w głowie - mówił Ben - to przewodnik, a przewodnika złowić niełatwo. Rzadko komu udaje się taka sztuka. Jest on zawsze najroztropniejszy, najsilniejszy i najdzikszy z całego stada. Jakże możesz przypuszczać nawet, ażeby Murzyn takiego konia złowił.

Cezar nic nie odpowiedział na te pogardliwe wyrazy i rzekł spokojnie, zwracając się do Dika:

- Zobaczmy, zrobi się, co można.

- Baczność! - odezwał się w tej chwili donośny głos peona. - A w parę minut potem zawołał: - Na koń!

Z szybkością błyskawicy jeźdźcy wskoczyli na konie, a łowcy, unosząc w rękach lassa i bolasy, jak wichry puścili się po stepie i pognali za upatrzonymi mustangami. Całe stado jednym chórem zarżało, lecz teraz w rzeniu tym brzmiała trwoga, i dzikie konie poczęły umykać we wszystkie strony.

Murzyn miał ciągle wzrok utkwiony w karoszu-przewodniku, który biegł teraz w potężnych susach i raz po raz głośnym rzeniem wzywał towarzyszy

do spiesznej ucieczki. Cezar, Ben i Dik jechali wszyscy trzej na wybornych wierzchowcach, don Ramon wybrał bowiem do tej podróży najlepsze konie ze swych stajen. Nie tylko Murzyn, ale i obaj bracia nie pozostali w tyle za stadem i coraz więcej zbliżali się do pięknego karego ogiera. Ale ten dotychczas widocznie zwalniał biegu, nie chcąc reszty stada odstąpić; teraz zaś spostrzegłszy grożące z bliska niebezpieczeństwo pomknął nagle jak strzała.

Cezar i Dik spięli konie ostrogami i jak wicher popędzili w pogoń za karoszem. Ben przez ciekawość, jak mówił sam do siebie, pomknął także za nimi. Wkrótce zbliżyli się znacznie do pięknego konia.

- Wiesz co - mówił Dik do Murzyna - może my go naprawdę dogonimy. Mniejszy jest od naszych wierzchowców i, chociaż prędzej nogami przebie-
ra, dwa kroki prawie na ich jeden robić musi.

Cezar nic nie odpowiedział. Całą uwagę skupił na karoszu, wzrok wy-
żył i śledził wszystkie jego ruchy. Koń pędził ciągle jak szalony: kiedy nie-
kiedy odwracał łeb i rżał z coraz to większą trwogą. Gdy Ben obaczył, że
powodzenie łowów stawało się bardzo prawdopodobne, i jego na koniec
ogarnął zapal.

- Może byśmy się rozdzielili - zawołał - i natarli na niego z różnych
stron.

- To byłoby doskonale - odrzekł Cezar.

- Wskażże nam, co mamy robić - mówił Dik.

- Czyżby Ben chciał mnie usłuchać? - szepnął Murzyn.

- Ależ usłucham, usłucham! - wołał tamten z żywością. - Dowództwo do
ciebie powinno należeć.

- Jeżeli tak - mówił Cezar, zawsze w pełnym galopie - to niechże Ben,
który ma najlepszego wierzchowca, spróbuje karosza wyprzedzić i drogę
mu zabiegnie. Dik niech dobrze uważa, czy na prawo, czy na lewo się zwró-
ci, i przetnie mu znowu ucieczkę z boku. Ja tymczasem przygotuję lasso i
zarzucę mu je na głowę.

Ben doskonałym był jeźdźcem i miał rzeczywiście najlepszego wierz-
chowca; zrównał się też wkrótce z uciekającym karoszem, wyprzedził go i
zmusił do zboczenia z drogi. Ogier zarżał rozpaczliwie i zwrócił się na pra-
wo.

- Teraz na mnie kolej! - zawołał Dik uszczęśliwiony i wypuścił konia tak gwałtownie, że o mało czapeczka nie spadła mu z głowy. Z łatwością zabiegł drogą karoszowi; ten oszalały znów w inną stronę się zwrócił, lecz tu Bena powtórnie zobaczył przed sobą.

Cezar tymczasem nie próżnował. Rozwinął długie lasso, jednym końcem silnie przytwierdzone do siodła, prawą ręką podniósł sznur z pętlą ponad głowę i z błyskawiczną szybkością przyskoczył do karosza, którego obaj bracia trzymali w szachu. Ten, oszalały na widok trzeciego napastnika, ogromnym susem rzucił się w bok, stanął dęba, okręcił się na tylnych nogach i byłby się niezawodnie wymknął z tej pułapki, gdyby Cezar opóźnił się o jedno mgnienie oka. Lecz Murzyn skorzystał z chwili, gdy zwierzę obok niego przemknąć się miało, wywinął pętlą w powietrzu i zarzucił ją z zadziwiającą zręcznością na szyję ogiera. Skoro tylko pętla dosięgła celu, Cezar spiął konia swego ostrogami i puścił się galopem w stronę przeciwną. Gwałtowny pęd nie tylko zaciągnął pętlę, lecz nawet obalił pochwyconego karosza, który wślókł się na wpół uduszony po ziemi za swoim zwycięzcą. Ben i Dik przyskoczyli z okrzykami triumfu.

- Znakomicie, nieporównanie! A to ci się udało! - wołał Ber; ze szczerym uznaniem.

- Ale co my teraz zrobimy z tym koniem? - mówił Dik z zakłopotaniem.

- Złowiliśmy go, to prawda, nie wiem jednak, jak my zdołamy tę zdobycz odprowadzić do obozu? Leży teraz spokojnie, bo ledwo dyszy, lecz niech no przyjdzie do siebie, natychmiast zacznie brykać i dokazywać po swojemu.

- Może sobie brykać do woli - odrzekł Cezar - będzie miał na grzbiecie takiego, co go ujeździ.

- Jak to! - wykrzyknęli jednogłośnie dwaj bracia - czyżbyś się odważył wsiąść na tego dzikiego, rozhukanego konia?

- Zapewne, i muszę się z okiełznaniem pośpieszyć, nim przyjdzie do siebie. Ben i Dik będą łaskawi odprowadzić potem mego wierzchowca na innej zapasowej uździenicy, którą zabrałem ze sobą. Lasso musi pozostać zaciśnięte czas jakiś, póki się nie załatwię z osiodłaniem tego dzikusa. Wygodniej by mi było daleko, gdybym go mógł uwiązać do drzewa, ale tu nie

ma co o tym myśleć, trzeba sobie i tak poradzić.

Wszyscy trzej posiadali tymczasem z koni; Cezar zajął się włożeniem na dzikiego karosza uździenicy i siodła, a dwaj bracia trzymali w rękach lasso, ażeby ciągle tamowało oddech zwierzęcia, nie dusząc go jednakże.

- Puszczajcie! - zawołał wreszcie Cezar, gdy ukończył swoje zadanie. Zdjął pętlę z szyi konia i skrzył lasso w kilkoro, biorąc je teraz do ręki zamiast bata. A to bat niełada! Zaledwie ogier uczył się oswobodzony z duszącej pętli, zerwał się z błyskawiczną szybkością na nogi, lecz Cezar nie mniej był zwinny od niego i w tejże samej chwili siedział mu już na grzbiecie.

Koń stał przez czas jakiś nieruchomo i drżał cały; niezwykle, ciężar, który czuł na sobie; widocznie dziwił go i przerażał. Wkrótce jednak pomiędzy jeźdźcem i wierzchowcem rozpoczęła się walka zawzięta. Dziki mustang pomknął naprzód, zatrzymał się nagle i stanął dęba: przez chwilę zdawało się, że się na wznak przewróci. To znów wsadzał łeb pomiędzy przednie nogi, a tylnymi wierzgał szalenie; klękał, kładł się na ziemi i próbował targać się, łeb wykręcał, usiłując zębami pochwycić jeźdźca, i znów zrywał się, skakał i szalał najokropniej. Nie zdołał jednak wysadzić z siodła jeźdźca, który zdawał się być z nim zrosnięty. Nieraz też ciężkie lasso smagało niesfornego konia po bokach, na dowód, że jeździec nie obawia się tych wszystkich wybryków.

Z godzinę mozolił się tak Cezar z dzikim karoszem, a Ben i Dik, siedząc na swoich koniach i trzeciego luzem prowadząc, nie oddalali się od niego ani na chwilę. Nareszcie mustang zaczął opadać z sił: cały pianą okryty, z nozdrzami rozwartymi szeroko, chwycił gorączkowo powietrze i dziko toczył wokoło oczyma, nabiegłymi krwią; czas jakiś jeszcze rzucał się wściekle, lecz widocznie był już pokonany.

- Sprawa skończona - rzekł Cezar oddychając głęboko, bo i on był zmęczony nie na żarty. - Gdybym nie miał do czynienia z niezwykle silnym i dzielnym koniem, tobym się nie odważył ujeżdżać go w sposób tak gwałtowny. Inny nie byłby wytrzymał, ale to konik nie łada - będzie miał Dik znakomitego wierzchowca!

- Muszę ci oddać sprawiedliwość, Cezarze - odezwał się Ben - widzę, że brat mój nie przesadzał wcale wysławiając twoje zalety. Nieporównany z ciebie chłopak: pragnę odtąd być twoim przyjacielem.

Podczas tej rozmowy karosz nie przestawał brykać ciągle, coraz mniej jednak i coraz powolniej dawał się kierować Murzynowi. Ten był uszczęśliwiony swoim powodzeniem, mówił bowiem, że dzikie konie nie zawsze dają się tak łatwo ujeździć; czasem nawet nie ma sposobu ich ujeździć i łowcy muszą je w końcu wypuścić na swobodę, niecierpliwi zaś w łeb strzelają niesfornemu zwierzęciu.

Gromada łowców późnym wieczorem przybyła do obozu; karosz szedł za innymi końmi, niezbyt co prawda chętnie; jeźdźca mniej wprawnego niż Cezar z pewnością byłby wysadził z siodła, w każdym razie dał się na miejsce doprowadzić, co już niemało znaczyło.

Innym łowcom także się nieźle powiodło; przyprowadzono do obozu sześć mustangów, żaden jednakże nie dał się porównać z pysznym karoszem.

XXIV

SERCE PRAWE

Do zrozumienia dalszych wypadków musimy znowu cofnąć się wstecz o kilka tygodni.

W godzinach popołudniowych gorącego dnia letniego, mała gromadka wędrowców w milczeniu i bez szelestu przesuwała się przez las. Składała się z trzech Indian i dwóch białych w zwykłym ubiorze osadników. Na twarzach wszystkich wyryty był głęboki smutek, a także wielkie znużenie.

- Nie, już dalej iść nie zdołam, musimy tu wypocząć nieco - wyrzekł starszy z dwóch białych i, mówiąc to, usiadł pod rozłożystym orzechem: młodszy towarzysz niebawem poszedł za jego przykładem. Trzej Indianie nie wymówiwszy ani jednego słowa usiedli także w pewnym oddaleniu od białych. Wszyscy musieli być ogromnie znużeni, gdyż nie przerywając milczenia rozciągnęli się na ziemi i jeden po drugim usnęli.

W pół godziny później na tejże samej drodze, którą przebyli ci wędrowcy, ukazał się mężczyzna atletycznej postaci, w stroju traperów, z ciężką strzelbą na plecach. Bystry wzrok jego dostrzegł już z daleka śpiących pod drzewami. Zbliżył się i przystanął, nie zbudził ich jednak, lecz zdjęwszy powoli strzelbę z pleców oparł ją o pień drzewa i stanął przy niej, po czym, na tymże samym pniu wsparty, ręce na piersiach skrzyżował i spoglądał spokojnie na uspionych wędrowców.

- To dobrze - mruknął sam do siebie - nie omyliłem się. Ale nie mogłem się mylić, za dobrze znam te ślady. Poznałem też od razu, że są bardzo świeże. A więc po raz drugi tych dwu ludzi spotykam i z przyjemnością widzę w tak dobrym towarzystwie. Lepszych przewodników i opiekunów nie mogli

sobie dobrać. Ale gdzie może być wódz z towarzyszami? Musiał gdzieś na chwilę odejść, a ci wypoczywają tymczasem; niechże się wyśpią, krótki wypoczynek i mnie nie zawadzi.

To powiedziawszy, myśliwy także usiadł pod drzewem, jednak spać mu się widocznie nie chciało, bo nie przymknął oczu, lecz utkwił je w uśpionych wędrowcach. Siedział tak z godzinę nieruchomo, jak posąg spiżowy.

- Hm – mruknął wreszcie - śpią smacznie, nie ma co mówić, sędzę, że nie powinni za wiele czasu na to tracić w obecnych okolicznościach. Nie mieli pewnie zamiaru spać tak długo; trzeba ich zbudzić.

I w tejże chwili myśliwy począł najdoskonalej naśladować mruczenie jaguara, na którego odgłos trzej Indianie zerwali się nagle na równe nogi i pochwycili łuki. Szelest, sprawiony przez nich, przebudził także dwóch białych ludzi, którzy również wzięli strzelby do ręki i szybko powstali.

- Hug! - wykrzyknęli jednogłośnie Indianie, gdy spostrzegli myśliwego; na twarzach ich pojawił się wyraz radosnego zdziwienia.

- Serce Prawe! - zawołali obaj biali ludzie, dawni znajomi nasi, osadnik Wattson i syn jego Jan.

- Tak, tak, to ja jestem, panie Wattson - odpowiedział Serce Prawe, gdyż on to był we własnej osobie. - Cieszę się bardzo z tego spotkania. Idę od wczoraj rana za śladami panów, natrafiwszy na nie przypadkiem. Musiałem też porządnie pośpieszać, aby za panami nadążyć. Przykro mi tylko, że spotykamy się pośród tak smutnych okoliczności.

- Bóg doświadczył mię ciężko od ostatniego widzenia się naszego - odrzekł Wattson ściskając serdecznie dłoń myśliwego, co też uczynił i syn jego.

- Nie rozpaczaj pan - mówił Serce Prawe - wszystko jeszcze za łaską Boga odmienić się może. Czy masz pan jaką pewną wiadomość o córce?

Wattson zaczął opowiadać od początku, jakim sposobem zapoznał się w lesie z Orłem Czubatym i jego wojownikami.

- Gdzież jest przyjaciel mój, wódz Osagów - przerwał mu Serce Prawe,

a gdy Wattson ociągał się z odpowiedzią, zwrócił się z tym samym pytaniem do Indian. Twarze ich, już i przedtem posępne i smutne, przybrały wyraz nieopisanego bólu i żałości.

- Mówcież, co się stało z Orłem Czubatym? - powtórzył po raz trzeci niespokojnym głosem pytanie swoje myśliwy.

- Orzeł wpadł w żarłoczne paszcze wilków, wilki chciwie pochwyciły swą zdobycz - mówił jeden z Osagów grobowym głosem.

- Co to jest? Mówcie wyraźniej, powiedzcie mi całą prawdę - wołał myśliwy zwracając się do Wattsonów głosem mocno wzruszonym.

- Jest jeńcem Pawnisów - rzekł osadnik ze smutkiem głębokim.

- Co pan mówi! To niemożliwe! - wołał myśliwy z wyrazem gwałtownej boleści.

- Niestety! tak jest w istocie - potwierdził Jan słowa ojca.

- To być nie może! To być nie może! Nie wierzę temu! - powtarzał Serce Prawe w uniesieniu namiętnego żalu. - Czy podobna, ażeby najrozumniejszy, najdzielniejszy, najzaczepniejszy ze wszystkich czerwonoskórych wpadł w ręce śmiertelnych swych nieprzyjaciół? Przyznajcie się, żeście chcieli zażartować ze mnie, a chętnie wam ten żart wybaczę.

- Wiemy od samego wodza - rzekł Wattson - jak serdeczny stosunek przyjaźni pana z nim łączy. Nie dziwimy się pańskiej rozpacz, lecz krzywdę nam wyrządzasz, podejrzewając nas o żart podobny. Orzeł Czubaty jest jeńcem Pawnisów... Posłuchaj pan, jakim sposobem wydarzyło się to straszne nieszczęście.

I Wattson opowiedział znane nam szczegóły myśliwemu, a ten uspokajał się stopniowo, słuchając, i gwałtowne, burzliwe jego wzruszenie z wolna przeszło w głęboki, cichy smutek.

- Orle Czubaty, drogi, nieszczęśliwy przyjacielu! - powtarzał myśliwy i ukrywszy twarz w dłoniach milczał przez chwilę, pogrążony w boleści. Potem znów z żywością zwrócił się do Indian wołając:

- I wy, tchórze, nie ratowaliście go, nie próbowaliście wydrzeć waszego wodza z rąk Pawnisów?

- Z dziewięciu wojowników Osagów trzech tylko powraca do siedlisk swoich - odrzekł z prostotą najstarszy Indianin. - Tamci odeszli do gruntów

myśliwskich Wielkiego Ducha. Osagowie chcieli wyrzeć Orła z wilczych sponów, lecz nie zdolali tego dokazać: wilki trzymają silnie tę szacowną zdobycz.

- Ach! więc to dlatego jest was tu trzech tylko - mówił myśliwy.

- Wysłuchajże pan do końca opowiadania naszego - odezwał się Wattson. - Gdy ten dzielny, szlachetny wódz Osagów odszedł do obozu, aby córkę moją oswobodzić, myśmy zostali w lesie i w największej trwodze wyglądali jej przybycia. Zaraz potem mieliśmy napaść z hałasem wielkim na obóz Pawnisów, a podczas zamieszania, jakie stąd by powstało, wódz spodziewał się umknąć. Lecz nie doczekaliśmy się mojej córki, natomiast dały się słyszeć z obozu dzikie okrzyki, a wśród nich odezwał się donośny głos sępa, znak umówiony, którym Orzeł Czuby nam oznajmił, że plan jego się nie powiódł. Ach! była to dla nas wszystkich okropna chwila...

- Dalej, dalej, cóż potem? - naglił Serce Prawe.

- Głos sępa był zarazem przestrożą dla nas, abyśmy się mieli na ostrożności i natychmiast uciekli z pobliża obozu. Takie było wyraźne polecenie wodza. Ale ponieważ nie wiedzieliśmy, co się stało, więc dwaj Indianie zakradli się pod sam obóz i z podsłuchanej rozmowy uradowanych Pawnisów dowiedzieli się o uwięzieniu wodza. Ukryliśmy się w lesie, lecz gdy Pawnisy wyruszyli w dalszą drogę, szliśmy za nimi w pewnej odległości, bo ci wojownicy nie chcieli oddalić się od swojego wodza, nie chcieli go pozostawić w rękach śmiertelnych wrogów.

- Ach, tak! Jest on w rękach śmiertelnych swych wrogów, najokropniejszy koniec go czeka... Ale nie, nie, ja do tego nie dopuszczę...

- Pozwólże mi pan dokończyć - przerwał osadnik...

- Dobrze, mów pan, ale jak najkrócej - rzekł Serce Prawe, który znów swój zwykły odzyskał spokój.

- Pawnisy nas wysledzili: polowali na nas zupełnie jak na dzikie zwierzęta. Sześciu Osagów zginęło, zostało tylko trzech i my dwaj z synem. Bylibyśmy z pewnością zginęli co do jednego, a że jeńcom nie mogliśmy nieść żadnego ratunku, więc postanowiliśmy zawrócić z drogi i pójść zawiadomić o strasznym nieszczęściu lud Osagów, aby pośpieszył przygotowania wojenne

i biegł na ratunek wodza. Szliśmy długo bez wytchnienia, aż na koniec znużenie niepokonane nas ogarnęło i usnęliśmy pod tymi drzewami...

- Bardzo dobrze się stało - przerwał myśliwy - bo panów przecież dogoniłem; a teraz dowiedziawszy się o wszystkim, bez zwłoki udam się do koczowisk Pawnisów.

- Co! pan to uczyni? - wykrzyknęli jednogłośnie obaj Wattsonowie.

- Rozumie się, i biada tym zbójcom, jeśli włos spadnie z głowy Orła Czubatego lub pańskiej córki! - wołał Serce Prawe, a oczy jego ciskały błyskawice.

- W takim razie - rzekł osadnik - pozwól pan, abyśmy obaj z synem ci towarzyszyli. Ci trzej Osagowie prędzej zapewne bez nas dostaną się do siedlisk swoich.

- Dobrze! - odparł myśliwy. - Pójdziemy we trzech i czuwać będziemy nad jeńcami. Nim przybędą liczniejsi obrońcy, nie damy im krzywdy zrobić. Ale muszę jeszcze pomówić z tymi wojownikami.

Serce Prawe zwrócił się do Indian, którzy nic a nic z tej rozmowy białych nie rozumieli. Mówił z nimi dość długo, ale tak cicho, że osadnik i syn jego zaledwie parę wyrazów bez związku dosłyszeli. Gdy skończył, Indianie pożegnali go, zarówno jak i obu Wattsonów, i przyśpieszonym krokiem udali się w dalszą drogę.

- Idźmy i my - rzekł myśliwy, a piękna twarz jego już przez ten czas odzyskała zwykły wyraz - spokojny, lecz niewypowiedziane smutny. - Nie ma chwili czasu do stracenia.

I zarzuciwszy strzelbę na plecy poszedł w kierunku wprost przeciwnym tej drodze, którą odeszli Indianie. Osadnik z synem pośpieszyli za nim.

- Na szczęście znam doskonale najprostszą i najkrótszą drogę do koczowisk Pawnisów - mówił Serce Prawe po dłuższej chwili milczenia. - Pawnisy jadąc konno i wielkim taborem musieli wybrać daleko dłuższą, a chociaż znacznie nas wyprzedzili, mam jednak nadzieję, że nam się uda przybyć na miejsce, nim oni się dowloką. Trzeba się tylko pośpieszyć, o ile możliwości.

Podróż trwała kilka dni bez żadnych szczególnych przygód: przechodzili stopy rozległe i gęste lasy, napotykali niekiedy okolice dzikie i bardziej ogołoczone od innych, prawdziwe pustkowia, ani razu jednak młody myśliwy

nie okazał najmniejszej niepewności, nie zawahał się w wyborze drogi. Szóstego czy siódmego dnia Serce Prawe zaczął coraz częściej i pilniej poszukiwać śladów na ziemi.

- Tu w tej okolicy możemy już spotkać się z Pawnisami - rzekł - bo nie mają innej drogi do koczowisk swoich.

Istotnie, dnia następnego z rana spostrzeżono liczne ślady kopyt końskich na trawie.

- Teraz musimy zachować największą ostrożność, ażeby nas nieprzyjaciel nie podszedł - przemówił myśliwy.

- Jesteśmy pod rozkazami pańskimi - odrzekł osadnik - uczynimy wszystko, co rozkażesz.

Ślady stawały się coraz wyraźniejsze. Tegoż samego wieczora Serce Prawe rzekł do towarzyszy:

- Indianie są bardzo blisko; trzeba skorzystać z ciemności nocnych i pójść na zwiady, by się dowiedzieć przynajmniej, co się dzieje z jeńcami. Ja to najlepiej zrobić potrafię, zostańcież więc tu panowie i czekajcie na mnie.

Po krótkim pochodzie, ujrzawszy w oddaleniu obóz nieprzyjacielski, Serce Prawe położył się na trawie i pełzał jak wąż, ukrywając się co chwila: to za pnem drzewa, to za krzakiem lub w zagłębieniu gruntu. Tym sposobem zakradł się w pobliże obozu i tam przez jakiś czas leżał nieruchomo. Następnie z większą jeszcze ostrożnością podsunął się aż pod same szałas, podpatrzył i podsłuchał wszystko, o co mu chodziło. W parę godzin zaledwie powrócił do towarzyszy, wyglądających go z wielkim niepokojem. Był bardzo smutny i zaszępioty.

- Orzeł Czuby - rzekł do obu Wattsonów - skrupowany jest w sposób najokrutniejszy, i liczne stráže pilnują go dniem i nocą. Daleko lepszy jest los panny Elli i starego sługi. O ile mogłem wysledzić, Pawnisy bardzo dobrze obchodzą się z córką pańską, a przez wzgląd na nią i z Tobiaszem. Jest tam młody chłopak, syn znakomitego wodza, nazywa się Jeleń Wrzący; ma dobre serce, słyszałem o nim wiele. Otóż, na szczęście, Jeleń wziął pannę Ellę w opiekę, możemy więc o nią tymczasem być zupełnie spokojni. Ale przyjaciel mój, Orzeł Czuby, a nawet i stary sługa, w wielkim są niebezpieczeństwie; stąd musimy nieustannie być w pogotowiu na wypadek, gdyby

ratunku potrzebowali. Jestem przekonany, że Pawnsy długo zwłóczyć nie będą i obu zgładzą najokropniejszą śmiercią, skoro tylko przybędą do swoich siedlisk. Lecz naprawdę, póki w żyłach moich jedna kropla krwi zostanie, wyleję ją chętnie w obronie przyjaciela i nie dopuszczę do tego, aby niegodziwi wrogowie się nad nim znęcali. Wszak mogę liczyć na pomoc panów?

- Czy potrzebuje pan pytać o to? - zawołał osadnik. - Mamy najświętsze obowiązki wdzięczności dla tego szlachetnego wodza, który własne życie poświęcił dla uratowania mojej córki.

- To dobrze - odrzekł myśliwy ściskając ręce obu. - Jutro Pawnsy staną już w swoich koczowiskach, my zaś musimy się usadowić w pobliżu pilnie czuwając. Będziemy potrzebowali do tego niemaleń roztropności i nieustraszonej odwagi.

SIEDLIKA INDIAN

Nie domyślając się wcale, że są z tak bliska szpiegowani, Pawnsy wyruszyli nazajutrz w dalszą drogę uwożąc ze sobą jeńców. Ella i Tobiasz rzeczywiście, dzięki opiece Jelenia Wrzącego, żadnych przykrości nie doznawali i jedynie tylko na brak swobody uskarżać się mogli. Inaczej rzecz się miała z Orłem Czubatym. Skrępowano go najokropniej i na chwilę nie spuszczano z oczu, a oprócz tego dokuczano mu nieustannie rozmaitymi sposobami. On wprawdzie znosił wszystko z niewzruszonym spokojem, obojętnością lub szyderstwem odpowiadając na prześladowania, lecz to właśnie zwiększało jeszcze złość i nienawiść jego nieprzyjaciół. Serce Elli przepełnione było współczuciem i wdzięcznością dla zacnego wodza Osa-gów, daremnie jednak usiłowała zbliżyć się doń i choć słówko przemówić: czujna straż ani razu nie dopuściła do tego.

Młoda dziewczyna bardzo była rada, gdy dowiedziała się od Indian, że już niedługo dojadą do obozu. W istocie dnia następnego kawalkada zbliżyła się do położonej na skraju lasu i przerznętej bystrym strumieniem łąki, na której rozsypane były szałas, czyli wigwamy Indian. Już z daleka, nim jeszcze do osady dojechano, Pawnsy, powracający z podróży, powitali swoich trzykrotnym donośnym okrzykiem. Ella dowiedziała się później, że było to zarazem i powitanie, i oznajmienie, ilu jeńców ze sobą prowadzą. Nieopisany gwar powstał natychmiast w osadzie: gromady kobiet, starców i dzieci wybiegły na spotkanie jeźdźców z krzykiem i wrzaskiem przeraźliwym, a hałas ten zwiększały jeszcze psy, których Indianie trzymają mnóstwo. Jeźdźcy otoczeni tłumem pieszych, jechali z wolna dalej i stanęli wreszcie w swej wiosce.

Na całej rozległej łące pomiędzy szalasami powstał teraz wielki ruch i ożywienie. Kobiety rozpytywały mężów i synów o szczegóły podróży, chłopcy na wół nadzy, odbierali od ojców i starszych braci konie i odprowadzali je na pobliskie pastwisko. A wśród tego psy czekały nieustannie, małe dzieci krzyczały na rękach matek, słowem - hałas był ogłuszający.

Przyprowadzono jeńców na środek łąki. Z rozporządzenia wodza umieszczono niezwłocznie Orła Czubatego, w jednym z najmocniej zbudowanych szalasów: czterech podrastających chłopaków indyjskich stanęło tymczasem przy drzwiach, na warcie. Tobiasza pozostawiono na łące i nie zszedł z konia. Obok niego stało kilkunastu jeźdźców, którzy także nie zsiadli wraz z innymi. Jeleń Wrzący, jadący ciągle obok Elli, teraz odstąpił ją na krótką chwilę, podjechał do wodza, pomówił z nim, znowu powrócił do młodej dziewczyny i rzekł z uśmiechem przyjaznym:

- Jeleń Wrzący już się porozumiał z Tygrysem Zębatego co do Sarenki Modrookiej. Od tej chwili Sarenka będzie pod wyłączną opieką Jelenia. Cóż siostra moja na to mówi?

- Z całego serca się cieszę, że mam tak szlachetnego opiekuna - odrzekła Ella podając mu rękę.

- Niechże siostra moja jedzie teraz za mną - rzekł młody Indianin.

- Dokądże mamy jechać? - spytała z lekkim niepokojem.

- Niedaleko. Wioska Jelenia leży na drugim brzegu rzeki, staniemy tam za chwilę.

- A Tobiasz i Orzeł Czubaty pozostaną tu w mocy Tygrysa Zębatego?

- Tylko Orzeł Czubaty. Błady człowiek pojedzie z nami.

- O! czemuż Jeleń Wrzący nie weźmie także i Orła Czubatego w swoją opiekę!

- To niepodobna! Tygrys Zębaty odstąpił Jeleniowi Sarenkę Modrooką i bladego starca za to, że mu zostawił Orła Czubatego.

- O mój Boże! - westchnęła Ella - jakimże okropnym kosztem jestem okupiona!

- Gdyby nie to, że wódz Osagów wpadł w ręce Pawnisów, byłaby okropna kłótnia wynikła o Sarenkę Modrooką, bo Tygrys Zębaty chciał ją zabrać

dla siebie. Ale Orzeł Czuby jest największym jego nieprzyjacielem, więc wyrzekł się białych jeńców, aby go zatrzymać wyłącznie w swej mocy. Zresztą to zupełnie wszystko jedno: niech Sarenka Modrooka nie wyobraża sobie, że Jeleń Wrzący mógłby darować życie wodzowi Osagów.

- Nie ma więc żadnego ratunku? Orzeł Czuby musi zginąć i to najokropniejszą śmiercią... O Boże!

- Sarenka Modrooka powinna była od początku o tym wiedzieć.

- A kiedyż to straszne nieszczęście się spełni?

- Gdy słońce trzydzieści razy ukryje się w wielkiej wodzie (w oceanie, to jest zajdzie).

- Czy Jeleń Wrzący wie to z pewnością?

- Tak, z pewnością największą.

- A cóż się stanie z nieszczęśliwym Tobiaszem?

- Ożeni się z wdową po którymś z poległych wojowników, będzie pamiętał o jej potrzebach, a wówczas Pawnsy przyjmą go za brata.

- I będzie miał prawo odejść, gdzie mu się podoba?

- Co też Sarenka mówi! Po cóż ma odchodzić, jeżeli zobowiąże się wujować razem z braćmi swoimi Pawnsami i opiekować się troskliwie żoną.

- A jeśli on na te warunki przystać nie zechce?

- To musi zginąć.

Nastała chwila milczenia, po czym Ella spytała znowu:

- Czy ja będę mogła widywać się z Tobiaszem? Tak bym chciała mieć go ciągle przy sobie.

- Póki nie zostanie bratem Pawnsów, będzie strzeżony jako jeńiec i mieszkać musi w osobnym wigwamie zamkniętym; nawet i Sarence nie wolno będzie zaglądać do niego.

Podczas tej rozmowy gromadka jeźdźców wraz z Tobiaszem przyłączyła się do nich i puścili się wszyscy brzegiem rzeki. Dojechali wkrótce do miejsca, gdzie woda była płytka i ledwo do kolan sięgała, przebyli więc rzekę w bród i niezadługo Ella ujrzała przed sobą wioskę indyjską, zupełnie do tamtej podobną. Tu nastąpiły znów także same powitalne okrzyki i hałaśliwe przyjęcie.

Jeleń Wrzący podjechał wraz z Ellą do wigwamu większego i porządniejszego od innych. Stary Indianin, ogromnego wzrostu i okazałej postawy, przybrany w oznaki wodza, stał u wejścia i powitał Jelenia serdecznie. Był to jego ojciec. Młodzieniec szepnął mu coś na ucho, czego Ella dosłyszeć nie mogła, chociaż widziała, że na nią wskazywał. Stary uśmiechnął się, podszedł do dziewczyny i podał jej rękę pomagając zsiść z konia.

- Niech córka moja będzie pozdrowiona i wejdzie do wigwamu wodza Pawnisów - rzekł uprzejmie. - Jeleń Wrzący i jego ojciec pamiętać będą o tym, aby Sarence Modrookiej nie brakło nigdy świeżego mięsa i słodkiego miodu; będzie też Sarenka miała młodziutką towarzyszkę do siebie podobną, Stokrotkę Polną; obie zapewne pokochają się wkrótce wzajemnie. Niech córka moja idzie za mną.

Ella zaciekawiona była wzmianką o młodej towarzysze, nie śmiała jednak pytań zadawać. Jeleń Wrzący poszedł w inną stronę, a stary wódz poprowadził ją do wigwamu, stojącego na uboczu. Dowiedziała się później, że to było mieszkanie dla gości wodza przeznaczone. Całe urządzenie odznaczało się czystością; brakło wprawdzie najprostszych nawet sprzętów, bo Indianie nie mają wyobrażenia o wygodach życia cywilizowanego, znać było jednak wszędzie pewną staranność. Ziemię pokrywały skóry żubrów, a w jednym kącie skóry te, ułożone wysoko jedno na drugich, tworzyły posłanie miękkie i ciepłe.

- Niech Sarenka Modrooka uważa ten wigwam za swój i rozgości się wygodnie - rzekł stary wódz. - Jeleń Wrzący i ojciec jego nie dopuszczą tu z pewnością niedostatku. A teraz może Sarenka Modrooka chce na chwilę zostać sama.

I wyszedł, a Ella obejrzawszy mieszkanie swoje co jej niewiele zabrało czasu, usiadła na posłaniu ze skór i pogrążyła się w smutnych myślach. Chociaż jej samej żadne niebezpieczeństwo nie groziło w tej chwili, nie mogła być spokojna wiedząc, jaki okropny los czeka szlachetnego wodza Osągów, który się dla niej poświęcił. Biedna dziewczyna nadaremnie łamała sobie głowę szukając sposobów ratowania nieszczęśliwego. Niestety! musiała przyznać, że to było niepodobieństwem.

Smutne te myśli tak ją całkowicie pochłonęły, że nie od razu spostrzegła,

jak na progu jej chatki, to jest przy otworze, zastępującym drzwi, stanęła młoda Indianka. Ładna jej twarzyczka wyrażała zdziwienie i dzieciinną radość. W końcu szepnęła półgłosem:

- Sarenko Modrooka...
- Kto ty jesteś? - zapytała zdziwiona.
- Nazywam się Stokrotka Polna - odpowiedziała Indianka dźwięcznym głosem i uśmiechnęła się łagodnie.
- Ach, Stokrotka Polna! - powtórzyła Ella - słyszałam już to imię. Czy Stokrotka Polna jest córką wodza?
- Jeszcze nie - odpowiedziała dziewczyna i znowu uśmiech twarzyczkę jej rozjaśnił. - Ale Stokrotka Polna zostanie córką wodza niedługo.
- Nie rozumiem - mówiła Ella.
- Alboż Sarenka Modrooka nie wie o tym, że Jeleń Wrzący jest synem wodza? - rzekła młoda Indianka spuszczać oczy z pewnym zakłopotaniem.
- Ach! wiem już, wiem - zawołał Ella - Stokrotka Polna jest narzeczoną Jelenia i wkrótce zostanie jego żoną. Nieprawdaż?
- Siostra moja prawdę powiedziała - potwierdziła Indianka.
- Stokrotka Polna będzie miała dzielnego i zacnego męża. Cieszę się serdecznie tą wiadomością.
- Jeleń Wrzący jest synem wielkiego wodza i sam niedługo wodzem będzie - rzekło dziewczę z dumą.
- Najszczerzej życzę Stokrotce, aby była szczęśliwa.
- Sarenka jest bardzo dobra. Stokrotka Polna i Sarenka Modrooka pokochają się z pewnością i nigdy w życiu się nie rozłączą.
- Czy tak Stokrotka sądzi? - szepnęła Ella drżącym głosem, gdyż taka przyszłość nie uśmiechała się wcale biednej dziewczynie.
- Tak, tak. Jeleń Wrzący opowiedział już wszystko Stokrotce. Jeleń chce, żeby Sarenka była towarzyszką i przyjaciółką Stokrotki i nie odstępować jej, gdy Jeleń Wrzący będzie odjeżdżał na łowy lub na wojnę.
- Dobrze - rzekła Ella widząc, że musi sobie tymczasem zaskarbić życzliwość młodej Indianki - będziemy przyjaciółkami; Jeleń Wrzący mi tyle wyświadczył dobrego, że rada bym mu wdzięczność moją okazać i chętnie spełnić jego życzenia.

- Stokrotka Polna od razu pokochała Sarenkę Modrooką i zawsze ją kochać będzie.

Obie dziewczyny usiadły obok siebie na posłaniu z futer i długo jeszcze rozmawiały przyjaźnie. Stokrotka Polna opowiedziała nowej przyjaciółce, że jest sierotą. Matka jej umarła przed kilku laty, a ojciec zginął w walce z nieprzyjacielskim plemieniem. Od tej pory opiekował się nią pewien człowiek biały, który od wielu bardzo lat przebywa wśród Pawnisów i którego z powodu nadzwyczajnej mądrości i znajomości sztuki lekarskiej zwał „Wielkim Prorokiem”. Zasluguje też najzupełniej na tę nazwę. Otóż ten starzec jest wybranym ojcem Stokrotki Polnej, a ona przywiązana jest do niego jak do rodzonego ojca.

Dowiedziała się więc Ella, z jakiego powodu młody Indianin okazał się dla niej tak przychylny, lecz zarazem utracił nadzieję, aby jej wrócił swobodę. Jeleń Wrzący przeznaczył ją na zabawkę dla swojej młodej narzeczonej, przywiózł jej w darze tę zdobycz wojenną i uważał za rzecz zupełnie prostą i naturalną, że biała dziewczyna całe życie spędzi pomiędzy Pawnisami, w których moc wpadła. I tak jeszcze za bardzo szczęśliwą uważać się mogła, że tak łaskawie wszyscy się z nią obchodzili. Wszakże była tylko ich niewolnicą...

Młoda Indianka wspominając o swoim weselu z Jeleniem, które już niezadługo odbyć się miało, opowiedziała Elli, że Indianie mają zwyczaj podczas takich uroczystości, dla uświetnienia ich niejako, wykonywać wyroki śmierci na jeńcach wojennych. Dziewczyna wyznała nowej przyjaciółce w tajemnicy, że tego widoku nie lubi i nie chciałaby, ażeby w dniu jej wesela działy się podobne rzeczy; a tymczasem nie obejdzie się bez tego z pewnością, i to jej przykreść sprawia.

- Skądże Stokrotka Polna wie o tym? - spytała Ella niespokojnie.

- Stokrotka Polna słyszała rozmowę starszych.

Ella zadrżała: nie wątpiła, że to Orzeł Czuby miał ponieść śmierć straszną i służyć za widowisko w dzień wesela Jelenia ze Stokrotką.

- Niechże teraz Sarenka Modrooka pójdzie zapoznać się z przybranym ojcem Stokrotki, wielkim mędrceciem białym.

Ella poszła za Indianką, która ją zaprowadziła do pobliskiej chatki.

Zastały tam sędziwego bardzo staruszka. Właściwe jego imię było Ludowiko; dawniej trudnił się handlem i odwiedzał często siedliska Pawnisów przynosząc im broń, paciorki kolorowe, małe zwierzciadełka i inne podobne drobiazgi, oni mu zaś w zamian za to dawali skóry i futra. Tym sposobem z biegiem czasu zaprzyjaźnił się z nimi i na starość na stałe się u nich osiedlił. Od lat piętnastu już przebywał pośród dzikich ludzi i prawie zapomniał o tym, że sam był człowiekiem innego pochodzenia, tak całkowicie przywykł do obyczajów Indian czerwonoskórych.

Ludowiko powitał Ellę uprzejmie, lecz parę słów zaledwie przemówiwszy do obu dziewcząt zabrał się na nowo do przerwanej roboty, a musiała być ważna i pilna, gdyż staruszek zdawał się skupiać na niej całą uwagę. Miał on przed sobą kawałek kory brzozonej i na wewnętrznej jej stronie białej i gładkiej, kreślił różne figury i znaki narzędziem z twardego drzewa, podobnym do rylca.

- Co on robi? - spytała półgłosem Ella towarzyszeki.

- Pisz.

- Pisz? Ależ ja tam wcale liter nie widzę, tylko jakieś dziwaczne rysunki, postacie zwierząt, znaczki różne.

- Rysunki te i znaczki mają swoje znaczenie - odezwał się staruszek, który uwagi Elli dosłyszał. - Moja córka nie zna się na tym. Otrzymałem zlecenie od pewnego sąsiedniego plemienia, abym na wieczną rzecz pamiętkę opisał niezmiernie ważne wypadki. Plemię to, napadnięte zniecka przez innych, wrogich mu Indian, w wielkim było niebezpieczeństwie, gdy mu przybyli na ratunek waleczni biali myśliwi i nieprzyjaciół odparli. Otóż te figury i znaki opisują całe to zdarzenie. Indianie innego pisma nie znają.

Staruszek pozwolił Elli przypatrzeć się bliżej swojej robocie i objaśniał jej znaczenie rysunków. Młoda dziewczyna wydziwić się nie mogła, z jaką pomysłowością figurki i znaki były dobrane, aby wyrazić to wszystko, co opowiedzieć należało. Staruszek zaprosił ją przy pożegnaniu, aby go często odwiedzała, na co przystała chętnie, bo spodziewała się od niego dowiedzieć różnych szczegółów o obyczajach Indian, a to ją niezmiernie zajmowało.

Przez kilka dni po powrocie z wyprawy mężczyźni siedzieli z założonymi rękami wypoczywając po trudach; czasem tylko który dla zabawki zrobił

sobie fajkę glinianą lub wystrugał jaki drobny przedmiot z drzewa. Raz jeden zobaczyła Ella, i to po tygodniu dopiero, jak kilku mężczyzn ustawiało duże kamienie, używane do tłuczenia kukurydzy, uprawianej także wyłącznie przez kobiety.

Ella zapoznała się w przeciągu dni kilku z wielu mieszkańcami tej osady, wszędzie ją przyjmowano uprzejmie i obchodzono się z nią przyjaźnie; widocznie uważano ją za należącą już niejako do plemienia Pawnisów. Wiedziała ona, iż szczególnie te względy zawdzięcza głównie Jeleniowi Wrzącemu i narzeczonej jego, Stokrotce Polnej, ale niemało się do tego przyczynił i biały staruszek, opiekun Stokrotki, który także roztropne i miłe dziewczę polubił niezmiernie; zdanie zaś starca ogromne miało znaczenie pomiędzy Indianami. Ella odwiedzała go często i zaprzyjaźniwszy się z nim bliżej nieraz rozpytywała o różne szczegóły obyczajów czerwonoskórych.

- Czy Indianie mają jakie prawa pisane? - pytała dnia pewnego ciekawa dziewczyna.

- Nie - odpowiedział Ludowiko - oni praw takich nie potrzebują. Jeżeli który popełni przestępstwo, zbiera się rada, złożona z najstarszych i najpoważniejszych mieszkańców osady i wydaje na winnego doraźny wyrok. Zabójcy i tchórze karani są śmiercią, mniej winni skazywani na wygnanie; bywają też i lżejsze kary. W ogóle jednak tak mało przestępstw tu się popełnia, że i sądy podobne rzadko się odbywają. O wypadku kradzieży nigdy nie słyszałem. Moja córka widzi, że chaty wszystkie stoją otworem, nikt tu nie zna i nie potrzebuje zamków. Karą kłamców i kłótników jest pogarda powszechna; kobiety tylko częściej się kłócą, ale i one zwykle godzą się prędko dla uniknięcia wstydu.

- Rada bym jeszcze dowiedzieć się - mówiła młoda dziewczyna - jakie są religijne wyobrażenia Indian, co oni na przykład sądzą o stworzeniu świata i człowieka?

- Chętnie ciekawość córki mojej zaspokoję - odpowiedział staruszek uprzejmie. - Nie wszystkie plemiona mają jednakowe podania o stworzeniu świata i ludzi. Jedni na przykład utrzymują, że pierwsi ludzie i zwierzęta wyrosli z ziemi, tak jak rośliny. Inni znów powiadają, że Wielki Duch stworzył najpierw mężczyznę i kobietę i parę tę osadził na pięknej wyspie pośród

wielkiej wody, to jest oceanu. Lecz wkrótce było im tam za ciasno; kobieta poprosiła więc Wielkiego Ducha o pomoc, a ten zesłał ogromne mnóstwo bobrów, piźmoszczurów i innych zwierząt podobnych, które tyle z dna morskiego nanosiły ziemi, że się z tego dzisiejsze wielkie lądy utworzyły. Opowiadają też i inne najrozmaitsze bajki. Wszyscy jednak wierzą w istnienie istoty wszechmocnej i dobrej, którą zowią Wielkim Duchem. Ten Wielki Duch, według ich mniemania, pierwszą parę ludzi czerwonoskórych otaczał opieką i łaską: dał im przepyszne grunta myśliwskie, często sam z nimi rozmawiał, nauczał i rady udzielał. Byli też wówczas bardzo szczęśliwi, lecz w końcu zawinili nieposłuszeństwem i Wielki Duch odsunął się od nich, a za karę oddał ich w moc złego ducha, który jest przyczyną wszelkiego złego na ziemi. Dobry Duch nie przestaje pomimo to opiekować się dziećmi swoimi, a że jest potężniejszy daleko od złego ducha, więc obronić może każdego, kto się doń ucieka. Z powodu tych dziwacznych pojęć Indianie oddają cześć dwu bóstwom: Dobremu Duchowi dziękują za wszystkie dobrodziejstwa i o opiekę go proszą, złemu zaś duchowi okazują pewne względy, ażeby się od jego zemsty uchronić.

- A czy oni wierzą w życie przysze?

- Wierzą, ale dziwne o tym życiu pośmiertnym mają pojęcia: wyobrażają je sobie jako zupełnie podobne do teraźniejszego. Przekonani są, że po śmierci zamieszkają w pięknej, rozkosznej krainie, gdzie wiosna nigdy nie mija, niebo jest wiecznie pogodne, a lasy i łąki obfitują w zwierzynę; każdy będzie mógł tam polować, ile mu się spodoba. Los ten szczęśliwy ma być szczególnie udziałem walecznych wojowników poległych mężnie w boju z nieprzyjaciółmi; tych po śmierci czekają największe odznaczenia.

Tu staruszek umilkł i powstał; dotychczas siedział obok Elli na posłaniu z futer.

- Córka moja nie weźmie mi za złe, że ją pożegnam - rzekł. - Muszę odwiedzić chorego w sąsiedniej chatce, ale za chwilę powrócę, i gdyby córka moja zaczęła tu chciała...

Ella zgodziła się na to z ochotą. Stary Ludowiko rzeczywiście niedługo bawił, a gdy powrócił zawiązała się znów zajmująca rozmowa o chorobach Indian i sposobach ich leczenia. Wielki Prorok, jak nazywano Ludowiko,

miał sławę uczonego lekarza i to mu największy szacunek jednało pośród czerwonoskórych przyjaciół. Febry, kataralne gorączki i niestrawność były to dolegliwości przytrafiające się najczęściej u Indian. Ludowiko leczył je różnymi niewinnymi roślinnymi środkami: korą drzewną, korzonkami, ziołami. W każdej chacie indyjskiej znajdowała się apteczka domowa, mieszcząca się w woreczkach ze skóry bobrowej lub wydrzej.

- Indianie - opowiadał starzec - znoszą wszelkie cierpienia nadzwyczaj cierpliwie, uważając je za karę Wielkiego Ducha za różne przewinienia. Ciężko chorzy odwiedzani są zwykle przez wszystkich mieszkańców wioski i każdy wówczas jest do nich dopuszczany. Goście ci jednak nie rozmawiają, lecz zachowują uroczyste milczenie. Chory zaś, jeśli ma siłę, przemawia do nich, daje im różne nauki i rady, które są słuchane z największym uszanowaniem i święcie przechowywane w pamięci. Panuje tu bowiem przekonanie, że człowiek przed śmiercią obdarzony jest pewnego rodzaju jasnowidzeniem. Umierający zazwyczaj z wielkim spokojem wygląda ostatniej godziny. Nadzieja lepszego i szczęśliwszego bytu po śmierci umacnia go i często napełnia widoczną radością. Wielkie to zmartwienie dla całej rodziny i dla przyjaciół, jeśli się zdarzy, że chory okazuje obawę śmierci, wówczas bowiem, według ich mniemania, musi się znajdować w mocy złego ducha. Wzywają więc gorąco pomocy Wielkiego, Dobrego Ducha.

- Jakież są ceremonie przy pogrzebie Indianina? - spytała Ella.

- Zmarły leży parę dni w chacie na skórach żubrów; gdy ciało zdradza już ślady zepsucia, krewni i przyjaciele wnoszą je na miejsce spoczynku, dość oddalone od wioski. Uroczyste milczenie trwa podczas tego obchodu; syn zmarłego lub inny najbliższy krewny niesie za nim jego przybory myśliwskie: łuk, strzały, siekierkę i inne przedmioty, które się składa w grobie w tym przekonaniu, że nieboszczyk w przyszłym życiu posługiwać się tym wszędzie będzie. Tu dopiero na grobie rodzina zaczyna rozwodzić głośno żale. Kobiety zwłaszcza krzyczą, jęczą, włosy sobie wrywają z głowy i w najhałaśliwszy sposób objawiają swoją rozpacz. Ale i mężczyźni, którzy we wszelkich innych okolicznościach uważają za swój obowiązek powstrzymać

się od widoczniejszych objawów uczuć, na pogrzebach płaczą i krzyczą na cały głos. Zdawałoby się, że gwałtowne te wybuchy wyczerpują żal od razu do szczętu, gdyż zwykle płacząca i krzycząca wniebogłosa rodzina pociesza się bardzo prędko i po dniach kilku nie pozostaje ani śladu tego straszego smutku.

Takie i tym podobne rozmowy, codziennie prowadzone z poczciwym staruszkiem, wielką były dla Elli rozrywką i pomimo niepokoju, który serce jej napełniał, czas wcale jej się nie dłużył. Dni jedne po drugich mijały, zbliżała się pora wyznaczona na wesele Jelenia Wrzącego ze Stokrotką Polną. Uroczystość ta, jak wiemy, miała być uświetniona śmiercią wodza Osagów, szlachetnego Orła Czubatego.

XXVI

PRZYGODY TOBIASZA

Dziesięć dni upłynęło od powrotu Pawnisów. Przez cały ten czas stary Tobiasz, towarzysz niedoli Elli, ani na chwilę nie wyszedł z nędznego szałas-u, który mu za więzienie służył; dzień i noc jak najściślej był strzeżony. Mieszkanie jego nie było wygodne ani przyjemne.

Usadowiono biedaka w starej, opuszczonej budzie, gdzie tylko kiedy niekiedy przebywali jeńcy wojenni, a jak łatwo odgadnąć, nikt nie dbał o to, aby im tam było dobrze. W korze pokrywającej słupy, nie brakło dziur większych i mniejszych, a ponieważ nigdy ich nie zatykano, deszcz i wiatr hulały tam tak swobodnie jak na dworze. Stara, podziurawiona skóra żubrza stanowiła posłanie i jedyną ochronę od zimna.

Dnia pewnego biedny Tobiasz siedział na tej skórze, z głową w dłoniach ukrytą, w smutnych myślach pogrążony. Bo też niemało miał powodów do smutku. Od chwili przybycia do tej osady indyjskiej rozłączono go z Ellą: nie widział jej ani razu i nie wiedział nawet, co się dzieje z ukochaną pannienką. Srogie postępowanie Indian tym więcej go dziwiło, że w ostatnich dniach podróży obchodzili się z nim coraz łagodniej. Teraz było zupełnie co innego; jedzenie dawano mu tak okropne, że je zaledwie mógł przełknąć, nawet świeżej wody nie dostawał. Najmocniej jednak przeraził się dzisiejszego rana, podsłuchując rozmowę Indian, którzy stali na straży przy jego więzieniu. Tobiasz rozumiał ich język: mowa była o tym, że już niedługo będą niemily swój obowiązek pełnili przy jeńcu, skąd można było wnosić najgorsze rzeczy. O ulaskawieniu marzyć nawet nie mógł wśród takich

okoliczności, więc Pawnsy mieli zapewne śmierć jego na myśli, tym sposobem bowiem zwykle pozbywali się jeńców.

Nieszczęśliwy rozmyślał nad tym, że wkrótce zapewne będzie musiał rozstać się z życiem doczesnym, i wdychał ciężko, bo jeszcze mu się ten świat nie naprzykrzył. Nagle przerwano mu to żalosne rozmyślanie. Czterech Pawnsów weszło tak cicho do szałas, że Tobiasz spostrzegł ich dopiero w chwili, gdy stanęli przy nim. Nieborak, przekonany, że ostatnia jego godzina wybiła, zerwał się na nogi, usiłując jednak ukryć swoje przerażenie. Indianie spojrzeli na niego ponuro: dwaj z nich schwycili go za ramiona, dwaj inni stanęli za nim.

- Niech błada twarz idzie z nami - mruknął jeden z prowadzących Indian i pociągnęli go za sobą.

- Czego chcesz ode mnie? - zapytał Tobiasz, nadaremnie usiłując ukryć drżenie głosu.

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi; Indianie wlekli go tak prędko, że ledwie mógł nadażyć, wreszcie zatrzymali się na małym wzgórku, ocienionym kilku rozłożystymi drzewami. Czekala tam na nich dość liczna gromadka Pawnsów, między którymi Tobiasz poznał Jelenia Wrzącego; obok tego ostatniego stał stary wódz, jego ojciec, lecz tego Tobiasz nie znał. Pochmurne oczy wszystkich zwróciły się na jeńca, który zaledwo na nogach mógł się utrzymać ze strachu. Na wzgórku wbito był w ziemię mocny pał, do którego przywiązano biednego Tobiasza za ręce i za nogi. Ojciec Jelenia wystąpił naprzód, i zwróciwszy się do zgromadzenia Pawnsów, przemówił mniej więcej w te słowa:

- Bracia moi wiedzą dobrze, jak wiele złego blade twarze wyrządzają czerwonym dzieciom Wielkiego Ducha. Gdy niegdyś przed laty po raz pierwszy ludzie ci przybyli do tej krainy, ojcowie nasi, prawi jej właściciele, przyjęli ich gościnnie, gdyż gościnność jest najpierwszą cnotą Indian. Dano posiłek zgłodniałym, znużonym schronienie, chorych opatrzone lekami. Jakaż była wdzięczność za te wszystkie dobrodziejstwa? Jadowita żmija poty jest nieszkodliwa, póki leży zdrętwiała; głupiec rozgrzewa ją u łona: gdy się rozbudzi i odżyje - zapuści jadowite swe żądło w jego ciało i śmierć mu zada. Tak uczynili i bladzi ludzie. Przypatrzycie się myśliwskim gruntom

Indian, zapragnęli je objąć w posiadanie i czerwonych właścicieli z nich wyprzeć. A jak się obchodzili z nimi! Wyniszczali i tępili tak zawzięcie, jak szkodliwe wilki i pantery. Od kul ich zginęło Indian mnóstwo; ileż to żon oplakuje mężów, ile matek synów! Te okrucieństwa pobudziły zemstę czerwonoskórych, którzy wypowiedzieli wojnę wiekiustą bladym twarzom. Gdzie tylko napotkają nieprzyjaciół, strzały ich świszczą i tomahawki latają. Lecz jeśli blady człowiek żywcem dostanie się w ich ręce, musi zginąć, uwiązany do pala. Indianie kobietami nie są, za złe złem odpłacają, tak każe Wielki Duch. Oto i ten człowiek blady dostał się w nasze ręce. Zasłużył on na śmierć czterokrotnie, bo był razem z tymi, którzy czterech wojowników naszych wysłali do wiekiustych gruntów. Trzy matki płaczą za synami, jedna wdowa oplakuje męża, czworo dzieci ojca. Któż pocieszy wdowę i sieroty? Kto chaty ich zaopatrzy w zwierzynę, kto obroni od nieprzyjaciół? Blady człowiek pokrzywdził ich strasznie, wdowa powinna by go przeklinać. A jednak nie przeklina, litość wzruszyła jej serce i gotowa jest przebaczyć człowiekowi, jeśli zechce chatę jej zaopatrzyć w zwierzynę, a sierotom ojca zastąpić. Czy blada twarz słyszy i rozumie te słowa? Wódz zwrócił się nagle z tym zapytaniem do Tobiasza, który przykrzych bardzo uczuć doznawał; słuchając długiej przemowy wodza, i dopiero przy końcu uspokoił się trochę i odetchnął.

- Słyszałem i zrozumiałem wszystko - zawołał żywo.

- I cóż blada twarz ma do powiedzenia biednej wdowie? - zapytał znów wódz.

- Prosiłbym b kilka dni do namysłu.

- O nie, blada twarz musi natychmiast odpowiedzieć stanowczo. W przeciwnym razie śmierć go czeka.

- A gdybym się zgodził? - spytał Tobiasz.

- Wówczas blady człowiek natychmiast będzie wolny i Pawnsy powita ją go jak brata i przyjaciela. Odtąd blady człowiek polować z nimi będzie i towarzyszyć na wojennych ścieżkach. Oni zaś wezmą go w opiekę i nie pozwolą mu nigdy krzywdy wyrządzić. Lecz gdyby ich oszukał i zdradził, pomściliby się.

Biedny Tobiasz nie namyślał się długo. Z jednej strony widział śmierć najokropniejszą, z drugiej natychmiastową swobodę, czyliż mógł się wahać?

Oświadczył więc natychmiast wodzowi, że gotów jest spełnić żądany warunek. Ten zadał mu jeszcze parę pytań, a otrzymawszy zadowolającą odpowiedź, kazał Indianom odwiązać jeńca od pala i puścić go wolno. Tymczasem srogie i pochmurne twarze wojowników wypogodziły się szybko, wszyscy starali się okazać nowemu bratu przychyłność i najprzystajniejsze uczucia. Nic jednak Tobiasza tak nie uradowało, jak wiadomość, że wdowa nie mogła go zaraz poślubić, gdyż musiała odbyć wprzód żałobę po pierwszym mężu, co jeszcze potrwać miało dwa tygodnie. Aż do tego czasu nie potrzebował więc myśleć o żywności dla całej tej rodziny. Inni wojownicy się tym zajmowali. Dowiedział się także, z mniejszą już przyjemnością, że przyszła jego małżonka należała do plemienia Tygrysa Zębatego, i on więc stał się członkiem tegoż plemienia i niezwłocznie miał być do tamtej wioski przewieziony. Tobiasz prosił o pozwolenie widzenia się z Ellą, ale mu wręcz odmówiono. Kilku Indian wpakowało go do łódki i rzeką dopłynęli na miejsce. Rozjaśniło się nieco posępne czoło Tygrysa, gdy się dowiedział o postanowieniu jeńca; i on także zadał mu kilka pytań, następnie kazał powtórzyć solenne przyrzeczenie, że o potrzebach wdowy i sierot pamiętać będzie.

- Brat mój jest wolny - rzekł wódz na zakończenie - może przechadzać się po całej wiosce, wychodzić z niej jednak nie ma prawa, póki czynami nie dowiedzie swej przychyłności i wierności dla czerwonych braci.

Dano Tobiaszowi na mieszkanie dość porządny wigwam, stojący pośrodku wioski, niezbyt daleko od tego, w którym więziono Orła Czubatego. On zaś z rozkoszą używał upragnionej swobody. Czuł wprawdzie, że jeszcze niezupełnie przestał być jeńcem: wszędzie, na każdym kroku, widział zwrócone na siebie podejrzliwe spojrzenia Indian. Nawet kobiety i dzieci zdawały się należeć do tej czujnej straży, rozciągniętej nad nim nieznacznie. Ale roztropny Tobiasz starał się pozyskać większe zaufanie. Ile razy nadarzyła się do tego sposobność, głośno i wymownie wynurzał wdzięczność swoją za ulaskawienie tak wspaniałomyślne. Gdy Pawnisy w obecności jego zaczęli lżyć swoich nieprzyjaciół, o. zaraz najdosadniejszych dobierał wyrazów i przechodził innych w zapale. Gdy czasem i o Osagach była mowa, wówczas

chytry stary udawał zawziętą ku nim nienawiść. Dla usprawiedliwienia tych uczuć nieprzychylnych, twierdził zawsze, iż złe traktowanie, jakiego doznawał od Pawnisów, przypisuje temu „głupiemu wodzowi Osagów”, jak się wyrażał. On to bowiem, swym niedorzecznym pomysłem wyswobodzenia jeńców, niechęć i nieufność ku nim wzbudził w sercach szlachetnych Pawnisów. Tobiasz z zimną krwią powtarzał nieraz, że za tę głupotę Orzeł Czuby zaslżył na śmierć najokrutniejszą i że on sam rad by najprędzej być świadkiem wykonania wyroku.

Nie potrzebujemy chyba upewniać czytelników, że stary nie myślał tego, co mówił; naśladował on tylko przebiegłość i chytrych swoich przybranych braci. Zresztą wyjaśni to najlepiej dalsze wypadki. Tymczasem roztropnym tym postępowaniem Tobiasz pozyskał wkrótce większą ufność. Już po kilku dniach pozwolono mu odbywać dalsze przechadzki poza obrębem wioski. Spostrzegł wprawdzie, że i tam Pawnisy śledzili go z początku, wkrótce jednak zaniechali tego zupełnie, stary bowiem zawsze w porę powracał i zdawał się być zupełnie zadowolony pośród „miłych swych braci, którym tyle zawdzięczał”. Stopniowo doszło do tego, że przestano nad nim czuwać i, gdyby był chciał, łatwo by mógł nawet i uciec, ale on o tym nie myślał wcale.

Indianie uważali go za przyjaciela, a w nienawiść jego dla wodza Osagów tak dalece uwierzyli, że zaczęli się wyręczać „białym bratem” przy pilnowaniu tego ważnego jeńca. On zaś najchętniej im tę usługę wyświadczał i stał cierpliwie na straży po kilka godzin zastępując tego lub owego wojownika, a ta uczynność tak im się podobała, że nie tylko w dzień, lecz nawet i w nocy na „białego brata” ten niezbyt przyjemny obowiązek składali. Będąc już teraz przypuszczony do zaufania Pawnisów, stary wiedział o tym od dawna, że śmierć Orła Czubatego odkładano do dnia zaślubin Jelenia ze Stokrotką. Wyrok miał być wykonany podczas tej uroczystości, którą już niezadługo obchodzić zamierzano.

Noc była ciemna, burzliwa i słotna; stary nasz znajomy, uzbrojony wedle zwyczaju indyjskiego w nóż i tomahawk, przechadzał się dokoła chaty, w której przebywał wódz Osagów, zawsze od stóp do głowy skrępowany. Tobiasz nigdy jeszcze dotychczas nie odważył się do niego przystąpić lub

przemówić choć słowo. Tej nocy postanowił zdobyć się na to. Najpierw z wielką uwagą oglądał się dokoła i słuch wyteżał, a przekonawszy się, że cała osada we śnie jest pogrążona, zbliżył się cicho i ostrożnie do otworu, zastępującego drzwi w chatce.

- Czy wódz Osagów nie śpi? - zapytał ledwo dosłyszalnym głosem.
- Nie - odszepnął tamten nie mniej cicho.
- Wódz ma przy sobie przyjaciela, niech tylko stara się zachować jak najspokojniej i słuca.
- Cóż to za przyjaciel?
- Biały człowiek, który razem z Ellą, córką osadnika, dostał się do niewoli.
- Ten sam, co Pawnisom pomaga strzec jeńców? - szepnął wódz.
- On to czyni dlatego, ażeby Orła Czubatego uratować.
- Hug! - ozwał się tamten półgłosem.
- Trzeba się teraz naradzić - mówił znów Tobiasz - jakim sposobem mógłbym dopomóc wodzowi do ucieczki.
- A gdzie jest biała dziewczyna?
- W osadzie Jelenia Wrzącego.
- Zawsze w niewoli!
- Tak, sądzę jednak, że Jeleń nie da jej krzywdy wyrządzić.
- Ale jest niewolnicą Pawnisów... Jakimże sposobem brat mój myśli ratować Orła Czubatego?
- Zdaje mi się, że mam niezły pomysł.
- Niech brat mój mówi.
- Przetnę natychmiast więzy wodza i razem stąd umkniemy. Noc ciemna, śpią wszyscy...
- A Ella? Oni się pomszczą na niej.
- Jeleń ją obroni.
- Nie obroni jej, choćby chciał nawet.
- Dlaczegoż wódz tak sądzi?
- Tygrys Zębaty będzie się wściekał, gdy śmiertelny wróg mu się wymknie. Ella odpowie za nas obu. Jeleń będzie musiał chyba krwawą walkę stoczyć, by nie dopuścić do tego; na to znów ojciec Jelenia nie pozwoli, uzna on zemstę Tygrysa za sprawiedliwą.

- Orzeł Czubaty ma słuszość. Stary głupiec ze mnie, żem sam tego nie zrozumiał. Orzeł Czubaty ma serce najszlachetniejsze w świecie: woli zginąć okrutną śmiercią, aniżeli panienkę narazić na niebezpieczeństwo.

- Czy brat mój nie słyszał, kiedy los Orła Czubatego ma się spełnić?

- Podczas wesela Jelenia Wrzącego.

- A kiedyż to wesele ma się odbyć?

- Za parę tygodni.

- Orzeł Czubaty szydzi ze swych nieprzyjaciół.

- Pięknie to bardzo, ale oni go dlatego zamordują.

- Nim wilki pożrą Orła, jaguar wilki porozdziera.

- Cóż to ma znaczyć? Czyżby wódz miał jakie nadzieje? W takim razie powinien by mi te rzeczy jaśniej wyłożyć.

- Czy brat mój jest pewny, że nas nikt nie podsłucha, że żadnego z tych psów Pawnisów nie ma w pobliżu?

- Ależ nie ma z pewnością.

- A więc niech brat mój się dowie - mówił Orzeł Czubaty tak cichym szeptem, że Tobiasz ledwo go dosłyszeć zdołał - przyjaciele są blisko.

- Ach, to doskonale! Iluż ich jest?

- Tymczasem trzech tylko.

- Cóż może trzech ludzi uczynić przeciw takiej sile?

- Będzie ich wkrótce więcej, paręset zapewne.

- To byłoby już lepiej, chociaż i paręset niełatwo da radę tej niezliczonej zgrai Pawnisów. Ale skąd u Pana Boga mógł wódz się o tym dowiedzieć?

- Jeden z tych trzech przyjaciół doniósł sam o wszystkim Orłowi Czubatemu.

- Co, tu w obozie Pawnisów? To niepodobieństwo, Orzeł Czubaty żartuje sobie ze mnie!

- Orzeł Czubaty nie ma zwyczaju żartować! Otrzymał on te wieści kilka dni temu, wówczas, gdy brat mój stał także na straży przy tej chatce.

- Czy to być może?

- Brat mój ani spostrzegł, gdy przyjaciel do chatki się wśliznął.

- Nie, nie, ja temu uwierzyć nie mogę, wódz Osagów żarty sobie ze mnie stroi!

- A jednak tak było. Ale niech mój brat nie dziwi się temu zbyt, ten, który go w pole wyprowadził, zręczniejszy jest i przebieglejszy od wielu Indian.

- Któż to taki; jak się nazywa?

- Serce Prawe.

- Serce Prawe? Ten znakomity myśliwy, o którym takie nadzwyczajne rzeczy opowiadają?

- Ten sam. Zaraz pierwszej nocy, która nastąpiła po dniu naszego tu przybycia, Orzeł Czuby dowiedział się, że przyjaciel jego jest bardzo blisko.

- To rzecz niesłychana! Trudna do uwierzenia!

- Najpierw trzy razy w krótkich odstępach odezwało się z lasu gruchanie dzikiego gołębia. Orzeł Czuby dowiedział się tym sposobem, że najlepszy przyjaciel jego, takim bowiem jest mu Serce Prawe, znajduje się w pobliżu i czuwa nad nim.

- Ale wódz wspomniał o trzech przyjaciolach: któż są dwaj inni?

- Ojciec i starszy brat Elli.

- O mój Boże, co za szczęście! - wykrzyknął uradowany stary sługa, głęśniej nieco, niż należało.

- Brat mój jest nieostrożny - przestrzegaj Orzeł Czuby.

- To prawda, zapomniałem się - mówił Tobiasz znów ciszej - już to podobno dosyć będzie na dziś tej rozmowy. O jedno tylko jeszcze muszę zapytać: co ten myśliwy Serce Prawe doniósł wodzowi?

- Że kilku wojowników pośpieszyło do siedlisk Osagów, aby dać znać o uwięzieniu wodza, zapewne też przybędą mu na ratunek.

- Daj to Boże! A czy oni prędko mogą tu przybyć?

- Słońce musi jeszcze po wiele razy zanurzyć się w wielkiej wodzie, nim Osagowie się zbiiorą i daleką drogę odbędą.

- Niestety! A tu wesele Jelenia Wrzącego ma już niedługo się odbyć.

- Wielki Duch wszystko na dobre zwróci - rzekł spokojnie Orzeł Czuby. - Osagowie się nie spóźnią, mają rączę konie, a Serce Prawe zalecił im pośpiech jak największy.

- Ja jednak w najokropniejszej trwodze czekać będę dnia wesela.
- Orzeł Czuby jest spokojny, Serce Prawe czuwa nad nim.
- Wódz pokłada widocznie wielką ufność w tym myśliwym.
- Ufność bez granic. Przyjaciół mój jest odważny, mądry, posiada siłę olbrzyma. Czyżby zwyczajny człowiek potrafił zakraść się do obozu Pawnisów?

- To prawda. Dotąd nie pojmuję, jak on mógł tej sztuki dokazać. A pomimo to wszystko, cóż zdoła jeden człowiek uczynić przeciw takiej liczbie?

- Mój brat nie ma podobno zbyt odważnego serca...

- Pst! na miły Bóg, ktoś idzie - szepnął Tobiasz i spiesznie wyszedł z chatki.

Ujrzał w istocie zbliżającego się wolnym krokiem Indianina. Był to Tygrys Zębaty, który co noc prawie, a zwłaszcza gdy Tobiasz stał na straży, zaglądał do swojego jeńca w obawie, aby nie umknął. Obaczywszy wartość na swoim miejscu odszedł spokojnie dalej. Tobiasz chodził przez czas jakiś naokoło chatki, wreszcie, upewniwszy się, jak sądził, że Tygrys Zębaty spać się położył, znowu wszedł po cichu do jeńca.

- Kto wie, czy będę miał drugi raz taką dobrą sposobność do rozmowy z wodzem - rzekł - przyszedłem więc jeszcze na chwilę, może Orzeł Czuby ma mi co do polecenia.

- Mój brat jest nadzwyczaj nieroztropny - odrzekł wódz Osagów. - Jeżeli Tygrys Zębaty powziął choćby najłżejsze podejrzenie, musi go teraz szpiegować.

- Orzeł Czuby może być spokojny. Tygrys Zębaty ani myśli o tym: widziałem doskonale, jak wszedł do swojej chaty i teraz pewnie już chrapie. Nie jestem przecież ślepy.

- Błdy człowiek jest ślepy i nikczemny! - odezwał się w tej chwili za plecami śmiertelnie przerażonego Tobiasza głos Tygrysa przyciszony, lecz drżący z wściekłości; chwycił on jednocześnie biedaka za kołnierz i jednym pchnięciem powalił na ziemię. Wnet zjawiono się czterech Indian i skrzepowało mu ręce i nogi.

- Tak to błdy człowiek postępuje z Pawnisami, którzy mu zawierzyli i przyjęli za brata? - mówił Tygrys Zębaty do nieszczęśliwego Tobiasza. -

Bladzi ludzie są ślepi, głusi i głupi jak indyki, i równie łatwo dają się w pole wyprowadzić. Błady człowiek wyobraził sobie, że nikt nad nim nie czuwa, że zdrada jego się ukryje. Mylił się bardzo i kara śmierci teraz go nie minie. Pilnować mi dobrze tego nędznika!

Dwaj Indianie odprowadzili nieprzytomnego prawie ze strachu i zmartwienia Tobiasza, dwaj inni pozostali na straży przy Orle Czubatym. Tygrys polecił, aby odtąd strzegła go straż podwójna. Sam zaś, nim odszedł, rzekł jeszcze do jeńca z jadowitym uśmiechem:

- Wódz Osagów obawia się śmierci jak stara kobieta. Ogląda się na wszystkie strony za ratunkiem i strażę namawia do zdrady. Ale Tygrys Zębaty czuwa dobrze.

I odszedł spieszenie, nie czekając odpowiedzi.

Tobiasza następnego rana odesłano na powrót do wioski, gdzie wodzem był ojciec Jelenia Wrzącego. Ella strasznie się zmartwiła, gdy cała ta przygoda doszła do jej uszu. Ale na próżno błagała o łaskę dla starego sługi: Indianie byli srogo obrażeni tą zdradą i Jeleń Wrzący ją upewnił, że gdyby chciał nawet, nie mógłby teraz od śmierci uratować winnego. Wyrok był nieodwołalny: biedny Tobiasz miał zginąć razem z Orłem Czubatym podczas wesela Jelenia ze Stokrotką.

XXVII

WESELE JELENIA WRZĄCEGO

Upłynęło znowu parę tygodni i nadszedł wreszcie z taką trwogą oczekiwany dzień uroczystości weselnej. Od samego rana w chacie i przed chatą Ludowika, przybranego ojca Stokrotki Polnej, zbierać się zaczęli krewni narzeczonej i narzeczonego. Ella musiała także być obecna, chociaż nie mogła się dostroić do ogólnej radości. Na bladej twarzyczce dziewczyny malowała się boleść głęboka, oczy jej niespokojnie spoglądały w stronę lasu, w oczekiwaniu ratunku. Wiedziała, że ojciec i brat jej wraz z wojownikami Orła Czubatego mieli pośpieszyć do siedlisk Osagów, lecz czemuż pomoc tak się opóźniała?

Gdy wszyscy goście weselni się zebrali, rozpoczęła się właściwa uroczystość ślubna. Jeleń Wrzący, dziś po raz pierwszy przybrany w oznaki wodza, podszedł poważnym krokiem do Stokrotki Polnej, wziął ją za prawą rękę i wyprowadził na środek murawy, dokoła której siedzieli Indianie. Wśród uroczystego milczenia pan młody zaczął mówić o szczerym swoim przywiązaniu do Stokrotki, a mówił to wszystko głosem wzruszonym i pełnym uczucia. Potem przyrzekł solennie wybraną swoją opiekować się, bronić jej przed nieprzyjaciółmi i własną piersią osłaniać przed niebezpieczeństwem, oraz zawsze o tym pamiętać, aby miała obfitość zwierzyny i nigdy nie zaznała niedostatku. Na koniec podał Stokrotce w darze piękny naszyjnik z kolorowych paciorków.

Teraz z kolei zabrała głos panna młoda. W wyrazach kwiecistych i wyszukanych przyrzekała spełniać pilnie i gorliwie obowiązki gospodyni domu, uprawiać ziemię, zasiewać i zbierać zboże, nie zaniedbywać rozmaitych

robót należących do kobiety. Na zakończenie ofiarowała Jeleniowi nóż myśliwski. Najbliżsi krewni pierwsi składali młodej parze powinszowania i życzenia szczęścia, następnie zbliżali się inni z kolei: oni zaś wszystkim dziękowali serdecznie. Ceremonia była skończona: rozpoczęła się biesiada, która jednak nie trwała długo. Spożywszy szybko mięso pieczone i gotowane, placki z kukurydzy i inne przysmaki, całe zgromadzenie wyruszyło na wielki plac, gdzie miało się odbyć okrutne widowisko: wykonanie wyroku śmierci na dwóch nieszczęśliwych jeńcach.

Plac ten znajdował się pod lasem. W samym środku wznosiły się białe w ziemię dwa mocne pale. Cała ludność tłoczyła się na placu, otaczając dokoła pale, przy których pozostawiono miejsce wolne. Byli tam starcy i kobiety, i dzieci, i wojownicy. Ella pokonała straszliwe wzruszenie i, przecisnąwszy się w towarzystwie panny młodej i innych dziewcząt indyjskich przez tłum, stanęła blisko złowrogich palów. Chociaż krew stygła w jej żyłach na samą myśl tak okropnego widowiska, jednak z drugiej strony nieokreślone jakieś uczucie ją tam ciągnęło i jakiś głos tajemny mówił w duszy, że jej obecność mogła się na coś przydać nieszczęśliwym skazańcom. Dziewczyna posiadała odwagę i moc ducha niepospolitą, zapanowała więc i teraz nad trwogą i wytrwała w postanowieniu.

Wkrótce ukazał się na placu wódz Osagów. Ella nie widziała go od chwili, gdy z nim przybyła do siedliska Pawnisów; zmiana, którą spostrzegła w jego powierzchowności, boleśnie ją dotknęła. Twarz wychudła i oczy głęboko zapadłe świadczyły aż nadto, jak okrutnie nielitościwi nieprzyjaciele obchodzić się z nim musieli w więzieniu. A jednak i teraz postawa jego była śmiała i dumna, głowa podniesiona wysoko, oczy spoglądały spokojnie dokoła. Ręce miał związane na plecach, pomimo to otaczała go gromadka wojowników uzbrojonych. Tuż za nim postępował Tygrys Zębaty: chociaż usiłował nadać swej twarzy wyraz spokojny i uroczysty, znać było na niej złośliwą, wstrętą radość.

Gdy tylko zgromadzeni ujrzeni skazanego, zaczęli go obrzucać najdotkliwszymi obelgami, przy czym niezbyt zaszczytnie odznaczały się kobiety. Orzeł Czuby nie zdawał się zwracać na to najmniejszej uwagi. Kiedy niekiedy szyderycy uśmiech ukazywał się na chwilę na zaciśniętych jego

ustach. Raz tylko jeden, gdy spotkał zalane łzami oczy Elli, wyraz głębokiej bóleści pojawił się na pięknej szlachetnej jego twarzy; nikt jednak, oprócz młodej dziewczyny, nie spostrzegł tego. Wódz Osagów w mgnieniu oka pokonał wzruszenie, skinął ku niej głową z uśmiechem niewymownej słodyczy i życzliwości, mówiąc głosem dźwięcznym i spokojnym:

- Orzeł Czubaty żegna bladą siostrę swoją. Wyglądał on ratunku do ostatniej chwili, teraz już widzi, że umierać musi. Orzeł Czubaty potrafi śmierć ponieść tak, jak na wodza przystało.

Oprawcy wprowadzili go dalej, a potem uwiązali Orła Czubatego do pala. Znowu podniosły się dzikie wrzaski kobiet. Tygrys Zębaty wystąpił naprzód, skinął ręką i cisza uroczysta zaległa dokoła.

W mowie napuszonej, pełnej najśmieszniejszych przechwałek, wódz Pawnisów zaczął dowodzić, iż lud jego miał tysiączne powody nienawiści do całego plemienia Osagów, a szczególnie do Orła Czubatego, którego Wielki Duch oddał w jego ręce. Potem zwrócił uwagę obecnych, że on to sam, Tygrys Zębaty, pochwylił tego śmiertelnego wroga, co stanowi zasługę niemałą. Wspominał z szyderstwem, jak w początkach obawiano się, aby Osagowie nie wypowiedzieli wojny Pawnisom usiłując wodza swego ratować. On wszakże spokojny był o to, wiedział bowiem, że Osagowie są tchórze i bez wodza swego nie odważą się nigdy na wojenną wyprawę. Nie widział też żadnej potrzeby zabezpieczać się przeciw tej napaści: teraz okazało się, że miał słuszość. Oto nadeszła ostatnia godzina skazanego, a nikt się o niego nie upomniał, nikt nie próbował go nawet ratować.

Gdy Tygrys umilkł, z kolei głos zabrał Orzeł Czubaty. Spokojnie i z umiarem począł opowiadać o walecznych czynach, których niemało już spełnił, pomimo lat młodych. Lecz więcej daleko od własnego wynosił męstwo swoich wojowników, porównywał ich do Pawnisów i tych z największą pogardą nazywał tchórzami. O śmierci swojej wspominał jako o rzeczy nic nie znaczącej i mówił na zakończenie:

- Orzeł Czubaty wypełnił wiernie wszystkie obowiązki względem swego ludu aż do tej godziny. Wygrał wiele bitew i liczne skalpy nieprzyjaciół wieszę w jego wigwamie. Dzielni wojownicy Osagowie pomszczą niezawodnie krwawo śmierć swego wodza. Niech Pawnisy strzegą odtąd nieustannie

swoich skalpów, bo Osagowie śledzić ich będą na różnych ścieżkach. Tygrys Zębaty przechwalać się umie, a jest tchórzem, napada odważnie tylko na starców, dzieci i bezbronne kobiety. Ale przekona się Tygrys o waleczności plemienia Osagów: nie zdążyli wojownicy Orła Czubatego w porę, by go uratować, lecz tym srożej śmierć jego pomszczą. Orzeł Czubaty nie obawia się umierać, jest wojownikiem.

Przeraźliwe wrzaski odpowiedziały na tę zuchwałą mowę Orła Czubatego, który chciał zniescierpliwic swoich wrogów, aby mu oszczędzili męczarni i prędzej zamordowali. I rzeczywiście niejeden tomahawk podniósł się groźnie, szczególnie młodzi wojownicy nie mogli tych obelg znieść spokojnie. Ale Tygrys Zębaty nie dopuścił do tego: chciał on się napić wprzód widokiem cierpień znienawidzonego nieprzyjaciela. Zastrzegł też sobie u Jelenia Wrzącego i jego ojca zupełną swobodę postępowania ze swoim jeńcem.

Dał znak ręką i przystąpiła gromada wojowników: trzymali w ręku ostre tomahawki i ciskali je szybko jeden za drugim. Ella krzyknęła i z rozpaczą załamała ręce; myślała, że go w jednej chwili zamordują, ale była to tylko okrutna zabawa. Wojownicy tak zręcznie rzucali broń swoją, że ostrze dotykało pała ponad samą głowę skazanego nie sprawiając mu najmniejszego uszkodzenia. Wieczna hańba spadłaby na tego niezdare, który by go zabił lub zranił tylko. Trwało to dość długo; przez cały ten czas Orzeł Czubaty ani drgnął, a chociaż głowę miał zupełnie swobodną, nie poruszył się nawet i nie zmrużył oka, gdy ostre siekierki przelatywały raz po raz tuż nad nim. Kiedy niekiedy śmiał się pogardliwie, lżył swoich nieprzyjaciół, zarzucał im tchórzostwo i kobietami nazywał.

Ella zalewając się rzewnymi łzami z przerażeniem spoglądała na tę scenę i chociaż ją opuściła już wszelka nadzieja, jednak mimo woli oczy jej w dal się zwracały, jakby wzywając pomocy, ratunku!

- Niech Sarenka Modrooka teraz odejdzie - szepnęła jej do ucha Stokrotka Polna. - Sarenka nie nawykła do tego widoku, sprawi jej to pewnie wielką przykrość.

- Jeśli go dobiją, przynajmniej cierpieć przestanie - odrzekła Ella. - Czy to ma zaraz nastąpić?

- O, nie - mówiła Stokrotka - nieprędko oni zabiją Orła Czubatego, długo jeszcze cierpieć będzie.

- O Boże miłosierny! - mówiła Ella łamiąc ręce - co za straszne okrucieństwo!

- Niech Sarenka Modrooka odejdzie - powtórzyła Stokrotka.

Ella jednak nie odeszła, lecz, pod wpływem najżywszej boleści, bez namysłu podskoczyła do miejsca, gdzie stał Tygrys Zębaty w towarzystwie Jelenia i jego ojca. Biedna dziewczyna chciała błagać o łaskę dla nieszczęśliwego, a chociaż nie miała nadziei zmiękczyć kamiennego serca wodza Pawnisów, postanowiła spróbować tego ostatniego środka. Lecz w tejże samej chwili od strony lasu dały się słyszeć dzikie okrzyki i nagle zamieszanie powstało pomiędzy Indianami. Przerażone głosy zewsząd wołały raz po raz:

- Osagowie! Wielki biały myśliwy!

XXVIII

ODSIECZ

Jak wiadomo czytelnikom, myśliwy Serce Prawe, a z nim osadnik Wattson i jego syn Jan przybyli w te strony jednocześnie z Pawnisami, powracającymi do swoich rodzinnych siedlisk. Przyszło im to z łatwością, gdyż Indianie nie śpieszyli się zbytnio z podróżą, a Serce Prawe, znając doskonale tę całą okolicę, często krótsze drogi wynajdywał. Na szczęście rozległy i gęsty las graniczył z wioskami Pawnisów, mógł więc myśliwy, ukryty wśród gęstwiny, byстрыm swym wzrokiem wybadać, co się tam działo. Wkrótce wyszedł, w którym szalasię więziony był Orzeł Czubaty; dowiedział się także i o tym, że Ella i Tobiasz znajdowali się w drugiej wiosce, na przeciwnym wybrzeżu rzeki.

- To dobrze - szepnął do starego Wattsona - o córkę pańską i Tobiasza możemy być tymczasem spokojni. Jeleń Wrzący wziął ich oboje pod opiekę, Tygrys nie ma już obecnie żadnej władzy nad nimi. Niegodziwiec tym się zadawała, że dostał Orła Czubatego w swoje ręce. Nie śpieszy się z zamordowaniem jeńca, bo pragnie jak najdłużej się nad nim znęcać; bardzo to nam na rękę.

Wszyscy trzej krążyli niepostrzeżenie przez dzień cały w pobliżu wiosek indyjskich i byli świadkami hałaśliwej radości mieszkańców przy powitaniu powracających z wyprawy wojowników. Ale i w nocy Serce Prawe nie chciał się oddalać od przyjaciela, zagrożonego tak srogo w rękach śmiertelnych wrogów. Umówił się więc z dwoma towarzyszami i urządzili rodzaj warty nieustającej; każdy z nich kolejno przez kilka godzin czuwał pilnie z daleka nad wioskami indyjskimi. Nazajutrz o świcie zeszli się razem i długo radzili nad tym, co dalej czynić wypadało.

- Przede wszystkim - odezwał się Serce Prawe - zawiadomić trzeba jeńca, że przyjaciele są w pobliżu.

- Ale jakimże sposobem? - zapytał Jan Wattson.

- Oto takim - odezwał się myśliwy i przyłożywszy obie ręce do ust z zdziwiająco dokładnością począł naśladować gruchanie dzikiego gołębia.

- I on ten znak rozumie? - pytał znów Jan.

- Niewątpliwie - i myśliwy powtórzył gruchanie.

- Więc to Znak umówiony pomiędzy wami?

- Tak, mamy dużo podobnych znaków, a do każdego, stosownie do pory dnia lub nocy, przywiązane jest pewne znaczenie. W dzień naśladowanie głosu indyka, sępa leśnego, przedrzeźniacza i innych ptaków najmniej zwraca uwagi, podczas ciemnej nocy można udawać skrzeczenie żab drzewnych, mruczenie kuguara, wycie wilków stepowych, brzęczenie świerszcza, lecz raniutko o świcie najwłaściwsze jest gruchanie dzikich gołębi. Rozumie się, że są jeszcze umówione inne drobne znaki, po których wszystkie te udane głosy rozróżniamy od prawdziwych.

- A zatem jesteś pan pewny, że Orzeł Czuby wie już w tej chwili o naszej tu obecności? - spytał stary Wattson.

- Najpewniejszy. Niemożliwe, aby to wołanie, tak dobrze znane, uszło jego uwagi.

- Nie na wiele mu się to przyda, co prawda - mruknął Jan.

- Teraz, rozumie się, nie możemy mu dać żadnej pomocy - rzekł myśliwy - zawsze jednak ta myśl, że wierny przyjaciel, który już nieraz życie narażał w jego obronie, znajduje się w pobliżu, niemalą mu przyniesie pociechę. Przy tym znacznie wyglądać z dnia na dzień odwiedzin tego przyjaciela.

- Odwiedzin? Jak pan to rozumiesz? - spytali jednocześnie obaj Wattsonowie.

- Jak to mam rozumieć? Odwiedzę go którego dnia w więzieniu.

- Czyś pan oszalał?

- Bynajmniej.

- Chce pan chyba dobrowolnie i bez żadnej potrzeby narazić się na najokropniejsze niebezpieczeństwo? - zawołał stary Wattson zatrzwożony.

- To zależy od okoliczności.
- I kiedyż pan myśli się puścić na to szaleństwo? Wybaczy pan wyrażenie.
- Nie zaraz. Trzeba trochę wyczekać. Jeniec z czasem dowie się zapewne, jak prędko wyrok ma być na nim spełniony, a dla nas ta wiadomość jest nadzwyczaj ważna.
- Masz pan słuszność, wówczas dopiero potrafimy obliczyć, czy Osagowie zdążą w porę na ratunek swego wodza.
- A jeżeli nie zdążą? - odezwał się Jan - co my pocniemy w takim razie?
- Co do mnie, wiem co czynię - mówił Serce Prawe spokojnie. - Jedynym moim zadaniem będzie wymierzyć karę zasłużoną okrutnemu i nikczemnemu Tygrysowi. Potem gotów jestem zginąć razem z przyjacielem moim, Orłem Czubatym. O życie moje nikt nie dba na tej ziemi. Panowie zaś będziecie mogli ratować się ucieczką.
- A Ella? - rzekł stary Wattson.
- Jej się nic złego nie stanie pod opieką Jelenia Wrzącego.
- Czy pan sądzi, że on ją wypuści z niewoli i pozwoli do nas powrócić?
- O, nie, tego Pawnisy nie uczynią nigdy.
- I nam więc nic nie pozostanie, tylko zginąć wraz z panem.
- Tak jest, my stąd nie odejdziemy bez Elli - potwierdził Jan.
- To dobrze - rzekł myśliwy - jesteśmy więc wszyscy przygotowani na najgorsze. Ale ja mam nadzieję, że do tej ostateczności nie dojdzie, bo Osagowie pośpieszą, o ile tylko będą mogli. Dałem im pod tym względem odpowiednie polecenia. Dla nas obecnie najważniejszym zadaniem jest ukrywać się tak starannie, ażeby nas tu Pawnisy nie zwietrzyli. Niemalże na to potrzeba roztropności, uwagi i czujności, aby wszelki ślad zatrzeć za sobą i bystry ich wzrok oszukać. Ostrzegam panów, że to sprawa niełatwa, bo musimy bądź co bądź trzymać się ciągle w pobliżu ich wiosek. Niebezpieczeństwo, rozumie się, największe jest w dzień, a jednak właśnie w biały dzień najpilniej czuwać musimy, gdyż wyroki śmierci zawsze około

południa bywają wykonywane. Wszyscy trzej jednocześnie nie powinniśmy się nigdy narażać, sądzę więc... Ale wprzód powiedzcie, moi panowie, czy macie do mnie zupełne zaufanie?

- Najzupełniejsze, nieograniczone - odpowiedzieli obaj.
- Ma pan w całym kraju zachodnim sławę najznakomitszego myśliwego i najzacniejszego człowieka. Któż by mógł panu nie ufać? - dodał ojciec.
- To dobrze. Powierzcież mi czuwanie dzienne.
- A cóż my przez ten czas robić będziemy?
- Będziecie się ukrywali w zacisznym ustroniu, które wam wskażę. Nocą zaś kolejno wartę odprawiać będziemy. Czy nic, panowie, przeciwko temu nie macie?

- Postanowiliśmy słuchać pana we wszystkim - odrzekli.
- To dobrze. Chodźcie teraz ze mną do tej kryjówki. Gdybyście kiedy usłyszeli trzykrotnie powtórzony w jednakowych odstępach krzyk jastrzębia, będzie to znak, że przyjaciel wasz jest w wielkim niebezpieczeństwie. Czyńcie wówczas, co za stosowne uważać będziecie: ratujcie się sami ucieczką lub próbujcie mi dać pomoc. Idźmy.

Myśliwy ruszył naprzód, dwaj towarzysze poszli za nim i wkrótce przybyli do miejsca, jakby stworzonego na bezpieczną kryjówkę.

- Pozostańcież tu, panowie, i zachowujcie się jak najciszej - rzekł Serce Prawe. - Pojmujecie, że nie możemy zdradzać obecności swojej strzałami z palnej broni, musimy więc wyrzec się polowania i poprzestać na nędznym posiłku, którego nam dostarczą korzonki i jagody leśne.

- Rozumie się, inaczej być nie może - odpowiedzieli tamci.
- Do widzenia wieczorem.

Wyrzekłszy te słowa, myśliwy odszedł. Upłynęło tak dni kilka; nocą wszyscy trzej czuwali kolejno, w dzień obaj Wattsonowie przebywali w swej kryjówce. Z zadziwiającą przebiegłością młody myśliwy umiał uchronić się od spotkania z Pawnisami i wszelkie ślady tak zręcznie po sobie zacierał, że nieprzyjaciele ani się domyślali obecności takiego wroga w okolicy.

- Musi w tym coś być - rzekł pewnego wieczora Serce Prawe do towarzyszy - że Pawnisy tak długo się ociągają z zamordowaniem Orła Czubatego. Lubią wprawdzie męczyć jeńców takim wyczekiwaniem śmierci, tym

razem sędzę jednak, że inna okoliczność musiała to spowodować. Może jaka uroczystość ma być obchodzona w tym czasie i chcą ją uświetnić okrutną śmiercią wodza Osagów.

Czytelnicy już wiedzą, że Serce Prawe nie mylił się w tych przypuszczeniach.

Gdy następnego wieczora przyszedł do kryjówki Wattsonów, twarz jego miała wyraz niezwyklej radości.

- Dobra wiadomość! - zawołał na powitanie. - Pawnisy wypuścili Tobiasza, przenieśli go do wioski Tygrysa Zębatego po tamtej stronie rzeki. Widziałem na własne oczy, jak stary przechadza się swobodnie pomiędzy szalasami. Musiał im przyrzec wierność, gdyż nie sędzę, aby pod innym warunkiem swobodę odzyskał.

W kilka dni później myśliwy dziwniejszą jeszcze przyniósł nowinę, mianowicie: że Tobiasz używany jest przez Pawnisów do pilnowania jeńca.

- Teraz podobno najlepsza będzie pora - dodał na zakończenie - muszę się koniecznie dostać do Orła Czubatego.

- Że Tobiasz pana nie zdradzi, to pewna - rzekł Jan - tylko...

- Ależ ja wcale nie myślę się pokazywać Tobiaszowi - przerwał żywo myśliwy - choćby mnie nie chciał zdradzić rozmyślnie, przez nieroztropność mógłby narobić hałasu, zanim bym zdążył mu się dać poznać, lub z powodu nagłego wzruszenia. Co prawda, od niego dowiedziałbym się od razu wszystkiego, na czym mi zależy, ale to rzecz zanadto niebezpieczna. Dlatego jedynie myślę wybrać porę, gdy on na warcie stać będzie, że starowina ten nie może być tak czujny jak rodowity Indianin, więc łatwiej mi przyjdzie go podejść.

Obaj towarzysze musieli przyznać słuszność myśliwemu; wszyscy też niecierpliwie i niespokojnie wyglądali chwili stosownej do wykonania tego niebezpiecznego przedsięwzięcia. Nadarzyła się wkrótce. W parę dni później Serce Prawe spenetrował, że Tobiasz późnym wieczorem postawiony był na warcie przy szalacie Orła Czubatego. Łatwo stąd mógł wnosić, że stary pozostanie tam do rana.

- Dzisiejszej nocy muszę spróbować - rzekł myśliwy przyszedłszy jak zwykle o zmroku do kryjówki Wattsonów.

O samej północy wyruszył na tę trudną wyprawę, uzbrojony tylko w długi nóż myśliwski. Żegnając ojca i syna, dawał im rozmaite polecenia i rady jak człowiek, który nie jest pewny, czy powróci.

Znał on już od dawna jak najdokładniej położenie szałasu, w którym Orzeł Czubaty był więziony, i wiedział, że stoi niedaleko od rzeki, na wybrzeżu dość wysokimi krzakami zarośniętym. Upewniwszy się, że go nikt nie śledzi, myśliwy wszedł do wody; była płytka, nawet do kolan mu nie sięgała, postępował więc dalej trzymając się brzegu i starannie unikając najbliższego szelestu. Kiedy niekiedy tylko podnosił głowę ponad brzeg rzeki, aby się nie posunąć za daleko. W końcu ujrzał przed sobą osadę; pannaowała w niej cisza najgłębsza. Stąd wydostał się z największą ostrożnością na wybrzeże i zaczął się przesuwać na czworakach pomiędzy krzakami. Dostawszy się do skraju zarośli przystanął znowu, a rzuciwszy baczenie wzrokiem dokoła spostrzegł wkrótce, że miał prawie prosto przed sobą więzienie wodza Osagów. Ażeby się do niego dostać, trzeba było przebyć niewielką przestrzeń odkrytą, na szczęście jednak i na niej rosło w pewnych odstępach kilka krzaków, a z nich jeden niedaleko wejścia do szałasu.

Otóż teraz trzeba było dotrzeć do tego krzaka, a to zadanie ogromne przedstawiało trudności. Wartownika niepodobna było dojrzeć, musiał jednakże stać blisko wejścia. Jak wąż, bez najbliższego szelestu, przyczołgał się myśliwy do pierwszego krzaka.

Przeczekałszy tu dość długo, podpełzał z tą samą ostrożnością do następnego krzaka, potem do dalszego, aż póki nie dostał się do tego, który stał tuż przy szałasie. Pozostawało już tylko wśliznąć się do środka szałas; tymczasem Tobiasz, jak na złość, z największą gorliwością chodził dokoła, nie zatrzymując się ani na chwilę. W tej przechadzce tak się niekiedy zbliżał do leżącego pod krzakiem myśliwego, że ten mógłby być ręką za odzienię go pochwyć. Serce Prawe zaczynał już myśleć, że nie będzie innego sposobu, tylko dopuścić Tobiasza do tajemnicy, obawiał się jednak niezmiernie, aby ich nie zdradził mimo woli w pierwszej chwili przestrachu. Tymczasem Tobiasz, znużony na koniec przechadzką, stanął przy wejściu do szałas i ręce na piersiach założył. Korzystając z głębokiej ciszy, myśliwy z zadziwiającą wprawą naśladował świerszcza, i powtórzył to trzy razy, i wnet z głębi

szasału odpowiedział mu odgłos podobny, na znak, że jeniec usłyszał i zrozumiał przyjaciela.

Tobiasz tej nocy nie śmiał jeszcze zbliżyć się do Orła Czubatego: długie czuwanie znużyło go w końcu i zaczął poziewać; myśliwy spostrzegł to z zadowoleniem i czekał cierpliwie. Nie zawiódł się w oczekiwaniu: stary poziewał raz po raz, aż wreszcie, ku wielkiej radości myśliwego, usiadł na ziemi, i oparłszy się plecami o szasał, wkrótce chrapać zaczął w najlepsze. Wielka była radość Orła Czubatego na widok ukochanego przyjaciela, musiał jednak głośnie jej objawy powstrzymać. Obaj porozumieli się w kilku słowach, wymówionych cichym szeptem, lecz wieści, których sobie udzielili wzajemnie, nie były wesołe. Zmartwiło to myśliwego, że wódz Osagów nie mógł mu powiedzieć, kiedy wyrok śmierci miał być na nim wykonany, a tamten znów zasmucił się brakiem pewniejszych danych o przybyciu jego wojowników.

Jakkolwiek Orzeł Czubaty mógł być z łatwością wymknąć się teraz z pomocą przyjaciela, żadnemu z nich nawet na myśl to nie przyszło, wiedzieli bowiem, że wówczas biedna Ella wpadłaby z pewnością w moc Tygrysa Zębatego, a ten pomściłby się na niej okrutnie. Przyjaciele nie przedłużali swej rozmowy nad konieczną potrzebę: chociaż Tobiasz chrapał, lada chwila jednak mógł się przebudzić, obaj zaś zgodzili się na to, że niebezpiecznie było dopuszczać go bez uprzedniego przygotowania do tajemnicy. Serce Prawe powrócił do lasu tą samą drogą, którą się tu dostał.

I znowu czas upłynął wśród niespokojnego oczekiwania. Każdy dzień, świtający na niebie, mógł być ostatnim dla Orła Czubatego. Myśliwy niecierpliwie wyglądał przybycia Osagów, którzy opóźnili się więcej, niż należało, według jego obliczeń. Dnia pewnego myśliwy stał na czatach, jak zwykle, gdy z przerażeniem ujrzał na placu pod lasem gromadkę Indian, zajętą wbijaniem w ziemię pali i malowaniem ich czarną farbą. Wiedział on aż nadto dobrze, do czego takie pale służyły. Twarz jego zawsze posępna, powlokła się jeszcze głębszym smutkiem; westchnął ciężko i półgłosem wyrzekł sam do siebie:

- To dobrze; uratować go nie zdołam, lecz zginę przynajmniej z nim razem.

Potem udał się jak najspieszniej do ustronia, w którym Wattsonowie przez dzień cały ukrywali się. Zawiadomił ich o tym, co się działo, oni zaś obaj upewnili go, że go nie odstąpią i, jeśli nie będą mogli żadnej pomocy przynieść wodzowi Osagów, życie w jego obronie poświęcą. Wszyscy trzej zbliżyli się ostrożnie do wioski indyjskiej: łatwo było dostrzec, że panował tam ruch niezwykły, zwłaszcza kobiety i dzieci okazywały wielkie ożywienie, jakby w przeddzień jakiejś uroczystości.

Serce Prawe nie usnął tej nocy ani na chwilę. Raniutko o świcie oddalił się nieco od towarzyszy i w miejscu ustronnym, gdzie go nikt widzieć nie mógł, padł na kolana gorącą modlitwą wzywając łaski Tego, który nie zapomina o najuboższych swych dzieciach. Po ukończeniu modlitwy wyjął z torby myśliwskiej paczkę w papier owiniętą, z którą się nigdy nie rozstawał. Gdy papier rozwinął ukazała się mała książeczka, po której okładce znać było, iż często musiała być brana do ręki. Serce Prawe przycisnął do ust książeczkę i odwróciwszy okładkę odkrył kartę tytułową. Było to „Naśladowanie Chrystusa”. Myśliwy wyjął z kieszeni kopertę, na której wypisany był adres następujący: „Do rąk własnych don Ramona de Saavedra, właściciela hacjendy del Milagro w okolicy miasta Hermosillos”. Niżej dodany był napis w tych słowach: „Ktokolwiek znajdzie tę książeczkę i umieszczone w niej pismo, proszony jest o oddanie jednego i drugiego według adresu”. Następnie myśliwy wyjął z koperty ćwiartkę papieru i odczytał ją od początku do końca. Spojrzymy mu przez ramię i odczytamy list ten z nim razem:

„Ojcie mój drogi! Przebac, o przebac nieszczęśliwemu synowi twojemu winy, popełnione niegdyś przez młodzieńczą lekkomyślność, zaślepienie szalone i zacięty upór. Odpokutował on ciężko, bardzo ciężko. A jednak dziś błogosławi godzinę, w której mu wymierzyłeś tę zasłużoną karę, gdyż ona to go doprowadziła do opamiętania. Bóg go wziął w bezpośrednią swoją opiekę i sprowadził ze zgubnej drogi zatracenia. Tyś mnie odepchnął od siebie, ojcie, lecz tym sposobem uratowałeś moją duszę. Serce moje do ostatniej chwili pełne było miłości i czci dla ciebie; odszedłem z tego świata z tą myślą błogą, że i ty mi przebaczyłeś. Euzebio, jeżeli żyje jeszcze, niech przyjmie serdeczne moje dzięki za książeczkę, którą mnie obdarzył przy

pożegnaniu. Znalazłem w niej pociechę, radę, umocnienie ducha; w najcięższych chwilach życia uciekałem się do niej z ufnością. Jej to głównie zawdzięczam, że nie uległem rozpacz, że powróciłem stopniowo do równowagi ducha, którą utraciłem wśród szalu młodości, że zwróciłem myśl swoją do Boga, jedynego pocieszyciela, i do ostatniego tchnienia w tych uczuciach wytrwałem.

Ojciec moi i ty, siostrze moja, Karmelo, wam przesyłam ostatnie to pożegnanie: gdy list ten dojdzie rąk waszych, ja już żyć nie będę na tej ziemi. Obaczmy się w lepszym świecie, tam czeka nas pojednanie. Rafael”.

- Tak, w innym świecie dopiero ich zobaczę - mówił myśliwy sam do siebie - a jednak, jakże bym pragnął z własnych jego ust w tym życiu jeszcze usłyszeć przebaczenie...

Serce Prawe włożył list do koperty, a tę do książeczki, obwinął wszystko starannie w ten sam papier i schował do myśliwskiej torby. Potem wstał i wolnym krokiem wracał do towarzyszy. A wtem zatrzymał się nagle i uważnie wsłuchiwać się zaczął: po chwili położył się i ucho do ziemi przytknął. Gdy powstał, na twarzy jego malowało się wielkie wzruszenie, szybkim krokiem pośpieszył do kryjówki, gdzie obaj towarzysze niespokojnie go wyglądali.

- Jeźdźcy się zbliżają - wołał do nich z daleka - i to znaczny oddział jeźdźców! Daj Boże, aby to byli Osagowie! Poczekajcie tu na mnie, panowie, ja pobiegnę na zwiady. - Nie czekając odpowiedzi, puścił się w głąb lasu i znikł wkrótce z oczu przyjaciół, uradowanych pomyslną wieścią. Myśliwy nie potrzebował iść daleko; tętent licznych kopyt końskich coraz wyraźniej słyszeć się dawał: jeźdźcy zmiierzali prosto w tę stronę. Serce Prawe stanął słuchając uważnie; potem wdrapał się na drzewo, a z ust jego wydobył się przeraźliwy krzyk jastrzębia i rozległ się szeroko po lesie. Powtórzył on to wołanie trzy razy w krótkich odstępach, następnie w dłuższych dwa razy. Zaledwie skończył, takież sam odgłos, w ten sam sposób powtórzony, odpowiedział mu z daleka.

- To oni! - wykrzyknął radośnie myśliwy, ze zwinnością wiewiórki zeskakując z drzewa, i biegł w stronę, z której nadjeżdżali jeźdźcy. Postacie ich ukazały się wkrótce pomiędzy gęstwiną leśną. Byli to Osagowie, lecz ze zdumieniem poznał myśliwy pośród jadących na przedzie starych, prawie

niedoleżnych wojowników, którzy już do wypraw podobnych rzadko należeli, brakło zaś najmłodszych i najzdolniejszych. Spodziewał się najmniej dwustu Osagów, w hufcu tym zaś było ich około osiemdziesięciu.

- Bracia moi zaledwie na czas przybyli - rzekł do nich - o mało się nie spóźnili, i przyjaciel Orła Czubatego sądził, że zupełnie o wodzu swym zapomnieli. Widzi on teraz ze smutkiem wielkim, że część plemienia Osagów uznała za słusne przybyć na ratunek wodza, najsilniejsi i najmłodszy woleli natomiast wylegiwać się w swoich wigwamach...

- Mój brat niesłusznie nas podejrzewa - odpowiedział jeden z najstarszych Indian. - Gdy przybyli wojownicy ze straszliwą wieścią, że wielki i ukochany wódz wpadł w ręce psów Pawnisów, zastali tylko mniejszą część mieszkańców po wioskach, reszta wybrała się na daleką myśliwską wyprawę. Odszukiwanie ich i sprowadzanie trwałoby za długo, w każdym razie nie zdążyliby na czas. Osagowie złożyli więc radę wojenną i postanowili, aby każdy, kto tylko broń utrzymać zdoła, wyruszył na ratunek wodza. Trzech ludzi tymczasem puściło się w pogoń za polującymi i zapewne wraz z nimi już także są w drodze.

- To dobrze - rzekł myśliwy - przykro mi, że Osagów posądziłem niesłusznie. Bardzo to nieszczęśliwie, że lud rozproszył się tak nie w porę, lecz na to rady nie ma. Gdy przybędą ci, którzy się na myśliwską wyprawę wybrali, już tu będzie po wszystkim. Bracia moi muszą natychmiast gotować się do walki; nie ma chwili do stracenia, gdyż nieprzyjaciele dziś jeszcze zamierzają Orła Czubatego zamordować. Nie mogę ukrywać przed braćmi moimi, że walka będzie bardzo nierówna: Pawnisy mają ze trzystu wojowników, a zatem więcej niż trzech na jednego. Czy zatem bracia moi gotowi są pomimo to ratować wodza wraz ze mną, krew i życie oddać za niego?

- Osagowie chętnie życie poświęcą dla wodza! - ozwały się liczne głosy. Wszyscy, co do jednego, powtórzyli te słowa.

- To dobrze - rzekł myśliwy i twarz jego się rozjaśniła. - Przede wszystkim niech Osagowie natychmiast wybiorą spośród siebie tymczasowego wodza, który ich do boju poprowadzi.

- Brat nasz, Serce Prawe, będzie wodzem Osagów w zastępstwie Orła Czubatego - wykrzyknęli na to wojownicy jednogłośnie.

- To dobrze - powtórzył raz jeszcze myśliwy. - Nie traćmy czasu: niech Osagowie natychmiast zsiadają z koni i tu je zostawią pod strażą dwóch najstarszych wojowników. Inni wszyscy niech idą za mną.

Rozkazy te spieszenie wykonane zostały. Wszyscy zsiadli z koni, które dwóch starych Indian odprowadziło dalej na pastwisko, po czym gromadka wojowników w milczeniu szła za myśliwym; prowadził on ich do miejsca, gdzie obaj Wattsonowie z niecierpliwością największą na niego czekali. Cicho, bez najlżejszego szelestu, przesuwały się ciemne postacie indyjskich wojowników przez gąszcze leśne. Dużo zależało od tego, aby nieprzyjacieli nie dowiedział się przed czasem o ich przybyciu. Serce Prawe chciał zaskoczyć Pawnsów zniemacka: przy tak nierównych siłach tym sposobem jedynie mógł mieć jakąkolwiek nadzieję wygranej.

Stary Wattson z synem ucieszyli się niezmiernie na widok Osagów, a chociaż ci ostatni nie przybyli w takiej liczbie, w jakiej się ich spodziewano, w każdym razie i taka pomoc była pożądana. Teraz przynajmniej zamiast iść na śmierć pewną, prawdziwą walkę mieli przed sobą. Myśliwy natychmiast wydał potrzebne rozporządzenia: sam miał się zacząć na drzewie, niedaleko od skraju lasu, wszystkim innym zaś kazał się ukryć dalej nieco w gęstych zaroślach, i dopiero na jego znak przybywać jak najspieszniej, unikając wszakże wszelkiego hałasu, i rzucić się nagle na nie przygotowanych do tego napadu nieprzyjaciół. Hasłem, wzywającym do boju, miało być kucie dzięcioła, które myśliwy równie dobrze naśladować umiał jak i inne leśne odgłosy.

Serce Prawe wydał wszystkie te rozporządzenia ze spokojem i stanowczością człowieka, który nie pierwszy raz w życiu znajduje się w tak trudnych okolicznościach i krew zimną zachować umie w największym niebezpieczeństwie. Ukryty wśród gęstych liści na drzewie, był on od samego początku świadkiem okrutnego widowiska, odbywającego się na wielkim placu pod lasem. Patrzył na to, jak Pawnsy prowadzili Orła Czubatego na miejsce kaźni, jak go uwiązali do pala, nie poruszył się wcale, gdy wojownicy

rozpoczęli straszliwe swoje igraszki. Wiedział, że to wszystko nie zagraża życiu Orła Czubatego, a chcąc go uratować, należało wybrać chwilę najstosowniejszą i wczekać, aż Indianie wpadną w szal i o wszelkiej ostrożności zapomną.

Nadeszła wreszcie odpowiednia chwila: myśliwy, znając dobrze zwyczaje indyjskie, wiedział, kiedy prawdziwe niebezpieczeństwo zagrażać zaczyna skazanemu, i w samą porę podał znak umówiony. Kucie dzięcioła jest tak pospolite po lasach amerykańskich, że Pawnisy uwagi na to hasło nie zwrócili. Lecz poznać je musiał Orzeł Czubaty: z oczu strzeliły mu błyskawice, na ustach dziwny uśmiech zaigrał. A tymczasem Wattson z synem i gromadką Osagów stanął przy boku myśliwego, który spiesźnie z drzewa się spuścił.

Gdy Ella, rozpaczą wiedziona podbiegła do miejsca, na którym stał Tygrys Zębaty i Jeleń Wrzący z ojcem, Serce Prawe wypadł ze swej kryjówki i, z bronią podniesioną w rękę, przedzierał się przez tłumy Pawnisów: tuż za nim szli Wattsonowie i gromadka Osagów z głośnym okrzykiem wojennym. Wówczas to młoda dziewczyna usłyszała wołanie:

- Wielki biały myśliwiec! Osagowie!

XXIX

POMOC NIESPODZIEWANA

W tej samej chwili, gdy okrzyki te słyszeć się dały, Tygrys Zębaty podniósł tomahawk w górę i poskoczył do Orła Czubatego. Krew zastygła w żyłach Elli, w oczach jej pociemniało, lecz odważna dziewczyna w mgnieniu oka odzyskała przytomność i, mimowolnym wiedziona uczuciem, wyprzedziła okrutników i stanęła przed wodzem Osagów osłaniając go własnym ciałem.

- Usuń się, blade dziewczę, bo cię z nim razem zamorduję! - krzyknął Tygrys ze złością.

Ale Ella się nie usunęła, tylko wyciągnęła ramiona, jakby nimi chciała odepchnąć śmiertelne pociski. Wtem przed oczyma mignęła jej olbrzymia postać białego myśliwego. Serce Prawe przebił się w jednej chwili przez tłumy dzikich i, ze zwinnością pantery rzuciwszy się na wodza Pawnisów, uderzył kolbą i wytrącił mu z ręki tomahawk, a ręka, która go trzymała, opadła bezwładna. Za myśliwym biegli obaj Wattsonowie: noże ich szybko porozcinały więzy Orła Czubatego, który natychmiast sięgnął po tomahawk, upuszczony przez Tygrysa.

Tymczasem Pawnisy, którzy w pierwszej chwili przerażenia nie zdołali zatrzymać trzech białych, oprzytomnieli prędko i przecięwszy drogę wojownikom Osagom nie dopuścili ich do środka placu. Tym sposobem rozdzielili siły dzielnych obrońców Orła Czubatego. Jeleń Wrzący wraz z ojcem i licznym oddziałem swoim odpierał Osagów, a druga gromadka Pawnisów otoczyła Tygrysa Zębatego. Ci mieli przed sobą czterech tylko przeciwników: trzech myśliwych białych i wodza Osagów, gdy jednak ozwał się huk palnej broni, stracili głowę i zaczęli uciekać; ledwie ich powstrzymał Tygrys

Zębaty, którego na widok tego tchórzostwa prawdziwa wściekłość ogarnęła.

I rozpoczęła się straszna, rozpaczliwa walka. Ci czterej ludzie nieustraszeni stali naprzeciw kilkudziesięciu dzikich wojowników, rozumiejąc to dobrze, że jeśli Opatrzność nie ześle im pomocy, w końcu zginąć muszą, lecz postanowili drogo sprzedać życie. Stanęli jeden przy drugim, Ellę wzięwszy w środek, i na przemian strzelali. Po każdym strzale jeden Indianin padał na ziemię, zabity lub przynajmniej bezwładny, lecz reszta nacieriała z tym większą wściekłością. Osagowie walczyli mężnie, ale zbyt byli słabi, by odeprzeć przemożną liczbę nieprzyjaciół i przyjść z pomocą ukochanemu swemu wodzowi. Położenie stawało się coraz niebezpieczniejsze: Tygrys Zębaty zniecierpliwiony pobudzał swych wojowników, którzy ze wszystkich stron przyskakiwali do bohaterskiej gromadki i dokoła ją otoczyli: on sam ze zręcznością kota umiał zawsze uskoczyć w porę przed kulą i nie był nawet ranny.

Nagle od strony, gdzie walczyli Osagowie, ozwał się huk strzału; potem drugi, trzeci, dziesiąty, słowem: prawdziwa kanonada. Zdziwienie przyjaciół naszych, a także i Pawnsów było tak wielkie, że bój ustał na chwilę. Co to mogło znaczyć? Oczywiście pomoc niespodziewana przybywała jednej ze stron walczących, lecz której? Wątpliwość niedługo trwała: Osagowie podnieśli grzmiący radosny okrzyk triumfu, zawtórowały im inne głosy, w których łatwo było rozpoznać okrzyki białych ludzi. Serce Prawe nasłuchiwał z natężoną uwagą i jeden z tych głosów snadź dobrze mu był znany, gdyż drgnął cały, oczy mu błysnęły i szepnął półgłosem:

- Johnson - a zwracając się do towarzyszy, dodał: - Jesteśmy uratowani; przez chwilę jeszcze odpierajmy napastników, pomoc się zbliża, chociaż nie pojmuję, skąd tylu obrońców naraz się wzięło? Lecz jeden przynajmniej nas nie zawiedzie.

Zaledwie wymówił te słowa, gdy Orzeł Czuby wywinął tomahawkim i z przeraźliwym okrzykiem wojennym rzucił się w środek gromadki Pawnsów; dosięgnąwszy Tygrysa Zębatego, nim tamten zdołał pomyśleć o obronie, jednym zamachem ugodził go śmiertelnie. Wódz Osagów byłby już przedtem zaspokoił gwałtowną żądę zemsty, lecz czuł, że obowiązek nie

pozwała mu odstępować Elli i towarzyszy. Usłyszawszy o pomocy, nie mógł się powstrzymać i z zuchwalstwem szalonym poskoczył do nieprzyjaciela.

W innej chwili nie byłoby mu to uszło na sucho, lecz Pawnisy nie mieli obecnie czasu myśleć o pomśzczeniu wodza, gdyż nagle dał się słyszeć tętent licznych koni i na placu boju ukazał się Johnson, za nim don Ramon de Saavedra, Cezar z Benem i Dikiem, Sandowal, Ruperto i cała gromadka zbrojnych jeźdźców, tak dobrze nam znana. Wybawcy przybyli w samą porę: losy bitwy rozstrzygnęły się bardzo prędko. Pawnisy, przerażeni widokiem tego hufca białych wojowników, uzbrojonych w pioruny, rzucili się wszyscy do ucieczki.

Przyjaciele nasi byłiby wcale za nimi nie gonili, gdyż nie pragnęli rozlewu krwi, musieli jednak udać przynajmniej pogoń, by dostać się do wioski indyjskiej, gdzie był więziony Tobiasz. Wszyscy więc puścili się za uciekającymi, oprócz don Ramona i kilku innych, którzy pozostali przy Karmeli i Elli. Uwolniono bez trudności starego sługę, którego radości opisywać chyba nie potrzebujemy.

Obie panienki zajęły się tymczasem opatrunkiem rannych Indian. Ella niespokojna była o Jelenia Wrzącego, gdyż nie widziała go od rozpoczęcia bitwy, a poczciwa dziewczyna nie mogła zapomnieć, że po ludzku się z nią obchodził. Nie wiedziała także, co się stało ze Stokrotką Polną; zaraz po rozpoczęciu bitwy kobiety, dzieci i starcy uciekli spiesznie do wsi. Wkrótce młoda dziewczyna bystrym swym wzrokiem dostrzegła na skraju lasu, gdzie przed chwilą toczyła się najzawziętsza bitwa z Osagami, dwie postacie pochylone nad trzecią, leżącą na ziemi. Zbliżywszy się nieco, Ella poznała w nich starego Ludowika i Stokrotkę. Serce jej ścisnęło się smutnym przeczuciem: przyśpieszyła kroku, don Ramon i Karmelâ podążyli za nią.

Przeczucie nie omyliło Elli: Jeleń Wrzący, trafiony kulą w bok, leżał na trawie; śmiertelna bladeść pokrywała piękną jego twarz, chociaż żaden jej rys nie zdradzał cierpienia; spojrzenie miało wyraz spokojny i obojętny. Stokrotka klęczała przy nim i zalewając się łzami cisnęła jego rękę w swoich dłoniach. Gdy ujrzała Ellę, wybuchła głośnym łkaniem. Tamta uklękła przy rannym i usiłowała go pocieszyć. On się łagodnie uśmiechnął i szepnął:

- Sarenka Modrooka...

Ella opowiedziała Karmeli i jej ojcu, ile to młody Indianin uczynił dla osłodzenia jej losu podczas niewoli; don Ramon wysłuchał tych słów z zainteresowaniem, a ponieważ znał się na opatrywaniu ran, sam zaraz obejrzał troskliwie Jelenia. Ku wielkiej radości młodej dziewczyny upewnił ją, że rana nie jest niebezpieczna. Natychmiast urządzono wygodne nosze i przeniesiono rannego do chaty Ludowika, który go miał doglądać razem ze Stokrotką. Ella obiecała odwiedzić przyjaciółkę przed wyjazdem; teraz opuściła ją spieszenie, gdyż serce jej rwało się do ojca, do braci, których wśród zamieszania i bitwy jeszcze prawie nie zdążyła powitać. Don Ramon i Karmela z daleka tylko widzieli podczas owego zamętu ukochanego swego Rafaela, którego tak gorąco pragnęli uściskać; z jaką tęsknotą wyglądali teraz jego powrotu, domyślając się zapewne czytelniczy.

Zwycięzcy ukazali się wkrótce wiodąc w triumfie oswobodzonego Tobiasza. I nastąpiło wreszcie rzewne, rozczulające powitanie, którego żadne pióro opisać nie zdoła. Uściskom i okrzykom nie było końca, a łyzy radości we wszystkich oczach błyszczały.

- Ojciec mój! - mówił Rafael głosem wzruszonym - powtórz raz jeszcze, że mi przebaczasz i wracasz synowi marnotrawnemu miłość swoją. Ach! jakże ja pragnąłem usłyszeć to z ust twoich.

- Przebaczyłem ci już od dawna, synu ukochany - mówił don Ramon. - O, gdybyś wiedział, jak cierpiałem, jak byłem nieszczęśliwy w ciągu tych długich, smutnych lat twojego wygnania. A ty, Rafaelu, czy nie masz żalu do biednego ojca za to, że się tak srogo z tobą obszedł?

Młodzieniec zamiast odpowiedzi tylko pochylił się do kolan ojca, który go podniósł i znowu czule do serca przycisnął.

- Mój Boże! - powtarzał don Ramon - więc ja naprawdę odzyskałem ciebie, Rafaelu, i nie rozstaniemy się więcej? Trudno mi uwierzyć w tak wielkie szczęście.

- Siostrzyczko moja, droga Karmelo! - zawołał młodzieniec zwracając się z kolei do siostry - ciebie nawet pytać nie potrzebuję, czy mi przebaczysz i czy możesz pokochać mnie znowu?

- Ja nigdy nie przestałam cię kochać, bracie. A ileż łez wylałam nad tobą... Ale nie mówmy o tej minionej boleści, Bóg ją przemienił w radość i szczęście, niech imię Jego będzie błogosławione.

Mniej rzewne, lecz równie serdeczne, było powitanie rodziny Wattsonów, a brał w nim udział nie tylko Tobiasz, ale i Murzyn Cezar. Dik z takim zapalem opowiadał ojcu i starszemu bratu o jego dobroci, roztropności i poświęceniu bez granic, że obaj wyciągnęli dłonie do biedaka, którym niegdyś tak pogardzali. Przebyte cierpienia i przeciwności ukorzyły ich pychę, a miłosierdzie Boże zmiękczyło serca, w których zawistne i niechętnie uczucia stopniały, jak lód topnieje w promieniach słonecznych. Cezar był zachwycony tą zmianą usposobienia dawnych swych chlebodawców i gdy przyszło do tego, że sam stary Wattson go serdecznie uściskał, Murzyn wpadł w taki szal radości, że puścił się w płasy i skoki i nawet parę kozłów wywinął na trawie.

Serce Prawe, którego odtąd zwać będziemy Rafaelem, zbliżył się wreszcie do Johnsona, stojącego na uboczu.

- Tobie, zacny, nieoceniony przyjacielu, zawdzięczam to szczęście - rzekł ściskając obie jego dłonie. - Sprawileś mi taką niespodziankę, o jakiej marzyć nawet nie śmiałem.

- Bóg to sprawił, że mi się tak dobrze powiodło - odrzekł wzruszony myśliwy. - Udając się w drogę sam przecież nie wiedziałem, co z tego wyniknie. Ale nie mogłem patrzeć obojętnie na twój smutek, musiałem coś na to poradzić. Ach! ręka Boża wyraźnie kierowała wszystkim; strach mnie przejmuje na samą myśl, jakie nieszczęście stać się mogło, gdybyśmy się o parę godzin spóźnili.

- Tak, tak, Bogu przede wszystkim winniśmy złożyć dzięki - mówił Rafael, a wyrazy te, wymówione z uczuciem głębokim, ostatecznie przekonały ojca i siostrę, że zbłąkany niegdyś młodzieniec uległ zbawiennej przemianie.

A jednocześnie i stary Wattson mówił do swoich dzieci:

- Dziękujemy Ojcu Przedwiecznemu, który się ulitował nad nami i winy przebaczyć nam raczył.

Wszyscy złożyli ręce jak do modlitwy, a po chwili Ben i Dik, jednogłonym uczuciem wiedzeni, zbliżyli się do Murzyna i raz jeszcze kolejno go uściskali.

Przez tydzień cały obie rodziny obozowały w sąsiedztwie wioski Pawnisów, w której pozostali tylko ranni, reszta umknęła w dalsze strony. Ella pomagała Stokrotce w pielęgnowaniu Jelenia i niebezpieczeństwo prędko

minęło; młody Indianin podniósł się po kilku dniach i podążył za swoimi zabierając ze sobą żonę i starego Ludowika, ten bowiem tak się przywiązał do Pawnisów, że nie chciał się z nimi rozstawać. Ella żegnała ich ze łzami w oczach; nigdy też więcej nie spotkała się z nimi w życiu i o dalszych ich losach nie słyszała.

Nazajutrz po odejździe Jelenia Wrzącego przybył liczny hufiec Osagów. Byli to wojownicy odszukani na dalekiej wycieczce myśliwskiej; pomimo wielkiego pośpiechu nie mogli oni przybyć wcześniej na ratunek wodza, którego powitali z uczuciem najwyższej radości, a Rafaelowi i białym jego towarzyszom serdecznie dziękowali. Orzeł Czuby oczekiwiał na nich; teraz musiał ich odprowadzić do rodzinnych siedlisk. Jakkolwiek umiał panować nad uczuciami swoimi, gdy nadeszła godzina pożegnania, szlachetny Indianin nie zdołał ukryć głębokiego smutku. W milczeniu ścisnął wszystkie dłonie, które się wyciągnęły do niego; rączkę Elli zatrzymał dłużej i wzrok w twarzyczce jej utkwiał, jak gdyby pragnął wyryć ten obraz w swojej duszy na zawsze, wreszcie przycisnął do ust rękę młodej dziewczyny ze czcią rycerską i szybko się odwrócił.

Rafael także z serdecznym żalem żegnał przyjaciela, który przez lat tyle rodzinę mu zastępował, i odprowadził go o mil parę, a gdy wreszcie rozstać się musieli, Orzeł Czuby rzekł do niego:

- Brat mój powraca z ojcem do rodzinnego domu, do swoich; nigdy już zapewne stopa jego nie postanie na tych stepach, w tych puszczech, nie ujrzą go więcej przyjaciele, którzy tu zostają. Boleść wielka przejmuje serce Orła Czubatego. Już on nie znajdzie tak wiernego przyjaciela i brata, tak mądrego doradcy, tak dzielnego obrońcy w razie niebezpieczeństwa... Orzeł Czuby nie pocieszy się nigdy. A brat mój, czy też wspomni czasem wodza Osagów tam w oddalonej swej ojczyźnie?

- Zawsze, do końca życia pamiętać będę o tobie i kochać cię nie przestanę, wierny, szlachetny przyjacielu - odrzekł Rafael. - Żegnaj mi Orle Czuby, nie roztkliwiajmy się, wszak nigdy nie mieliśmy tego w zwyczaju.

- Tak, już pora nam się pożegnać. Niech brat mój powraca do ojca i siostry, niech też raz jeszcze pozdrowi od Orła Czubatego piękną dziewczynę

białą, Elle; wódz Osagów do śmierci obraz jej zachowa w swym sercu. Jest śliczna, dobra i odważna, godna największego szczęścia, godna nawet... takiego męża jak Serce Prawe... I wyrzekłszy to z widocznym wysileniem wódz Osagów spał konia ostrogami i galopem odjechał.

Rafael pozostał wśród lasu sam jeden; po męskiej jego twarzy spływały duże łzy... Otarł je szybko i podążył do swoich. Wszyscy już przygotowywali się do drogi. Don Ramon zwrócił się do starego Wattsona i zapytał:

- Dokąd pan się uda teraz z rodziną?

- Sam nie wiem - odpowiedział tamten i czoło jego nagle się zasepiło. - Indianie ogołocili mię ze wszystkiego, muszę więc szukać po świecie sposobu do życia.

- Jeżeli to panu wszystko jedno, czemuż byś nie miał jechać razem z nami do Meksyku, naszej ojczyzny?

- A cóż bym ja tam robił?

- Mógłby pan zostać dzierżawcą i w lepszych warunkach prowadzić gospodarstwo rolne.

- Za dzierżawę płacić trzeba, a ja nie mam pieniędzy - rzekł Wattson z westchnieniem. - Mogę tylko być „skwaterem”, założyć nową osadę w pustej, dzikiej puszczy.

- Ależ pan może śmiało zostać dzierżawcą u nas w Meksyku, nie mając grosza gotówki. Ja sam mam rozległą i piękną posiadłość, którą wypuszczam w dzierżawę. Terazniejszy dzierżawca jest już bardzo stary i potrzebuje odpocząć, poszukuję więc innego na jego miejsce. Gdyby pan chciał to wziąć na siebie, nie żądałbym z góry żadnej zapłaty. Nie idzie mi też wcale o wielkie zyski, tylko o to, aby posiadłość dostała się w dobre ręce i utrzymywana była w porządku. Pan ma dzielnych synów do pomocy, córkę zapewne gospodarną i pracowitą, byłbym zupełnie spokojny, gdybym powierzył miennie moje takiemu dzierżawcy. A sędzę, że i pan na tym nieźle wyjdzie: ów staruszek przybył tam bez grosza, dzisiaj zaś odchodzi człowiekiem majątym! Cóż, czy się pan zgadza?

Wattson tak był uradowany, że w pierwszej chwili słowa wymówić nie mógł. Ciężki niepokój spadł mu z serca; podziękował gorąco don Ramonowi

i bez wahania propozycję jego przyjął. Później dopiero wyszło na jaw, że pomysł ten poddał ojcu Rafael, a poparła go także Karmela, która nie chciała rozstawać się z Ellą: obie dziewczyny od razu przyłgnęły do siebie i pokochały się jak siostry.

Cezar był w prawdziwym kłopotcie; gdy oznajmił Dikowi, że musi zamieszkać u swojego pana, Rafaela de Saavedra, chłopak rozplakał się rzewnie i Murzyn sam już nie wiedział, co robić. Rafael uspokoił ich upewnieniem, że Cezar, jako człowiek wolny, będzie mógł kolejno przebywać w obu domach. Uszczęśliwienie dwóch młodych przyjaciół wzrosło jeszcze, gdy don Ramon, wyegzaminowawszy Murzyna i dowiedziawszy się o niezwykłym jego zamiłowaniu do nauki, obiecał mu dostarczać książek ze swojej biblioteki.

- Będiesz mnie uczył - rzekł Dik. - Pamiętasz, jak nieraz słuchając twoich zajmujących opowiadań powtarzałem, że pragnąłbym także nabyć z książek różnych wiadomości. O jakże szczerze starać się będę dorównać tobie, mój drogi Cezarze.

- Będziemy się razem uczyli - odrzekł Murzyn.

ZAKOŃCZENIE

Niewiele nam już zostało do powiedzenia. Tym razem znajomi nasi przybyli wreszcie do hacjendy del Milagro bez żadnych nadzwyczajnych przygód. Radości i rozrzewnienia starego Euzebio, gdy przycisnął do serca ukochanego Rafaela, którego przez czas tak długi opłakiwał, żadne słowa wyrazić nie zdołają.

- Teraz już mogę umrzeć spokojnie - wołał zalewając się łzami. - Jakże pragnąłem dożyć tej szczęśliwej chwili!

Wattson z rodziną, po kilku dniach wypoczynku w domu don Ramona, przeniósł się do posiadłości niezbyt odległej od hacjendy, którą ojciec Rafaela wypuścił mu w dzierżawę na bardzo korzystnych warunkach. Nasz osadnik przekonał się wkrótce, że tu z łatwością dojść może do znacznego majątku i błogosławił spotkanie swoje z rodziną meksykańską. Tobiasz nie rozłączył się ze swym dawnym panem; co do Cezara, ten musiał dzielić się pomiędzy hacjendę del Milagro i dom Wattsonów, bo wrywano go sobie wzajemnie.

Karmela i Ella były prawie nierozłączne; córka don Ramona najczęściej zabierała przyjaciółkę do hacjendy del Milagro i wypuścić jej od siebie „nie chciała: skończyło się wreszcie na tym, że córka osadnika stale zamieszkała z rodziną de Saavedra, gdyż została żoną Rafaela. Czyż potrzebujemy dodawać, że to wcale nie osłabiło przyjaźni jej z Karmelą, która podobno od samego początku pragnęła tego zakończenia.

Johnson przez rok cały pozostawał w domu przyjaciela, gdzie wszyscy starali się wszelkimi sposobami rozerwać go i uprzyjemnić mu życie. Pomimo to myśliwy często zamyślał się smutnie, wspomnienia przeszłości nie zatarły się w jego sercu. Po upływie roku wyznał przyjaciołom, że nie może dłużej usiedzieć na miejscu, że taki rodzaj życia nieznośny jest dla niego, postanowił więc powrócić do puszczy. Darmo go proszono ze łzami, aby tego zamiaru zaniechał: pewnego pięknego poranku wsiadł na konia i wyruszył w drogę. Towarzyszyli mu Sandowal i Ruperto, którym przygody myśliwskie wśród puszczy i stepów uśmiechały się także. Żaden z nich nie powrócił i nigdy już nie słyszano o ich losach.

POSŁOWIE

Musiała to być bardzo miła osoba, ta pani Maria Julia Zaleska. Tak się tylko domyślam, bo nie wiem o niej nic poza tym, co każdy może wyczytać w skąpej słownikowej notatce: urodziła się w roku 1831 w Medwedówce koło Czebrynia, na Ukrainie. Zmarła w roku 1889 w Warszawie. Otrzymała powierzchowne wykształcenie salonowe, a całą swą wszechstronną wiedzę zdobyła sama. Interesowały ją głównie nauki przyrodnicze i te właśnie nauki chętnie popularyzowała w książkach: swoje pogadanki i opowieści nasyciła wieloma wiadomościami z geografii, historii, astronomii, fizyki i przyrody. Ale największą popularność przyniosły jej adaptacje: „Mieszkaniec puszczy” (1884), przeróbka „Pięcioksięgu przygód Sokolego Oka” J. F. Coopera i „Młody wygnaniec” (1889) według R. Rotha.

Pani Zaleska urodziła się w roku Powstania Listopadowego. Miała lat 26, gdy wybuchło Powstanie Styczniowe. W siedem lat po jego upadku napisała dla dzieci „Wieczory czwartkowe” - pogadanki o fizyce.

W siedem lat po upadku Powstania w zrujnowanym i zniewolonym kraju panowała żaloba po poległych i zesłanych na Syberię. W szkołach i urzędach obowiązywał język rosyjski, nauczanie historii i literatury polskiej było zakazane. Trudno było o nadzieję.

A przecież znaleźli się ludzie - zawsze się tacy znajdują - którzy wierzyli, że i najczarniejszy mrok można powoli, z uporem rozświetlić. „Oświecać” - stało się hasłem pozytywistów. Marzyli o tym, by rozbite warstwy społeczeństwa zjednoczyć w jeden zdrowy organizm, zdolny w przyszłości do ubiegania się o niepodległość; a w tym celu należało objąć pomocą upośledzone dotąd grupy (chłopów, miejską biedotę i mniejszości narodowe) i zapewnić im równe prawa w społeczeństwie.

Myślę, że pani Maria Zaleska przejęła się tym programem z całego, serca. I chyba wiem, co w książce Rotha „Młody wygnaniec” spodobało się jej tak bardzo, że postanowiła tę powieść przyswoić polskiej młodzieży. Zauważmy: nie przełożyła tej powieści dosłownie, adaptowała ją, czyli opowiedziała własnymi słowami, użyła własnego głosu.

Trudno oczywiście, nie znając oryginału, ocenić, czy opowieść pani Zaleskiej różni się od opowieści Rotha. I może tylko mi się wydaje, że tak wyraźnie słyszę jej własny, opowiadający głos: jest spokojny, opanowany i wytworny. To głos kogoś, kto łagodnie i stanowczo mówi prawdę; kogoś, kto jest niezawodny, kto ma zasady i umie ich bronić; kogoś, kto ma przed sobą szlachetny cel, do którego dąży niestrudzenie.

„Młody wygnaniec”, opowiedziany głosem pani Zaleskiej, nie jest zwykłą książką przygodową. Tak, to prawda - jest w niej wspaniała, bogata przyroda, niezwykle zwierzęta i rośliny, góry i pustynie, i niezwykli ludzie, biali, czerwonoskórzy i czarni, żywi, bliscy i ciekawi, przeżywający niezwykle przygody. Ale poza tym wszystkim „Młody wygnaniec” uczy; uczy tak wielu rzeczy, nie tylko o obyczajach Indian, o przyrodzie Dzikiego Zachodu, o życiu traperów. Ta książka uczy prawd uniwersalnych,

ważnych w każdym czasie i w każdym miejscu. Prawd, bez znajomości których człowiek nie może się nazywać cywilizowanym, kulturalnym, doorym czy nawet po prostu przyzwoitym.

Od pierwszych kart zostajemy wprowadzeni w najważniejszy problem tej pięknej książki; towarzyszymy w ucieczce Cezarowi, obserwujemy zajadłość Wattsona i bezmyślne okrucieństwo jego synów, którzy traktują niewolnika z nieludzką pogardą, tropią go jak zwierzę i gotowi są go zabić, w końcu już tylko po to, by „złość przynajmniej zadowolić”.

Jak to możliwe - zastanawiamy się - że ten bezwzględny, zdolny do morderstwa człowiek jest kochającym ojcem i chrześcijaninem? Jak on potrafi godzić w swoim sumieniu nienawiść z miłością, a okrucieństwo z wiarą?

Ben i Dik naśladowują postawę ojca, ich okrucieństwo bierze się też z bezmyślności, z braku wrażliwości, z braku wyobraźni. Zdumiewa ich, gdy siostra utrzymuje, że Murzyn to taki sam człowiek jak oni, że tak samo czuje i myśli. Zresztą słowa Elli nie znajdują posłuchu i wśród sług: stary Tobiasz mówi o Indianach „łotry czerwone” lub „hultaje”, chociaż żadnej krzywdy mu jeszcze nie wyrządzili, przeciwnie, sami są stroną pokrzywdzoną. Kiedy Ella mówi o prawach Indian do tej ziemi, o niesprawiedliwości i przemocy, jaka ich spotkała z rąk białych ludzi, Tobiasz zgadza się z nią, przytakuje, ale zgody tej nie starcza, by czuć szacunek dla „hołoty o czerwonej skórze”.

Ella nie podziela poglądów ojca i poglądów otoczenia. Nie tylko dlatego, że jest - jak mówią bracia - dobra i że ma złote serce. Ella myśli i czuje. Jest chrześcijanką, jak ojciec, bracia i słudzy, ale w odróżnieniu od nich rozumie w pełni przesłanie swojej wiary. „Żyje i myśli wedle praw i sprawiedliwości, nie uogólniając, nie nienawidząc nikogo, nie oskarżając niewinnych, nie szukając złego zadowolenia w poniżaniu innych”. Wie, że ludzie - choćby się temu wszystkimi sposobami sprzeciwiać - naprawdę są braćmi, że każdy z nas stanowi częśćkę innego, że wszyscy jesteśmy połączeni tajemnymi więzami i stanowimy jedność złożoną z jednostek. I że każda z tych jednostek jest istotą rozumną i wolną, odpowiedzialną tylko i wyłącznie za własne czyny - nie za kolor skóry, kształt nosa czy oczu, przynależność do narodu czy rasy, a za to, czy szuka prawdy i realizuje dobro. Ella wie również, że walka o godność poniżanego Cezara jest zarazem walką o godność jego prześladowców i walką o godność wszystkich, każdej istoty ludzkiej.

To bardzo prymitywny odruch - nienawidzieć kogoś dlatego, że jest inny. Tak jakby bycie innym już było winą. U podłoża tego odruchu leży atawistyczny, zwierzęcy strach i jest rzeczą ze wszech miar ludzką strach ten z siebie zrzucić i w sposób szlachetny zaufać drugiemu człowiekowi, innemu człowiekowi, dać mu szansę na ukazanie jego własnej prawdy i własnego wewnętrznego piękna.

Dlaczego trzeba było aż ciężkich przeciwności losu, niebezpieczeństw i nieszczęść, by Dik dał taką szansę Cezarowi? Dopiero gdy Murzyn zaryzykował życiem, by chłopca ocalić, Dik ze skruczą stwierdził, że człowiek, którego tak upokarzano i

dręczono, którym tak pogardzano, jest dobry i szlachetny, że można go pokochać. Prymitywne odruchy są właściwością umysłów nieoświeconych. Tam, gdzie panuje mrok i brak wiedzy, brak znajomości świata, a częstokroć prostej informacji, tam łatwo o ponure uogólnienia, o pogardę, nienawiść, o zbrodnię wreszcie. To brak wiedzy powodował wiele złych reakcji bohaterów „Młodego wygnańca”. Poznawszy Indian lepiej, zmienili zdanie. „Hołota czerwonoskóra” okazała się ludem o swoistej kulturze i szlachetnych obyczajach; a chociaż wśród Indian, jak w każdej grupie ludzkiej, są i dobre, i złe jednostki - to przecież zasadniczo ich postępowanie cechuje wielkoduszność, duma i godność. Indianie nic chcą zabijać białych, którzy przecież osiedlają się na pradawnych indiańskich terenach; często proponują jeńcowi, by został ich sprzymierzeńcem i bratem, by zamieszkał z nimi i starał się ich poznać. Ci „ciemni i nieoświeceni” okazują tu prawdziwą mądrość: wiedzą, że nie tak nie sprzyja powstawaniu wrogości, jak obcość, pycha i brak zrozumienia.

Rzecz dziwna: to, co „dzikusom” przychodzi w sposób naturalny, z prostotą i łatwością - jest trudne, niemal niewykonalne dla białego człowieka, pełnego poczucia własnej wyższości. Nawet stary Ludowiko żyjący w indiańskiej wiosce już od piętnastu lat, przywiązany do Indian, znający ich obyczaje i tradycje - nawet i on nie może się uwolnić od owego nieszczęsnego poczucia wyższości. Zapytany o religijne wierzenia Indian określa je jako „najrozmaitsze bajki” i „dziwaczne pojęcia”, a to tylko dlatego, że różnią się od jego wierzeń. Któż dał mu prawo wywyższenia się nad bliźnich? Ben potrafi powiedzieć wzgardliwie: „Wszak tu idzie tylko o Indian”. W tym właśnie zdaniu ukazano nam istotę choroby zwanej rasizmem, a mającej za podłoże ciemnotę, złość i okropną pychę, każącą jednemu człowiekowi pogardzać innym. Myślę, że to na tym właśnie tak zależało pani Marii Julii Zaleskiej: żeby czytelnik zrozumiał sens, słuszność i potrzebę takiej postawy, jaką prezentują Ella i Serce Prawe. To dlatego postanowiła przedstawić tę książkę polskiej młodzieży, żyjącej w niewoli, marzącej o niepodległości. Wiedziała, że żaden organizm społeczny nie będzie zdrowy i silny, jeśli drażyć go będzie nienawiść, pogarda i wrogość wzajemna i że niepodległość, w której znajdzie się miejsce na rasizm i zniewolenie kogokolwiek, nie będzie prawdziwą niepodległością narodu. Chyba to właśnie chciała powiedzieć polskim czytelnikom w roku 1889 - w roku swojej śmierci.

Czy przeczuwała, że długo, długo jeszcze ta książka będzie tak bardzo potrzebna? Czy przeczuwał to R. Roth?

On też musiał być jednym z tych, którzy nie mogąc się pogodzić z okrucieństwem, pogardą i nienawiścią, chwytają za pióro, wierzą bowiem, że naprawdę kropla draży skałę. Mają nadzieję, że jeśli choć trochę, choć odrobinę dobra pozostawią po sobie - to będzie go na świecie odrobinę więcej.

A odrobinę więcej - to przecież o wiele więcej niż nic.

MAŁGORZATA MUSIEROWICZ

Spis treści

I Spotkanie	3
II Cezar	8
III Osada	20
IV Straszna noc	27
V Orzeł Czuby	38
VI Smutny powrót	49
VII Dik na zgliszczach osady	58
VIII Łowienie bobrów	63
IX Za śladami	73
X Twierdza	85
XI Losy Elli	98
XII Polowanie na żubry	105
XIII Chybione usiłowania	112
XIV Syn marnotrawny	123
XV Wyrok ojcowski	132
XVI Poselstwo	141
XVII Polowanie na gołębie	154
XVIII Kuguary i inne zwierzęta leśne	158
XIX Przebyte niebezpieczeństwa	167
XX W lesie i stepie	181
XXI Bez drogi	189
XXII Wyprawa don Ramona	201
XXIII Dzikie konie	217
XXIV Serce Prawe	253
XXV Siedliska Indian	237
XXVI Przygody Tobiasza	248
XXVII Wesele Jelenia Wrzącego	258
XXVIII Odsiecz	263
XXIX Pomoc niespodziewana	275
Zakończenie	284
Posłowie	285